

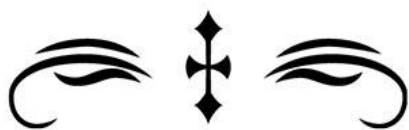
PRZEZNACZENIEM
NIEKTÓRYCH
ANIOŁÓW
JEST
UPADEK

FILM
JUŻ NA
VOD I DVD

UPADLI

LAUREN KATE

UPADLI



LAUREN KATE

TLUMACZENIE:
ANNA STUDNIAREK

**Mojej rodzinie,
z miłością i wdzięcznością**



Podziękowania

Na moje ogromne podziękowania zasługują wszyscy w wydawnictwach Random House i Delacorte Press, którzy zrobili tak wiele w tak krótkim czasie. Wendy Loggia, której szczodrość i entuzjazm pomagały mi od samego początku. Krista Vitola, za ogromną, choć niewidoczną na pierwszy rzut oka pomoc. Brenda Schildgen z UC Davis, za tło i inspirację. Nadia Cornier, za pomoc w zabraniu się do pracy. Ted Malaver, za ostrą, pełną wdzięku i zabawną pracę redakcyjną. Michael Stearns, były szef, a teraz zaufany współpracownik i przyjaciel. Jesteś geniuszem.

Moi rodzice, moi dziadkowie, Robby, Kim i Jordan, i rodzina z Arkansas. Wprost nie umiem wyrazić wdzięczności za Wasze permanentne wsparcie. Kocham Was wszystkich.

I Jason, który opowiada mi o postaciach, jakby były prawdziwymi ludźmi, aż zaczynam wszystko rozumieć. Inspirujesz mnie, stanowisz dla mnie wyzwanie, każdego dnia wywołujesz mój śmiech. Masz moje serce.

„Lecz raj zamknięty (...); musimy odbyć podróż naokoło świata i zajrzeć, czy przypadkiem nie jest znowu otwarty gdzie bądź od tyłu”.^[1]



Heinrich von Kleist „O teatrze marionetek”

1 Tłum. Jacek St. Buras w: Heinrich von Kleist, *Dramaty wybrane*, Wydawnictwo Literackie 2000.

POCZĄTEK



HELSTON, ANGLIA WRZESIEŃ 1854 R.

Około północy, jej oczy nabrały ostatecznego kształtu. Ich kocie spojrzenie w połowie zdeterminowane, w połowie niepewne znaczyło tylko jedno-same kłopoty. Tak, to właśnie te oczy. Nad oczami roztaczały się piękną, brązową kaskadą jej włosy.

Trzymał właśnie na przedramionach szkic by móc ocenić jego postęp. Było mu bardzo ciężko malować ją, nie mając jej przed sobą, ale przy niej nigdy nie mógł się skupić.

Odkąd przyjechał z Londynu, nie – odkąd po raz pierwszy ją zobaczył- zawsze starał się trzymać ją na dystans. Ale z każdym dniem kiedy ona próbowała się do niego zbliżyć było mu coraz gorzej. To dlatego co rano wyjeżdżał do Indii, bądź Ameryki-nigdy nie wiedział dokąd i nie dbał o to.

Gdziekolwiek kończył, zawsze było to łatwiejsze -niż zaczynać tutaj. Pochylając się znowu nad szkicem rozcierał kciukiem węgiel, rysując pełną dolną wargę jej ust. Ten okrutny, martwy oszust w postaci papieru był jedynym sposobem ,by mógł ją mieć blisko siebie. Nagle poprawiając się na skórzanym, bibliotecznym krześle-poczuł to. Ciepło, które musnęło jego kark.

Ona.

Sama jej bliskość wywoływała u niego u niego to dziwne uczucie, jakby uderzała w niego fala gorąca, spalająca się w popiół. Nie musiał się oglądać za siebie, wiedział że ona tam jest. W pośpiechu przykrył jej portret ale nie mógł przed nią uciec.

Jego wzrok spoczął na tapicerowanej sofie w kolorze kości słoniowej gdzie tylko godzinę wcześniej oklaskiwano najstarszą córkę ,z pośród jej gości, za piękną grę na klawikordzie ,a gdzie teraz pojawiła się niespodziewanie ona. Zerknął naprzeciwko pokoju, na werandę za oknem, gdzie wczoraj skradała się do niego z garścią pełną dzikich, białych peonii. Wciąż myślała, że pociąg który czuła w stosunku do niego- był niewinny, zupełnie jakby ich częste randkowanie w altanie było jedynie...szczęśliwym zbiegiem okoliczności. To było takie naiwne! Nigdy nie zamierzał jej powiedzieć ,że jest inaczej- już i tak ledwo znosił swoją tajemnicę. Wstał i obrócił się zostawiając szkicownik na skórzanym krześle.

Oto i ona. Ścisnęła rubinową aksamitną zasłonę naprzeciwko. Była w swoim gładkim, białym szlafroku, a jej czarne włosy zaplecione były w warkocz. Wyraz jej twarzy był dokładnie taki sam, jaki on malował wiele razy. Rumieniec wylewał się na jej policzki. Czy była zła? A może zakłopotana? Wiele razy się na tym zastanawiał, ale nigdy nie mógł się zmusić żeby ją o to zapytać.

-Co tutaj robisz?- Usłyszał warknięcie w swoim głosie, ostrość której od razu pożałował, choć wiedział że ona nigdy tego nie zrozumie.

-Ja...ja nie mogłam zasnąć, -zaczęła, ruszając w kierunku grzejnika i jego krzesła.- Zauważyłam światło w twoim pokoju i ...-przerwała, patrząc na swoje dłonie – i walizkę za drzwiami. Wybierasz się gdzieś?

- Miałem zamiar ci powiedzieć- zaczął się. Nie powinien kłamać. Nigdy nie zamierzał zdradzać jej swoich planów. Mówienie jej o tym mogłoby tylko pogorszyć sprawę. Już i tak pozwolił zajść sprawom zajść za daleko w nadziei, że tym razem będzie inaczej.

Zbliżyła się i jej wzrok utkwiał na szkicowniku.

- Malujesz mnie?- jej wystraszony głos przypominał mu jak wielka przepaść jest między ich rozumowaniem. Nawet po tak długim czasie, spędzonym ze sobą przez te kilka ostatnich tygodni, nie potrafiła spojrzeć na prawdę, którą odkrywała jej atrakcyjność.

Tak było dobrze-albo raczej- to dla jej dobra.

Kilka dni przed tym jak podjął decyzję o odejściu, trzymał się z dala od niej, walcząc sam ze sobą. Wysiłek z tym związany męczył go tak bardzo, że gdy tylko zostawał sam oddawał się tłumionemu pragnieniu malowania jej. Wypełniał więc strony swojego szkicownika obrazami jej wygiętej szyi, marmurowego obojczyka i głęboką czernią jej włosów.

Teraz, kiedy spojrzął z powrotem na szkicownik, nie krępowało go to, że został przyłapany na malowaniu jej- było gorzej. Przeszył go zimny dreszcz gdy zdał sobie sprawę z tego, że gdyby odkryła- zdemaskowała jego uczucia- to by ją zniszczyło. Powinien być bardziej ostrożny. Zawsze zaczynało się w ten sam sposób.

-Ciepłe mleko z łyżeczką syropu z melasy- wymruczał, wciąż stojąc tyłem do niej. Potem dodał smutno:- To powinno pomóc ci zasnąć.

-Skąd wiedziałeś? Moja mama używała dokładnie tego samego.

-Wiem.-powiedział, odwracając się twarzą do niej. Nie dziwiło go zaskoczenie w jej głosie, ale nie mógł jej jeszcze wytłumaczyć skąd to wiedział, albo powiedzieć jak wiele razy w przeszłości, kiedy miała koszmary, podawał jej to do picia a potem czekał aż zaśnie.

Poczuł jej dotyk, zupełnie tak jakby płonęła jego koszulka. Położyła delikatnie swoją dłoń na jego ramieniu tak że wstrzymał oddech. Nie dotykali się jeszcze w TYM życiu a pierwszy kontakt cielesny z nią wywoływał u niego brak

tchu.

-Odpowiedz mi- wyszeptała- Wyjeżdżasz?

- Tak.

-Zabierzesz mnie ze sobą? –powiedziała bez zastanowienia. Obserwował jak wciągnęła powietrze do płuc i marzył by mogła cofnąć swoją prośbę. Mógł prawie poczuć targające nią emocje , które zawarły się w tej jednej zmarszczce między oczami. Najpierw poczuła porywczość potem zdezorientowanie a na koniec zawstydzenie własną impertynencją. Robiła tak wiele razy wcześniej, dokładnie w tym samym momencie, a on popełniał błąd i ją pocieszał.

-Nie- wyszeptał...pamiętaj...zawsze pamiętaj...- Wypływam jutro. I jeśli chód trochę ci na mnie zależy nie powiesz już ani słowa.

-Jeśli mi na tobie zależy?- powtórzyła, jakby mówiąc do siebie.- Ja..ja cię...

-Nie.

-Muszę to powiedzieć. Ja...ja cię kocham. Jestem zupełnie pewna i jeśli odejdziesz....

-Jeśli odejdziesz to uratuje twoje życie- powiedział powoli chcąc dotrzeć z całą mocą do tej części jej , która będzie to pamiętać. Czy wszystko to co już było- jest tam gdzie pogrzebane? – Niektóre rzeczy są ważniejsze od miłości. Musisz mi zaufać , chód pewnie nigdy nie zrozumiesz.

Jej oczy wwiercały się w niego .Cofnęła się i skrzyżowała swoje ręce na piersi. To akurat była jego wina. Zawsze podkreślał swoją pogardę kiedy się do niej zwracał w ten sposób.

- Chcesz powiedzieć, że są ważniejsze rzeczy niż to?!- wyzywająco wzięła jego ręce i przyciągnęła je do swojego serca. Oh, mógł pozwolić sobie być z nią i trzymać ją w nieświadomości o tym co i tak nadejdzie, albo być na tyle silnym by zmusić się do powstrzymania jej. Jeśli jej nie powstrzyma, przeznaczenie samo się wypełni, torturując ich oboje znowu i znowu a ona nigdy się o tym nie dowie.

Znajome ciepło jej skóry na jego dłoniach sprawiło, że odchylił głowę do tyłu i jęknął. Próbował zignorować fakt, że była tak blisko, że tak dobrze znał to uczucie, kiedy jej usta dotykały jego ust, dobrze wiedział jak to wszystko się skończy. Jej dłonie tak delikatnie dotykały jego dłoni. Mógł poczuć jak jej serce zaraz wyskoczy spod jej bawelnianego szlafroka. Miała rację. Nic nie jest ważniejsze od tego. Nigdy nic nie było. Już miał się poddać i wziąć ją w swoje ramiona kiedy przechwycił jej spojrzenie. Zupełnie jakby zobaczyła ducha. To ona pierwsza się odsunęła i dotknęła ręką czoła.

- Mam dziwne przeczucie....- wyszeptała.

O nie, czyżby było już za późno? Spojrzała na rysunki w jego szkicowniku potem na niego, jej dłonie spoczęły na jego piersiach a jej usta rozsunały się w oczekiwaniu.

-Powiedz mi jeśli oszalałam, ale mogłabym przysiąc, że już kiedyś to się

zdarzyło.

A więc jednak było za późno. Drżąc, uniósł wzrok do góry. Mógł wręcz poczuć jak wypełnia się jego ponure przeznaczenie. Wykorzystał ostatnią szansę by móc ja przytulić tak mocno jak tego pragnął od tygodni. Byli bezsilni kiedy ich usta stopiły się ze sobą. Słodki, miodowy smak jej ust przyprawił go o zawrót głowy. Usilnie starała zbliżyć się do niego, podczas gdy żołądek podnosił mu się do gardła, pogarszając jego męczarnie. Jej język odnalazł jego sprawiając, że płomień pomiędzy nimi był coraz gorętszy z każdym nowym dotykem, z każdym nowym doświadczeniem. Ale nic z tego nie było nowe.

Pokój zadrżał. Aura wokół nich zaczynała błyszczeć. Ona niczego nie zauważyła, niczego nie była świadoma, nie rozumiała niczego poza ich pocałunkiem. On sam wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. Wiedział jakie ponure towarzystwo wyjdzie im na spotkanie. Wiedział, że nie potrafi zmienić biegu wydarzeń w ich życiach, nawet gdyby chciał.

Cienie zaczęły kłębić się nad ich głowami tak blisko, że mógłby ich dotknąć. Tak blisko, że zastanawiał się czy ona może usłyszeć ich szepty. Patrzył jak chmura zatrzymuje się nad jej twarzą. Przez moment widział isierkę świadomości w jej oczach.

Potem nie było już niczego. W ogóle niczego.

ROZDZIAŁ 1



ZUPEŁNIE OBCY

Luce wbiegła do przestronnego, fluoroscencyjnego holu szkoły Sword & Cross 10 minut później niż powinna. Minęła właśnie administratora o beczkowatym tułowiu, rumianych policzkach, i żelaznym bicepsie, którym właśnie wydawał rozkazy.

- A więc pamiętać, to jest gabinet lekarski(...), to sypialnie i czerwoni -administrator wrzeszczał na grupę trzech uczennic, stojących z nim tyłem do Luce. – Pamiętajcie zasady, a nikomu nie stanie się krzywda.

Luce pośpiesznie prześlizgnęła się za grupę. Wciąż próbowała się dowiedzieć czy prawidłowo wypełniła stos dokumentacji, czy ten ogolony przewodnik stojący przed nimi był mężczyzną czy kobietą, czy ktokolwiek pomoże jej z tą olbrzymią torbą i czy jej rodzice zaraz po tym jak podrzucili ją tutaj i wrócą do domu to pozbędą się jej ukochanej Plymouth Fury. Grozili jej całe lato, że sprzedadzą jej samochód, ale teraz mieli ku temu powód, nawet, gdy Luce się z tym nie zgadzała: w nowej szkole Luce, nikt nie pozwolił uczniom na posiadanie samochodu.

W jej nowej szkole reformy powinny być precyzyjne.

-Mógłbyś, hm, mógłbyś powtórzyć -zapytała administratora. -Co to było, gabinet lekarski-?

- Spójrzcie, kogo tu przywiało- powiedział głośno administrator, następnie kontynuował powoli wymawiając –do gabinetu lekarskiego udajesz się, kiedy musisz sobie coś zaaplikować -w ramach zdrowego rozsądku- masz problem z oddychaniem albo cokolwiek innego. Kobieta, jak Luce zdecydowała, administratorka- studiowała kiedyś pierwszą pomoc. Żaden mężczyzna nie byłby na tyle złośliwy by powiedzieć to wszystko takim przesłodzonym głosem.

- Zrozumiałam.- Luce poczuła jak dźwiga się jej żołądek. Chodziła do gabinetu lekarskiego od roku. Po tym incydencie zeszłego lata Doktor Sanford, jej specjalista w Hopkinton rozważał ponowne jej leczenie, dlatego też jej rodzice zdecydowali się posłać ją do szkoły z internatem w New Hampshire. Chociaż przekonała go w rezultacie o swojej pozornej stabilności, zabrało jej to dodatkowy miesiąc mówienia o tych okropnych antypsychozach.

To dlatego zapisała się na ostatni rok w Sword & Cross dokładnie miesiąc po tym jak rozpoczął się semestr. Rozpoczynanie nowego semestru było dla Luce

wystarczająco kiepskie, zważywszy na fakt, że naprawdę denerwowała się tym, że wskoczyła do klasy w której już wszyscy się ze sobą znali. Wyglądało jednak na to, że nie była jedyną nowo przybyłą dzisiaj.

Zerknęła podejrzliwie na trzech innych uczniów stojących w półkole wokół niej. W jej poprzedniej szkole w Dover w swój pierwszy dzień poznała swoją najlepszą przyjaciółkę Callie. W kampusie gdzie praktycznie wszyscy byli po raz pierwszy daleko od rodziców, tylko Callie i Luce były starsze niż pozostałe dzieciaki. Nie trwało to długo kiedy te dwie dziewczyny zdały sobie sprawę z tego, że mają te same obsesje na punkcie starych filmów- a dokładniej na punkcie Alberta Finnnlay'a. Po odkryciu pierwszoklasisty podczas oglądania „Two on the Road”, żadna z nich nie potrafiła przyrządzić paczki popcornu bez włączenia alarmu przeciwpożarowego. Callie i Luce nie odstępowały się na krok aż....aż do momentu kiedy musiały.

Po lewej stronie Luce stało dwóch chłopców i dziewczyna. Dziewczyna wyglądała dość wymyślnie, piękna blondynka wprost z reklamy Neutrogeny ze swoim różem na paznokciach, pasującym do jej sztucznej oprawy.

- Jestem Gabbe –powiedziała przeciągle i olśniła Luce swoim dużym uśmiechem, który zniknął tak szybko jak się pojawił, zanim Luce zdążyła się przedstawić. Swoją postawą przypominała Luce południową wersję dziewczyny z Dover bardziej, niż Luce spodziewałaby się zobaczyć w Sword & Cross. Luce nie mogła się zdecydować czy było to pocieszające czy nie, bardziej niż mogłaby sobie wyobrazić co dziewczyna tak wyglądająca robi w reformowanej szkole.

Po prawej stronie stał chłopak z krótkimi, brązowymi włosami, brązowymi oczami i odrobiną piegów biegnącą przez jego nos. Sposób w jaki omijał jej wzroku wciąż dłubiąc kciukiem przy skórkach, sprawiał wrażenie, że prawdopodobnie tak jak Luce wciąż był zakłopotany i oszołomiony odnalezieniem się w nowej sytuacji. Koleś po lewej, był odrobinę zbyt doskonały żeby pasować do wyobrażenia Luce o tym miejscu. Był wysoki i szczupły z „Di”-torbą przerzuconą przez ramię, ze zmierzwionymi włosami i dużymi, głęboko osadzonymi zielonymi oczami. Jego pełne usta miały kolor naturalnego różu, za jaki większość dziewczyn by zabiła. Na karku wystawał mu spod jego czarnego t-shirtu czarny tatuaż w kształcie popękanego słońca, który wyglądał jakby iskrzył się na jego jasnej skórze.

W przeciwieństwie do pozostałej dwójki, kiedy się odwrócił w jej stronę i spojrzał na nią, przechwycił jej spojrzenie. Jego usta ułożyły się w prostą linię ale spojrzenie miał ciepłe i pełne życia. Wpatrywał się w nią stojąc jak posąg co sprawiło, że Luce też nie mogła ruszyć się z miejsca. Wstrzymała oddech. Spojrzenie tych oczu było intensywne, nęcące i...no cóż odrobinę rozbrajające.

Z jakimś czysto gardłowym głosem administratorka przerwała hipnotyzujące wpatrywanie się chłopca. Luce zaczerwieniła się i udawała, że jest bardzo zajęta

drapaniem się po głowie.

-Ci z Was, którzy poznali się na rzeczy, są wolni zaraz po tym, jak pozbędziecie się waszych niebezpiecznych przedmiotów.- Administratorka wskazała gestem na duże kartonowe pudełko, z dużym czarnym napisem: PRZEDMIOTY ZAKAZANE. – I kiedy powiedziałam, że jesteście wolni- Todd-założyła dłonie na swoje piegowate, dziecięce ramiona sprawiając, że Todd aż podskoczył – miałam na myśli siłownie- przeszkody którym stawiają czoła trenerzy. Ty- wskazała na Luce- pozbądź się swoich zagrożeń i stać za mną.

Czworo z uczniów powlekło się w stronę pudełka, a Luce patrzyła nie rozumiejąc, dlaczego pozostali uczniowie zaczęli opróżniać swoje kieszenie. Jedna z dziewczyn wyciągnęła trzycalowy, różowy scyzoryk Swiss Army. Zielonooki chłopak wyciągnął niechętnie farbę w sprayu i nóż do kartonów. Nawet nieszczęsny Todd upuścił kilka książek z wynikami meczów i mały pojemnik płynnej zapalarki. Luce poczuła się niemal głupio z powodu tego, że nie miała żadnych niebezpiecznych przedmiotów- ale kiedy zauważyła, że inne dzieciaki wyciągają ze swoich kieszeni telefony komórkowe i wrzucają je do pudełka, przelknęła nerwowo ślinę.

Pochyliła się do przodu, przyglądając się bliżej napisowi: PRZEDMIOTY ZAKAZANE i zauważyła te wszystkie telefony, pejdżery, radioodbiorniki i urządzenia surowo zakazane. Jakby tego było mało, to jeszcze nie mogła mieć swojego samochodu. Luce zacisnęła spoconą dłoń wokół swojego telefonu w kieszeni. Swojego jedyne połączenia ze światem zewnętrznym. Kiedy administratorka spostrzegła wyraz jej twarzy, Luce wykonała kilka szybkich uderzeń w pierś.

- Tylko mi tu nie mdlej. Nie płacą mi tu aż tak dobrze żebym ci udzielała pierwszej pomocy. Poza tym możesz skorzystać z telefonu w głównym holu raz na tydzień.

JEDEN TELEFON....RAZ NA TYDZIEŃ.....ALE-

Spojrzała w dół, po raz ostatni na swój telefon i dostrzegła dwie nieodebrane wiadomości SMS.

Wygląda na to, że to będą jej ostatnie dwie wiadomości jakie przeczyta. Pierwsza była od Callie:

„ Natychmiast do mnie zadzwoń. Będę czekać przy telefonie całą noc. I pamiętaj mantrę, którą ci przypisałam. Przeżyjesz! Myślę, że wszyscy całkowicie zapomnieli o... ..”

W typowym dla Callie stylu, rozpisała się za bardzo, bo telefon Luce uciął wiadomość po czwartej linijce. W pewnym sensie, Luce prawie ulżyło. Nie chciała czytać o tym jak to wszyscy w jej starej szkole już prawie zapomnieli o tym, co jej się przytrafiło i co właściwie robi tym miejscu. Westchnęła i przewinęła w dół na następną wiadomość. Była od mamy, która jeszcze kilka tygodni temu nie potrafiła

SMS-owad i która zapewne nie miała pojęcia o „jednym telefonie na tydzień” i która nigdy nie chciała zostawiać tu swojej córeczki. Zgadza się?

Malutka, zawsze o tobie myślimy. Bądź grzeczna i postaraj się jeść więcej białka.

Porozmawiamy jak tylko będziemy mogli. Kochamy cię. Mama i tata.

Z westchnieniem Luce zdała sobie sprawę, że jej rodzice jednak wiedzieli o wszystkim. Jak inaczej wytłumaczyć ich zmizerniałe twarze, kiedy machała im na pożegnanie dzisiejszego ranka pod szkołą. Przy śniadaniu próbowała żartować z tego, jak to w końcu straci ten okropny nowo angielski akcent, którego nabrała w Dover, ale rodzice nawet się nie uśmiechnęli. Sądziła, że wciąż się gniewają.

Kiedy Luce narozrabiała, nigdy nie podnosili na nią głosu; stosowali względem niej kurację z ciszy. Teraz rozumiała ich dziwne zachowanie tego ranka. Oni już oplakiwali stratę kontaktu ze swoją jedyną córką.

- Wciąż czekamy na jedną osobę- zaśpiewała administratorka- Ciekawe kto to jest?

Uwagę Luce znów przykuło pudełko z niebezpiecznymi przedmiotami, które wypełniło się kontrabandą jakiej Luce nie rozpoznawała. Poczula jak ciemnowłosy chłopak gapi się na nią swoimi zielonymi oczami. Podniosła wzrok i zauważyła, że wszyscy się na nią gapią. Jej ruch. Zamknęła oczy i powoli rozluźniła palce, pozwalając by telefon wyslizgnął się z jej uścisku i wylądował na szczycie stosu. To był dźwięk samotności. Todd i „kobieta robot” Gabbe, skierowali się do drzwi bez choćby zerknięcia w kierunku Luce, za to trzeci chłopiec zwrócił się do administratorki:

- Mogę ją oprowadzić- powiedział i skinął na Luce.

- To nie twoje zadanie.- Administratorka odpowiedziała automatycznie, tak jakby spodziewała się tej rozmowy.- Jesteś znowu nowym uczniem, co oznacza też, że obowiązują cię ograniczenia nowych uczniów. Wróciłeś do punktu wyjścia. Wiem że ci się to nie podoba, ale zastanów się dwa razy zanim złamiesz warunki.

Chłopiec stał nieruchomo, bez wyrazu, kiedy administratorka pociągnęła Luce-która zeszytniała na słowo „warunki”- w kierunku żółtawego holu.

- Ruszać się- powiedziała administratorka, widząc, że nic się nie dzieje.- Do sypialni.- wskazała na zachodnie okno przez które widać było odległy betonowy budynek. Luce zobaczyła Gabbe i Todda szurających powoli nogami w tym kierunku, tak jak trzeciego chłopca idącego powoli, tak jakby pójście za nimi było ostatnią sprawą na jego liście rzeczy do zrobienia.

Akademik był przerażający i kwadratowy z solidnymi szarymi ścianami i podwójnymi, grubymi drzwiami, które sprawiały wrażenie, jakby nie było możliwości życia za nimi. Wielka kamienna płyta była umieszczona w średnim z zeschniętych trawników, na co Luce przypomniała sobie, że na stronie internetowej na płycie było wyryte AKADEMIK PAULINE. Wyglądało to gorzej niż w mglisty,

słoneczny poranek na tej czarnobiałej fotografii.

Nawet z tej odległości Luce mogła dostrzec czarny grzyb pokrywający front akademika. Wszystkie okna były przysłonięte przez rząd grubych stalowych krat. Luce przymrużyła oczy. Czy to drut kolczasty pokrywa ogrodzenie budynku?

Administratorka spojrzała w dół do kartoteki Luce.- Pokój sześćdziesiąty trzeci. Wrzuć swoją torbę razem z całą resztą na razie do mojego biura. Możesz się rozpakować popołudniu.

Luce przyciągnęła swojego czerwonego Multona w kierunku trzech innych niewyróżniających się czarnych kufrów. Potem sięgnęła refleksyjnie po swój telefon, do którego zazwyczaj wprowadzała rzeczy, o których musiała pamiętać. Ale kiedy sięgnęła ręką do pustej kieszeni, westchnęła i zapomniała numer swojego pokoju.

Wciąż nie rozumiała dlaczego po prostu nie mogła zostać ze swoimi rodzicami. Ich dom w

Thunderbolt był położony zaledwie półgodziny od Sword & Cross. To byłoby takie piękne wracać do domu w Savannah, gdzie, jak zawsze powtarzała jej mama, nawet wiatr wiał leniwie. Łagodny klimat Georgii, powolność tego miejsca odpowiadała Luce bardziej, niż Nowa Anglia kiedykolwiek mogłaby.

Ale w Sword & Cross nigdy nie będzie się czuła jak w Savannah. To tak jakby sąd upoważnił ją do zamieszkania tylko w tym bezbarwnym, martwym miejscu. Kiedyś podsłuchiwała przypadkiem rozmowę telefoniczną swojego ojca z dyrektorem szkoły. Ojciec kiwając głową w swój profesorski sposób mówił: - Tak, tak, może to będzie dla niej najlepsze kiedy będzie obserwowana cały czas. Nie, nie, nie chcielibyśmy ingerować w wasz system.- Najwyraźniej tata nie widział innego sposobu by obserwować swoją córkę. To miejsce wyglądało jak super strzeżone więzienie.

- A co do tych, jak to powiedziałaś.... Czerwonych?- Luce zapytała administratorkę, gotowa uwolnić się z tej wycieczki.

- Czerwoni- powiedziała administratorka wskazując na zwisające z sufitu małe urządzenia przewodowe: obiektywy z migającym czerwonym światłem. Luce wcześniej ich nie widziała, ale kiedy administratorka wskazała na nie, zdała sobie sprawę, że one są wszędzie.

- Kamery?

- Zgadza się.- administratorka powiedziała głosem ciekącym łaskawością- Mamy je tu oczywiście w celu przypomnienia, że cały czas i wszędzie- widzimy was. Więc się nie krzyw - bo to oznacza że możesz sobie pomóc.

Za każdym razem ktoś zwracał się do Luce jakby całkiem była chora psychicznie i była już bliska uwierzyć, że jest to prawda.

Całe lato prześladowały ją wspomnienia, w snach i w tych rzadkich momentach kiedy rodzice zostawiali ją samą. Coś się stało w tej chatce i wszyscy (

wliczając w to Luce) umierali z niewiedzy co to było. Policja, sędzia, pracownik socjalny, wszyscy próbowali dociec u niej prawdy, ale ona nie miała tak samo pojęcia o tym wszystkim jak oni. Ona i Trevor wyglupiali się przez cały wieczór, goniąc się wzajemnie wokół domków nad jeziorem z dala od reszty imprezowiczów. Starła się wytłumaczyć, że to była jedna z najlepszych nocy w jej życiu, zanim nie okazała się najgorszą.

Spędziła mnóstwo czasu na odtwarzaniu tej nocy w swojej głowie, słyszała śmiech Trevora, czuła jego dłonie wokół swojej talii i starała się zaakceptować przecucie, że tak naprawdę, była niewinna.

Tylko że teraz, kiedy każda zasada i regulamin Sword & Cross zdawały się działać przeciwko prawom człowieka, sugerowano jej, że tak naprawdę to jest niebezpieczna i kontrolowanie jej jest niezbędne.

Luce poczuła mocny uścisk dłoni na swoim ramieniu.

- Słuchaj - powiedziała administratorka- Jeśli ci to poprawi humor, to powiem ci ,że jesteś daleka od najgorszej sytuacji tutaj.

To był pierwszy ludzki odruch jaki administratorka dziś wykonała względem Luce, a ona uwierzyła że tamta naprawdę zamierzała sprawić, że Luce poczuła się lepiej. Ale wysłano ją tutaj ponieważ była podejrzana o morderstwo chłopaka, za którym kiedyś szalała....a właściwie nadal szaleje.

- Daleko od najgorszej sytuacji tutaj?- Luce zaczęła się zastanawiać czym dokładnie oni się zajmują w Sword & Cross.

- W porządku, wycieczka skończona- powiedziała administratorka- Jesteś u siebie. Tu masz mapę jakbyś potrzebowała znaleźć coś jeszcze- i podała Luce fotokopię mapy, a następnie spojrzała na zegarek - Masz godzinę zanim zaczną się twoje pierwsze zajęcia. I pamiętaj- dodała wskazując ostatni raz na kamery-Czerwoni cię obserwują.

Zanim Luce zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, koścista, ciemnowłosa dziewczyna zjawiła się przed nią, grożąc swoimi długimi palcami przed jej twarzą.

- Łuuuuuuuu- drwiła głosem jakim opowiada się przerażające historie o duchach, tańcząc w kółko wokół Luce.

- Czerwoni cię obserwuuuuuują.

-Wyjdź stąd Arriane zanim każę ci zrobić lobotomię- powiedziała administratorka, było jednak jasne z jej pierwszego, krótkiego ale prawdziwego uśmiechu, że była bardzo przywiązana do tej zwariowanej dziewczyny. Było też oczywiście jasne, że Arriane nie odwzajemnia tego zainteresowania. Pokazała na migi na administratorkę, patrząc na Luce i odważnie udała, że jest obrażona.—I właśnie dlatego- powiedziała administratorka, notując coś w swojej książce-masz za zadanie oprowadzenia Małej Miss Słoneczka dzisiaj.

Wskazała na Luce, która jakkolwiek nie wyglądała słonecznie w swoich

czarnych dżinsach, czarnych butach i czarnej bluzce. Zgodnie z fragmentem „Zasad Ubioru” na stronie internetowej „Sword & Cross” wprowadził śmieszny przepis, zgodnie z którym tak długo jak uczeń postępuje prawidłowo, ma wolny wybór względem stroju, z czego powinien być zadowolony, z dwoma tylko małymi warunkami: ubiór musi być skromny i mieć kolor czarny. Ot taka sobie wolność.

Za duży golf, którego założenie wymusiła na niej dziś mama, nie dodawał jej krągłości, a i nie miała swojej najlepszej cechy: jej grube, czarne włosy, które niegdyś zwisały jej do pasa, były prawie całkiem zakryte.

W chatce przypaliła sobie skórę głowy i jej linia włosów była niejednolita, dlatego też po powrocie z długiej, cichej drogi z Dover, mama włożyła ją do wanny, przyniosła elektryczną maszynkę taty i nic nie mówiąc ogoliła jej głowę. W ciągu lata jej włosy urosły tylko trochę, ale teraz można jej było pozazdrościć fal unoszących się w nietypowy skręt tuż poniżej uszu.

Arriane oceniała ją, stukając się jednym palcem po swoich bladych ustach.- Wspaniale- powiedziała robiąc krok do przodu i owinęła swoje ramiona wokół ramion Luce. - Tak sobie pomyślałam, że chętnie skorzystałabym z nowego niewolnika.

Drzwi do holu uchyliły się i wszedł wysoki, zielonooki chłopiec. Potrząsnął głową i powiedział do Luce:- W tym miejscu nie obawiamy się rewizji. Więc jeśli spakowałaś jeszcze jakieś zagrożenia- uniósł brew i wrzucił garść czegoś nie do poznania do pudełka- możesz oszczędzić sobie kłopotu.

Stojąca za Luce Arriane zaśmiała się pod nosem. Głowa chłopca podskoczyła gwałtownie i kiedy zauważył Arriane, otworzył usta a potem je zamknął jakby nie był pewien jak powinien postąpić.

-Arriane- powiedział równo.

-Cam- odwzajemniła.

- Znasz go- wyszeptała Luce, zastanawiając się czy w tej reformowanej szkole są tego samego rodzaju kliki jak w prywatnej szkole w Dover.

- Nie przypominaj mi- powiedziała Arriane, wyciągając Luce przez drzwi na ten szary, bagnisty poranek.

Z tyłu głównego budynku szerzył się wyszczerbiony chodnik okalający zaniedbany teren. Trawa była zarośnięta, co wyglądało jakby plac do nikogo nie należał, ale wyblakłe tablice wyników oraz mały stos drewnianych trybun twierdził inaczej.

Poza terenem wspólnym, położone były cztery budynki o surowym wyglądzie: w betonowym budynku po lewej stronie znajdowały się sypialnie, po prawej stronie stał wielki, stary i brzydki kościół. Były jeszcze dwa ekspansywne budynki, w których- jak Luce sobie wyobrażała- znajdowały się sale lekcyjne. I to było wszystko. Jej cały świat został zredukowany do tego żalospnego widoku przed jej oczami. Ariane natychmiast zboczyła ze ścieżki i poprowadziła Luce na boisko,

sadzając ją na szczycie jednej z podmokłych drewnianych trybun. Odpowiednie organizacje w Dover okrzyknęły Ivy League (stowarzyszenie 8 elitarnych uniwersytetów amerykańskich) bez mózgowymi mięśniakami. Ale tutaj to puste boisko, z tymi zardzewiałymi, wygiętymi bramkami opowiadało całkiem inną historię. Jedną z tych, którą Luce nie tak łatwo się będzie dowiedzieć. Trzy sępy przeleciały im ponad głowami a ponury wiatr smagał obnażone konary dębów. Luce zadrżała i włożyła brodę pod swój golf.

- Wiiiiiiiiięc- ciągnęła Arriane- Poznałaś już Randiego.

- Myślałam, że miał na imię Cam.

- Nie mówimy o nim –Arriane powiedziała szybko Miałam na myśli TO tam- wskazała ruchem głowy w kierunku biura, gdzie siedziała administratorka przed telewizorem.- Jak sądzisz- to facet czy laska? -Hmm, laska?- powiedziała Luce niepewnie—Czy to jakiś test?

Arriane pękała ze śmiechu.—Jeden z wielu. A ty go zdałaś. Bynajmniej tak myślę. Co do większości płci z wydziałów trwa ogólnoszkolna debata. Przywykniesz do tego.

Luce myślała, że Arriane sobie żartuje— jest super, w każdym bądź razie.

Była to wielka odmiana w stosunku do Dover. W jej starej szkole chłopcy-przyszli senatorowie-nosili zielone krawaty ,praktycznie sączyła się z nich dystyngowana cisza, a pieniądze stawiali ponad wszystko. Zazwyczaj też dzieciaki z Dover rzucały w stronę Luce spojrzenie typu „nie rozmarz odciskami swoich palców białych ścian”.

Próbowała sobie wyobrazić tam Arriane, leżącą na trybunach, robiącą głośne prostackie żarty swoim ostrym głosem. Luce próbowała też wyobrazić sobie, co Callie pomyślałaby sobie o Arriane. Na pewno nie byłoby nikogo takiego jak ona w Dover.

-Okay, olej to- poleciała Arriane. Klapnęła na górnej trybunie i skinęła na Lucy aby ta dołączyła do niej, a potem powiedziała:- Coś ty narozrabiała, że się tu dostałaś?

Ton głosu Arriane był co prawda żartobliwy ale Luce nagle musiała usiąść. Śmieszne było to, że Luce w połowie oczekiwała tego, że w jej pierwszy dzień w szkole, przeszłość i tak się wkradnie i pozbawi cienkiej elewacji jej spokój. Oczywiście ludzie będą chcieli znać prawdę.

Poczuła jak krew huczy jej pod skroniami. Zdarzało się tak zawsze wtedy, kiedy próbowała sobie przypomnieć- naprawdę wrócić pamięcią- do tamtej nocy. Nigdy nie przestała czuć się winna z powodu tego, co stało się z Trevorem, ale teraz usilnie próbowała nie znajdować się między cieniami, które były jedyną rzeczą jaką potrafiła sobie przypomnieć z tego wypadku. Te ciemności, były jedynymi rzeczami o których nigdy nikomu nie mówi.

Chciałaby wymazać to- że zaczęła mówić Trevorowi o dziwacznej obecności

czegoś, co czuła tamtej nocy, o wyginających się kształtach, zwisających nad ich głowami, grożących zakłóceniem ich cudownej nocy. Oczywiście wtedy było już za późno. Trevor odszedł, jego ciało spłonęło zmieniając się nie do poznania, a Luce była....czy była winna?

Nikt nie wie o mrocznych kształtach jakie czasem widzi w ciemnościach. Zawsze do niej przychodzą.

Przychodzą i odchodzą już od tak dawna, że Luce nawet nie pamięta kiedy widziała je po raz pierwszy. Ale pamięta pierwszy raz kiedy zdała sobie sprawę z tego, że nie do wszystkich one przychodzą, a właściwie- że przychodzą tylko do niej. Kiedy miała siedem lat, jej rodzina wybrała się na wakacje do Hilton Head, a rodzice zabrali ją na wycieczkę łodzią. To właśnie o zachodzie słońca cienie zaczęły kłębić się nad wodą. Odwróciła się do taty i powiedziała:- Co zrobisz tatusiu kiedy one przyjdą? Nie boisz się tych potworów?

Rodzice zapewniali ją, że nie ma żadnych potworów, ale Luce upierała się przy obecności czegoś drżącego i mrocznego, co przysporzyło jej kilka wizyt u rodzinnego okulisty, a potem okularów, następnie wizyt u laryngologa, który stwierdził świszczenie nosowe-jakie cienie czasem wydawały-a potem terapii, potem więcej terapii, aż w końcu recepty na leki przeciwpsychotyczne.

Ale nigdy nic nie sprawiło że one zniknęły.

Kiedy miała czternaście lat odmówiła brania leków. To było dokładnie wtedy, kiedy znaleźli gabinet Dr. Stanford w pobliżu jej szkoły w Dover. Polecieli całą rodziną do New Hampshire, a potem razem z ojcem musiały jechać wynajętym samochodem długą, krętą drogą na szczyt wzgórza, do rezydencji o nazwie Shady Hollows (Cieniste Wgłębienia). Posadzono Luce naprzeciwko mężczyzny w lekarskim fartuchu, który pytał ją czy nadal ma swoje „wizje”. Dłonie jej rodziców były spocone gdy trzymali ją za ręce a czoła zmarszczone przez strach, jakby z ich córką działo się coś strasznie niedobrego.

Nikt nie przyszedł i nie ostrzegł jej, że gdyby nie powiedziała Dr. Stanford tego, co wszyscy inni chcieli od niej usłyszeć, widywałyby Shady Hollows znacznie częściej. Dlatego skłamała i zachowywała się normalnie, mogła też zapisać się do szkoły w Dover i odwiedzać Dr. Stanford tylko dwa razy w miesiącu.

Luce mogła przestać brać te okropne tabletki, od momentu kiedy zaczęła udawać, że nie widzi już cieni. Ale wciąż nie miała kontroli nad tym, kiedy się one pojawiały. Miała tylko spis miejsc, w których przychodziły do niej w przeszłości-gęste lasy, mętne wody- to miejsca, których starała się unikać za wszelką cenę. Wiedziała też, że kiedy przychodziły do niej cienie, to zazwyczaj towarzyszył im zimny ostry dreszcz pod skórą i uczucie mdłości nie podobne do niczego innego.

Luce siedziała okrakiem na trybunie i chwyciła się za skronie kciukiem

i środkowym palcem. Jeśli miała zamiar zrobić coś jeszcze dzisiaj, najpierw musi wepchnąć swoją przeszłość w głąb swojego umysłu. Nie mogła znieść dociekliwości swoich wspomnień, nie było sposobu by mogła odetchnąć od tych wszystkich makabrycznych szczegółów jak jakiś dziwny, maniakałny obcy.

Zamiast odpowiedzieć, obserwowała Arriane, leżącą plecami na trybunie, zakładającą olbrzymie czarne, okulary słoneczne, które przysłaniały najlepszą część jej twarzy. Ciężko było powiedzieć, ale musiała chyba patrzeć na Luce, bo po sekundzie wystrzeliła z ławeczki i uśmiechnęła się szeroko.

- Obetnij mi włosy, żeby były takie jak twoje- powiedziała.

- Że co?- Luce zapało dech w piersiach. – Przecież twoje włosy są piękne.

I to była prawda. Arriane miała długie, grube kosmyki, których Luce tak rozpaczliwie brakowało. Jej rozpuszczone, czarne loki lśniły w słońcu, przybierając odcień czerwieni. Luce założyła swoje włosy za uszy, chociaż sądziła, że wciąż nie są na tyle długie by mogły swobodnie opadać jej z przodu.

- Piękne- srękne - powiedziała Arriane.- Twoje są irytująco seksowne. Też chcę mieć takie.

- Och, hm, dobrze- powiedziała Luce. Czy to był komplement? Nie wiedziała czy powinno jej to schlebiać czy denerwować, w końcu Arriane mogłaby mieć wszystko czego pragnęła nawet, gdy to czego chciała należało do kogoś innego. – Jak my się dostaniemy do....

- Ta-da- Arriane sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej różowy scyzoryk Swiss Army, który Gabbe wrzuciła do pudełka z niebezpiecznymi przedmiotami. – No co?- zapytała, widząc reakcję Luce. – Zawsze trzymam swoje lepkie palce na tym co oddają nowi uczniowie. Wpadłam na ten pomysł podczas tych psich dni internowania w Sword & Cross.... znaczy....na obozie letnim.

- Spędziłaś całe lato....tutaj?- Luce drgnęła.

- Ha! Mówisz jak prawdziwy nowicjusz. Prawdopodobnie spodziewałaś się przerwy wiosennej.- Rzuciła Luce scyzoryk. – Nie opuszczamy tej nory. Nigdy. A teraz tnij.

- A co z kamerami?- zapytała Luce, rozglądając się wokół z nożem w ręce. Gdzieś tutaj musiały być kamery.

Arriane potrząsnęła głową. – Odmawiam przebywania w towarzystwie mięczaka. Zajmiesz się tym czy nie?

Luce skinęła głową.

- Tylko nie mów mi, że nie obcinałaś wcześniej nikomu włosów.- Arriane wzięła od Luce scyzoryk, rozłożyła go i oddała jej go z powrotem. – I ani słowa o tym jak to fantastycznie wyglądam.

W „salonie”, w łazience rodziców Luce, mama szarpała jej długie rozczochrane włosy by ułożyć je w kucyk. Luce była pewna że istniały bardziej strategiczne metody skracania włosów, ale przez całe życie unikania fryzjera,

obcięty kucyk- był jedyną jaką znała. Zebrała włosy Arriane w swoje dłonie, owinęła je gumką, którą ściągnęła ze swojego nadgarstka i zaczęła ciąć. Kucyk opadł na jej stopy a Arriane westchnęła. Luce podniosła go i trzymała w słońcu. Ten widok ścisnął ją za serce. Wciąż ubolewała nad stratą swoich własnych włosów, które symbolizowały wszystkie inne straty. Na ustach Arriane rozciągnął się tylko słaby uśmiech. Przesunęła tylko raz palcami po kucyku i wrzuciła go do torebki.

- Odłotowo- powiedziała. – Tnij dalej.

Arriane- wyszeptała Luce zanim zdołała się powstrzymać - Twój kark. Jest cały.....

- Pokryty bliznami.- dokończyła Ariane - Możesz to powiedzieć.

Skóra na karku Arriane, od jej lewego ucha aż po obojczyk była wyszczerbiona, marmurowa i lśniąca. Luce wróciła myślami do Trevora- i do tych okropnych wspomnień. Nawet jej rodzice nie chcieli na nią patrzeć po tym co zobaczyli. Przeżywała swoje własne problemy patrząc teraz na Arriane.

Arriane chwyciła rękę Luce i przycisnęła ją do swojej skóry. Jej skóra była ciepła równie jak zimna, szorstka i gładka.

- Nie boję się tego- powiedziała Arriane – a ty?

- Nie- odpowiedziała Luce, marząc by Arriane zabrała swoją rękę , tak by Luce także mogła wycofać swoją. Żołądek podszedł jej do gardła kiedy zastanawiała się czy tak samo wyglądała skóra Trevora. - Boisz się tego, kim naprawdę jesteś Luce?

- Nie.- Luce odpowiedziała szybko, ale musiało być oczywiste, że kłamała. Zamknęła oczy. Wszystko czego oczekiwała po Sword & Cross to nowy początek, w miejscu gdzie ludzie nie będą patrzyli na nią tak jak patrzy na nią Arriane w tej chwili. Tego ranka, w bramie szkoły, kiedy ojciec szeptał jej do ucha motto rodziny: „ Cena nigdy nie spada” , wierzyła że to możliwe, ale teraz czuła się wyczerpana i obnażona. Zabrała swoją dłoń spod ręki Arriane. – Więc, co ci się stało?- zapytała, spuszczać wzrok.

- Pamiętasz jak nie naciskałam, kiedy ty nie chciałaś mówić o tym, czemu się tu znalazłaś?- zapytała Arriane podnosząc brwi.

Luce skinęła głową.

Arriane wskazała na nóż. – Weź go z powrotem dobrze? Spraw bym wyglądała naprawdę pięknie. Spraw bym wyglądał jak ty.

Nawet po tym samym, precyzyjnym obcięciu, Arriane wciąż wyglądała tylko jak niedożywiona wersja Luce. Podczas gdy Luce usiłowała po raz pierwszy w życiu obciąć komuś włosy, Arriane zagłębiała się w złożoność życia w Sword & Cross.

- Ten budynek tam, to Augustine. Tam odbywają się tzw. ”imprezy” w

środowe wieczory i wszystkie nasze zajęcia.- powiedziała wskazując na budynek w kolorze pożółkłych zębów, dwa budynki na prawo od akademika. Wyglądał jakby był projektowany przez tego samego sadybę, który zaprojektował Pauline. Był beznadziejnie staroświecki, niczym forteca, wzmocniony tak samo drutem kolczastym i miał okratowane okna. Nienaturalny wygląd budynku- szara mgła spowijała ściany budynku jak mech –sprawiał wrażenie, jakby niemożliwym było zobaczenie czy ktoś znajduje się w środku.

- Uczciwie ostrzegam- kontynuowała Arriane. – Znienawidzisz te zajęcia tutaj. Nie byłabyś człowiekiem, gdyby tak się nie stało.

- Czemu? Co takiego w nich jest złe?- zapytała Luce. Może Arriane po prostu w ogóle nie lubiła szkoły. Ze swoimi pomalowanymi na czarno paznokciami, czarnym eyelinerem i czarną torebką, wystarczająco dużą by móc schować do niej nóż Swiss Army, nie wyglądała książkowo.

Tutejsze zajęcia są bezduszne.- powiedziała Arriane. – Gorzej, pozbawią cię twojej duszy. Osiemdziesięciu uczniów w tej szkole ,a pozostały nam już tylko trzy dusze.- zerknęła w górę – Niedomówienie jakiegoś, w każdym razie.....

Nie brzmiało to obiecująco, ale Luce zawiesiła się na drugiej części zdania Arriane.

- Czekaj, tu jest tylko osiemdziesięciu uczniów, w całej szkole? – Latem, zanim Luce poszła do szkoły w Dover, studiowała uważnie gruby podręcznik Przyszłego Studenta i zapamiętywała wszystkie statystyki. Ale wszystko czego się dowiedziała o Sword & Cross, zaskoczyło ją i zdała sobie sprawę że przyszła tu kompletnie nie przygotowana.

Arriane skinęła głową, sprawiając, że Luce przypadkiem odcięła kawałek włosów, który zamierzała zostawić. Ups. Miejmy nadzieję, że Arriane tego nie zauważy- albo może chociaż pomyśli że to ze zdenerwowania.

- Osiem lekcji, dziesięcioro dzieciaków na każdej. Zdasz szybko poznać wszystkie główniane piękności.- powiedziała Arriane – tak jak i one ciebie.

- Tak też przypuszczam- zgodziła się Luce, przygryzając wargę, Oczywiście Arriane żartowała, ale Luce zastanawiała się czy będzie z nią siedzieć ta chłodno uśmiechającą się dziewczyną z pastelowo niebieskimi oczami gdy się dowie całej historii o przeszłości Luce. Im dłużej uda się Luce utrzymać jej przeszłość w sekrecie, tym lepiej dla niej.

- I będziesz trzymała się z dala od „trudnych przypadków”.

- Trudnych przypadków?

- Dzieciaków w opaskach z urządzeniami namierzającymi.- powiedziała Arriane - Są na ciałach jednej trzeciej uczniów.

- A są to ci, którzy.....

- Nie chcesz się z nimi zadawać. Wierz mi.

- Z co takiego robią?- zapytała Luce.

Luce tak bardzo próbowała utrzymać swoją własną historię w sekrecie, że nie podobał jej się sposób, w jaki Arriane ją traktowała- jak jakiegoś naiwnego typa. Cokolwiek nie zrobiłyby te dzieciaki, nie mogło być gorsze od tego –co jak wszyscy uznali- ona zrobiła. A może było gorsze?

Przecież ona nie wiedziała nic o tych ludziach i tym miejscu. A to wywoływało w dole jej żołądka uczucie strachu.

Och, no wiesz, - przeciągała Arriane – Pomagali i współpracowali z terrorystami. Porabali swoich rodziców i spalili ich ciała w rożnie. – Odwróciła się i przymrużyła oczy patrząc na Luce.

- Zamknij się- powiedziała Luce.

- Poważnie. Te psychole mają ściślejszy nadzór niż pozostali popaprańcy tutaj. Nazywamy ich „Zakuci”

Luce roześmiała się z dramatycznego tonu głosu Arriane.

Strzyżenie skończone- powiedziała, przesuwając swoje dłonie pod włosami Arriane aby je trochę unieść. Teraz wyglądały naprawdę odjazdowo.

- Uroczo- powiedziała Arriane. Kiedy podniosła ręce by dotknąć swoich włosów, rękaw jej czarnego swetra zsunął się na przedramię i Luce dostrzegła czarną opaskę, wykropkowaną, z rzędem srebrnych ćwieków i, na drugim nadgarstku kolejną opaskę, która wyglądała bardziej ...mechanicznie. Arriane przechwyciła jej spojrzenie, które wywołało u niej potworne zdziwienie. – Mówiłam ci- powiedziała – cholerni psychole. Uśmiechnęła się. – Chodź, zrobisz sobie odpoczynek od tej wycieczki.

Luce nie miała zbyt dużego wyboru. Poszła w dół trybun za Arriane, uchylając się kiedy sępy niebezpiecznie zmieniały swój lot. Arriane zdawała się tego nie zauważać, wskazując na spowity porostem kościół na prawo od terenu wspólnego.

- Tutaj znajduje się nasza najnowocześniejsza siłownia. –powiedziała, przybierając nosowy głos przewodnika. – Tak, tak, dla niewprawnego oka wygląda to jak kościół. Kiedyś nim był. Jesteśmy tu w Sword & Cross czymś w rodzaju architektonicznego przekazu z piekła. Kilka lat temu niektórzy pokurczeni, szaleni trenerzy narzekali na przeleczonych nastolatków, którzy rujną społeczeństwo. Wpłacili cholernie dużą dotację, więc szkoła przekształciła kościół w siłownię. To dają im siłę by myśleć, że możemy rozładować swoje frustracje w bardziej naturalny i produktywny sposób.

Luce jęknęła. Nigdy nie lubiła zajęć na siłowni.

- Dziewczyna bliska memu sercu- Arriane wyraziła swoje współczucie – Trener Diante jest zzzła.

Luce próbowała nadążyć, brodząc przez resztę terenu. W Dover wewnętrzny dziedziniec był bardzo zadbane, wypielęgnowany z równomiernie rozmieszczonymi, starannie przystrzyżonymi drzewkami. Sword & Cross

wyglądało jak opuszczone i porzucone pośrodku bagna. Wierzby płaczące zwisały nad ziemią, kudzu rosły wzdłuż ścian niczym płachta a co trzeci krok grzęzło się w błocie. I nie było to miejsce takim, jakim było, tylko za sprawą wyglądu. Każdy wilgotny oddech Luce jakby ugrzązał w jej płucach. Samo oddychanie w Sword & Cross sprawiało, że czuła się jakby tonęła w ruchomych piaskach.

- Najwyraźniej architekci byli w wielkim impasie, kiedy modernizowali budynki w stylu starych szkół wojskowych. Rezultatem jest pół penitencjarna, pół średniowieczna strefa tortur. I nie ma tu ogrodnika.- powiedziała Arriane, strzepując jakiś muł ze swoich bojowych butów. – Ohyda. Och, a tam jest cmentarz.

Luce podążyła za Arriane, która pokazywała palcem na dziedziniec ,położony daleko na lewo od akademika. Gruby płaszcz mgły wisiał nad odizolowaną częścią gruntu. Okalał go z trzech stron dębowy las. Nie mogła zobaczyć cmentarza, który zdawał się tonąć pod powierzchnią ziemi, ale mogła poczuć zapach zgnilizny i usłyszeć chór cykad bzykających nad drzewami. Przez chwilę zdawało jej, że słyszała mroczne świsty cieni- ale kiedy zamrugła oczami, one zniknęły.

- To jest cmentarz?

- Tak. Kiedyś była tu akademka wojskowa dla powracających z wojny do cywila. I to tu pochowali swoich zmarłych. Przyprawia mnie to o gęsią skórę.- powiedziała Arriane, przybierając fałszywy, południowy akcent – Ten smród unosi się aż do nieba- potem mrugnęła do Luce – Spędzimy tu wiele czasu.

Luce spojrzała na Arriane żeby się przekonać czy ta żartuje, ale Arriane tylko wzruszyła ramionami.

- No dobra, byłam tam tylko raz i to po naprawdę dużej dawce prochów.

W końcu pojawiło się słowo, które Luce rozpoznawała.

- Acha- Arriane zaśmiała się – Widzę, że zapaliło się światło na górze. A więc ktoś jest w akademiku. Cóż Luce, moja droga, możesz udać się na nudną szkolną imprezę, bo zapewne nie widziałas jak urządzają ją dzieciaki z reformowanej szkoły.

- A co za różnica? – zapytała Luce, próbując pominąć fakt, że nigdy dotąd nie była na żadnej wielkiej imprezie.

- Zobaczysz- Arriane zatrzymała się i odwróciła do Luce – Przyjdiesz tu dziś i spędzisz ze mną czas, dobrze? Zaskoczyła Luce, biorąc ją za rękę. – Obiecujesz?

- Ale myślałam, że mam się trzymać z daleka od „trudnych przypadków”- zażartowała Luce.

- Zasada numer dwa – nie słuchaj mnie! – Arriane śmiała się, potrząsając głową – Jestem obłąkanie szalona. Zaczęła powoli iść a Luce podążyła za nią.

- Zaczekaj, a jaka jest zasada numer jeden?

- Dotrzymuj mi kroku!

Kiedy dotarły do rogu budynku, gdzie odbywają się zajęcia, Arriane dała znak do zatrzymania się.

- Wydaje się być odlotowo.- powiedziała.

- Odlotowo. –powtórzyła Luce.

Wszyscy uczniowie skupili się wokół kudzu –stłumionych drzew po zewnętrznej stronie Augustine. Nikt nie wyglądał na zadowolonego ze spędzenia czasu tutaj, ale też nikt nie był jeszcze gotowy by wejść do środka. Nikt nie odstawał od „Zasad Ubioru” więc Luce nie dała ciała przychodząc w swoim stroju. Ale chociaż każdy dzieciak miał na sobie te same czarne džinsy , czarny golf, albo czarna bluzkę czy sweter owinięty wokół ramion, to w pewien sposób się od siebie różnili.

Grupa wytatuowanych dziewczyn stojących ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma w półkolu, nosiła bransolety aż po łokcie. Przypominały Luce dziewczyny z filmu o gangu motocyklowym z tymi czarnymi bandankami na włosach. Wypożyczyła go, bo myślała że nic nie może być bardziej odlotowe od dziewczyn z motocyklowego gangu. Teraz oczy Luce zatrzymały się na jednej z dziewczyn po drugiej stronie trawnika. Dziewczyna spojrzała na nią spod przymrużonych oczu, swoim ciemnym kocim wzrokiem, przez co Luce szybko spojrzała gdzie indziej. Dziewczyna i chłopak, którzy trzymali się za ręce, mieli przyszyte cekiny w kształcie czaszki i skrzyżowane kości na ich czarnych swetrach. Co kilka sekund jedno z nich całowało drugie w skroń, w ucho lub oko. Kiedy się obejmowali, Luce mogła dostrzec, że nosili opaski z urządzeniami naprowadzającymi. Wyglądali trochę prostacko, ale oczywiście było to jak bardzo się kochali. Za każdym razem kiedy widziała pojawiające się pierścienie w ich językach, czuła szczyptę samotności w swojej piersi.

Za zakochanymi, stała grupa blond chłopców opartych o ściany. Każdy z nich miał na sobie sweter, mimo upału. Wszyscy mieli pod spodem białe, wykrochmalone bluzki. Ich czarne dopasowane spodnie, doskonale pasowały do wypolerowanych butów. Z wszystkich uczniów stojących na dziedzi, właśnie ci chłopcy wydali się Luce najbliżsi Doverczykom. Ale kiedy przyjrzała się bliżej już wiedziała czemu wydają się jej tak znajomi. Wyglądali jak Trevor.

Po prostu stali w grupie, ale promieniował od nich szczególny rodzaj twardości. To było widać po ich spojrzeniach. Ciężko to wytłumaczyć, ale nagle uderzyło Luce to, że tak jak ona, każdy ma tu swoją przeszłość. Każde z nich miało swoje tajemnice, którymi nie chciało się dzielić. Nie wiedziała tylko czy ta sytuacja sprawi, że poczuje się bardziej czy mniej odizolowana.

Arriane zauważyła, że Luce obserwuje pozostałe dzieciaki.

- Wszyscy robimy co możemy by przetrwać kolejny dzień- powiedziała, wzruszając ramionami. – Ale w przypadku, kiedy nie jesteśmy obserwowani przez

te nisko wiszące sępy, to miejsce wprost śmierdzi śmiercią.- Arriane usiadła na ławeczce pod wierzbą płaczącą i poklepała miejsce obok siebie. Luce potrąciła stos mokrych, rozkładających się liści i już miała usiąść kiedy spostrzegła naruszenie „Zasad Ubioru”.

Bardzo atrakcyjne naruszenie zasad.

Miał jasno czerwony szalik wokół szyi. Było oczywiste, że nie jest jeszcze tak zimno na zewnątrz, ale miał ubraną czarną, skórzaną, motocyklową kurtkę na swój sweter. Może to przez to, że był jedyną odrobiną koloru na całym dziedzi, ale Luce nie mogła oderwać od niego oczu. Faktem było to, że przez tą jedną długą chwilę, Luce zapomniała gdzie była.

Spojrzała na jego włosy w kolorze złota i pasującą do całości opaleniznę. Na jego wystające kości policzkowe, ciemne okulary, które zasłaniały oczy, miękki kształt ust. We wszystkich filmach, które Luce widziała i we wszystkich książkach, które przeczytała, silny wpływ na umysł zakochanego miał piękny wygląd- z jakimś jednym małym wyjątkiem. Wyszczerbiony ząb, uroczy kosmyk, piękne znamię na lewym policzku. Wiedziała dlaczego tak było – gdyby bohater był zbyt nieskazitelny, to by oznaczało ryzyko, że jest niedostępny. Ale, przystępny czy nie, Luce zawsze miała skłonności do osób wyjątkowych i wzniosłych. Takich jak ten chłopak. Oparł się o budynek z rękoma lekko założonymi na piersi. I przez ułamek sekundy, Luce zobaczyła siebie, zanurzoną w tych ramionach. Potrząsnęła głową, ale wizja pozostała tak jasna, że prawie wystartowała do niego. Nie. To by było szalone. Prawda? Nawet w szkole pełnej szaleńców, Luce zdawała sobie sprawę, że jej instynkt zwariował. Przecież nawet go nie zna. Rozmawiał z niskim chłopcem w dreadach i uśmiechał się szeroko. Oboje śmiali się ciężko i autentycznie- w sposób, o który Luce poczuła się dziwnie zazdrosna. Próbowwała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio się śmiała w taki sposób.

- To Daniel Grigori- powiedziała Arriane, jakby czytała jej w myślach. – Mogę powiedzieć, że ktoś przyciągnął jego uwagę.

- Ma się rozumieć- Luce przytaknęła, zawstydzona faktem, jak musi wyglądać w oczach Arriane.

- Taaa, oczywiście jeśli lubisz rzeczy tego typu.

- A kto ich nie lubi?- zapytała Luce, nie mogąc zatrzymać słów, które wpływały z jej ust.

- Jego przyjacielem jest Roland. –powiedziała Arriane, kiwając w kierunku chłopca z czarnych dreadach. – On jest super. Jest typem chłopaka, który trzyma rzeczy w swoich rękach, no wiesz? Nie bardzo- pomyślała Luce, zagryzając wargi.

- Jakie rzeczy?

Arriane wzruszyła ramionami, i używając swojego nielegalnego scyzoryka obcięła poszarpane nitki w swoich poprzecieranych, czarnych džinsach.

- Po prostu rzeczy. Proście a otrzymacie.

- A co z Danielem? Jaka jest jego historia?

- Och, ty nigdy nie rezygnujesz. –Arriane zaśmiała się. – Nikt tak naprawdę nie wie.- powiedziała. – Jest dość skrytym i tajemniczym człowiekiem. Dla ciebie, może być typowym reformowanym dupkiem.

- Nie chcę mieć żadnego dupka. - powiedziała Luce, chcąc by te słowa cofnęły się tak szybko jak się pojawiły. Po tym co stało się z Trevorem...cokolwiek się stało była ostatnią osobą , która mogłaby kogokolwiek osądzać. Co więcej, każda chwila, kiedy pojawiała się nawet najmniejsza wzmianka o tamtej nocy, przenosiła ją do tej kępy czarnych cieni, które do niej przychodzą, zupełnie jakby się przeniosła tam, nad jezioro.

Spojrzała na Daniela. Zdjął swoje okulary i zawiesił sobie na kurtce, po czym spojrzał na nią. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Luce obserwowała jak jego oczy się rozszerzają, a potem szybko je przymrużył jakby chciał ukryć zaskoczenie. Ale nie –to było coś więcej. Kiedy Daniel przechwycił jej spojrzenie, zaparło jej dech w piersiach. Skądś go znała. Ale nie zapomniaby przecież, gdyby spotkała kogoś takiego jak on. Nie zapomniaby uczucia, które tak nią wstrząsnęło. Kiedy zdała sobie sprawę z tego, że wciąż na siebie patrzy, Daniel uśmiechnął się do niej. Strumień ciepła uderzył w nią i musiała oprzeć się o ławeczkę żeby nie upaść. Poczowała jak jej usta rozszerzają się w uśmiechu, a on uniósł swoją rękę w powietrze. I coś ją trzepnęło.

Luce westchnęła i spuściła wzrok.

- Co? – zapytała Arriane, nieświadoma tego co właśnie przepadło. –Zresztą, nieważne- powiedziała. – Nie mamy czasu. Wyczuwam dzwonek.

Jakby na zawołanie, zadzwonił dzwonek i wszyscy uczniowie zaczęli podążać w stronę budynku. Arriane szarpnęła Luce za rękę i pociągnęła ją w kierunku miejsca gdzie mają się spotkać. Ale Luce wciąż była pod wrażeniem cudownego nieznanego. Po chwili jej majaczenie na punkcie Daniela zniknęło i jedyne czego teraz pragnęła, to dowiedzieć się : Co takiego było z nim nie tak?

Tuż przed tym jak wślizgnęła się do budynku, spojrzała za siebie. Twarz miał bez wyrazu, ale jednego była pewna, patrzył na nią kiedy wchodziła do środka.

ROZDZIAŁ 2



ŚLEPA FURIA

Luce miała przy sobie kartkę z harmonogramem zajęć, w połowie pustego notatnik, który zaczęła zapisywać jeszcze w Dover na zajęciach z Promowania Historii Europejskiej, dwa ołówki, jej ulubione gumki i nagłe przecucie, że Arriane może mieć rację co do zajęć w Sword & Cross. Nauczyciel jeszcze się nie pojawił, toteż ławki poustawiane były w chaotyczne rzędy a dostęp do szaf barykadowały sterty zakurzonych pudeł, które stały przed nimi.

Co gorsze, żaden dzieciak zdawał się nie zauważać tego bałaganu. A nawet, nie zauważali że znajdowali się w salach lekcyjnych. Wszyscy stali w skupiskach przy oknie, zaciągając się po raz ostatni papierosem. Na t-shirtach przyczepione mieli wielkie agrafki. Tylko Todd siedział w ławce, skrobiąc coś misternie na jej powierzchni swoim ołówkiem. Pozostali nowi uczniowie, znaleźli sobie miejsce pośród tłumu. Cam miał szpanerskie spojrzenie chłopca z Dover, kiedy spoglądał spośród skupiska wokół niego. Musiał mieć tu już przyjaciół w swój pierwszy dzień. Gabbe podawała sobie rękę z dziewczyną, która miała kolczyk w języku, taki sam jaki miał ten za kolczykowany chłopak z zewnątrz. Luce poczuła się głupio zazdrosna, że nie miała na tyle odwagi by sama coś zrobić ale usiadła blisko nieprzyjawnego Todda. Arriane przemknęła obok pozostałych, szepcząc Luce coś, czego nie mogła zrozumieć, jak jakaś gotycka księżniczka. Kiedy mijala Cam'a, on potargał jej nowo obciętą fryzurę.

- Niezła czupryna Arriane, - uśmiechnął się z wyższością, ciągnąc ją za pojedyncze pasemko na karku. – Moje uznanie dla twojego stylisty. Arriane lekko go odepchnęła.

- Łapy przy sobie Cam. Co oznacza, że możesz tak robić w swoich snach. Wskazała ruchem głowy na Luce. – A komplementy możesz kierować do mojej nowej ulubienicy, o tam.

Szmaragdowe oczy Cam'a zalśniły kiedy patrzył na Luce, a ona cała zeszywniała.

- Tak właśnie zrobię – powiedział i skierował się w jej kierunku. Uśmiechnął się do Luce, która siedziała ze skrzyżowanymi pod krzesłem kostkami i rękoma prawie owiniętymi wokół jej ciężkiej, pokrytej graffiti ławki.

– Jako nowi uczniowie, powinniśmy się trzymać razem .– powiedział – Wiesz co mam na myśli?

- Ale ja myślałam, że byłeś tu już wcześniej.

- Nie wierz we wszystko co powie Arriane. – Spojrzał z powrotem na Arriane, która stała przy oknie i przyglądała się im podejrzliwie.

- Och, nie, ona nic mi o tobie nie mówiła – Luce powiedziała szybko, zastanawiając się czy była to właściwie prawda. Oczywiście było to, że Cam i Arriane się nie lubią, i choć była wdzięczna Arriane za oprowadzenie jej dzisiaj, to nie była jeszcze gotowa opowiadać się za którąś ze stron.

- Pamiętam kiedy byłem tu nowy.... za pierwszym razem. – Uśmiechnął się do siebie. – Moja paczka się rozpadła i zostałem sam. Nie znałem tu nikogo. Mogłem wykorzystać to, że nie miałem porządku zajęć a – zerknął na Arriane - ktoś pokazałby mi zasady.

- Że co, nie miałeś porządku zajęć? – powiedziała Luce, zaskoczona tym jak flirtiarzko brzmi jej głos.

Na twarzy Cam'a rozciągnął się uśmiech. Uniósł jedną brew. – I myślałem, że nie będę chciał tu wrócić.

Luce zarumieniła się. Zazwyczaj nie interesowali ją wybijani chłopcy, ale z kolei żaden nigdy nie usiadł obok niej tak blisko w ławce i nie wpatrywał się w nią swoimi zupełnie zielonymi oczami. Cam sięgnął do swojej kieszeni i wyciągnął zieloną kostkę gitarową na której był nadrukowany numer 44.

- To jest numer mojego pokoju. Przychodź kiedy zechcesz.

Kostka gitarowa niewiele różniła się kolorem od oczu Cam'a, a Luce zastanawiała się, jak i kiedy zdążył nadrukować na niej numer swojego pokoju. Ale zanim go o to zapytała – a kto wie co by to spowodowało – Arriane chwyciła mocno za ramiona Cam'a.

- Wybacz, czy nie wyraziłam się jasno? To jest MOJA ulubienica.

Cam prychnął. Spojrzał prosto na Luce i powiedział: - Wiesz co, myślałem, że wciąż istnieje coś takiego jak wolna wola. Może twoja ulubienica chciałaby z niej skorzystać.

Luce otworzyła usta, by powiedzieć, że oczywiście mam wolną wolę ale to jest jej pierwszy dzień w szkole i wciąż nie poznała wszystkich zasad. Ale w tej sekundzie nie potrafiła dobrać odpowiednio słów, na dodatek zadzwonił dzwonek i wszyscy się rozeszli.

Pozostałe dzieciaki usiadły w ławkach wokół niej i przestały zauważać, że Luce siedzi sztywno i należycie w swojej ławce, wpatrując się w drzwi. Wypatrując Daniela. Kątem oka widziała, jak Cam podejrzliwie zerka na nią. Czuli, że jej to schlebia- ale i denerwuje, a potem poczuła się sfrustrowana. Daniel? Cam? Spędziła w tej szkole jakieś czterdzieści pięć minut? – a jej umysł już żonglował dwoma różnymi chłopcami. Jedynym powodem dla którego znalazła się akurat w tej szkole, było jej zainteresowanie pewnym chłopcem, co skończyło się potwornie, potwornie źle. Nie powinna sobie pozwolić na całe to zadurzenie (

podwójne) w swój pierwszy dzień w szkole.

Spojrzała na Cam'a, który zerknął znów na nią i odgarnął swoje ciemne włosy ze swojej twarzy. Miał oszalamiający profil – taaaa, i wyglądał na osobę, która zdawała sobie z tego sprawę. Tak jak ona, on też wciąż starał się dopasować do zasad, choć było przecież oczywiste że był w Sword & Cross kilka razy wcześniej. Ale był dla niej miły. Pomyślała o zielonej kostce gitarowej z numerem jego pokoju i miała nadzieję, że nie rozdaje jej na prawo i lewo. Mogli by być....przyjaciółmi. Może tego właśnie potrzebowała. Może wtedy mogłaby powstrzymać uczucia tak oczywiste, z dala od Sword & Cross.

Może wtedy mogłaby wybaczyć fakt, że jedyne okno znajdujące się w tej sali ma rozmiar teczki biznesowej, zacementowanej wapnem i wyglądające jak ogromne mauzoleum na cmentarzu.

Może byłaby w stanie wybaczyć to, że łaskocze ją w nos zapach nadtlenu, który emanował od blond cizi siedzącej przed nią.

Może wtedy rzeczywiście zauważyłaby, że pojawił się nauczyciel, kazał „całej klasie się uspokoić i siadać” i zamknął za sobą mocno drzwi.

Malutki powiew rozczarowania wkraśl się w jej serce. Zabrał ją na moment w ślad skąd pochodził. Zanim nauczyciel zamknął drzwi, trzymała się nadziei, że Daniel spędzi z nią jej pierwszą lekcję. A jaką miała następną, francuski? Spojrzała w dół na swój plan żeby zobaczyć w jakiej to będzie klasie, gdy papierowy samolot prześlizgnął się przez jej plan lekcji, mijając jej ławkę i lądując na podłodze obok jej torby. Sprawdziła czy ktoś zwrócił na to uwagę, ale nauczyciel był zajęty kawałkiem kredy, którym pisał po tablicy.

Luce zerknęła nerwowo w lewą stronę. Kiedy Cam spojrzał na nią, puścił do niej oko i flirciarsko pomachał do niej, co sprawiło że jej całe ciało się napięło. Ale nie wyglądał jak ktoś, kto był odpowiedzialny za ten papierowy samolot.

- Psssst. – dochodził cichy szept zza niego. To była Arriane, która skinęła swoją brodą, żeby Luce podniosła samolot. Luce się pochyliła by go dosięgnąć i zobaczyła swoje imię napisane małymi czarnymi literkami na skrzydle. Jej pierwszy liścik.

Już szukasz wyjścia. To nie jest dobry znak. Nie wyjdziemy z tego piekła aż do lunchu.

To chyba jakiś żart. Luce ponownie spojrzała na plan zajęć i z przerażeniem stwierdziła, że wszystkie z jej porannych trzech lekcji, odbywają się w tej samej klasie numer 1- i wszystkie trzy są z tym samym nauczycielem, panem Cole.

Nauczyciel oderwał się od tablicy i przemknął sennie przez klasę. Nie było czegoś takiego jak prezentacja nowych uczniów , a Luce nie wiedziała czy ma się z tego cieszyć czy też nie. Pan Cole jedynie dosiadał się do ławek czterech nowych uczniów. Kiedy spięty pakiet wylądował przed nią, chętnie pochyliła się żeby mu się przyjrzeć. Przeczytała : Historia Świata. Uniknięcie Klęski Ludzkości. Hmmm,

historia zawsze była jej mocną stroną, ale uniknięcie klęski?

Kiedy bliżej się przyjrzała programowi zajęć zobaczyła, że Arriane rzeczywiście miała rację co do bycia w piekle: można było przeczytać : TEST wielką, pogrubioną czcionką na co trzeciej lekcji, na trzydzieści stron – poważnie?-tyran dowolnych wyborów. Czarne nawiasy, sporządzone markerem, otaczały zadania Luce, za którymi tak tęskniła od pierwszych kilku tygodni. Na marginesie Pan Cole napisał : Przyjdź na Sporządzanie Prac Badawczych. Był to skuteczny sposób na wyssanie duszy, czego Luce nie chciała zaznać. W końcu jednak miała Arriane za sobą siedzącą w następnym rzędzie. Luce cieszyła się z precedensu umieszczonego na podanej jej ostrzegawczej notatce. Ona i Callie pisały do siebie po cichu SMS-y, ale tutaj Luce musiała się nauczyć składać samoloty z papieru. Wyrwała kartkę papieru ze swojego notatnika i próbowała użyć samolotu Arriane jako modelu.

Po kilku minutach ambitnego orgiami, kolejny samolot wylądował na jej ławce. Zerknęła na Arriane, która potrząsała swoją głową i patrzyła na nią spojrzeniem mówiącym: musisz się jeszcze wiele nauczyć. Luce wzruszyła ramionami w ramach przeprosin i odwróciła się z powrotem by odczytać kolejną wiadomość :

Och, i do póki jesteś przekonana o swoim wyborze, to może nie chcesz by nad kimś związanym z Danielem latały nasze wiadomości. Facet za tobą jest sławnym piłkarzem.

Dobrze wiedzieć. No i nie zauważyła, że przyjaciel Daniela-Roland siedzi za nią. Obracała się bardzo ostrożnie w tył, dopóki nie spostrzegła jego dredów przysłaniających jego oczy. Opuściła wzrok w dół, na otwarty notatnik na jego ławce i dostrzegła jego imię i nazwisko. Ronald Sparks.

- Nie ściągamy. – powiedział Pan Cole surowo, powodując że Luce odwróciła głowę w jego stronę. – Nie przepisujemy i nie zaglądamy innym do kart. Nie stałem się absolwentem tej szkoły w celu sprawdzenia waszej podzielności uwagi.

Luce skinęła głową tak jak pozostałe oszołomione dzieciaki dokładnie w momencie kiedy trzeci samolot poszybował, by zatrzymać się na środku jej ławki.

Jeszcze tylko 172 minuty.

173 minuty tortur później, Arriane prowadziła Luce na stołówkę.

- I co powiesz?- zapytała.

- Miałaś rację – powiedziała z zrezygnowaniem Luce, nadal dochodząc do siebie po trzech boleśnie ponurych lekcjach. – Kto chciałby uczyć takiego przygnębiającego przedmiotu?

- Cole niedługo odpuści. Za każdym razem kiedy pojawiają się nowi uczniowie przybiera tą poważną twarz. W każdym bądź razie – powiedziała Arriane, szturchając Luce –mogło być gorzej. Mogłabyś utkwic z panią Tross.

Luce zerknęła w dół na plan lekcji.

- Mam z nią biologię popołudniu.- powiedziała z uczuciem ścisku w żołądku.

Kiedy Arriane zwiłała się ze śmiechu, Luce poczuła jak ktoś klepie ją po ramieniu. To był Cam, mijający je w hollu po drodze na lunch. Luce zdecydowała się odejść gdyby nie jego ręka pewnie celująca w jej własną.

- Spokojnie. – posłał jej szybko uśmiech, a Luce zastanawiała się czy uderzył ją celowo. Choć nie wyglądał na tak dziecinnego. Luce spojrzała na Arriane, sprawdzając czy coś zauważyła. Arriane uniosła brwi, zachęcając Luce by coś powiedziała, ale żadna z nich nie powiedziała ani słowa.

Kiedy dotarli do zakurzonego wewnątrz okna, oddzielającego holl od ponurej stołówki, Arriane chwyciła Luce za łokieć.

- Za żadne skarby nie bierz steku ze smażonego kurczaka. – radziła kiedy mijaly hałaśliwy tłum stojących w stołówce. – Pizza jest dobra, chili jest spoko i aktualnie nie jest też zły barszcz. Lubisz klopsiki?

- Jestem wegetarianką. – powiedziała Luce. Zerkała wokół na stoliki, a szczególnie poszukiwała dwóch osób. Daniela i Cam'a. Czułaby się znacznie wygodniej, gdyby wiedziała gdzie oni byli. Mogłaby wtedy usiąść niedaleko nich, udając że ich wcześniej nie zauważyła. Ale jak na razie, żadnych znaków.

- Wegetarianka, tak?- Arriane dotknęła palcem swych ust. – Hipisowscy rodzice, czy twoja własna próba buntu?

- Och, nic z tego, ja po prostu nie....

- Lubisz mięsa. – Arriane obróciła ramiona Luce o 90 stopni, tak że spoglądała dokładnie na Daniela, siedzącego przy stoliku po drugiej stronie sali. Luce zrobiła długi wydech. Oto i on. – A czy teraz, pójdziesz na całość z „tym” mięskiem? – zaśpiewała głośno Arriane. – Opadła ci szczeka na jego widok?

Luce zdzieliła Arriane i pociągnęła ją do kolejki po lunch. Arriane się wrywała, a Luce bardzo się zarumieniała, co było szczególnie widoczne w tym fluorescencyjnym świetle.

- Zamknij się, na pewno cię usłyszał. – wyszeptwała.

Jakaś część Luce cieszyła się, że mogła pożartować na temat chłopców z przyjaciółką. Zakładając, że Arriane była jej przyjaciółką.

Wciąż czuła się zakłopotana tym co zdarzyło się tego ranka, kiedy zobaczyła Daniela. Ten pociąg do niego – wciąż nie rozumiała skąd się pojawił, i czy jeszcze wróci. Nie mogła oderwać oczu od jego blond włosów, od gładkiej linii jego szczęki. Odmówiła sobie patrzenia na niego. Nie chciała dać mu powtórnie powodu by mógł ją oszołomić.

- Jak sobie życzysz. – szydziła Arriane. – Jest tak pochłonięty swoim hamburgerem, że nie usłyszałby nawet wołania samego szatana. – wskazała na Daniela, który zdecydowanie przeżuwał swojego burgera. Pomijając to, że wyglądał jak ktoś kto tylko udaje, że jest pochłonięty przeżuwaniem swojego

hamburgera.

Luce zerknęła na drugą stronę stolika Daniela, na jego przyjaciela Ronalda. Patrzył prosto na nią. Kiedy przechwycił jej spojrzenie, poruszył brwiami w sposób, który dla Luce nie miał żadnego sensu, ale ją to trochę zaskoczyło.

Luce obróciła się z powrotem w stronę Arriane.

- Czemu w tej szkole wszyscy są tacy dziwni?

- Powinam się chyba za to obrazić, - powiedziała Arriane, podnosząc papierowe tacki, po jednej dla siebie i Luce. – Przejdę jednak do wyjaśnienia ci sztuk wyboru siedzenia w stołówce. Zobaczysz, że nie będziesz chciała siedzieć blisko.... Luce, uważaj!

Luce zdążyła zrobić krok do tyłu, ale jak tylko to zrobiła, poczuła mocne prychnięcie dwóch rąk na swoich ramionach. Natychmiast wiedziała, że upadnie. Wyciągnęła ręce przed siebie, żeby się podeprzeć, ale jedyną rzeczą, którą odnalazły jej dłonie była czyjaś pełna lunchu taca. Wszystko co na niej było, upadło na ziemię razem z nią. Uderzyła głucho o podłogę z pełną miseczką barszczu na twarzy. Kiedy wytarła papkowatego buraka ze swoich oczu, spojrzała do góry. Zdenerwowana, chochlikowata dziewczyna, której Luce wcześniej nie widziała, stała nad nią. Dziewczyna miała postrzępione, rozjaśnione włosy, co najmniej dziesięć kolczyków na twarzy i śmiertelnie piorunujące spojrzenie. Wyszczrzyła swoje zęby i syknęła : - Twój widok nie przyprawił mnie o brak apetytu, więc pozwolę ci kupić mi kolejny lunch.

Luce wyjękiwała przeprosiny, próbując się podnieść, ale dziewczyna przycisnęła swoim czarnym, wysokim obcasem stopę Luce. Ból przeszył jej nogę i musiała przygryźć mocno wargę żeby się nie rozplakać.

- Czemu po prostu nie sprowadzę sobie deszczu?- powiedziała dziewczyna.

- Wystarczy Molly – powiedziała chłodno Arriane, pochylając się do Luce by pomóc jej ze stopą.

Luce skrzywiła się. Obcas na pewno zostawi po sobie siniaki. Molly przysłoniła biodrami twarz Arriane, a Luce miała przecucie, że nie ona pierwsza skojarzyła je z rogami.

- Widzę, że szybko się zaprzyjaźniłaś z nową, - warknęła Molly. – Bardzo źle postępujesz „A”. Czy nie powinnaś być oddana pod nadzór?

Luce przełknęła ślinę. Arriane nie wspominała nic o nadzorze i nie bardzo miałoby sens oddanie pod nadzór kogoś, kto przyjaźni się z nowymi. Ale to słowo było wystarczającym powodem tego, by Arriane zacisnęła mocno pięść, która wylądowała prosto na prawym oku Molly.

Molly zatoczyła się do tyłu, ale to Arriane zwróciła uwagę Luce. Zaczęła mieć drgawki, zarzuciła ramionami i szarpnęła nimi w powietrzu. Luce zdała sobie sprawę, o zgrozo, że to wszystko wina opaski. To ona posłała jakiś rodzaj wstrząsu, który przeszył ciało Arriane. Niewiarygodne. Na pewno jest to okrutny i osobliwy

rodzaj kary. Żołądek Luce podniósł się do gardła, kiedy patrzyła jak całe ciało jej przyjaciółki się trzęsło. Pochyliła się i złapała Arriane kiedy tylko ta upadła na podłogę.

- Arriane. – wyszeptała. – Wszystko w porządku?

- Wspaniale. – Arriane zamrugwała swoimi niebieskimi oczami, by zaraz je zamknąć.

Luce z trudem złapała powietrze. Nagle jedno z oczu Arriane ponownie się otworzyło.

- Nastraszyłam cię, co? – Och, jakie to słodkie. – Nie martw się, wstrząsy mnie nie zabijają. – wyszeptała. – Sprawiają, że staję się silniejsza. Poza tym, było warto przyłożyć tej krowie w oko, co?

- Dobra, wszyscy się rozchodzimy. Rozdzielić się. – jakiś męski głos rozszedł się za nimi. Randy stał w drzwiach, cały czerwony po twarzy i oddychał ciężko. Luce pomyślała, że było trochę za późno na rozdzielanie kogokolwiek, ale Molly właśnie przedzierała się w ich kierunku, stukając obcasami po linoleum. Ta dziewczyna była bezwstydna. Czy naprawdę zamierzała kopnąć Arriane, kiedy Randy tu stał?

Na szczęście, przysadziste ramiona Randiego owinęły się jako pierwsze wokół ramion Molly. Ta kopała i krzyczała.

- Niech któraś lepiej zacznie tą rozmowę. – warknął Randy, ściskając Molly dopóki nie osłabła. – Wy trzy stawicie się jutro z rana, przed lekcjami...na cmentarzu. Bładym świtem! – Randy spojrzał na Molly, - Ochłonęłaś już?

Molly sztywno skinęła głową, po czym Randy ją puścił. Przykucnęła w miejscu, gdzie Arriane wciąż leżała na kolanach Luce z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Luce pomyślała w pierwszej chwili, że Arriane się wścieka, niczym rozszoszony pies szarpiący się z obrozą, ale potem poczuła małe wstrząsy pochodzące z ciała Arriane i zdała sobie sprawę z tego, że Arriane wciąż była pod wpływem opaski.

- No dobra.- powiedział Randy miękkim głosem. –Czas to już wyłączyć.

Wyciągnął rękę do Arriane, pomagając wstać jej malutkiemu, trzęsącemu się ciału, po czym pokierował ją do drzwi odwracając się tylko raz by przypomnieć Luce i Molly swoje żądanie.

- Bładym świtem!

- Szukałaś tego?- powiedziała słodko Molly, schylając się po kotleta z mięsa, który spadł z jej tacy.

Wymachiwała nim przed twarzą Luce przez chwile, po czym odwróciła go i rozgniotła go na jej włosach. Luce wprost mogła poczuć jak zgniata ją jej własny wstyd z powodu tego, że wszyscy w Sword & Cross będą ją oceniać przez pryzmat „kotletovej” nowej dziewczyny.

- Księżniczko – powiedziała Molly, wyciągając cieniutki, srebrny aparat z

tylnej kieszeni swoich jeansów. – Powiedz „kotlet”.- zaśpiewała, robiąc kilka zbliżeń. – To będzie doskonałe na mojego bloga.

- Niezły kapelusz. – szydził ktoś po drugiej stronie stołówki. Wtem z wielką trwogą, Luce zwróciła swój wzrok w kierunku Daniela, modląc się by ten nie widział całej tej sceny. Ale nie. Potrząsał swoją głową, patrząc z podirytowaniem. Do tego momentu, Luce myślała, że będzie w stanie podnieść się i otrząsnąć po tym całym incydencie- dosłownie. Ale teraz, widząc reakcję Daniela – cóż, wszystko przepadło.

Nie chciała się rozplakać przy tych wszystkich okropnych ludziach. Przełknęła nerwowo ślinę, wstała i skierowała się ku wyjściu. Ruszyła pospiesznie w kierunku najbliższych drzwi, chcąc jak najszybciej poczuć świeże powietrze na swojej twarzy.

Zadławiła się południową, wrześniową wilgocią, która owiała ją zaraz po tym jak znalazła się na zewnątrz. Niebo miało bliżej nie określony kolor, szarawo-brązowy i tak okrutnie oślepiający, że ciężko byłoby znaleźć na nim słońce. Luce zwolniła, ale zatrzymała się dopiero na skraju parkingu. Tęskniła za swoim starym, zniszczonym samochodem, zapadającymi się w wyszczerbieniach siedzeniach, obrotami silnika, dziwnym odtwarzaczem stereo i chciałyby się wydostać z tego piekła tutaj. Ale kiedy tak stała na tej nagrzanej, czarnej nawierzchni, dotarło do niej to, że tu utknęła i musi przywyknąć do metalowych bram, oddzielających Sword & Cross od całego świata. Poza tym, nawet gdyby mogła uciec, to dokąd miałyby pójść?

Ucisk w jej żołądku, mówił dokładnie to co potrzebowała usłyszeć. Była już na ostatnim przystanku, a sprawy miały się bardzo ponuro.

To wszystko było tak desperacko prawdziwe: Sword & Cross było wszystkim co miała. Ukryła swoją twarz w rękach, wiedząc że musi tam wrócić. Ale kiedy podniosła swoją głowę, pozostałości na jej dłoni przypomniały jej o tym jak Molly rozgniotła na niej swój kotlet. Fuj. Następny przystanek- najbliższa łazienka.

Wchodząc do środka, Luce zrobiła unik przed drzwiami wahadłowymi od damskiej toalety, które się właśnie otworzyły. Gabbe, pojawiła się we włosach jakoś bardziej blond i miała nieskazitelną fryzurę w przeciwieństwie do Luce, która wyglądała jakby skoczyła na główkę do kosza ze śmieciami.

- Łups, wybacz kochana.- powiedziała. Jej południowy akcent był słodki, ale jej twarz się zmarszczyła kiedy patrzyła na Luce. – O Boże, wyglądasz okropnie. Co się stało? – co się stało? Tak jakby cała szkoła nie wiedziała o wszystkim. Ta dziewczyna pewnie się zgrywa, tak żeby Luce ponownie przeżyła tą zawstydzającą scenę.

- Poczekaj pięć minut – odpowiedziała Luce, z większą złością w głosie niż zamierzała. – Jestem pewna, że plotki rozejdą się tutaj z prędkością epidemii.

- Chcesz pożyczyć ode mnie podkład? – zapytała Gabbe, grzebiąc w pastelowo niebieskiej kosmetyczce. – Jeszcze się nie widziałaś, ale wyglądasz....

- Dzięki, ale nie. – uciszyła ją Luce, wchodząc do łazienki. Spojrzała na siebie w lustrze i odkręciła kurek. Opryskała sobie twarz zimną wodą i w końcu to z niej wyszło. Łzy same jej leciały, kiedy przyciskała dozownik z mydłem, próbując zmyć tym tanim mydłem w proszku to mięso. Nie o włosy jednak chodziło. Jej ubrania wcale nie wyglądały ani nie pachniały lepiej. To by było na tyle jeśli chodzi o robienie dobrego pierwszego wrażenia.

Drzwi łazienki trzasnęły otwierając się a Luce stanęła pod ścianą jak zaszczute zwierzę. Kiedy nieznajoma weszła, Luce zeszywniała czekając na najgorsze.

Dziewczyna miała przysadzistą budowę ciała, co znacznie podkreślała nienormalna ilość warstw jej ubrania. Jej szeroką twarz otaczały kręcone, brązowe włosy, a jej purpurowe okulary unosiły się kiedy pociągała nosem. Wyglądała dość skromnie, ale mogły to być tylko pozory. Ręce miała schowane za jej plecami, więc Luce uznała, że nie można jej ufać.

- Wiesz, że nie powinnaś przebywać tu bez zezwolenia. – powiedziała dziewczyna. Nawet ton jej głosu był czysto biznesowy.

- Wiem. – zatwardziały wzrok dziewczyny, utwierdził tylko Luce w przekonaniu, że absolutnie niemożliwe jest pozostanie samemu w tym miejscu. Zamierzała się więc poddać. – Ja tylko....

- Żartowałam. – dziewczyna zaśmiała się, odwracając wzrok i rozluźniając swoją sylwetkę. –

Przyniosłam ci szampon z szatni.- powiedziała, wyciągając ręce przed siebie, w których trzymała dwie, niewinnie wyglądające plastikowe buteleczki szamponu i odżywkę. – No chodź. –powiedziała kierując Luce ku ubitemu, składanemu krzesłu. – Musimy cię wmyć. Siadaj tutaj.

Luce wydała z siebie pół- kwilący, pół- roześmiany dźwięk, którego nigdy wcześniej nie słyszała. Podejrzewała, że brzmiał jak dźwięk ulgi. Ta dziewczyna na prawdę była dla niej miła- nie tak jak trzeba być w reformowanej szkole, tylko tak jak zwykły, miły, przeciętny człowiek. Bez wyraźnego powodu. Szok z powodu tego, był dla Luce tak wielki że stała jak wryta.

- Dzięki?- zdołała powiedzieć Luce, wciąż czując się trochę niepewnie.

- Och, no i prawdopodobnie będziesz potrzebowała się przebrać. – powiedziała dziewczyna, patrząc w dół na swój czarny sweter i ściągnęła go przez głowę. Pod nim miała identyczny czarny sweter. Kiedy zobaczyła zdziwienie malujące się na twarzy Luce, powiedziała: - No co? Mam bardzo słaby system odpornościowy. Muszę zakładać wiele warstw ubrań na siebie.

- Och, cóż, czy nic ci nie będzie bez tego jednego?- zapytała Luce jakby samą siebie, bo nawet gdyby musiała zrobić coś nie tak, to musiała ściągnąć z

siebie ten mięsny płaszcz, który miała na sobie.

- Oczywiście, że nie. – powiedziała dziewczyna, wymachując swetrem. – Mam pod tym jeszcze trzy. I parę innych w swojej szafce. Nie krępuj się. To aż boli gdy patrzę jak wegetarianka jest pokryta mięsem. Jestem bardzo empatyczna.

Luce zastanawiała się, skąd ta nieznajoma wie tyle o jej preferencjach dietetycznych, ale bardziej niż to, nasuwało się jej inne pytanie:

- Hm, czemu jesteś dla mnie taka miła?

Dziewczyna najpierw się zaśmiała, potem westchnęła, później potrząsnęła swoją głową.

- Nie każdy w tej szkole jest szmatą albo palantem.

-Hy?- jęknęła Luce.

- Sword & Cross...szmaty i palanty. Beznadziejna nazwa jak na szkołę w tym mieście. Oczywiście nie mamy tu żadnych palantów. Nie chciałabym by zwiędły ci uszy od przezwisk z jakimi tu przyszli.

Luce roześmiała się.

- Mam na myśli tylko to, że nie wszyscy w tej szkole są kompletnymi kretynami.

- Tylko większość?- zapytała Luce, jakby wszystko co do tej pory o nich słyszała było negatywne. Niestety to był taki długi poranek i przeżyła już tak wiele; ale może ta dziewczyna nie będzie osądzać ją przez pryzmat tego jednego wydarzenia. Ku jej zdziwieniu, dziewczyna się uśmiechnęła.

- Dokładnie. I niestety dzięki nim nie cieszymy się dobrym zdaniem. – wyciągnęła przed siebie rękę. – Jestem Pennyweather Van Syckle- Lockwood. Ale mów mi Penn.

- W porządku. – powiedziała Luce, wciąż zirytowana tym, że w poprzednim „życiu” mogłaby się roześmiać z powodu imienia dziewczyny. A tak, zabrzmiała jakby wyskoczyła z jednej z powieści Dickens’a. Ale coś w tej dziewczynie z takim imieniem było godne zaufania, to jak doskonale radziła sobie z przedstawianiem się, zachowując poważną twarz.

- A ja jestem Lucinda Price.

- Ale wszyscy mówią na ciebie Luce? – powiedziała Penn. – I przeniosłaś się ze szkoły w Dover, w New Hampshire.

- Skąd to wszystko wiesz?- zapytała powoli Luce.

- Zgadywałam?- Penn wzruszyła ramionami. – Żartuję, przeczytałam twoje akta. To takie moje hobby.

Luce spojrzała na nią pusto. Może jednak się pospieszyła z tym, że jest ona tak godna zaufania. Jakim cudem Penn miała dostęp do jej akt?

Penn odkręciła wodę. Kiedy była ciepła, skinęła na Luce by ta pochyliła głowę nad umywalką.

- Widzisz, prawda jest taka, - zaczęła wyjaśniać – że tak naprawdę to nie

jestem nie normalna. – podniosła mokrą głowę Luce. – Nie obrażając nikogo. – potem z powrotem opuściła ją w dół. – Jestem jedynym dzieckiem w tej szkole bez nakazu sądowego. Możesz mi nie wierzyć, ale bycie zdrowym psychicznie ma tutaj swoje zalety. Na przykład, jestem jedynym dzieckiem jakiego pozwalają na przebywanie w biurze doradcy. Czego nie pozwalają robić nikomu. Mam dostęp do większości tego poufnego gówna.

- Ale skoro nie musisz tu przebywać....

- Kiedy twój ojciec jest właścicielem terenu, na którym znajduje się szkoła, masz prawo chodzić do tej szkoły” ot tak sobie”. Więc Penn wylądowała tutaj.

Ojciec Penn jest właścicielem gruntu? Z tego, jak wygląda teren wokół szkoły Luce wywnioskowała, że ten teren Mie ma żadnego właściciela.

- Wiem co sobie teraz myślisz. – powiedziała Penn, pomagając Luce spłukać włosy. – Że ten teren wygląda dokładnie tak, jakby nikt o niego nie dbał?

- Nie.- skłamała Luce. Wolą by pozostać przy tym, że były na dobrej drodze do zostania przyjaciółkami, niż wyglądać jak ktoś komu zależy akurat na tym by trawnik przed Sword & Cross był koszony. – Tu jest, hmm, naprawdę miło.

- Mój tata zmarł dwa lata temu- powiedziała cicho Penn – Zdecydowali, że przydzielą mnie mojemu opiekunowi prawnemu, staremu dyrektorowi Udellowi, ale...hmmm, on nigdy nie zastąpi mi taty.

- Tak mi przykro. – powiedziała Luce także obniżając swój głos. A więc jednak ktoś inny też wiedział jak to jest kiedy traci się coś ważnego.

- W porządku. – powiedziała Penn, wyciskając odżywkę na swoje dłonie. – To na prawdę dobra szkoła. Zresztą, bardzo mi się tu podoba.

Nagle Luce podniosła gwałtownie głowę, tak że woda z jej włosów prysnęła przez łazienkę.

- Jesteś pewna, że nie jesteś szalona?- zakpiła.

- Żartuję. Nienawidzę tego miejsca. Jest całkowicie do bani,

- Nie możesz po prostu stąd odejść - powiedziała Luce, przechylając swoją głowę. Pen przygryzła usta.

- Wiem, że to chore, ale nawet gdybym nie utknęła tu z Udellem, nie mogłabym. Tutaj jest mój tata.- wskazała w kierunku cmentarza, niewidocznego z tego miejsca. – Jest wszystkim co mam.

- Więc myślę, że i tak masz dużo więcej niż pozostali w tej szkole.- powiedziała Luce, myśląc o Arriane. Wróciła myślami do Arriane, która chwyciła jej rękę dzisiaj na dziedzińcu, przejęte spojrzenie jej błękitnych oczu, kiedy Luce obiecywała jej ,że spędzi dzisiejszy wieczór z nią w akademiku.

- Wyliże się.- powiedziała Penn. – Nie było jeszcze poniedziałku, w którym Arriane nie wylądowałyby u pielęgniarki po bójce.

- Ale to nie przez bójkę, - powiedziała Luce. – To wszystko przez tę opaskę. Widziałam jak ją poraziło.

- Mamy tu w Sword & Cross rozległe pojęcie „bójki”. Twoim nowym wrogiem jest Molly? Jej bójki są tu już legendą. Oczywiście wciąż zapewniają, że zmieniają jej leczenie. Przy odrobinie szczęścia, będziesz miała przyjemność wpadnięcia w szal, zanim to zrobią.

Intelekt Penn był dość niezwykły. Luce przyszło do głowy, by zapytać ją o Daniela, ale coraz to bardziej skomplikowane zainteresowanie nim, kazało Luce pozostać przy tym, co musiała o nim wiedzieć, a nie przy tym co by chciała. Zwłaszcza, że samą siebie też musiała do tego przekonać. Poczula jak ręce Penn otrzepują jej włosy z wody.

- To by było na tyle. – powiedziała Penn. – Myślę, że całkowicie się pozbyłaś tego mięsa.

Luce spojrzała w lustro, a jej ręce dotknęły włosów. Penn miała rację. Poza emocjonalnym okaleczeniem i bólem w prawej stopie, nie było śladu po stołówkowym upokorzeniu.

- To dobrze, że masz krótkie włosy.- powiedziała Penn. – Bo jeśli nadal byś miała takie długie jak na zdjęciu z akt, to ta operacja trwałaby znacznie dłużej.

Luce gapiła się na nią. – Powinnam mieć oko na ciebie, prawda?

Penn owinęła swoje ramię wokół ramion Luce i pokierowała ją do wyjścia z łazienki.

- Po prostu stój po mojej stronie, a nikomu nie stanie się krzywda.

Luce posłała Penn zmartwione spojrzenie, ale twarz Penn pozostała nieruchoma.

- Żartujesz prawda? – zapytała Luce.

Pen uśmiechnęła się nagle radośnie. – Chodź, musimy iść do klasy. Cieszysz się, że jesteśmy w tej samej, całe popołudnie?

Luce roześmiała się.

- Kiedy w końcu nie będziesz tyle o mnie wiedzieć?

- Na pewno nie w najbliższej przyszłości. –powiedziała Penn, ciągnąc Luce przez holl do wyjścia, w kierunku betonowego budynku. – Wkrótce to pokochasz. Obiecuję. Jestem bardzo wpływową przyjaciółką.

ROZDZIAŁ 3



PRZYCIĄGANIE CIEMNOŚCI

Luce włóczyła się po wilgotnym korytarzu akademika, prowadzącym do jej pokoju, ciągnąc swoją czerwoną wielką torbę z zerwanym paskiem. Ściany tutaj były koloru zakurzonej tablicy, a w całym tym miejscu było przerażająco cicho, i jeszcze ten dźwięk wydawany przez fluorescencyjne jarzeniówki zwisające z sufitu. Luce zdziwiło to, że prawie wszystkie drzwi były pozamykane. W Dover, Luce mogłaby sobie tylko pomarzyć o prywatności. Przekraczając szeroki holl akademika, którego wszystkie drzwi były pootwierane, nie można było przejść bez potknięcia się o grupki dziewczyn, które siedziały ze skrzyżowanymi nogami w idealnie dopasowanych jeansach, albo o całujące się pary, oparte o ściany.

Ale w Sword & Cross..... cóż, albo każdy już zaczął się przygotowywać do swojego

trzydziestokartkowego testu, albo...wszyscy udzielają się towarzysko za zamkniętymi drzwiami. A jeśli mowa o zamkniętych drzwiach- chyba same w sobie dają coś do zrozumienia. O tyle o ile uczniowie Sword & Cross byli pomysłowi w stosunku do przekraczania „Zasad Ubioru”, to ich zaradność jeśli chodzi o urządzenie ich własnej przestrzeni była wręcz doskonała. Luce minęła drzwi, których futryna była przyozdobiona obszywaną koralikami zasłonką, i inne z widocznym powitaniem na wycieraczkę, której przekroczenie” przeniesie cię do piekła”.

Stała naprzeciw drzwi, które jako jedyne w tym budynku były nie „upiękzone”. Pokój 63. Zaczęła szukać po omacku klucza w przedniej kieszeni plecaka, wciągając głęboko powietrze i otworzyła drzwi swojego pokoju.

Nie było wcale tak źle. No, może nie było aż tak źle jak myślała że będzie. Miała całkiem przyzwoitej wielkości okno otwarte na tyle, by mogło się przez nie prześlizgnąć duszne, wieczorne powietrze. Obok żelaznych prętów wisiało kilka fotografii księżycowych nocy, które na swój sposób były interesujące, gdyby Luce nie skupiała się tak bardzo na cmentarzach widniejących na nich. Miała szafę i małą umywalkę, biurko, które będzie jej służyć do odrabiania lekcji-albo do myślenia o tym, jak przygnębiająco wyglądają te wszystkie rzeczy w jej pokoju, na pierwszy rzut oka. Luce spojrzała na siebie w lustrze, które wisiało z tyłu- na całej długości- drzwi .

Szybko jednak odwróciła wzrok, wiedząc aż za dokładnie, co się w nim

odbije. Jej zmęczona i ściągnięta twarz. Jej włosy, zupełnie jak futerko jej rozhisteryzowanego pudła, zaraz po burzy. Sweter Penn wyglądał na niej zupełnie jak worek. Była roztrzęsiona. Jej popołudniowe lekcje wcale nie były lepsze od tych porannych. Głównie z powodu tego, że jej najgorsze przeczucia się urzeczywistniły: Cała szkoła zaczęła już nazywać ją-Kotлетem. I na nieszczęście, wyglądała na to, że to przewisko się do niej przyklei.

Chciała się rozpakować i urządzić trochę po swojemu ten pokój tak, by mogła schować się w nim przed światem, kiedy będzie tego potrzebować. Ale jedyną rzeczą jaką zrobiła, zanim rozłożyła się na niepościelonym łóżku i się poddała, było rozpięcie suwaka swojej torby. Poczowała nagle, że jest tak daleko od domu. Dostanie się do zardzewiałej, żelaznej bramy Sword & Cross spod śnieżnobiałych drzwi jej domu, zajęłoby jej 22 minuty jazdy samochodem. Choć odwrotna podróż pewnie zajęłaby jej 22 lata. Pierwsza połowa jej dzisiejszej, cichej podróży tego ranka upłynęła tak miło. Widziała swoich sąsiadów, którzy wyglądali tak samo pięknie jak zawsze: senne południowe, średniej klasy przedmieście. Ale potem szosa zmieniła się w drogę na grobli wzdłuż brzegu, gdzie teren stawał się coraz to bardziej bagnisty. Mangrowiec porastał cały brzeg i rozciągał się aż do obszaru bagiennego by tam zniknąć. Ostatnie dziesięć mil drogi do Sword & Cross były udręką. Szarawo brązowy, bezpłciowy krajobraz. W Thunderbolt ludzie żartowali sobie z niezapomnianego, dziwnego tutejszego smrodu: Kiedy poznać, że byłeś na bagnach? Kiedy spaliny z twojego samochodu śmierdzą błotnym odorem.

To, że Luce dorastała w Thunderbolt nie znaczyło, że była bardzo zżyta z tamtą częścią kraju. Choć w dzieciństwie przypuszczała, że nie będzie miała powodu by przyjeżdżać tutaj. Cała jej rodzina, szkoła i cała historia jej rodziny należała do zachodniej strony kraju. Wschodnia strona była jedynie trochę zagospodarowana. To wszystko.

Tęskniła za rodzicami, którzy zostawili jej karteczkę przyklejoną do t-shirtu, schowanego w torbie:

Kochamy cię. Pamiętaj: Price'owie górą.

Tęskniła za swoją sypialnią, w kolorze pnący pomidorów jej taty. Tęskniła za Callie, która na pewno przesłała jej z dziesięć wiadomości, których nigdy nie odczyta. Tęskniła za Trevorem, choć właściwie, nie była to tęsknota. Tęskniła za życiem, które miała zanim po raz udało jej się porozmawiać z Trevorem. Kiedy ma się kogoś, o kim się myśli, kiedy nie może się zasnąć, jakieś imię, które się ciągle gryzmoli w notesie. Prawda jest taka, że Trevor i Luce nigdy nie mieli mieć szansy przekonać się jak to jest. Jedynym wspomnieniem jakie po nim ma to to, jak Callie skrada się potajemnie na boisko, między jego dwóch przysadzistych kolegów, kiedy Luce i Trevor rozmawiają od 15 sekund o ustawieniu na boisku. I jedyna randka na której z nim była, nigdy nie była prawdziwą randką- a tylko ukradzioną

godziną, kiedy wyciągnął ją z dala od reszty imprezowiczów. I tej godziny Luce będzie żałować do końca jej życia.

Zapowiadało się tak niewinnie, dwoje ludzi idzie na spacer w dół jeziora, ale w niedługim czasie Luce czuła obecność cieni, czających się nad ich głowami. Wtedy usta Trevora dotknęły jej ust i fala gorąca przebiegła przez całe jej ciało, a potem patrząc w jego oczy z przerażeniem stwierdziła że są białe.....a sekundę później, całe jej dotychczasowe życie zniknęło w płomieniach.

Luce obróciła się i zasłoniła swoją twarz zagięciem swojego ramienia. Spędziła miesiące w żałobie po Trevorze a teraz, leżąc w tym obcym pokoju, z metalowymi prętami, wbijającymi jej się przez cienki materac, czuje bezcelowość tego wszystkiego. Dobrze wiedziała, że Trevor już nie ma...za to Cam. Pukanie do drzwi spowodowało, że Luce zerwała się z łóżka. Skąd ktokolwiek wiedział, że tu była? Zakradła się do drzwi i powoli je otworzyła. Z głową między drzwiami wyjrzała na holl. Nie słyszała żadnych kroków za drzwiami, i nie było tam nikogo kto pukał do drzwi.

Poza papierowym samolotem przypiętym pinezką na samym środku tablicy korkowej, która wisiała obok jej drzwi. Luce uśmiechnęła się widząc swoje imię napisane na skrzydle samolotu czarnym markerem, ale jedyne co zobaczyła po tym jak go rozwinęła, to była czarna strzałka wskazująca kierunek w dół hollu.

Luce miała się dziś wieczorem spotkać z Arriane, ale to było przed wydarzeniami w stołówce. Patrząc na holl, zastanawiała się gdzie doprowadzi ją tajemnicza strzałka. Zerknęła za siebie na swoją wielką torbę, która czekała żałośnie na rozpakowanie. Wzruszyła ramionami i zamknęła za sobą drzwi, wkładając klucz do kieszeni i podążyła w stronę, którą wskazywała strzałka.

Zatrzymała się na przeciwko drzwi, po drugiej stronie hollu, na których wisiał plakat Sonny'ego Terry, niewidomego muzyka, który- jak się dowiedziała od ojca, ponieważ ten kolekcjonował jego płyty- grał wprost niewiarygodnie bluesa na harmonijce. Pochyliła się by przyjrzeć się imieniu widniejącemu na tablicy korkowej obok drzwi i zdał sobie sprawę, że stoi pod drzwiami Rolanda Sparks'a. Wprost natychmiast, co było dość irytujące, jakaś część jej mózgu zaczęła kalkulować szanse, że Daniel może teraz być u Rolanda i tylko jedne, cienkie drzwi dzielą ją od niego. Coś sprawiło, że Luce odruchowo podskoczyła. Spojrzała wprost na kamerę, umieszczoną nad drzwiami Rolanda i obserwującą każdy jej ruch. Czerwoni. Wiedzą o każdym jej ruchu. Zgarbiła się, czując się zawstydzona z powodu tego, czego kamera nie mogła na szczęście dostrzec. W każdym bądź razie, przyszła się spotkać z Arriane, której pokój, jak się Luce zorientowała, znajdował się dokładnie naprzeciwko drzwi Rolanda. Stojąc pod nimi Luce poczuła malutkie ukłucie czułości. Całe drzwi były pokryte niesamowitą ilością naklejek- niektóre były wydrukowane, a inne oczywiście ręcznej roboty. Było ich tak dużo, że niektóre nachodziły na siebie, slogany niektórych nachodziły na pozostałe,

zaprzeczając tym, które były nalepione przed nimi. Luce zaśmiała się w duchu, wyobrażając sobie jak Arriane kolekcjonuje tak wielką ilość nalepek, a potem tak bezmyślnie, w chaotyczny sposób- ale z zaangażowaniem- je przykleja na swoich drzwiach (PODLI LUDZIE RZĄDZĄ..... MOJA CÓRKA JEST NAJLEPSZĄ UCZENNICĄ W SWORD & CROSS..... GŁOSOWANIE W SPRAWIE WNIOSKU 666)

Luce mogłaby spędzić godzinę pod drzwiami Arriane, czytając to, ale tak szybko jak zaczęła to robić, zdała sobie sprawę z tego, że stoi pod drzwiami osoby, z którą przyszła się zobaczyć. I wtedy zobaczyła kolejny papierowy samolot. Ściągnęła go z tablicy korkowej rozwinęła.

„ Kochana Luce.

Jeśli zjawiłaś się, by spędzić ze mną czas, to pełen szacun! Będziesz się super bawiła. Jeśli mnie zawiodłaś,... to zabieraj swoje pazurska z mojej prywatnej wiadomości ROLAND! Ile razy mam ci to powtarzać? Rety.

W każdym bądź razie: Wiem, że miałyśmy się dziś spotkać, ale musiałam popędzić prosto z R&R, do gabinetu pielęgniarki(grzywna za moje dzisiejsze porażenie), bo muszę coś nazmyślać na pracę z biologii o Albinosach ,co właściwie oznacza Albinos- sprowadzić deszcz?

Twoja świruska.

A.

Luce stała z liścikiem w ręce, nie pewna tego, co powinna teraz zrobić. Zdała sobie sprawę, że Arriane zatroszczyła się o to, żeby się dowiedziała co w tej chwili robi, ale Luce wolałaby spotkać się z nią osobiście. Wolałaby usłyszeć jej nonszalancki ton głosu, żeby móc się przekonać co ona myśli na temat tego, o stało się dzisiaj w stołówce. Choć sama nie była pewna jak daleko sprawy zaszły. Nagle, w przyпіływie paniki, zauważyła, że jest po zmroku, a ona stoi tu zupełnie sama.

Za nią, uchylily się lekko drzwi. Wąski pas białego światła przecinał podłogę aż do jej stóp. Luce wsłuchała się w muzykę płynącą z wnętrza pokoju.

- Co robisz?- To był Roland, stojący w drzwiach, w dziurawej białej koszulce i jeansach. Żółte dredy miał zebrane na czubku głowy i harmonijkę blisko ust.

- Przyszłam zobaczyć się z Arriane.- powiedziała Luce, starając się patrzeć prosto na niego, a nie za niego, żeby zobaczyć czy nie ma u niego w pokoju kogoś jeszcze. – Miałyśmy się spotkać, ale..... - Nikogo tu nie ma.- dokończył tajemniczo Roland. Luce zastanawiała się kogo ma na myśli- Arriane, resztę dzieciaków w akademiku, czy kogo tam jeszcze. Roland zagrał kilka taktów na harmonijce, patrząc na nią cały czas. Potem otworzył trochę szerzej drzwi i uniósł swoje brwi. Nie wiedziała, czy w ten sposób daje jej do zrozumienia, żeby weszła.

- Cóż, właśnie zamierzałam pójść do biblioteki. – skłamała szybko, zmierzając w kierunku z którego przyszła. – Jest tam pewna książka, którą chciałam przeczytać. - Luce. - zawołał Roland.

Odwróciła się. Nie przedstawili się sobie, i nie wiedziała skąd właściwie znał jej imię. Uśmiechnął się szeroko i za pomocą harmonijki wskazał kierunek przeciwny do tego w którym ona szła. - Biblioteka jest po tamtej stronie.- powiedział krzyżując swoje ręce na klatce piersiowej. – Mają specjalną kolekcję we wschodnim skrzydle. Musisz tam zajrzeć.

- Dzięki. – powiedziała Luce, czując prawdziwą wdzięczność, kiedy zmieniła kierunek. Roland wydawał się być taki autentyczny, grając kilka taktów na harmonijce i machając jej na pożegnanie, kiedy odchodziła. Może wcześniej tak denerwowała się w jego obecności, bo myślała o nim tylko w kategorii- przyjaciel Daniela. Ale wszystko wskazywało na to, że Roland jest naprawdę miłym facetem. Jej humor poprawiał się w miarę jak szła dalej korytarzem. Pierwsze słowa w notatce Arriane były opryskliwe i sarkastyczne, po których spotkanie z Rolandem Sparks'em było niezręczne.

Ale na plus wyszło to, że naprawdę chciała się wybrać do biblioteki.

Blisko końca korytarza widoczny był ostry zakręt prowadzący do skrzydła biblioteki. Przed nim Luce zobaczyła pasmo światła wydostające się spod uchylonych drzwi. Nie było na nich żadnej dekoracyjnej zasłonki, całe były zamalowane na czarno. Kiedy się do nich zbliżała, mogła usłyszeć rozwścieczoną, heavy metalową muzykę dobiegającą zza drzwi. Nie musiała się nawet zatrzymać by dostrzec imię na drzwiach. To był pokój Molly.

Luce przyspieszyła kroku, nagle świadoma każdego uderzenia swoich czarnych butów na linoleum. Po przekroczeniu drewnianych drzwi biblioteki zdała sobie sprawę, że do tej pory cały czas wstrzymywała oddech, więc teraz, wypuściła swobodnie powietrze.

Poczuła falę ciepła kiedy rozejrzała się po bibliotece. Zawsze lubiła ten słodki, trochę zatechły, wypełniający całą bibliotekę zapach książek. Czowała się wygodnie, wśród tego sporadycznego dźwięku przerzucanych stron. Biblioteka w Dover była jej schronieniem i Luce poczuła głębokie poruszenie, z powodu tego, że i tutaj może to być dla niej azyl. Ciężko było uwierzyć, że w Sword & Cross jest miejsce takie jak to. A jest ono prawie.....,właściwie to jest..... kuszące.

Ściany były pomalowane na głęboko mahoniowy kolor, a sufit był wysoki. Wzdłuż jednej ze ścian ustawiony był ceglasty kominek. Stały tam długie, drewniane stoły z staromodnymi zielonymi lampkami, i mogła zobaczyć przejścia między książkami. Tak jak myślała zaraz po wejściu, odgłos uderzeń jej butów umilkł na cienkim, perskim dywanie.

Kilkoro uczniów uczyło się, ale żadnego z nich Luce nie znała z imienia. Nawet wyglądające na groźnych punków dzieciaki siedziały z głowami w książkach. Przybliżyła się do głównego punktu bibliotecznego na środku. Był pełen stery papierów i książek. Było tam również pełno prostych akademickich wiadomości, które przypomniały Luce dom jej rodziców. Książki były ułożone tak wysoko, że prawie nie zauważyła bibliotekarki stojącej za nimi, zagrzebanej w jakiejś papierkowej robocie tak gorączkowo, jakby co najmniej szukała tam złota. Podniosła jednak swoją głowę, kiedy Luce podeszła.

- Witam. – kobieta uśmiechnęła się szeroko do Luce. Jej włosy nie były szare, ale srebrne z rodzaju brillance, który błyszczał się w słabym bibliotecznym świetle. Jej twarz wyglądała za równo młodo jak i staro. Miała bladą, prawie przezroczystą skórę, bystre, czarne oczy i wąski, ale kształtny nos. Mówiąc do Luce, podwinęła rękawy swojego kaszmirowego, białego sweterka, pokazując rzędy perłowych bransoletek, dekorujących oba jej nadgarstki. – W czym mogę ci pomóc? – zapytała przyjaźnie szepcząc.

Luce od razu się odprężyła przy tej kobiecie i zerknęła na plakietkę z jej imieniem. Sophia Bliss. Była odpowiedzią na wszystkie jej biblieczne prośby. Ta kobieta jest pierwszym jej autorytetem, którego spotkała przez cały swój dzień i pomoże jej gdy będzie czegoś szukać. A właśnie, czego to ona szuka....i wtedy przypomniała sobie co powiedział jej Roland.

- Jestem tu nowa. – wytłumaczyła się.- Jestem Lucinda Price. Mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie jest wschodnie skrzydło?

Kobieta posłała Luce uśmiech typu „wyglądasz na kogoś kto dużo czyta” , za który Luce była gotowa oddać bibliotekarce całe swoje życie

- W tą stronę. –powiedziała wskazując w kierunku rzędu wysokich okien po drugiej stronie biblioteki.

– Jestem Sophia, i jeśli się nie mylę, to uczęszczasz na moje religijne seminaria we wtorki i czwartki. Och, zobaczysz, że będzie fajnie. – mrugnęła okiem – W między czasie, gdybyś jeszcze czegoś potrzebowała, znajdziesz mnie tutaj. Miło mi cię poznać Luce.

Luce uśmiechnęła się na pożegnanie, mówiąc pani Sophii, że bardzo się cieszy na jutrzejsze zajęcia i podążyła w kierunku wysokich okien. Jak tylko oddaliła się od bibliotekarki, usłyszała obcy, kameralny głos wołający za nią jej przezwiskiem.

Pokonywała resztę głównej biblioteki między wąskimi, eleganckimi półkami

z książkami, kiedy coś mrocznego i makabrycznego pojawiło się nad jej głową. Zerknęła do góry.

Nie. Nie tutaj. Proszę. Pozwólcie mi mieć choć to jedno miejsce.

Kiedy przychodziły do niej cienie, nigdy nie była pewna, kiedy odejdą- albo, na jak długo odejdą. Nie potrafiła określić co się teraz właściwie dzieje. Ale coś tu się nie zgadzało. Była przerażona, tak, ale nie czuła zimna. Właściwie poczuła nagle uderzenie ciepła. W bibliotece było ciepło, ale to nie o to ciepło chodziło. I właśnie w tej chwili dostrzegła Daniela. Stał naprzeciwko okna, tyłem do niej, opierając się o podium, na którym było napisane białymi literami: SPECJALNA KOLEKCJA. Rękawy jego skórzanej kurtki były podciągnięte do łokci, a blond włosy jarzyły się w świetle. Miał zgarbione ramiona, a Luce znów poczuła, że musi się w nich schować. Potrząsnęła swoją głową, i tiptopami zbliżyła się by mieć lepszy widok na niego. Stąd, nie była pewna, ale wyglądał jakby coś szkicował.

Kiedy Luce obserwowała nieznaczne ruchy jego ciała, kiedy szkicował, czuła jakby płonęli, jakby połykała coś gorącego. Nie potrafiła wytłumaczyć sobie przyczyny ani powodu tego dziwnego przeczucia, że Daniel szkicuje właśnie ją.

Nie mogła do niego podejść. W końcu, nawet go nie знаła, nigdy z nim nie rozmawiała. Ich cała komunikacja obejmowała jeden środkowy palec i wiele brzydkich spojrzeć. Ale z jakiegoś powodu, stało się dla Luce rzeczą wyjątkowo ważną, żeby się dowiedzieć kogo lub co Daniel szkicował. I wtedy ją to uderzyło. Ten sen, który miała wczoraj w nocy. Mały przebłysk, którego nagle doznała. W jej śnie, było późno w nocy- wilgotno i chłodno, była ubrana w coś długiego i zwiewnego. Stała za zasłoną okna w nieznanym jej pokoju. Był z nią jeden mężczyzna.... albo chłopiec – ale nigdy nie widziała jego twarzy. Szkicował jej portret na grubej podkładce. Jej włosy. Jej szyję. Precyzyjny zarys jej profilu. W tym śnie, stała za nim tak jak teraz za Danielem, bojąc się, że ją na tym przyłapie, ale za bardzo zafascynowana, by móc po prostu odejść.

Luce drgnęła, kiedy poczuła czyjeś uszczyplenie na swoich ramionach, czegoś unoszącego się nad jej głową. Cienie powróciły niczym czarna, gruba zasłona.

Bicie jej serca było tak głośne, że czuła je w swoich uszach, tak, że blokowało mroczny szelest cieni, blokowało też odgłos jej własnych kroków. Daniel zerknął na nią z nad swojego szkicu i wyglądało to tak jakby patrzył dokładnie na cienie nad jej głową, ale szybko odwrócił wzrok.

Oczywiście, nie mógł ich widzieć. Jego uwagę przykuło teraz coś co znajdowało się za oknem. Gorąco jakie czuła, stawało się coraz mocniejsze. Była teraz bliska tego, by ciepło wprost wypłynęło spod jej skóry.

Tak spokojnie jak tylko była w stanie, spojrzała przez jego ramię na szkicownik. I przez sekundę wydawało jej się, że widzi zarys swojej nagiej szyi na papierze. Ale kiedy zamrugała i ponownie spojrzała na szkicownik, głęboko się

rozczarowała.

To był krajobraz. Daniel szkicował widoczny za oknem cmentarz, ze wszystkimi detalami. Luce nigdy nie widziała czegoś, co by ją przyprawiło o taki smutek. Nie wiedziała dlaczego. To było szaleostwo- nawet jak na nią- spodziewać się, że jej dziwaczne przecucie jest prawdą. Daniel nie miał żadnego powodu by ją szkicować. Wiedziała o tym. Tak jak nie знаła żadnego powodu by mogła na jego punkcie zwariować, tak jak się to stało dziś rano. A jednak to się stało.

- Co ty tutaj robisz? – zapytał Daniel. Zamknął swój szkicownik i wyglądał tak poważnie. Jego pełne usta ułożyły się teraz w prostą linię, a jego szare oczy patrzyły tępo. Nie wyglądał jakby był zły, na razie, wyglądał jakby był wyczerpany.

- Przyszłam, żeby wypożyczyć sobie książkę ze Specjalnej Kolekcji.- powiedziała Luce drżącym głosem. Ale kiedy już to powiedziała, rozejrzała się wokół i szybko zrozumiała swój błąd. Kolekcja Specjalna to nie jest inny dział biblioteki, tylko otwarta część niej poświęcona sztuce na temat wojny domowej. Ona i Daniel stali w malutkiej galerii z brązowymi odznaczeniami za bohaterską walkę, ze szklaną gablotką z wekslami i mapami Konfederatów. To była jedyna część biblioteki, w której nie było ani jednej książki.

- No to życzę powodzenia.- powiedział Daniel, otwierając znowu swój szkicownik, co oznaczało, że się z nią żegna.

Luce utknął język w gardle z zażenowania i wszystko czego pragnęła, to uciec stąd. Ale wtedy spojrzała w górę, tam gdzie cienie wciąż się czały i, z jakiegoś niezrozumiałego powodu poczuła się lepiej, wiedząc, że są blisko, kiedy ona i Daniel są tu razem. Nie miało to sensu- ale poczuła jakby tylko Daniel mógł ją przed nimi ochronić.

Tkwiała więc w miejscu. Daniel zerknął na nią i westchnął.

- Lubisz, kiedy ktoś cię bacznie obserwuje?

Luce pomyślała o cieniach i o tym co one teraz wyprawiają. Bez namysłu potrząsnęła swoją głową. - W takim razie jest nas dwoje. – powiedział zdecydowanie, dając jej do zrozumienia, że dla niego to ona jest intruzem.

Może powinna mu wytłumaczyć, że zobaczyła światełko przed swoimi oczami, i że poczuła że powinna na chwilę usiąść. Zaczęła więc mówić:

- Posłuchaj, mogę.....

Ale Daniel zamknął szkicownik i stanął na równe nogi.

- Przyszedłem tutaj, by być z dala od wszystkich. – powiedział ucinając jej. – Jeśli ty nie zamierzasz wyjść, ja to zrobię.

Schował szkicownik do plecaka. Kiedy przechodził obok niej, szturchnął ją ramieniem. Przez ten jeden, krótki dotyk, nawet przez ubranie mogła poczuć przepływ elektryczności.

Przez sekundę, Daniel się zatrzymał. Odwrócili się do siebie twarzami, a

Luce otworzyła usta by móc coś powiedzieć. Ale zanim zdążyła to zrobić, Daniel obrócił się na pięcie i szybko poszedł w kierunku drzwi. Luce patrzyła jak cienie kłębią się nad jej głową, zaczynają wirować w kółko, by pośpiesznie zniknąć w ciemnej nocy, za oknem.

ROZDZIAŁ 4



CMENTARNA ZMIANA

Achchch, wtorek. Dzień wafelków. Od tak dawna jak tylko Luce pamięta, letnie wtorki oznaczały świeżą kawę, pełną miskę truskawek i bitej śmietany i nie kończący się stos złotobrazowych wafelków. Nawet tego lata, kiedy jej rodzice czuli się w obowiązku martwić o nią, jedyną rzeczą na jaką mogła liczyć był „wafelkowy dzień”. Mogła obrócić się w łóżku we wtorkowy poranek i zanim cokolwiek do niej dotarło, instynktownie już wiedziała jaki to dzień. Luce wciągnęła powietrze przez nos, a że nie poczuła nic, zrobiła to powoli ponownie, tym razem z entuzjazmem. Ale nie, nie było żadnego zapachu śmietankowego masła, nic poza octowym zapachem łuszczącej się farby. Przetarła sennie oczy i rozejrzała się po ciasnej sypialni. Wyglądała dokładnie tak, jak wyglądałby pokój przed remontem. I wtedy dotarły do niej zdarzenia z koszmarnego poniedziałku: oddanie telefonu komórkowego, kotletowy incydent i błyszczące oczy Molly w stołówce, Daniel, szturchający ją w ramię w bibliotece. Luce nie miała pojęcia co sprawiło, że był taki złośliwy.

Podniosła się by wyjrzeć przez okno. Wciąż było ciemno, bo słońce jeszcze nie wzniosło się ponad horyzont. Nigdy nie obudziła się tak wcześnie. I o ile dobrze pamięta to nie widziała jeszcze nigdy wschodu słońca. Tak naprawdę to coś w oglądaniu wschodów słońca przyprawiało ją o dreszcze. Może dlatego, że czekając na wschód słońca, siedzi sama w ciemności, patrząc na rząd drzew. Najlepszy czas na to by pojawiły się cienie. Westchnęła głośno z nostalgią, i było to tego rodzaju długie westchnienie, które wprowadziło ją w jeszcze bardziej samotny i nostalgiczny nastrój. Co niby będzie robić bladym świtem, przez trzy godziny, zanim zaczną się jej pierwsze zajęcia? Bladym świtem- chyba skądś zna to stwierdzenie? O, cholera. Miała się stawić na cmentarzu. Wygrzebała się z łóżka, przewracając się o swoją wciąż nie rozpakowaną torbę i pociągając za nudny czarny sweter, ułożony na szczycie innych nudnych czarnych swetrów i włożyła na siebie czarne jeansy, które miała na sobie wczoraj. Skrzywiła się kiedy spojrzała na swoje przygniecione od spania włosy i próbowała je zebrać w kucyk, pędząc do drzwi.

Zrobiła wydech kiedy dotarła do misternej, wysokiej do pasa, kutej w żelazie bramy cmentarnej.

Ogarnął ją przytłaczający zapach zgniłej kapusty i uczucie, że została tu

sama ze swoimi myślami. Gdzie są wszyscy? Czy oni mieli się stawić gdzie indziej niż ona? Spojrzała na zegarek. Było już piętnaście po szóstej.

Mieli się wszyscy spotkać na cmentarzu, a Luce była prawie pewna że nie ma tu drugiego wejścia.

Stała na progu gdzie twardy asfalt parkingu, łączył się z błotnistą drogą pełną chwastów. Spostrzegła w oddali mniszka lekarskiego, który przywołał w niej wspomnienia z czasów kiedy była młodsza. Rzuciła się zawsze ku niemu i myślała marzenie po czym zdmuchiwała go. Ale teraz, marzenia Luce są zbyt wielkie by mógł je spełnić.

Delikatne bramy dzieliły teren cmentarza od parkingu, co było dość niezwykle zważywszy na to, że reszta bram pokryta była drutem kolczastym. Luce dotknęła bramy jeżdżąc palcem po bogato zdobionym kwiecistym wzorze. Bramy musiały pochodzić z czasów wojny domowej o której wspomniała Arriane, kiedy to na cmentarzu chowano poległych żołnierzy. Zanim szkoła przejęła ten teren, nie było to schronienie dla niesfornych świrusów. Niestety teraz teren jest zarośnięty i tajemniczy.

To było dziwne- cały kampus był płaski jak kartka papieru, ale jakimś cudem cmentarz miał wklęsły niczym miska kształt. Z miejsca w którym stała mogła dostrzec całe nachylenie rozległego terenu. Rząd za rzędem prostych nagrobków, wyglądających niczym widzowie na jakieś arenie.

Zaraz przed Luce była ścieżka, prowadząca w kierunku środka cmentarza i tym samym najniższego jego punktu, wykręcająca się w labirynt pomiędzy rzeźbionymi grobami, marmurowymi posągami i mauzoleum- prawdopodobnie Konfederatów, albo innych żołnierzy, którzy przybyli tu z pieniędzmi. Na pewno z bliska wyglądało to bardzo pięknie, ale stąd raczej jakby ciągnęło cały cmentarz w dół, osuszając brzegi cmentarza z wody.

Luce usłyszała za sobą kroki. Obróciła się gwałtownie i zobaczyła ciemną, krótką postać stojącą za drzewem. Penn! Musiała oprzeć się pragnieniu, by ją uściskać. Nigdy nie cieszyła się tak bardzo z czyjejs obecności – choć trudno było uwierzyć że Pen też miała się tutaj stawić.

- Czy ty się aby nie spóźniłaś?- zapytała Penn, zatrzymując się kilka kroków przed Luce i potrząsając zabawnie głową, jakby dawała jej do zrozumienia: „biedna nowicjuszko”.

- Stoję tu i czekam już od dziesięciu minut. – odpowiedziała Luce. – Czy tylko ty jedna się spóźniłaś?

Penn uśmiechnęła się z wyższością.

- Absolutnie nie. Ja tylko jestem rannym ptaszkiem. Nigdy nie byłam tu wzywana. – wzruszyła ramionami i podsunęła swoje purpurowe okulary wyżej na nos. – Ale ty i owszem, razem z pozostałymi pięcioma nieszczęsnymi duszyczkami, które pewnie się wściekają, że muszą tyle na ciebie czekać, tam w

dole przy monolicie. – Podeszła bliżej Luce i wskazała jej miejsce w kierunku wielkiej kamiennej struktury, znajdującej się na środku najgłębszej części cmentarza. Luce zmrużyła oczy i dostrzegła grupkę czarnych postaci tam zgromadzonych.

- Powiedzieli mi tylko, że mamy się spotkać na cmentarzu. – powiedziała Luce czując swoją porażkę. – Nikt mi nie powiedział dokąd dokładnie mam pójść.

- Cóż, ale ja ci teraz mówię: monolit. A teraz po prostu tam idź. – powiedziała Pen. – Nie sprawisz, że zostaną twoimi przyjaciółmi kiedy przedłużasz ten poranek, bardziej niż to potrzebne.

Luce przełknęła ślinę. Jakaś jej część chciała poprosić Penn, by poszła tam razem z nią. Ścieżka wyglądała stąd jak labirynt, a Luce nie chciała się zgubić na cmentarzu. Poczula się nagle tak bardzo zdenerwowana, że wiedziała iż będzie jej tutaj tylko gorzej. Wykrzywiła swoje palce u ręki tak, że kostki jej strzeliły.

- Luce?- Penn popchnęła ją swoim ramieniem. – Wciąż tu stoisz.

Luce starała się być dzielna i uśmiechnąć się do Penn w stylu :” Dziękuję”, ale wyszło jej to raczej jak niezdarne drgnięcie na twarzy. Popędziła więc po zboczu do samego serca cmentarza. Słońce wciąż nie wzeszło, ale było już tego bliskie, a te kilka minut przed świtem- przerażało ją najbardziej. Pomknęła prosto między rzędami gładkich nagrobków. Kiedyś płyty pewnie stały prosto, lecz teraz były pochylone jedna ku drugiej sprawiając wrażenie, jakby były to ułożone, makabryczne kostki domina. Jej czarne Conversy zatapiały się w kałużach błota, skrzypiąc na podmokłych liściach. Kiedy minęła prostą część terenu i bogato zdobione nagrobki, ziemia stała się mniej spłaszczona, a wtedy poczuła, że się zgubiła. Zatrzymała się próbując złapać oddech. I wtedy usłyszała czyjeś głosy. Jeśli tylko wychyli się jeszcze bardziej, na pewno usłyszy skąd dobiegają.

- Czekam jeszcze tylko pięć minut, a potem idę. – powiedział chłopak.

- Szkoda tylko, że nie masz w tej sprawie nic do powiedzenia panie Sparks. – to był ten sam prostacki głos, który Luce miała okazję usłyszeć na wczorajszych zajęciach. To była pani Tross – Albinoska. Po całym zajściu w stołówce, Luce spóźniła się na jej zajęcia co właściwie nie sprawiło, że nauczycielka stała się dla niej przychylna a wręcz była dla niej oschła.

-A może ktoś jeszcze chce stracić swój przywilej spotkań towarzyskich w tym tygodniu.- Luce usłyszała pojękiwania wśród drzew. – A więc będziemy czekać cierpliwie, jakbyśmy nie mieli nic lepszego do roboty, do momentu kiedy panna Price zdecyduje się do nas dołączyć.

- Już jestem.- wydyszała Luce, okrążając olbrzymiego cherubina. Pani Tross stała z rękoma opartymi na biodrach, ubrana w tą samą zwariowaną hawajską sukienkę w kolorze czarnym co wczoraj. Jej cienkie msysio brązowe włosy były przyklapnięte, a matowo brązowe oczy wyrażały całą jej irytację z powodu spóźnienia Luce. Biologia nigdy nie była mocną stroną Luce, na dodatek była

daleka od tego by wzbudzić w pani Tross jakąkolwiek przychylność.

Za Albinoską stała Arriane, Molly i Roland, chodzący wokół cokołu na którym stał wielki posąg anioła. W porównaniu z pozostałymi posągami, ten wydawał się być nowszy, bielszy, wytworniejszy. W końcu stanął obok wyrzeźbionego uda anioła przy którym- jak wcześniej Luce nie zauważyła- stał Daniel. Był ubrany w czarną skórzaną kurtkę a wokół szyi miał przewiązany jasno czerwony szalik, który tak rzucił się w oczy Luce wczoraj. Luce spojrzała na jego rozczochrane włosy, których pewnie nie zdążył ułożyć po tym jak się przebudził.....co z kolei spowodowało, że Luce zaczęła się zastanawiać jak wygląda Danie kiedy śpi....co spowodowało, że Luce intensywnie się zarumieniła, gdy powoli opuszczała wzrok z linii jego włosów na jego oczy, by potem poczuć się zupełnie upokorzona.

On wciąż był na nią zły.

- Przepraszam.- powiedziała niewyraźnie. – Nie wiedziałam gdzie dokładnie mieliśmy się spotkać.

Przysięgam...

- Daruj sobie. – powiedziała pani Tross, przeciągając palcem wzdłuż swojego gardła. – Zmarnowałaś nam wszystkim wystarczająco dużo czasu. Jestem pewna, że wszyscy zapamiętamy tą podłą nieostrożność, której się dopuściłaś, spóźniając się. I możecie o tym pomyśleć przez całe dwie najbliższe godziny waszej pracy. Łączyć się w pary. Zasady są proste.- zerknęła na Luce i wypuściła powietrze. – No dobrze, kto chce mieć protegowaną?

Luce z przerażeniem stwierdziła, że wszyscy nagle wpatrują się w swoje stopy. Po minucie tortur, piąty uczeń wychylił się zza rogu mauzoleum.

- Ja. – to był Cam. Jego koszulka z dekoltem w serek blisko przylegała do jego szerokich ramion. Był prawie o stopę wyższy od Rolanda, który przesunął się w bok, kiedy Cam minął go i podążył w kierunku Luce. Nie odrywał od niej oczu, kiedy zbliżał się do niej dużymi krokami, poruszając się gładko i pewnie. Z taką łatwością dopasował swój ubiór, który narzuciła ta szkoła, że Luce poczuła się o to zazdrosna. Po części chciałyby odwrócić wzrok od jego oczu, czując się zażenowana tym, że wszyscy ich obserwują, ale z drugiej strony była nim zauroczona. Nie potrafiła przestać się w niego wpatrywać- zanim Arriane nie stanęła między nimi.

- Zaklepana. – powiedziała. – Powiedziałam, że jest zaklepana.

- Wcale nie.- powiedział Cam.

- Właśnie, że tak, tylko mnie nie słyszałeś schowany za tamtą dziwną grzędą. – słowa wprost pędziły z ust Arriane. – Ja ją chce.

- Ja....- Cam zaczął odpowiadać. Arriane uniosła swoją głowę w geście wyczekiwania. Luce przelknęła nerwowo ślinę. Czy zamierzał powiedzieć, że także ją chce? Czy nie mogliby po prostu o tym zapomnieć i odbywać swoją karę tak jak

pozostała trójka?

Cam poklepał Luce po ramieniu. – Zobaczmy się później, dobrze? – powiedział, zupełnie jakby miała być to obietnica, której zamierzał dotrzymać.

Pozostali uczniowie przeskakiwali przez nagrobki, by zgromadzić się przy szopie. Luce podążyła za nimi, trzymając się kurczowo Arriane, która bez słowa podała jej potem grabie.

- Więc, wolisz mściwego anioła, czy obejmujących się kochanków?

Nie wspomniała nic o wczorajszym incydencie, ani o swoim liściku, i Luce miała przeczucie, że nie powinna teraz poruszać któregoś z tych tematów. Zamiast tego podniosła głowę do góry by przyjrzeć się otaczającym ją dwóm wielkim posągom. Ten bliżej niej wyglądał jak całujący Rodin. Mężczyzna i kobieta w miłosnym uścisku. W Dover uczyła się o francuskiej kulturze, a Rodin wydawał jej się najbardziej romantycznym jej częścią. Niestety teraz było jej ciężko patrzeć na obejmujących się kochanków i nie myśleć o Danielu. Daniel. Który ją nienawdził. Jeśli potrzebowałaby na to kolejnego dowodu, zaraz po tym jak w zasadzie uciekł przed nią z biblioteki wczoraj wieczorem, to wystarczyło przypomnieć sobie jego piorunujące spojrzenie dzisiejszego ranka.

- Gdzie jest ten mściwy anioł?- zapytała Arriane z westchnieniem.

- Bardzo dobry wybór. Tam. – Arriane poprowadziła Luce do masywnego, marmurowego posągu anioła, który ratował ziemię przed uderzeniem pioruna. Z pewnością wszystkie te posągi kiedyś wyglądały bardzo interesująco, ale teraz były stare, brudne, pokryte błotem i zielonym mchem.

- Nie bardzo rozumiem,- powiedziała Luce. – Co właściwie mamy tu robić?

- Szuru-szuru-szur.- prawie zaśpiewała Arriane. – Lubię udawać, że ich kąpie.- A zaraz po tym wdrapała się na ogromnego anioła, przerzucając swoje nogi przez ramię, które miało zatrzymać piorun, jakby cały posąg był jakimś starym dębowym drzewem, na które można się wspiąć. Bojąc się spojrzeć w stronę pani Tross, by nie narobić sobie więcej kłopotów, Luce zaczęła grabić ziemię wokół posągu. Nie ubrała się odpowiednio do tego rodzaju błotnistej pracy fizycznej. W Dover nigdy nie odbywała żadnej kary, no może tych kilka wyjątków, kiedy musiała napisać sto razy na kartce: Nie będę przepisywać prac domowych z Internetu.

Ale tutejsze kary są bardziej brutalne. I to wszystko przez wczorajszą bójkę z Molly w stołówce. W sprawie kar, nie chciałaby tu wydawać osądów, ale mycie z błota pomników ludzi, którzy i tak przez stulecie już nie żyją? Luce naprawdę nienawdziła swojego życia tutaj.

Słońce właśnie wychyliło się zza drzew, ale niewiele różniło się kolorem od cementarza. Luce od razu poczuła. W końcu mogła dostrzec więcej niż tylko czubki swoich butów. W końcu mogła zobaczyć Daniela....pracującego ramię w ramię z Molly. Serce jej stanęło. Wszystkie nadzieje- zniknęły.

Spojrzała na Arriane, która posłała jej jedno z tych swoich sympatycznych spojrzeć i pracowała dalej.

- Hej, - Luce wyszeptała głośniej. Ale Arriane przytknęła swojego palca do ust i skinęła na Luce, by ta wspięła się wyżej, blisko niej. Luce chwyciła się ramienia anioła i wspięła się wyżej na cokół. Kiedy była pewna, że nie spadnie, wyszeptała: - Więc....Daniel przyjaźni się z Molly?

Arriane prychnęła. – Nie ma mowy, oni się po prostu nienawidzą. – powiedziała szybko, a potem zrobiła przerwę. – A czemu pytasz?

Luce wskazała w kierunku tych dwojga, jakkolwiek oczyszczających swój nagrobek. Stali blisko siebie, opierając się o swoje grabie i rozmawiając o czymś, czego Luce desperacko chciałaby się dowiedzieć. - Dla mnie wyglądają jak przyjaciele.

- To jest kara.- powiedziała kategorycznie Arriane. – Mieli się dobrać w pary. Myślisz, że Roland i Pan Mięśniak też są przyjaciółmi?- wskazała na Rolanda i Cam'a. Byli na najlepszej drodze do dyskusji na temat pracy przy posągu kochanków. – Podczas kary się przyjaźnimy, ale nie oznacza to, że przyjaźnimy się także poza nią.- Arriane odwróciła się w stronę Luce, która poczuła, że twarz jej opada, mimo jej wysiłku by wyglądać na nieurazoną.

- Słuchaj, Luce, nie to miałam na myśli....- przeciągła Arriane. – W porządku, poza tą dzisiejszą dwudziesto minutową stratą czasu, którą nam zafundowałaś, nie mam nic przeciwko tobie. A nawet myślę, że na swój sposób jesteś bardzo interesująca. Taka świeża. I całkowicie nie rozumiem, czego oczekujesz po tej swojej kliwej i wylewnej przyjaźni w Sword & Cross. Pozwól, że będę pierwsza, która ci to powie: Nie jest tak łatwo się tutaj przyjaźnić. Każdy z uczniów przyszedł tu z własnym bagażem. I mam przez to na myśli, że każdy z nas odbywa tu swoją karę i każdy z nas jest pewnego rodzaju pięćdziesięciokilowym bagażem. Rozumiesz?

Luce wzruszyła ramionami, czując się zażenowana. – Ja tylko zapytałam.

Arriane zachichotała. – Zawsze tak się bronisz? Co do licha zrobiłaś, że się tu znalazłaś?

Luce nie czuła się na siłach by o tym teraz mówić. Może Arriane ma rację z tym, że nie powinna szukać tu sobie przyjaciół. Zeskoczyła na dół do podstawy posągu by móc znów zająć zdrapywaniem mchu. Na jej nieszczęście, zaintrygowało to Arriane, która także zeskoczyła na dół, wzięła grabie i zagroziła Luce drogę, tak że ta nie mogła się ruszyć z miejsca.

- No powiedz mi, powiedz, powiedz. – prosiła. Twarz Arriane znajdowała się tak blisko twarzy Luce. Zupełnie jak wczoraj, zaraz po atakach drgawek Arriane. Był taki moment, prawda? Jakaś część Luce była gotowa na to by z kimś o tym porozmawiać. Minęło już tak dużo czasu od tego dusznego lata. Westchnęła i oparła czoło o swoje grabie. Była zdenerwowana, a w ustach poczuła jakiś słony

smak, którego nie mogła przełknąć. Ostatnim razem kiedy próbowała sobie wszystko przypomnieć- była w sądzie. Chciałaby żeby obie po prostu o tym wszystkim zapomniały, ale Arriane zdawała się wciąż czekać na ciąg dalszy, i w końcu słowa same pchały się jej na język.

- Byłam tamtej nocy z przyjacielem. – zaczęła wyjaśniać, biorąc głęboki, długi wdech. – I stało się coś okropnego. – zamknęła swoje oczy, modląc się by czasem wspomnienia nie przewinęły się niczym film pod jej powiekami. – Wybuchł pożar. Ja z tego wyszłam...ale on nie.

Arriane ziewnęła, jakby historia Luce wcale nie była taka straszna.

- W każdym bądź razie,- Luce ciągnęła dalej – Po wszystkim, nie pamiętałam szczegółów, jak do tego doszło. To co pamiętałam- powiedziałam sędziemu, a on najwyraźniej stwierdził, że zwariowałam. – Próbowała się uśmiechnąć, ale był to wymuszony uśmiech. Ku jej zdziwieniu, Arriane uścisnęła jej ramiona. I przez sekundę, jej twarz wykrzywiła się w prawdziwym uśmiechu. Ale zaraz po tym uśmiechnęła się z wyższością.

- Nas wszystkich źle rozumiano, nieprawdaż?- Arriane wbiła swój palec w brzuch Luce. – Wiesz, Roland i ja kiedyś rozmawialiśmy o tym, że nie ma tu z nami żadnego przyjaciela piromana. A wszyscy wiemy, że potrzeba wielkiego ognia by sprawić psikusa szkole i ją podpalić. – Chyba już coś knuła. – Roland myślał, że może ten nowy – Todd.... Ale ja stawiałam na ciebie. Musimy kiedyś razem po współpracować.

Luce przełknęła głośno ślinę. Nie była podpalaczką. Ale zmusiło ją to do zastanowienia się nad swoją przeszłością; choć nie czuła się nawet tak, jakby musiała być za coś ukarana.

- Och, poczekaj jak Roland to usłyszy. – powiedziała Arriane, rzucając swoimi grabiami. – Jesteś spełnieniem naszych marzeń. – Luce otworzyła swoje usta by móc zaprotestować, ale Arriane już nie było. Super – pomyślała Luce, słysząc odgłos butów Arriane, chlupiących w błocie. To już kwestia czasu kiedy plotki oblecą cały cmentarz i dojdą do Daniela.

Teraz już stojąc sama, spojrzała w górę na posąg. Myślała, że oczyściła większą część posągu z mchu, ale ten wyglądał na bardziej brudnego niż przedtem. Cały ten plan oczyszczania jest bezcelowy. Wątpiła czy ktokolwiek przychodzi tu z wizytą. Wątpiła też w to, że którekolwiek z karanych wciąż pracuje.

Jej oczy powędrowały w kierunku Daniela, który wciąż pracował. Uważnie używał szczotki drucianej by usunąć jakąś pleśń z brązowej inskrypcji na nagrobku. Podciągnął rękawy swojego swetra tak, że Luce mogła zobaczyć jego mięśnie, które napinały się kiedy szczotkował. Westchnęła i – na co nie miała wpływu- oparła łokieć o posąg anioła i przyglądała mu się.

Zawsze jest taki pracowity.

Luce natychmiast potrząsnęła swoją głową. Skąd dochodził ten głos? Nie

bardzo też wiedziała, co to miało oznaczać. A chyba była jedyną, która o nim myślała. Jej mózg czasem płała jej figle, tak jak wtedy gdy próbuje zasnąć. Ten bezsensowny bełkot, którego nigdy nie może się pozbyć ze swoich snów. Ale teraz stoi tutaj- w pełni rozbudzona. Musi sobie odpuścić trochę Daniela. Zna go od wczoraj, a już czuje, że nie może mu się oprzeć nawet w tym obcym, nieznanym miejscu.

- Radzę ci się trzymać od niego z daleka. – powiedział ktoś za nią chłodnym głosem. Luce obróciła się w poszukiwaniu Molly, którą zastała w takiej samej pozycji co wczoraj: z rękoma na biodrach i z błyszczącymi kolczykami w nosie. Penn powiedziała jej, że Sword & Cross zaskakuje zasadą, pozwalającą uczniom na noszenie kolczyków własnej roboty, ale zabrania noszenia diamentowych kolczyków w uszach.

- Od kogo?- spytała Luce, wiedząc że brzmi to idiotycznie.

Molly wywróciła oczami. – Lepiej uwierz, że uganianie się za Danielem to bardzo, bardzo zły pomysł.

Zanim Luce zdążyła odpowiedzieć, Molly zniknęła. Ale Daniel – zupełnie jakby usłyszał swoje imię – patrzył prosto na nią. A potem już szedł prosto do niej. Wiedziała, że słońce przysłoniły chmury. Jeśli tylko mogłaby oderwać od niego oczy, mogłaby spojrzeć do góry i się o tym przekonać. Ale nie mogła spojrzeć w górę, nie mogła odwrócić od niego wzroku i z jakiegoś powodu musiała zmrużyć oczy, kiedy na niego patrzyła. Zupełnie jakby Daniel świecił swoim własnym światłem, oślepiając ją. W uszach jej szumiało i trzęsły jej się kolana. Chciała podnieść swoje grabie i udać, że nie widzi jak on się zbliża. Ale było na to za późno.

- Co ona ci powiedziała? – zapytał.

- Hmm, - zająkała się, zmuszając swój umysł do wymyślania jakiegoś sensownego kłamstwa. Ale nic nie przyszło jej do głowy. Wygięła swoje palce tak, że strzeliły jej kości.

Daniel otoczył jej dłonie swoimi. – Nienawidzę, kiedy to robisz.

Luce drgnęła instynktownie. Dotyk jego dłoni był taki przelotny, a jednak na twarzy Luce wypłynął rumieniec. Nie mogło go irytować to, że strzelała kostkami, prawda? Znaczący, że kiedy powiedział, że nienawidzi gdy ona to robi, to nie miał na myśli tych wszystkich wcześniejszych razy. Przecież ledwo ją znał. Ale dlaczego miała przecucie, że to już wcześniej było?

- Molly powiedziała mi, żebym trzymała się od ciebie z daleka. – powiedziała w końcu.

Daniel przechylił głowę raz w jedną raz w drugą stronę, jakby to rozważał. – I pewnie ma rację.

Luce zadrżała. Cienie unosiły się nad nimi, przysłaniając twarz anioła tak bardzo, że Luce zaczynała się martwić. Zamknęła oczy i próbowała złapać oddech,

modląc się by Daniel nie powiedział nic dziwnego. Luce spanikowała. Chciała uciec, ale nie mogła. Co będzie jeśli się zgubi na tym cmentarzu?

Daniel podniósł swój wzrok w górę. – Co jest?

- Nic.

- A więc, co zamierzasz zrobić? – zapytał, krzyżując swoje ręce na piersi, rzucając jej wyzwanie.

- Co to ma być? – powiedziała. – Kalambury.

Daniel zbliżył się do niej o krok. Był teraz może o krok od niej. Luce wstrzymała oddech. Jej ciało kompletnie się spięło. Czekala.

- Zamierzasz się trzymać ode mnie z daleka? – jego głos zabrzmiał prawie tak, jakby z nią flirtował. Ale ciało Luce nie zareagowało tak jak powinno. Na czoło wyszedł jej pot, ścisnęła dwoma palcami swoją skroń próbując odzyskać władzę nad swoim ciałem, próbując wydostać się spod jego kontroli. Jej ciało odmawiało jakiegokolwiek flirtu. Oczywiście, jeśli on z nią flirtował.

Zrobiła jeden krok w tył. – Najwyraźniej tak.

- Nie słyszałem, co powiedziałaś? – wyszeptał, podnosząc brwi i robiąc kolejny krok do przodu, zbliżając się do niej.

Luce zrobiła kolejny krok do tyłu, tym razem większy. Praktycznie weszła na podstawę posągu, i mogła poczuć twardą część stopy anioła, wbijającą się w jej plecy. Przez sekundę, ciemne, chłodne cienie śmigaly nad ich głowami. Mogłaby przysiąc, że Daniel drży będąc blisko niej.

I wtedy głośny trzask czegoś ciężkiego przestraszył ich oboje. Luce z trudem złapała powietrze, kiedy marmurowy posąg zachwiał się nad nimi, niczym konar drzewa, kołyszący się na wietrze. Przez moment wyglądał jakby unosił się w powietrzu.

Daniel i Luce stali wpatrzeni w anioła. Oboje wiedzieli, że spadnie prosto na nich. Głowa anioła pochylila się powoli w ich kierunku, zupełnie jakby się modlił, a potem cały posąg szybko się uniosł po czym zaczął opadać w dół. Luce poczuła rękę Daniela obejmującą ją ciasno w talii, zupełnie jakby wiedział, gdzie się ona zaczyna a gdzie kończy. Drugą ręką zasłonił jej głowę i zmusił ją by ją pochylila dokładnie wtedy gdy posąg zmierzał w ich kierunku. A dokładniej -w miejsce gdzie stali. Pierwsza na błoto upadła głowa, omijając niewielki trójkąt na którym przykucali Daniel i Luce, stopy anioła wciąż spoczywały na cokole. Oboje dyszeli, nos przy nosie, Daniel z paniką w oczach. Ich ciała od posągu dzieliło tylko kilka cali.

- Luce? – wyszeptał Daniel. Ale Luce była w stanie tylko skinąć głową. Jego oczy zwęziły się. – Co widziałaś?

Pojawiła się nagle czyjaś dłoń i Luce poczuła, że ktoś ją wypycha spod posągu. Najpierw poczuła, że coś wpija się w jej plecy a potem uniosła się w powietrze. Spozstrzegła błysk słońca. Wszyscy odbywający kare, wpatrywali się w

nią. Wszyscy, poza panią Tross, która parzyła gniewnie i Cam'em, który pomagał jej wstać.

- Jesteś cała? – zapytał Cam, obiegając ją wzrokiem, szukając otarć i strzepując coś brudnego z jej ramion. – Zauważyłem, że posąg się rusza, więc podbiegłem i próbowałem go podtrzymać ale on już..... Musiałaś być przerażona.

Luce nie odpowiedziała. Przerażona to za mało powiedziane. Daniel, który już się podniósł, nawet nie podeszedł się zapytać czy z nią wszystko w porządku. Po prostu wstał i odszedł.

Luce zacisnęła szczęki patrząc jak on odchodzi, patrząc jak nikt nie zwraca uwagi na to, że nikt go jeszcze nie zwolnił od wykonywania kary.

- Coś ty zrobiła? – zapytała pani Tross.

- Nie wiem. W jednej sekundzie, staliśmy tam- Luce zerknęła na panią Tross- hm, pracując. A w następnej, wiedziałam tylko, że posąg spada w dół.

Albinoska pochyliła się, żeby przyjrzeć się rozbitemu aniołowi. Jego głowa roztrzaskała się na dwie połowy. A ona zaczęła coś mamrotać o sile natury i starych kamieniach.

ROZDZIAŁ 5



WEWNĘTRZNY KRĄG

- Nigdy więcej mnie tak nie strasz! – Callie ganiła Luce w środowy wieczór.

Było już po zmroku, a Luce stała w wąskiej, beżowej budce telefonicznej ograniczającej jej ruchy, i znajdującej się naprzeciw biura. Nie było tu mowy o jakiejś prywatności, ale nie było też wokół nikogo kto mógłby podsłuchiwać. Luce wciąż bolało ramię po wczorajszym zdarzeniu na cmentarzu a jej duma została mocno zraniona tym, że Daniel tak ją potraktował zaraz po wyciągnięciu ich spod posągu. Ale na te piętnaście przyznanych jej błogich, gorączkowych minut rozmowy z jej najlepszą przyjaciółką, z której słowa wprost wypływały, starała się całe to zdarzenie wymazać z pamięci. Było tak miło usłyszeć ten wysoki, kołyszący się ton głosu Callie, który Luce tak lubiła a który teraz wprost krzyczał.

- Obiecywałyśmy sobie, że nie przestaniemy ze sobą rozmawiać nawet przez godzinę. – Callie kontynuowała oskarżycielsko. – Myślałam, że pożarli cię żywcem. Albo zamknęli cię w jakimś odosobnionym miejscu, w jednym z tych kaftanów bezpieczeństwa, w którym musisz przegryźć dziurę w rękawie, żeby móc się podrapać po twarzy. A wszystko czego się dowiedziałam to to, że musiałas przejść dziewięć kółek z.....

- Dobrze już, mamusiu. – powiedziała Luce śmiejąc się i wczuwając się w rolę instruktora jogi powiedziała: - Spokojnie. – Przez nikły moment poczuła się winna tego, że korzystając tylko z jednego telefonu, nie zadzwoniła do mamy. Ale wiedziała, że Callie zbeształaby ją gdyby się dowiedziała, że Luce nie przejęła się tym, że ta próbowała się usilnie z nią skontaktować. Z drugiej jednak strony kojąco wpływał na nią histeryczny głos Callie. To był zresztą jeden z tych powodów, dla których obie tak dobrze do siebie pasowały: Jej najlepsza przyjaciółka na szczycie paranoi, która kojąco wpływa na Luce. Mogła sobie wyobrazić Callie w jej sypialni w Dover, chodzącą tam i powrotem po swoim jasno pomarańczowym dywaniku, z fluidem na twarzy rozproszonym w kształcie litery T i piankami separującymi jej palce u stóp, gdzie właśnie zrobiła sobie pedicure w kolorze fuksji.

- Nie nazywaj mnie mamusią. – wydyszała Callie. – Zacznij opowiadać. Jakie są pozostałe dzieciaki? Czy wszyscy są przerażający tak jak w filmach? Jakie są zajęcia? Jak jest jedzenie?

Stojąc przy telefonie, Luce mogła usłyszeć, że po drugiej stronie leci „Roman Holiday” w telewizji.

Ulubioną sceną Luce w tym filmie była ta, kiedy Audrey Hepburn budzi się w pokoju Gregory'ego Peck'a przekonując go, że ubiegła noc była tylko snem. Luce zamknęła oczy i próbowała sobie wyobrazić tą scenę. Naśladując senny szept Audrey, który Callie na pewno rozpozna zacytowała: - To był mężczyzna, który wiele dla mnie znaczył. I było cudownie.

- No dobra Księżniczko, ale ja chcę usłyszeć coś o twoim życiu.- przekomarzała się Callie.

Niestety w Sword & Cross nie było nic, co można by uznać za cudowne. Myśląc o Danielu, och, chyba osiemdziesiąty raz dzisiaj, zdała sobie sprawę, że jedyną rzeczą w jej życiu, która jest zgodna z filmem

„Roman Holiday” jest to, że tak jak Audrey była zauroczona facetem, który był agresywnie nieuprzejmy i nie interesował się nią. Luce oparła swoją głowę na beżowe linoleum, którym były wyściełane ściany budki. Ktoś na nim wyrył słowa ZATRZYMAJ MÓJ CZAS. W normalnych okolicznościach Luce wprost rozplątywała by się w słowach, opowiadając Callie o Danielu.

Ale z jakiegoś powodu tego nie zrobiła.

Cokolwiek miałyby powiedzieć o Danielu, nie mogła się opierać na tym co się aktualnie między nimi dzieje. Callie była tego typu dziewczyną, której należało pokazać, że jest się jej wartym. Nie chciałyby słuchać o tym, ile razy jakiś chłopak przytrzymał Luce drzwi, by mogła przez nie przejść, czy jak zauważył jej doskonały francuski akcent. Callie nie widziała nic złego w chłopakach, którzy pisali jakieś sentymentalne, miłosne wiersze, których Luce nigdy nie brała na poważnie. Luce chciałyby powiedzieć coś poważnego i krótkiego o Danielu, ale faktem jest to, że Callie bardziej zainteresowałyby opowieści o kimś takim jak Cam.

- No cóż, jest tu pewien chłopak. – Luce wyszeptała do słuchawki.

- Wiedziałaś. – Piszcziała Callie. – Imię.

Daniel. Daniel.

Luce uciszyła tamten głos.

- Cam.

- Dobrze, nieskomplikowane. Podoba mi się. Zaczynaj od początku.

- Więc, w zasadzie nic się jeszcze nie wydarzyło.

- Myślisz, że jesteś boska, bla, bla, bla. Mówiłam ci, żebyś się odcięła od tego wizerunku Audrey. Podaj mi prawdziwe fakty.

- A więc....- przerwała Luce. Usłyszała kroki dochodzące z korytarza. Wychyliła głowę zza budki żeby zobaczyć kto jej zakłóca najlepsze piętnaście minut w całym tym trzydniowym pobycie tutaj.

O wilku mowa. Cam szedł właśnie w jej stronę. Przełknęła głośno ślinę przerażona tym co ślina jej na język przynosi: Dał mi swoją kostkę gitarową. Wciąż ją miała w swojej kieszeni. Cam zachowywał się swobodnie, tak jakby na

szczęście nie słyszał nic co o nim mówiła. I był chyba jedynym uczniem w tej szkole, który nie przebrał się ze swojego szkolnego uniformu zaraz po zajęciach. Ale czarny strój pracował na jego korzyść, o czym nie mogła powiedzieć Luce, która w czerni wyglądała jak kasjerka ze sklepu spożywczego.

Cam wyciągnął złoty kieszonkowy zegarek, i obracał go na długim łańcuszku wokół swojego palca.

Luce przyglądała się tym okręgom zauroczona przez moment, zanim Cam chwycił zegarek i zacisnął go w dłoni.

- Wybacz. – zacisnął usta, zastanawiając się. – Myślałem, że czas na mój telefon zaczyna się o dziewiętnastej. –wzruszył ramionami. – Ale musiałem chyba coś źle przeczytać.

Serce Luce zamarło kiedy spojrzała na swój własny zegarek. Przecież zamieniła z Callie jakieś piętnaście słów, jak to możliwe że już skończył się jej czas?

- Luce? Halo? – zniecierpliwiony głos Callie dochodził z słuchawki. – Naprawdę jesteś dziwna. Czy jest coś o czym mi nie mówisz? Czy ktoś ci mnie zastępuje w tej reformowanej szkole? I co z tym chłopakiem?

Ciiiiii, - syknęła Luce do telefonu. – Poczekaj Cam. – zawołała, trzymając słuchawkę z dala od twarzy. Był już w połowie drogi do budki. – Jeszcze tylko minutkę, ja ...- przelknęła ślinę – ja właśnie kończyłam.

Cam wsunął zegarek do kieszeni swojej czarnej marynarki i podążył w jej kierunku. Uniósł brwi i zaczął się śmiać kiedy usłyszał coraz głośniejszy głos Callie, dobiegający ze słuchawki.

- Nie waż się rozłączać. – protestowała Callie. – Nic mi jeszcze nie powiedziałaś. Nic!

- Nie chciałbym jej wykurzyć . – żartował Cam, pokazując na słuchawkę. – Możesz skorzystać z mojego czasu, a kiedyś mi go oddasz.

- Nie. – powiedziała szybko Luce. Bardzo by chciała dalej móc rozmawiać z Callie, ale pomyślała o tym, że Cam też przyszedł tu żeby móc z kimś porozmawiać. I jak niewiele dzieciaków w tej szkole, Cam był naprawdę miły. Nie chciałyby zabierać mu czasu na rozmowę, zwłaszcza, że teraz już była zbyt zdenerwowana żeby móc opowiadać o nim Callie.

- Callie. – powiedziała, wzdychając do telefonu – Muszę kończyć. Zadzwoń znowu kiedy tylko....

Ale właśnie wtedy usłyszała tylko mgliste brzęczenie sygnału końca rozmowy. Telefon był tak zaprogramowany by kończyć rozmowę po piętnastu minutach. Dopiero teraz zauważyła minutnik czasowy, który wskazywał 0:00. Nawet nie zdążyły się pożegnać i będzie musiała czekać kolejny cały tydzień na telefon. Czas będzie się dłużył jak niekończąca się przepaść w jej umyśle.

- BBF ? - zapytał Cam, opierając się obok Luce o ściany budki. Jego brwi

wciąż były uniesione. – Mam trzy młodsze siostry, prawdopodobnie mogę poznać zapach przyjacielskiej atmosfery przez telefon.- Pochylił się w jej kierunku, zupełnie jakby chciał ją powąchać, co spowodowało jej chichot....a potem ją zmroziło. Jego niespodziewana bliskość sprawiła, że jej serce przyspieszyło.

- Niech zgadnę. – Cam wyprostował się i podniósł do góry brodę – Chciała wiedzieć wszystko o tutejszych złych chłopcach?

- Nie! – Luce potrząsnęła głową, żeby zaprzeczyć temu jakoby któryś z tych chłopców zaprzętał jej umysł.... Zanim zrozumiała że Cam tylko żartował. Jej twarz oblała się rumieńcem kiedy to zrozumiała. – To znaczy, powiedziałam jej, że nie ma tu żadnego porządnego singla.

Cam zmrużył oczy. – Prawdopodobnie, to tylko zwiększy jej zainteresowanie. Nie uważasz? – Stał obok niej nieruchomo, co sprawiło, że Luce też znieruchomiała i zauważyła że tykanie jego zegarka jest tak wyraźne, jak nie powinno dla niej być.

Powiało chłodem, kiedy nagle Luce zauważyła coś czarnego nurkującego w korytarzu. Cienie wyglądały tak, jakby grały w klasy przeskakując z płytki podłogowej na sufit, zupełnie jakby miały dobrze przemyślaną drogę, w górę i w dół, w górę i w dół. Cholera. Nigdy nie było dobrze, kiedy była w takich momentach z kimkolwiek - zwłaszcza z kimś tak bardzo na niej skupionym jak Cam był w tej chwili - kiedy nadchodziły cienie. Czowała jak cała drży, próbując zachować spokój, kiedy ciemność wirowała w tańcu pod sufitem. Ta samotność, którą przeżyje. Może. Ale cienie wydawały najgorsze z możliwych odgłosów, dźwięki, które tylko Luce mogła usłyszeć, takie jakie wydaje pisklę sowy, które upadło z drzewa i się dławi. Chciałaby żeby Cam przestał się w nią tak wpatrywać. Chciałaby żeby zdarzyło się coś, co odwróci jego uwagę. Chciałaby, żeby.....

Daniel Grigori mógł tu przyjść.

I przyszedł. Uratowani przez boskiego chłopaka, ubranego w przecierane jeansy i dopasowaną białą koszulkę. Nie wyglądał jak ich zbawianie – zgarbiony, niósł ciężką stertę książek z biblioteki, przez ramię miał przewieszoną szarą torbę w kolorze jego oczu. Daniel wyglądał raczej jak jakiś wrak. Jego blond włosy opadały mu na oczy, które gdy spojrzał na Cam'a i Luce przymrużyły się. Tak bardzo skupiła się na rozmyśleniu o tym, czym teraz tak zirytowała Daniela, że prawie nie zauważyła co w tym momencie się dzieje: W sekundę przed tym jak zamknęły się za nim drzwi, cienie prześlizgnęły się przez nie, by tam zniknąć. Zupełnie jakby za nimi była próżnia, która je wessała z korytarza.

Daniel tylko skinął głową w ich kierunku, ale nie zatrzymał się kiedy obok nich przechodził. Kiedy Luce patrzyła na Cam'a, ten obserwował Daniela. Potem spojrzał na Luce i powiedział głośniejszym głosem niż było to potrzebne: - Prawie zapomniałem ci powiedzieć. Urządzam dziś małe przyjęcie w swoim pokoju, zaraz po tej szkolnej imprezie. Chciałbym żebyś przyszła.

Daniel był wciąż w zasięgu słuchu. Luce nie miała pojęcia czym są te szkolne imprezy, ale miała się przed nią spotkać z Penn. Najprawdopodobniej pójdą na nią razem.

Jej oczy skupiły się na odwróconej głowie Daniela, choć wiedziała że powinna odpowiedzieć Cam'owi na pytanie o tą imprezę, wiedziała też że nie było to trudne pytanie, ale kiedy Daniel odwrócił się w ich kierunku i spojrzał na nią, mogłaby przysiąc że jego oczy były pełne smutku. Nagle telefon za nią zaczął dzwonić, a Cam sięgnął ręką do słuchawki i powiedział : - Muszę to odebrać Luce. To co przyjdiesz?

Prawie niezauważalnie Daniel skinął głową.

- Tak. – Luce powiedziała do Cam'a . – Tak.

*

- Wciąż nie rozumiem czemu musimy biec, - Luce z trudem łapała oddech, dwadzieścia minut później. Próbowwała dotrzymać kroku Penn, kiedy przedzierały się przez dziedziniec wzdłuż audytorium na tajemniczą środową szkolną imprezę, o której Penn nie chciała mówić. Luce ledwo miała czas żeby wstąpić na górę, przeciągnąć usta błyszczkiem i ubrać na siebie ładniejsze jeansy, takie które będą bardziej odpowiednie na jakąś tam imprezę szkolną. Wciąż próbowała spowolnić swój oddech po tym jak przybiegła do pokoju z spotkania z Danielem i Cam'em, kiedy Penn wtargnęła do jej pokoju i wyciągnęła ją przez drzwi.

- Ludzie- chroniczni spóźnialscy- nigdy nie rozumieją ile są w stanie przez to schrzanić, nie to co ludzie, którzy normalnie raczej się nie spóźniają.- Penn mówiła do Luce, kiedy rozchłapywały szczególnie podmokłą część trawnika.

- Ha, ha. – ktoś za nimi wybuchnął śmiechem.

Luce odwróciła się i zobaczyła bladą, kościstą sylwetkę Arriane, próbującą je dogonić.

- Który konował powiedział, że jesteście normalne, Penn?

Arriane trąciła Luce i wskazała na dół: - Uważaj na ruchome piaski!

Luce zatrzymała się tuż przed tym jak ścieżka zamieniła się w przerażającą, błotnista plamę.

- Proszę, czy ktoś może mi powiedzieć dokąd idziemy?

- Środowy wieczór. – powiedziała Penn beznamiętnie – Wieczór spotkań towarzyskich.

- Jak jakaśpotańcówka? – zapytała Luce, wyobrażając sobie tańczących na parkiecie Daniela i Cam'a.

Arriane buchnęła śmiechem. – Taniec ze śmiercią przez zanudzenie. Określenie „ Spotkania Towarzyskie” są w typowy dla Sword & Cross sposób dwuznaczne. Widzisz, oni muszą przestrzegać harmonogramu imprez dla nas, ale także są przerażeni zabawą z nami.

- Więc... - dodała Penn – zamieniają to okropne wydarzenie w noc filmów, gdzie ogląda się tylko pouczające filmy, albo....Boże, pamiętasz ostatni semestr?

- Całe to sympozjum na temat wypychania zwierząt?

- To było bardzo, bardzo odrażające. – Penn potrząsnęła głową.

- Ale dzisiejszego wieczoru, moje kochane – przeciągała Arriane – łatwo nam pójdzie. Wszystko co musimy zrobić to przekręcić jedną trzecią filmu w bibliotece, będziemy się zmieniać. Jak myślicie, jaki dziś będzie film, „Starman”, „Joe Versus the Volcano”? Albo może „Weekend at Bernie’s”?

- „Starman” – jęknęła Penn.

Arriane posłała Luce niezrozumiałe spojrzenie. – Ona wie wszystko.

- Chwileczkę. – powiedziała Luce, obchodząc ruchome piaski i ścisząc swój głos do szeptu, kiedy podchodziły do wejścia szkoły. – Skoro oglądaliście już wszystkie te filmy, to dlaczego tak biegłyśmy tutaj?

Penn pchnęła ciężkie stalowe drzwi „audytorium”, które, jak Luce zdała sobie sprawę, było eufemizmem dla zwykłego, starego pokoju z obniżonym sufitem i krzesłami ustawionymi przodem do pustej, białej ściany.

- Nie chcemy utknąć na gorących krzesłach blisko pana Cole. – wyjaśniła Arriane, wskazując na nauczyciela. Z nosem w jakiejś cienkiej książce, był otoczony przez kilka pustych krzesel.

Kiedy tylko wszystkie trzy przekroczyły wykrywacz metali przy drzwiach, Penn powiedziała: - Ktokolwiek tam siądzie, będzie musiał przejść cotygodniowe badanie stanu zdrowia psychicznego.

- Które nie jest aż takie złe.. – zgodziła się Arriane.

-jeśli tylko twoje wyniki gdzieś przepadną. – dokończyła Penn.

- Fatalne zaginięcia.- powiedziała Arriane z szerokim uśmiechem na twarzy, kierując Luce w kierunku rzędu krzesel i szepcząc: - After Party.

W końcu dotarły do sedna sprawy. Luce zachichotała.

- Słyszałam o tym – powiedziała, zmieniając nieco ton swego głosu. – Będzie w pokoju Cam’a, tak?

Arriane patrzyła przez moment na Luce i przesunęła językiem wokół linii swoich zębów. Potem obróciła się do tyłu, mówiąc prawie przez Luce: - Część Todd. – zawołała, machając tylko koniuszkami swoich palców. Pchnęła Luce na jedno z miejsc, po czym sama śmiało usiadła na następne blisko niej (ale wciąż dwa miejsca od pana Cole’a,) i poklepała „gorące” miejsce obok siebie. – Chodź, usiądź z nami, T-man.

Todd, który przesunął swój ciężar w kierunku drzwi, wyglądał jakby mu ogromnie ulżyło z powodu tego, że ktoś dał mu jakieś wytyczne, jakiegokolwiek. Zaczął iść w ich stronę. Ledwo wyszukał po omacku swoje krzesło i usiadł, kiedy pan Cole spojrział na niego zza swojej książki i zaczął przecierać swoje okulary o chusteczkę, a potem powiedział: - Todd, jak się cieszę że tu jesteś. Zastanawiam się

czy mógłbyś mi oddać małą przysługę, po zakończeniu filmu. Widzisz, diagram Venn'a jest bardzo przydatnym narzędziem do.....

- Podła! – Penn zaskoczyła je wkładając swoją głowę między Luce a Arriane. Arriane wzruszyła ramionami i wyjęła wielką paczkę popcornu ze swojej torby. – Mogę w końcu patrzeć na nowych uczniów. – powiedziała, rzucając w Luce torebka masła. – Szczęściaro.

Jak tylko światła w pokoju przygasły, Luce rozejrzała się i jej wzrok spoczął na Cam'ie. Od razu pomyślała o krótkiej rozmowie z Callie przez telefon i o tym jak jej przyjaciółka zwykła mawiać, że oglądając film z facetem, można się o nim wiele dowiedzieć, coś co może nie wyjść przy zwykłej rozmowie. Patrząc teraz na Cam'a, Luce rozumiała co przyjaciółka miała na myśli: To było w pewien sposób ekscytujące móc zerkać kątem oka, żeby zobaczyć jakie żarty śmieszają Cam'a, i móc się razem z nim śmiać. Kiedy Cam spojrział na nią, poczuła się zawstydzona i instynktownie odwróciła wzrok. Ale zanim to zrobiła, na twarzy Cam'a pojawił się uśmiech. Oczywiście to tylko zwiększyło jej zażenowanie z powodu jej wpatrywania w niego. Kiedy pomachał do niej, ona nie mogła przestać myśleć o tym jaką przeciwnością Cam'a był Daniel.

Daniel razem z Roland'em spóźnili się, i musieli pochylić głowy przechodząc, w dodatku nie było już wolnych miejsc, więc musieli usiąść na podłodze, na przedzie pokoju. Musieli przejść przez snop światła projektora i Luce zauważyła po raz pierwszy srebrny łańcuszek na szyi Daniela i powieszony na nim jakiś medalik, przebijający spod koszulki. Ale wtedy całkowicie zniknął z jej pola widzenia. Nie widziała nawet jego profilu.

Kiedy włączono film, Luce stwierdziła, że „Starman” wcale nie jest śmieszny, a pozostali uczniowie bez przerwy naśladowali Jeff'a Bridges'a. Luce ciężko się było skupić na fabule. Na dodatek, czuła dyskomfort spowodowany powiewami zimna na karku. Coś się miało wydarzyć.

Tym razem kiedy cienie się pojawiły, Luce się ich spodziewała. Dokładnie od momentu kiedy o nich pomyślała, zaczęła odliczanie na palcach do ich pojawiania się. Cienie pojawiły się w alarmującym tempie, a Luce nie wiedziała czy to z powodu tego, że jest taka nerwowa w Sword & Cross.... czy może z jakiegoś innego powodu. Ale nigdy jeszcze nie były takie przerażające.

Roztaczały się w audytorium ponad ich głowami, ślizgając się wzdłuż ekranu i w końcu znalazły się na podłodze wyglądając jak kleks. Luce ścisnęła siedzisko swojego krzesła i poczuła ból, który przeszywał jej nogi i ręce. Napięła wszystkie mięśnie swojego ciała, ale nie mogła powstrzymać się od drżenia. Kiedy poczuła mocny uścisk na swoim kolanie, spojrziała na Arriane.

- Wszystko w porządku? – powiedziała bezgłośnie Arriane.

Luce skinęła głową i objęła jej ramię, udając że jest jej po prostu zimno. Chciałaby żeby tak było, ale ten szczególny rodzaj chłodu nie miał nic

wspólnego z nadgorliwą klimatyzacją w Srood & Cross.

Mogła poczuć jak cienie miotają się pod krzesłem wokół jej nóg przez cały film, ciężąc jej i przeciągając minuty w nieskończoność.

Godzinę później Arriane przykładła swoje oko do dziurki od klucza w brązowych drzwiach od pokoju Cam'a. – Ju-hu. – zaśpiewała, chichocząc. – Tutaj dopiero jest zabawa.

Wyczarowała jaskrawo różowe boa z piór ze swojej torebki, z tej samej z której wyciągnęła paczkę popcornu.

-Potrzebuję podpórki. – powiedziała do Luce, wymachując swoimi nogami w powietrzu.

Luce złączyła swoje dłonie łącząc ze sobą palce i podstawiała je pod czarny but Arriane. Patrzyła jak Arriane unosi się na jednej nodze i zakrywa przód kamery swoim boa, po czym sięgnęła za nią i ją wyłączyła.

- Czy to nie będzie podejrzone, albo coś. –powiedziała Penn.

- Będiesz lojalnie kłamać o After Party? – Arriane odwróciła się. – Czy wolisz pójść na przyjęcie do czerwonych?

- Chciałam tylko powiedzieć że są mądrzejsze sposoby. – Penn pociągnęła Arriane , która zeskoczyła na dół. Arriane owinęła ramiona Luce boa, a Luce zaśmiała się i zaczęła nucić piosenkę, która dobiegała zza drzwi. Kiedy Luce zaoferowała boa Penn, była zaskoczona tym że Penn wciąż wyglądała na zdenerwowaną. Skubała lakier z paznokci , a pot wystąpił jej na czoło. Penn zawsze zakładała na siebie sześć swetrów w ten ciepły wrzesień – i nigdy nie było jej gorąco.

- Co jest? – wyszeptała Luce, pochylając się ku niej.

Penn podniosła rąbek swojego rękawa i wzruszyła ramionami. Wyglądała jakby miała już coś odpowiedzieć, kiedy drzwi za nimi się otworzyły. Przywitał ich dym cygar, bardzo głośna muzyka i oczywiście otwarte ramiona Cam'a.

- Udało ci się. – powiedział, uśmiechając się do Luce. Nawet w tym słabym świetle, jego usta miały jagodowy kolor. Kiedy wziął ją w ramiona poczuła się taka malutka i bezpieczna. Trwało to jednak sekundę, bo zaraz po tym odsunął się i skinął na powitanie pozostałym dwóm dziewczynom, a Luce poczuła się nagle trochę dumna z tego, że tylko dla niej zachował uścisk.

Za Cam'em mały ,ciemny pokój był wypełniony ludźmi. Roland stał w jednym rogu pokoju, przy gramofonie, trzymając płytę pod światło. Para, którą Luce wiedziała na dziedzińcu kilka dni wcześniej, stała przytulona przy oknie. Wystrojeni chłopcy w białych oxfordzkich koszulkach , stali skupieni blisko siebie, okazjonalnie spoglądając na dziewczyny. Arriane nie marnowała czasu i wystrzeliła przez pokój w kierunku stolika Cam'a który tymczasowo służył za bar. Prawie natychmiast włożyła sobie butelkę szampana między nogi i z całych sił próbowała go odkorkować, śmiejąc się.

Luce była zbита z tropu. W Dover nigdy nie piła alkoholu, a przecież nie było tam tych wszystkich zakazów. Cam wrócił do Sword & Cross zaledwie kilka dni temu, ale oczywiście doskonale wiedział jak przemycić coś, czego potrzebował by urządzić dionizyjski wieczór. I jakimś cudem wszyscy inni uważali, że jest to coś normalnego.

Wciąż stojąc w progu, słyszała dźwięki muzyki pop, a potem okrzyki tłumu, by w końcu usłyszeć głos Arriane, który ją wołał: - Lucindaaaa, chodź tu. Mam zamiar wznieść toast.

Luce poczuła jak przyjęcie ją przyciąga, ale kiedy spojrzała na Penn, ta wydawała się ani drgnąć.

- Idź. – powiedziała, wymiatając ręką Luce.

- Co jest? Ty nie chcesz pójść? – Prawda jednak była taka, że Luce sama się trochę tym denerwowała. Nie miała pojęcia jak to wszystko się tam potoczy, a ponieważ wciąż nie była pewna czy Arriane jest wiarygodna, było by zdecydowanie lepiej, gdyby miała ze sobą Penn.

Ale Penn zmarszczyła brwi. – Ja...to nie mój klimat. Mam biblioteczne.....warsztaty, na temat jak posługiwać się PowerPointem. Jeśli chcesz się gdzieś włamać, to idę z Toba. Ale to.... – zbliżyła się nieco i popatrzyła na pokój. – No nie wiem. Ludzie tutaj mają mnie za jakąś wszechwiedzącą.

Luce spojrzała na Penn jakby chciała jej powiedzieć: No daj spokój.

- No cóż, mnie przezywają Kotlet, a MY myślimy że oni wszyscy są stuknięci. – zaśmiała się. – Nie możemy po prostu pójść na przód? – Powoli, usta Penn się wykrzywiły, a potem wzięła pierzastego boa i zrzuciła sobie na ramiona.

- No dobra. – powiedziała, stąpając głośno obok Luce. Luce mrużyła oczy aż przywykły do ciemnego światła. Kakofonia wypełniała pokój, ale i tak słyszała śmiejącą się Arriane. Cam zamknął za nią drzwi i wziął ją za rękę, odciągając ją na bok.

- Bardzo się cieszę, że przyszedłaś. –powiedział, kładąc swoją rękę na jej karku i pochylając swoją głowę tak, by mogła go lepiej słyszeć w tym zgiełku. Jego usta wyglądały bardzo apetycznie, zwłaszcza kiedy mówił: -Za każdym razem kiedy ktoś pukał, zrywałem się z nadzieją, że będziesz to właśnie ty.

Cokolwiek się teraz między nimi działo, a działo się jak dla niej za szybko, nie chciała tego zepsuć. On był popularny, i niesamowicie troskliwy, a jego zainteresowanie nią, bardziej niż schlebiało. Pozwalał jej się poczuć bardziej komfortowo w tym nowym miejscu. Wiedziała, że jeśli będzie próbowała odpowiedzieć na jego komplementy, to zacznie się jąkać. Więc, tylko się śmiała, co sprawiło że i on się śmiał, a potem zaciągnął ją do innego rogu.

Nagle nie miała gdzie położyć swoich dłoni, za wyjątkiem miejsca na jego karku. Zobaczyła maleńkie światełko nad głową, kiedy Cam ją obejmował, stawiając swoje stopy blisko jej stóp. Kiedy pochylił swoją głowę, by móc ją

pocałować, Luce odwróciła swoją głowę w kierunku pozostałych imprezowiczów, i pierwszą osobą jaką zobaczyła był Daniel. Nie wydawał się lubić Cam'a. Wciąż miał na sobie białą koszulkę, która jarzyła się w ultra fioletowym świetle. Kiedy tylko jej oczy go odnalazły, trudno jej było patrzeć na cokolwiek innego. Co oczywiście w ogóle nie miało sensu, bo boski i przyjacielski chłopak stał dokładnie przed nią, pytając ją czego chciałaby się napić. Inny boski, choć mało przyjazny chłopak siedział naprzeciwko niej, i nie powinien być jedynym od którego nie mogła oderwać oczu. I wpatrywał się w nią. Tak uważnie, tajemniczo, z przymrużonymi oczami, że Luce pomyślała że nigdy go nie rozszyfruje, nawet gdyby patrzyła na niego tysiąc razy. Liczył się tylko efekt, który na nią wywierał. Wszyscy w tym pokoju byli poza jej uwagą, a ona topiła się pod jego wzrokiem. Mogłaby się tak wpatrywać w niego całą noc, gdyby nie było tu Arriane, która właśnie wspięła się na stolik i wołała ze szklanką w powietrzu.

- Za Luce. – wzniosła toast i posłała Luce niewinny uśmiech – która oczywiście zniknęła mi z oczu i której przepadła moja mowa powitalna, i która nie wie jak bardzo jest fantastyczna, czyż nie jest fantastyczna Ro? – pochyliła się w dół pytając Rolanda, który poklepał jej kostki twierdząco.

Cam wsunął plastikową filiżankę z szampanem w dłoń Luce. Zaczerwieniła się, próbując się uśmiechać, kiedy wszyscy pozostali imprezowicze krzyknęli: - Za Luce Kotleciare.

Blisko niej, Molly chwiała się na nogach i wyszeptwała jej na ucho krótszą wersję: - Za Luce, która się nigdy nie dowie.

Kilka dni wcześniej, Luce by się wzdrygnęła. Ale dzisiaj, po prostu wzniosła oczy do nieba, a potem spojrzała na Molly. Ta dziewczyna nie powiedziała jeszcze ani jednego słowa do Luce, które by nie było kąśliwe., ale okazanie jej tego to jak obrzucenie się jajami. Więc Luce tylko przykucnęła na krześle obok Penn, która trzymała sznurek czarnej lukrecji.

- Dasz wiarę? Myślę, że właśnie dobrze się bawię. – powiedziała Penn, przeżuwając radośnie. Luce urwała sobie trochę lukrecji i sączyła gazowanego szampana. Niezbyt smaczna kombinacja. Zupełnie jak Molly. – Molly jest taka okropna dla wszystkich, czy jestem wyjątkiem?

Przez moment Penn wyglądała tak, jakby myślała nad zupełnie inną odpowiedzią, ale potem poklepała ją po plecach mówiąc –To jest po prostu urok jej zachowania, kochana.

Luce rozejrzała się po pokoju i po tym całym swobodnie płynącym szampanie, na zamiłowanie Cam'a do dobrej muzyki, na te wszystkie kule dyskotekowe nad ich głowami, oblewające gwiazdkami twarze wszystkich.

- Skąd oni mają te wszystkie rzeczy?- zastanawiała się na głos.

- Ludzie mówią, że Roland potrafi przemycić wszystko do Sword & Cross. – powiedziała Pen po jakimś czasie. – Nie żebym go kiedykolwiek o coś poprosiła.

Może to miała na myśli Arriane, kiedy mówiła że Roland trzyma rzeczy w swoich rękach. Ale dla Luce jedyną rzeczą jaką by chciała wiedzieć było to, jak ominąć szlaban na telefon. Ale przecież...Cam powiedział żeby nie słuchała wszystkiego, co Arriane mówi o zasadach rządzących w tej szkole. Co było by dobrym pomysłem ,gdyby nie fakt, że jego impreza odbyła się dzięki uprzejmości Rolanda. Im bardziej próbowała uzyskać odpowiedzi na swoje pytania, tym mniej układało się w całość. Chyba powinna to sobie darować i pozostać przy tym, że jest w środku imprezy.

- Dobra, daje wam wybór. –powiedział głośno Roland, zwracając na siebie uwagę wszystkich. – Zaczynamy część nocy z otwartym mikrofonem, i przyjmuję zgłoszenia na karaoke.

- Daniel Grigori! – Arriane klaskała w swoje dłonie.

- Nie! – odklaskał Daniel.

- Oooooo, milczący Grigori chce to przeczekać. – powiedział Roland do mikrofonu. – Jesteś pewien, że nie chcesz nam zaprezentować swojej wersji „Hellhound on My Trail”?

- Myślę, że to twoja ulubiona piosenka Roland. – powiedział Daniel. – Poza tym karaoke z Robertem Johnsonem wymiecie wszystkich z pokoju. – wyciągnął album R.L. Burnside ze sterty płyt i położył ja na rogu stolika. – Możesz natomiast przenieść wszystkich na południe.

Kiedy uniosły się dźwięki gitary basowej, Roland zajął miejsce na środku sceny, którą był niewielki kwadrat pustej przestrzeni rozświetlonej księżycowym blaskiem, na środku pokoju. Wszyscy klaskali i tupali nogami w jednym czasie, tylko Daniel patrzył w dół na swój zegarek. Luce przypomniała sobie jak skinął głowa w korytarzu, kiedy Cam pytał ją czy przyjdzie na tą imprezę. Zupełnie jakby Daniel chciał by się tu znalazła. Oczywiście teraz, kiedy już się tu pokazała, on nie zrobił nic by potwierdzić jej przypuszczenia.

Gdyby tylko mogła zostać z nim sam na sam.

Roland monopolizował uwagę wszystkich z wyjątkiem Luce, która zauważyła, że Daniel w połowie piosenki wstaje mija Molly i Cam’a i wyslizguje się po cichu przez drzwi.

To jest jej szansa. Kiedy wszyscy wokół niej klaskali, Luce powoli wstała.

- Bis.- krzyczała Arriane, a potem zwracając uwagę na to, że Luce wstała z krzesła powiedziała: -Och, czyżby moja dziewczynka chciała nam zaśpiewać?

- Nie!- Luce nie chciała śpiewać w otoczeniu pokoju pełnego ludzi, którym nie mogła się przyznać do prawdziwego powodu dla którego wstała z krzesła. Ale oto i ona, stojąca w środku jej pierwszej imprezy w Sword & Cross, z Rolandem popychającym jej mikrofon pod brodę. I co teraz?

- Ja...ja tylko czuję się fatalniehm, z powodu Todd’a. Że nie ma go z nami. – głos Luce odbijał się echem w głośnikach. Już zaczęła żałować swojego

fatalnego kłamstwa ale zdawała sobie sprawę że nie ma już od tego odwrotu. – Pomyślałam sobie, że zejść na dół i zobaczę czy skończył już z panem Cole'm.

Nikt z pozostałych dzieciaków nie wiedziała co mają z tą informacją zrobić. Tylko Penn zawołała nieśmiało: - Wracaj szybko!

Molly uśmiechnęła się z wyższością i powiedziała do Luce: - Miłosna maniaczka. – i udała że mdleje z zachwytu. – To takie romantyczne.

Chwileczkę, czy oni myśleli, że ona coś czuje do Todd'a? Och, był jedyną osobą ,o której nie myślała w ten sposób, ale był też jedyną osobą po która mogłaby pójść.

Ignorując Molly, Luce zbliżyła się do drzwi, gdy Cam wyszedł jej na spotkanie z rozłożonymi ramionami.

- Potrzebujesz towarzystwa? – zapytał z nadzieją.

Potrząsnęła głową. W każdym innym przypadku Luce by skorzystała z propozycji....ale nie teraz.

- Zaraz wrócę. – powiedziała pogodnie. Wyślizgnęła się za drzwi, zanim zdążyła by dostrzec jego rozczarowanie. Po zgiełku imprezy, cisza na korytarzu aż piszczała jej w uszach. Minęło trochę czasu zanim mogła usłyszeć ciche głosy zza rogu.

Daniel. Poznałaby ten głos wszędzie. Ale nie była pewna z kim rozmawia. Z dziewczyną?

- Och, przepraszam – powiedziała, kimkolwiek była..... i miała charakterystyczny południowy akcent. Gabbe? Daniel wymknął się żeby się zobaczyć z tą tlenioną blondynką Gabbe?

- To się już nie powtórzy....- kontynuowała Gabbe. – Przysięgam na....

- To nie może się powtórzyć. – wyszeptał Daniel, a jego głos przypominał raczej kłócącego się kochanka. – Obiecałaś ,że tam będziesz, ale cię nie było.

Gdzie? Kiedy? Luce była w agonii. Wycofywała się, starając nie robić hałasu.

Ale wtedy oboje cicho upadli. Luce mogła sobie wyobrazić Daniela, biorącego dłonie Gabbe w swoje własne. Mogła sobie wyobrazić jak leżą i łączą się w długim pocałunku.

Niech to wszystko szlag trafi – łykając gniew, Luce pocierała swoją klatkę piersiową. Zza rogu dobiegło ją westchnienie jednego z nich:

- Będziesz musiał mi zaufać, kochanie. – to Gabbe ze swoim przesłodzonym głosem, który sprawił że Luce zdecydowała, że już zawsze będzie ją nienawidzić. – Jestem wszystkim co masz.

ROZDZIAŁ 6



NIE MA ZBAWIENIA

W pogodny i wczesny czwartkowy poranek, przywołał Luce do życia trzask w głośniku znajdującym się poza jej pokojem, na korytarzu.

- Uwaga uczniowie Sword & Cross!

Luce przekręciła się w łóżku z jękiem, i próbowała zatkać sobie poduszką uszy, ale nie bardzo to pomogło w zagłuszaniu głosu Randy'ego.

- Macie dokładnie dziewięć minut żeby stawić się w sali gimnastycznej na corocznym egzaminie sprawności fizycznej. Jak wiecie, dokładnie zdajemy sobie sprawę z tego, kto będzie ściemniał i zostawał w tyle, więc będziecie punktualni i przygotujcie się, bo będziecie oceniani.

Egzamin ze sprawności fizycznej? Będą jakieś oceny? O szóstej trzydzieści rano? Luce zaczęła żałować, że została na wczorajszej imprezie tak długo.....a potem jeszcze dłużej leżała w łóżku, stresując się.

Kiedy tylko Luce wyobraziła sobie Daniela i Gabbe całujących się, zrobiło jej się niedobrze. I były to tego rodzaju mdłości, które przychodziły kiedy robiła z siebie durnia. Nie było już dla niej powrotu na imprezę. Po tym co usłyszała, po prostu marzyła by prześlizgnąć w tej chwili do swojego pokoju, i jak mogła zgadywać - to dziwne uczucie, którym darzyła Daniela, było głupota, którą brała za jakąś więź porozumienia.

Obudziła się wciąż czując ten okropny posmak po after pary w ustach. Ostatnią rzeczą, o której by teraz chciała myśleć były ćwiczenia gimnastyczne. Ściągnęła swoje nogi z łóżka i położyła je na zimnej, winylowej podłodze. Szorując zęby zastanawiała się co w Sword & Cross rozumiano przez „ocenę sprawności fizycznej”

Jej mózg zalewał ją zastraszającymi wizerunkami innych uczniów- Molly robiącą dziwnego rodzaju miny, Gabbe wciągającą się z łatwością na trzydzieści stóp po linie. Jedyną rzeczą jaka musi jej wyjść , to nie zrobić z siebie głupka – ponownie – i wymazać z pamięci wizerunek Daniela i Gabbe.

Szła południową częścią kampusu do sali gimnastycznej. Była to gotycka struktura z przyporami i kamiennymi wieżyczkami, co sprawiło, że budynek wyglądał bardziej na kościół niż na miejsce gdzie wycisną z ciebie siódme poty. W marę kiedy Luce zbliżała się do budynku dostrzegła kudzu, pokrywające fasadę i szeleszczące w porannym wietrzyku.

- Penn. – zawołała Luce, zauważając przyjaciółkę ubraną w dres, zawiązującą sznurowadło. Luce spojrzała w dół na siebie, na swój przepisowy czarny strój i czarne buty i spanikowała, że zapomniała pewnie o jakimś przepisie z „Zasad Ubioru” , ale zaraz po tym zobaczyła wałęsających się na zewnątrz

pozostałych uczniów, z których żaden nie różnił się od niej ubiorem.

Penn miała na wpeł przytomny wzrok. – Jestem taka wykończona. – zawodziła. – To wczorajsze karaoke było za ciężkie. Myślałam, że to sobie zrekompensuje, próbując chociaż wyglądać jak sportowiec. – Luce zaśmiała się kiedy Penn szukała po omacku podwójnego węzła przy bucie. – A tak w ogóle to co się wczoraj z tobą stało? – zapytała Penn – Nie wróciłaś na imprezę.

- Och, - powiedziała Luce, chcąc opóźnić to co nie uniknione. – Zdecydowałam, że.....

- Aaaach. – Penn zasłoniła swoje uszy. – Każdy dźwięk jest jak młot pneumatyczny wwiercający się w mój mózg. Powiesz mi później?

- Tak. – powiedziała Luce. – Pewnie. – Podwójne drzwi od sali gimnastycznej były otwarte. Randy przechadzała się w ciężkich gumowcach, trzymając swoją podkładkę do pisania. Machała do wchodzących uczniów, by każdego przydzielić do jakiegoś zadania.

- Todd Hammond. – zawołała Randy, kiedy z chwiejnymi kolanami wchodził Todd. Jego ramiona były zgarbione niczym nawiasy i Luce mogła zobaczyć pozostałości z rolniczej opalenizny na jego karku.

- Ciężarki. – wydała polecenie Randy, wskazując w odpowiednią stronę. - Pennyweather Van Syckle- Lockwood, - następnie wykrzyknęła, wywołując kulącą się Penn i odciągnęła jej dłonie od uszu, po czym ponownie krzyknęła: - Basen! – i sięgnęła do kartonowego pudełka za nią, by rzucić w Penn jednoczęściowym strojem kąpielowym.

- Lucinda Price. – kontynuowała Randy, po zerknięciu na swoją listę. Luce wystąpiła na przód i ożywiła się, kiedy Randy powiedziała: - Też basen! – Luce wyciągnęła ręce by złapać strój, który był już w powietrzu. Rozciągał się i był cienki jak pergamin. Ale pachniał świeżością. W pewien sposób.

- Gabrielle Givens. – usłyszała i rozejrzała się gwałtownie wokół siebie, by zobaczyć tą nowo znienawidzoną osobę, która kroczyła dumnie w swoich czarnych, krótkich spodenkach i cienkim, czarnym topie. Była w tej szkole od trzech dni..... jak mogła już zdobyć Daniela?

- Część Randy. – powiedziała Gabbe, przeciągając słowa, swoim nosowym głosem i sprawiając tym samym, że Luce chciała przyciągnąć bliżej siebie Penn i tak jak ona zatkać sobie dłońmi uszy.

Wszystko tylko nie basen. Tylko nie basen.

- Basen! – powiedziała Randy.

Idąc zaraz za Penn do damskiej przebieralni, Luce próbowała nie patrzeć na Gabbe, która obracała się, zupełnie jakby tylko ona, spośród wszystkich, miała modny strój kąpielowy i swój francuski manicure na palcach. Nagle Luce zauważyła szare, kamienne ściany i stare, religijne akcesoria stojące przy niej. Podeszła prosto do bogato zdobionych, drewnianych rzeźbionych krzyży z

płaskorzeźbą oraz obrazu Pasji. Na poziomie oczu, wisiała seria wyblakłych tryptyk, na których aureole wciąż się jarzyły. Luce pochyliła się żeby się przyjrzeć bliżej wielkiemu zwojowi napisanemu w języku łacińskim, zamkniętemu w szklanej gablocie.

- Podnosząca na duchu dekoracja, prawda? – zapytała Penn, wyrzucając kilka aspiryn i popiła je dużymi łykami wody, której butelkę wyciągnęła z torby.

- Co to wszystko jest? – zapytała Luce.

- Starożytna historia. Pozostałości po tym, kiedy ten budynek był miejscem, w którym odprawiano niedzielne Msze, za czasów wojny domowej.

- To wyjaśnia, dlaczego to miejsce tak przypomina kościół. – powiedziała Luce, zatrzymując się przy marmurowej reprodukcji Piety Michała Anioła.

- Jak wszystko inne w całej tej dziurze, to po prostu durnowata robota z tym odnawianiem. To znaczy...kto buduje basen w środku starego kościoła.

- Żartujesz,- powiedziała Luce.

- Chciałabym.- Penn wywróciła oczami. – Każdego lata, dyrektor szkoły wymyśla sobie w tym jego małym mózdzku sposób by mnie obarczać zadaniem odremontowania tego miejsca. Nie chce się do tego przyznać, ale te całe święte rzeczy doprowadzają go do szału. – powiedziała. – Problem w tym, że nawet gdybym chciała je gdzieś przenieść, to nie mam pojęcia gdzie. Nie mam nawet pojęcia jak mam to wyrzucić bez obrazy dla Boga i tym podobnym.

Luce wróciła pamięcią do nieskazitelnie czystych, białych ścian w sali gimnastycznej w Dover, gdzie rząd za rządem poustawiane były obrazki z mistrzostw, każdy matowy z takimi samymi podpisami i każdy w dopasowanej, złotej ramce. Tylko korytarz bardziej uświęcał Dover, bo był zaraz za wejściem przez bramę, która witała czasem wszystkich absolwentów tej szkoły, którzy jak się okazywało byli senatorami stanu, jak również laureatów stypendium Guugenheim'a, oraz miliardarów, którym przychodzą do głowy coraz to nowe pomysły na zarabianie pieniędzy.

- Mogłabyś je rozdawać tym wszystkim frajerom, po ukończeniu szkoły. – zaproponowała Gabbe, zza nich.

Luce zaczęła się śmieć – bo było to zabawne.... I dziwne, zupełnie jakby Gabbe czytała jej w myślach – ale wtedy przypomniała sobie jej głos, wczoraj, mówiący Danielowi, że jest wszystkim co on ma. Przełknęła szybko ślinę i nic nie odpowiedziała.

- Co się tak wleczenie!- krzyknął za nimi nieznany trener, który pojawił się z znikąd. Ona – Luce nie do końca była pewna- miała brązowe, kędzierzawe włosy związane z tyłu w kitkę, łydki jak golonki i żółtawy aparat na zębach. Ponaglała złośliwie dziewczęta do przebieralni, gdzie rozdawała im kłódki z kluczami i kierowała je w kierunku pustych szafek.

- Nikt się nie wlecze kiedy patrzy trener Diante.

Penn i Luce wślizgnęły się w swoje stroje kąpielowe. Kiedy Luce zobaczyła swoje odbicie w lustrze wzruszyła ramionami, a potem tak mocno jak tylko potrafiła, owinęła się ręcznikiem.

W wilgotnej pływalni, Luce natychmiast rozumiała o czym Penn jej mówiła. Basen sam w sobie był olbrzymi, olimpijskich rozmiarów, z rodzaju tych kilku, które cechują ten Stan, ale tak daleki od tego czego można by się spodziewać w tym kampusie. Ale to nie przez to był taki niezwykły, co Luce odkryła z podziwem. Basen znajdował się w samym środku czegoś, co kiedyś było masywnym kościołem.

Był tam rząd przybrudzonych, szklanych okien, z tylko kilkoma połamanymi panelami, przyklejonymi do ściany aż po wysoki, wygięty w łuk sufit. Były tam świeczniki przymocowane w kamiennych niszach. Trampolina znajdowała się dokładnie w miejscu w którym kiedyś prawdopodobnie był ołtarz. Gdyby Luce nie była wychowywana na agnostyka, a właściwie raczej na uczęszczającą do kościoła Bogobojną dziewczynkę jak wszyscy jej przyjaciele z podstawówki, mogłaby pomyśleć, że to miejsce jest świętokradcze.

Niektórzy z uczniów byli już w wodzie, łapiąc powietrze kończyli swoje okrążenia. Ale uwagę Luce przykuli uczniowie, którzy nie byli jeszcze w wodzie. Molly, Roland i Arriane rozciągali się na widowni, wzdłuż ściany. Wszyscy z jakiegoś powodu wybuchnęli śmiechem. Roland praktycznie wychodził z siebie, a Arriane ocierała swoje łzy. Mieli na sobie o wiele atrakcyjniejsze stroje kąpielowe niż Luce, ale żadne z nich nie wyglądało tak, jakby mieli jakikolwiek zamiar podążyć w kierunku basenu.

Luce spojrzała na swój obwisły strój. Chciałaby dołączyć do Arriane – ale rozważając wszystkie za (możliwe że dołączyłaby do elity) i przeciw (trenerka Diante krytykująca ją jako skrupulatnego przeciwnika ćwiczeń), zauważyła, że Gabbe dołącza do grupy. Zupełnie jakby była ich najlepszą przyjaciółką. Zajęła miejsce zaraz obok Arriane i także zaczęła się głośno śmiać. Jakikolwiek to nie był żart, ona już go знаła.

- Oni zawsze tam siedzą. – wyjaśniła Penn, spoglądając gniewnie na popularną paczkę na widowni. – Nie pytaj mnie jak sobie to załatwiają.

Luce odchrząknęła i zawahała się nad brzegiem basenu, nie mogąc dopasować się do instrukcji trenerki Diante. Widząc Gabbe na trybunie wśród „super dzieciaków”, Luce zapragnęła by Cam tu był. Wyobraziła go sobie, wyglądającego optymistycznie w lśniących, czarnych kąpielówkach, machającego do niej pośród ekipy, z tym jego wielkim uśmiechem, sprawiającym, że natychmiast czuła się ważną osobą, mile powitaną.

Luce nagle poczuła silną potrzebę przeproszenia go za to że wymknęła się tak wcześnie z wczorajszej imprezy. Co było dość dziwne – przecież nie byli razem, więc Luce nie była zobligowana do wyjaśniania mu dlaczego przyszła bądź

wyszła od Cam'a. Ale wtedy przypomniła sobie, jak bardzo lubi ,kiedy on zwraca na nią uwagę. Lubi sposób w jaki on się uśmiecha – taki ciepły i otwarty, jak jazda z opuszczonymi szybami w ciepłą noc. Podoba jej się sposób w jaki wczuwa się w rozmowę z nią, tak jakby poza nią nic nie mógł zobaczyć i usłyszeć. Mogłoby jej się nawet spodobać to jak bardzo blisko niej był na tej imprezie, gdyby nie widok Daniela. Nie chciałyby zrobić nic co sprawiłoby, że Cam zmieniłby zdanie w traktowaniu jej w ten sposób. Kiedy trenerka głośno zagwizdała, Luce bardzo się wystraszyła i stanęła prosto, następnie spojrzała w dół pełna żalu, kiedy Penn i inni uczniowie stojący blisko niej wskoczyli do basenu.

Spojrzała na trenerkę, czekając na wskazówki.

- Ty musisz być Lucinda Price – zawsze spóźniona i nigdy nie uważająca? – westchnęła Diante. – Randy mi o tobie mówiła. To ósme okrążenie, pokarz nam swój najlepszy skok.

Luce skinęła głową i pochyliła się w stronę krawędzi basenu. Miała zamiłowanie do pływania. Kiedy jej tata uczył ją pływania na basenie w Thunderbolt, otrzymała nawet nagrodę za to, że była na tyle odważna i pływała na głębokim basenie bez kółka ratunkowego. Ale to było lata temu. Luce nawet nie pamiętała, kiedy ostatni raz pływała. Nienawidziła odkrytego basenu w Dover, który zawsze się mienił, kusząc ją- ale nie miał na niego wstępu nikt, kto nie był w drużynie pływackiej.

Trenerka Diante rozwiała jej myśli. – Być może nie pamiętasz, ale to jest wyścig..... a ty niestety przegrywasz.

To najbardziej żalony i śmieszny wyścig, jaki Luce kiedykolwiek widziała, ale nawet on nie powstrzyma jej skrajnej ambicji od wygranej.

- A ty.....wciąż przegrywasz. – powiedziała trenerka, przygryzając swój gwizdek.

- Nie na długo. – powiedziała Luce.

Sprawdziła swoją konkurencję. Koleś po lewej wypluwał wodę ze swoich ust i płynął niezdarnie w stylu wolnym. Po jej prawej stronie z zatkanym nosem sunęła bez pośpiechu Penn, z piankową, różową deską do pływania. Na ułamek sekundy Luce zerknęła w stronę widowni. Molly i Roland przyglądali się, a Arriane i Gabbe pochyliły się ku sobie w irytującym chichocie.

Luce nie obchodziło z czego się śmiały. W pewnym sensie. Wyłączyła się. Z rękoma wzdłuż głowy, wskoczyła do wody, czując jak wyginają się jej plecy, kiedy ciało wsunęło do orzeźwiającej wody. Kilkoro uczniów mogło być naprawdę dobrych, a tata wytłumaczył jej kto ma potencjał, kiedy miała osiem lat. Ale powiedział jej też, że jeśli opanuje styl motylkowy, to nie ma sposobu by ktoś był od niej szybszy w wodzie. Pozwalając by jej zdenerwowanie było jej siłą napędową, Luce zanurzyła swoją górną partię ciała w wodzie. Ruchu przyszły same, dokładnie wtedy kiedy zaczęła unosić swoje ramiona nad wodę, niczym

skrzydła. Płynęła szybko, tak jak nie robiła tego od bardzo, bardzo dawna. Czując obawę, prześcignęła jednego płynącego, potem następnego.

Była bliska ukończenia ósmego okrążenia, kiedy jej głowa wypłynęła na tyle długo ponad wodę, by usłyszeć powolny głos Gabbe. – Daniel.

Rozpęd Luce zniknął, niczym zgaszona świeca. Opuściła stopy i czekała na to co jeszcze Gabbe powie. Na nieszczęście nie mogła usłyszeć nic, poza głośnym pluskiem i, moment później gwizdkiem.

- Zwyciężył.... – powiedziała Diante z oszołomionym wyrazem twarzy. – Joel Bland.

Chudy dzieciak z następnego toru wyskoczył z basenu i zaczął podskakiwać w górę, by uczić swoje zwycięstwo.

Na torze obok, Penn kopała w wodę. – Co się stało? – zapytała. – Prawie byś go wykończyła.

Luce wzruszyła ramionami. Gabbe- to się stało. Ale kiedy spojrzała na trybuny, Gabbe już nie było, a wraz z nią nie było też Molly i Arriane. Został tylko Roland, pochłonięty książką. Adrenalina Luce była budująca kiedy pływała, ale teraz musiała się z nią zderzyć. Penn pomogła jej wyjść z basenu.

Luce obserwowała Rolanda zeskakującego z widowni.

- Byłaś tam naprawdę dobra. – powiedział, rzucając jej ręcznik i kluczyk od szafki. – Przynajmniej przez jakiś czas.

Luce złapała klucz w powietrzu i owinęła się ręcznikiem. Ale zanim zdołała powiedzieć coś normalnego, jak: Dzięki za ręcznik, albo Chyba jestem w dobrej formie, ta dziwna, w gorącej wodzie kąpana strona jej samej, nagle zagadała: - Daniel i Gabbe są ze sobą, czy co?

Wielki błąd. Olbrzymi. Z wyrazu jego oczy mogła wyczytać, że jej pytanie dotrze do Daniela.

- Ach, rozumiem. – powiedział Roland i zaczął się śmiać. – Cóż, nie mogę tak naprawdę..... – spojrzał na nią i podrapał się po nosie po czym posłał jej sympatyczny uśmiech. Wskazał palcem na otwarte drzwi korytarza, a Luce podążyła za nim wzrokiem, gdzie zobaczyła zadbaną sylwetkę Daniela, mijającą je. –Właściwie dlaczego sama go o to nie spytasz?

Włosy Luce ociekały z wody a jej stopy były wciąż bose, kiedy znalazła się przy drzwiach do dużej siłowni. Zamierzała iść prosto do szatni, żeby się przebrać i wysuszyć. Nie rozumiała, czemu te wszystkie rzeczy związane z Gabbe tak nią wstrząsnęły. Przecież Daniel może być z kimkolwiek chce, prawda?

Może Gabbe lubi chłopców, którzy ją olewają.

Albo, co bardziej prawdopodobne, jej takie rzeczy się nie przytrafiają.

Ciało Luce miało się zdecydowanie lepiej od jej umysłu, kiedy po raz kolejny mignęła jej przed twarzą postać Daniela. Stał do niej tyłem, w rogu, wybierając spośród płataniny skakanek jedną z nich. Patrzyła jak wybiera tą cienką,

granatową, z drewnianymi rączkami, potem przesuwa się na wolną przestrzeń w centralnej części pokoju. Jego złota skóra prawie promieniowała, i z każdym kolejnym ruchem, kiedy wyciągał swoją szyję i prostował sylwetkę, kiedy podskakiwał i uwidaczniał swoje wyrzeźbione kolana, Luce całkowicie skupiała na nim całą swoją uwagę. Kiedy tak stała w drzwiach, nie zauważyła nawet jak jej szczęka dygota z zimna, a jej ręcznik jest przemoczony.

Kiedy ponownie przerzucił skakankę za kostki, zaraz przed tym jak rozpoczął skakanie, w Luce uderzyła fala déjà vu. Nie było to dokładnie tak, jakby widziała wcześniej Daniela skaczącego, ale bardziej jego postawa wydała się Luce całkowicie znajoma. Stał ze stopami rozłożonymi na szerokość biodra i opuszczonymi ramionami, kiedy wciągał głęboko powietrze do swojej klatki piersiowej. Luce mogłaby to namalować z zamkniętymi oczami. Kiedy tylko Daniel zaczął kręcić skakanką, Luce przestała być w transie.....i wpadła w następny. Nigdy, w swoim całym życiu nie widziała by ktoś się ruszał tak jak on. To było zupełnie tak, jakby Daniel fruwał. Skakanka wirowała wokół jego szczupłej sylwetki tak szybko, jakby zupełnie zniknęła. Jego stopy – jego pełne wdzięku, niewielkie stopy – czy one w ogóle dotykały ziemi? Poruszał się tak prędko, że nawet gdyby musiał, nie potrafiłby zliczyć ilości skoków.

Głośne chrząknięcie i głucho uderzenie z innej części siłowni, zwróciło uwagę Luce. Todd wspinał się na jedną z połączonych ze sobą węzłami lin. Momentalnie zaczęła mu współczuć, kiedy patrzył w dół na swoje pokryte pęcherzami dłonie. Zanim zdążyła ponownie spojrzeć na Daniela, jej skórę przeszył powiew mrocznego, zimnego wiatru. Cienie najpierw omiotły ją swoimi lodowatymi, mrocznymi prawie niezauważalnymi dłońmi. Potem nagle brutalnie runęły na nią i forsowały jej plecy. Drzwi od siłowni zamknęły się jej przed twarzą i została sama, na korytarzu.

- Och, -krzyknęła, właściwie nie dlatego, że ją coś zabolalo, ale dlatego, że nigdy wcześniej cienie ją nie dotykały. Spojrzała w dół na swoje odkryte ramiona, gdzie czuła jakby czyjeś ręce ją trzymały, wypychając ją z siłowni. Przecież to było niemożliwe –stała w tym dziwnym miejscu, a przeciąg musiał zamknąć drzwi. Niespokojnie, zbliżyła się do zamkniętych drzwi i oparła swoją głowę o mały, szklany prostokąt w drzwiach.

Daniel rozglądał się wokół siebie, zupełnie jakby coś usłyszał. Była pewna, że nie wiedział, że to ona: ale miał zmarszczone brwi.

Pomyślała o sugestii Rolanda, żeby spytała Daniela jaka jest prawda, ale szybko ją odrzuciła.

Nie mogła go tak po prostu o to zapytać. Nie chciałyby przywołać tych zmarszczonych brwi na jego twarz. Poza tym, jakiegokolwiek pytanie nie zada, będzie ono beznadziejne. Wszystko co powinna wiedzieć, usłyszała wczorajszej nocy. Nie będzie taką masochistką, by pytać go czy jest z Gabbe.

Odwróciła się w kierunku szatni, kiedy zdała sobie sprawę, że nie może odejść.

Jej klucz.

Musiał wypaść jej z dłoni kiedy opuściła siłownię. Podeszła blisko małego, szklanego okienka w drzwiach i spojrzała w dół. Był tam, brązowa gafa, wepchnięta na niebieską matę. Jak to się stało, że upadł tak daleko w głąb pokoju, tak blisko miejsca gdzie Daniel ćwiczył? Luce westchnęła i pchnęła drzwi, żeby je otworzyć, myśląc, że skoro musi tam wejść, to może to zrobić najszybciej jak się da. Kiedy dotarła do klucza, po raz ostatni spojrzała na Daniela. Skakał już dużo wolniej, ale wciąż jego stopy ledwie dotykały ziemi. A potem, wykonał ostatni skok, zatrzymał się i odwrócił spoglądając jej w twarz. Nic nie powiedział przez moment. Poczowała jak na jej twarz wypływa rumieniec i zaczęła żałować, że nie jest sucha i ubrana w ten okropny strój.

- Cześć. – to było wszystko, co mogła z siebie teraz wyrzucić.

- Cześć.- odpowiedział, nieco spokojniejszym tonem. Potem wskazał na jej strój, pytając: - Wygrałaś?

Luce zaśmiała się smutno, z siebie, i pokiwała przecząco głową.

- Jestem daleka od tego.

Daniel ściągnął swoje usta. – Ale ty zawsze....

- Ja zawsze co?

- To znaczy, miałem na myśli, że wyglądasz, jakbyś była dobrą pływaczką.- wzruszył ramionami. – To wszystko.

Zrobiła krok w jego kierunku. Stali teraz oddaleni od siebie zaledwie o krok. Woda ociekała jej z włosów a szczeka drżała z zimna.

- Chyba nie to chciałeś powiedzieć. – upierała się. – Powiedziałeś, że ja zawsze....

Daniel w pośpiechu owinął skakankę wokół swoich nadgarstków. – Tak, ale nie miałem na myśli ciebie, jako tylko ciebie. Miałem na myśli ogół. Oni zawsze pozwalają wygrywać nowym pierwszy wyścig. To taka nasza nie pisana zasada, dla nas –starych uczniów.

- Ale Gabbe wcześniej nie wygrała. – powiedziała Luce, krzyżując ramiona na piersi. – A jest nowa. Ona nawet nie weszła do basenu.

- Ona właściwie nie jest nowa, po prostu wróciła tupo jakimś czasie.- Daniel wzruszył ramionami, jakby nie darzył Gabbe żadnym uczuciem. To była oczywiście próba pokazania jej, że mu nie zależy, tak żeby wzbudzić w Luce jeszcze większą zazdrość. Obserwowała go jak przeskakuje przez skakankę, żeby się w końcu z niej wyplątać i zauważyła, że jego ręce są równie szybkie co jego stopy. A ona była taka niezdarne, samotna, zziębnięta i pozostawiona przez wszystko i wszystkich.

Usta zaczęły jej drżeć.

- Och, Lucinda. – wyszeptał Daniel, wzdychając ciężko.

Jej całe ciało rozgrzało się na ten dźwięk. Jego głos był taki intymny i taki szczególnie znajomy. Chciała by wymówił jej imię jeszcze raz, ale on tylko się odsunął. Odwiesił skakankę na kołek na ścianie.

- Powinienem się przebrać przed zajęciami. – Jej ręka spoczęła na jego ramieniu.

- Zaczekaj.

Jego ramię wykręciło się jakby został uderzony – i Luce też to poczuła, i nie był to rodzaj uderzenia, który oznaczał coś dobrego.

- Czy ty nigdy nie masz tego uczucia.....- spojrzała mu głęboko w oczy. Dopiero teraz mogła dostrzec jak niezwykle one były. Wydawały się być szare, ale z każdym mrugnięciem, miały fioletowe refleksy. Widziała już kiedyś kogoś o takich oczach.....

- Mogłabym przysiąc, że już się kiedyś spotkaliśmy. – powiedziała. – Czy ja zwariowałam?

- Zwariowałaś? A czy to czasem nie jest powód twojego pobytu tutaj? – powiedział, unosząc swoje brwi.

- Mówię poważnie.

- Tak jak ja. – Twarz Daniela była blada. – A tam...- wskazał na migoczące urządzenie pod sufitem – czerwoni monitorują prześladowców.

- Nie prześladuję cię. – Luce zdrętwiała, będąc świadomą niewielkiego dystansu między ich ciałami.

- Możesz sobie uczciwie powiedzieć, że nie masz pojęcia o czym mówię? – Daniel wzruszył ramionami.

- Nie wierzę ci – upierała się. – Spójrz mi prosto w oczy i powiedz, że się mylę. Że nigdy wcześniej, w całym moim życiu cię nie widziałam!

ROZDZIAŁ 7



RZUCAJĄC ŚWIATŁO

- Hmm, szkarlatyna? – zgadywała Luce, podążając w tamtym kierunku.

Dotknęła palcami wyrytych dat. Dziewczynka miała mniej lat niż Luce, kiedy została pochowana. Luce nie chciała się teraz zastanawiać jak mogło do tego dojść.

Cam przechylił swoją głowę, uważnie nad czymś myśląc. – Może. – powiedział – Albo to, albo w tajemniczych okolicznościach spłonęła stodoła, w której mała Betsy ucięła sobie niewinną drzemkę z chłopakiem z sąsiedztwa.

Luce już zaczynała udawać, że jest obrażona, ale wyczekujący wyraz twarzy Cam'a przyprawił ją o śmiech. Minęło bardzo dużo czasu, odkąd ostatnio wygłupiała się z jakimś chłopcem. Oczywiście, ta sceneria była bardziej niezdrowa niż taka, która odbywała by się w normalnych warunkach, ale tacy właśnie byli uczniowie w Sword & Cross. Luce była teraz jedną z nich, na dobre i na złe.

Podążyła za Cam'em w dół cmentarza, do bardzo bogato zdobionego grobowca i mauzoleum. Powyżej zbocza, nagrobki wyglądały jakby n nich patrzyły. Jakby Luce i Cam byli jakimiś artystami, występującymi w amfiteatrze. Południowe słońce jarzyło się na pomarańczowo, rzucając cienie na wielkie dębowe drzewa. Żeby cokolwiek zobaczyć, Luce musiała przysłonić sobie ręką oczy. To był w tym tygodniu najgorętszy dzień.

- A teraz ten chłopak. – powiedział Cam, pokazując na olbrzymi nagrobek z korynckimi kolumnami. – Zupełny dekownik. Udusił się ,kiedy belka zawaliła się na jego piwnice. Co tylko pokazuje, że nie należy się chować, kiedy nadjeżdżają Konfederaci.

- To wszystko? – Luce zapytała. – Przypomnij mi, co czyni cię ekspertem od tego wszystkiego?

Nawet kiedy się z nim droczyła, czuła się dziwnie uprzywilejowana, że może tu być z nim. Cam wciąż zerkał na nią upewniając się, że ona wciąż się uśmiecha.

- Po prostu szósty zmysł. – posłał jej duży, niewinny uśmiech. –Jeśli ci się to podoba, to mam jeszcze siódmy i ósmy i dziewiąty z którego pochodzą te pozostałe.

- Imponujące.- Luce uśmiechnęła się. – teraz dam odpocząć twoim zmysłom i powiem to sama: Jestem głodna.

- Do twoich usług.- Cam wyciągnął koc ze swojej torby i rozłożył go w zacienionym miejscu, obok dębu. Odkręcił termos i Luce mogła poczuć zapach mocnego espresso. Zazwyczaj nie piła czarnej kawy, ale teraz obserwowała jak Cam wkłada do szklanki lód i nalewa do niej kawy, po czym dodaje trochę mleka. – Zapomniałem zabrać cukier.- powiedział.

- Nie pijam z cukrem. – upiła łyka tej przemrożonej kawy, pierwszego pysznego łyka, jakiego umożliwiło jej Sword & Cross w tym tygodniu.

- Całe szczęście. – powiedział Cam, rozkładając pozostałą część pikniku. Luce obserwowała go jak układał jedzenie: ciemno brązową bagietkę, mały krążek sera topionego, słoiczek oliwek, jajka na pikantno i dwa zielone jabłka. Nie było raczej możliwe, żeby Cam upchnął to wszystko swojej torbie – jak i to, że planował to wszystko zjeść sam.

- Skąd to wszystko masz? – zapytała Luce. Udając, że skupiła się na odrywaniu skórki od chleba, zapytała: - I z kim jeszcze planowałaś zjeść piknik zanim ja się pojawiłam.

- Zanim ty się pojawiłaś? – zaśmiał się. – Ciężko mi sobie przypomnieć moje nudne życie, zanim ty się pojawiłaś.

Luce posłała mu najmniejsze z złośliwych spojrzeć, tak żeby nie wiedział, że jej uwagę przykuł niezwykle ser....ale i dlatego, że chciała być trochę czarująca.

Oparła się swoimi rękoma na kocu, a nogi skrzyżowała w kostkach. Cam siedział ze skrzyżowanymi nogami przodem do niej. Kiedy sięgał po nóż do sera, jego ramiona otarły się o jej kolana, a jego głowa spoczęła na jej czarnych jeansach. Spojrzał do góry na nią, jakby pytał, czy może tak zostać.

Kiedy nie zaprotestowała, tak już został, biorąc z jej rąk skórkę od bagietki i używając jej nóg jako stolika, rozprowadził mały trójkącik sera na chlebie. Polubiła to w jaki sposób leżał na niej, a w taki upał – to mówiło samo za siebie.

- Na początek odpowiem na łatwiejsze pytanie. – powiedział Cam, znowu siadając.- Pomagam w kuchni kilka dni w tygodniu. To warunek ponownego przyjęcia mnie do Sword & Cross. Z pewnością powinienem być za to wdzięczny. – wywrócił oczami – Ale tutaj chyba nie potrafię. Zdaję się, że lubię kiedy robi się gorąco. Tak to jest, kiedy nie uważa się na gorący tłuszcz. – Podniósł swój nadgarstek, eksponując tuzin cienkich blizn na przedramieniu. – Ryzyko zawodowe. – powiedział swobodnie. – Ale za to mam dostęp do spiżarni.

Luce nie mogła się oprzeć, żeby nie dotknąć tych blizn, tych małych, białych wypukłości blaknących na jego jasnej skórze. Zanim poczuła się zażenowana i zaczęła wycofywać swoją rękę, Cam ją za nią chwycił i lekko ścisnął. Luce spojrzała na jego palce, które połączyły się z jej własnymi. Nie zdawała sobie wcześniej sprawy z tego, jak bardzo odcienie ich skóry są do siebie zbliżone. W porównaniu z wcześniejszą południową opalenizną, obecna bledłość Luce była jej świadomym wyborem. Ale skóra Cam'a była taka czysta, tak bardzo

godna uwagi, prawie metaliczna – i teraz zrozumiała, że dla niego jej skóra może wyglądać tak samo. Jej ramiona zadrżały i poczuła mały zawrót głowy.

- Zimno ci? – Cam zapytał cicho.

Kiedy ich oczy się spotkały, wiedziała, że domyślił się, że nie jest jej zimno.

Cam przysunął się bliżej i obniżył swój głos do szeptu.

- Zgaduję, że chciałabyś by przyznał, że widziałem cię przez kuchenne okno, jak szłaś przez dziedziniec, dlatego zapakowałem te wszystkie rzeczy w nadziei, że przekonam cię, byś opuściła swoje lekcje i spędziła ten czas ze mną?

Próbowała wyłowić lód, który jeszcze się nie roztopił w tym wrześnieym upale, ze swojej szklanki.

- A ty zaplanowałaś ten romantyczny piknik, - skończyła – w tej cmentarnej scenerii?

- Hej. – położył swój palec na jej dolnej wardze – Ty jako jedyna użyłaś słowa romantyczny.

Luce odsunęła się. Cam miał rację – była bezczelna raz -drugi raz dzisiejszego dnia. Poczuła jak płoną jej policzki, kiedy tak próbowała „nie myśleć” o Danielu.

- Żartowałem. – powiedział Cam, potrząsając swoją głową przed jej twarzą. – Tak jakby to nie było oczywiste. – Spojrzała do góry na sępa, kołującego wokół wielkiego, białego posągu, wyglądającego jak armata. – Wiem, że może to nie Eden, - powiedział, podając Luce jabłko – ale udajmy, że jesteśmy w jednej z piosenek Smiths’ów. A poza ty, uważam, że nie ma za bardzo co robić w tej szkole.

I to był strzał w dziesiątkę.

- Ja to widzę tak, - powiedział Cam, kładąc się na kocu – Lokalizacja jest nieważna.

Luce spojrzała na niego niepewnie. Chciałaby żeby nie leżał tak daleko, ale była za bardzo nieśmiała by przysunąć się w jego stronę.

- Tam gdzie dorastałem – przerwał - życie nie bardzo się różniło od tego tutaj, w tym zakładzie karnym, w Sword & Cross. W rezultacie, jestem oficjalnie odporny na moje otoczenie.

- Wcale nie. – Luce potrząsnęła głową. – Gdybym ci teraz dała bilet lotniczy do Californii, nie byłbyś totalnie podekscytowany wyrwaniem się stąd?

- Mmm..... raczej obojętny. – powiedział Cam, wkładając sobie do ust jajko.

- Nie wierzę ci. – Luce lekko go szturchnęła.

- W takim razie chyba musiałaś mieć szczęśliwe dzieciństwo.

Luce wgrzyzała się w zieloną skórkę jabłka i zlizwała sok płynący jej po palcach. Wróciła myślami do zmarszczonych brwi rodziców, wizyt u specjalistów i do ciągłych zmian szkół w jej dzieciństwie, do czarnych cieni spowijających wszystko. Nie, nie powiedziała by, że miała szczęśliwe dzieciństwo. Ale skoro Cam nie chciał się wydostać z Sword & Cross, istniała nadzieja, że jej nie było

najgorsze.

Coś zaszeleściło między ich stopami i Luce zwinęła się w kłębek, kiedy wąski, zielonkawo żółty wąż prześlizgnął się obok. Starając się nie zbliżyć, usiadła na swoich nogach i spojrzała w dół na węża. Nie wyglądał jak zwykły wąż, ten był w trakcie zrzucania swojej skóry. Pół przezroczysta błona wlokła się za jego ogonem. W całej Georgii były węże, ale ona nigdy nie widziała liniejącego.

- Tylko nie krzycz. – powiedział Cam, kładąc dłoń na kolanie Luce. Jego dotyk sprawił, że poczuła się bezpieczniej. – Odejdzie, jeśli zostawimy go w spokoju.

Ale nie mogło się to stać wystarczająco szybko. Luce chciałaby móc krzyczeć. Zawsze nienawidziła i bała się węży. Były takie oślizłe i łuszczące się i

- Fuj. – zadrżała, ale nie potrafiła oderwać swoich oczu od węża dopóki nie zniknął w wysokiej trawie.

Cam uśmiechał się kiedy podnosił zrzuconą przez węża skórę i położył jej na dłoni. Wyglądała na żywą, zupełnie jak ta z cebuli lub czosnku, które jej ojciec przynosił z ogródka. Ale ta pochodziła od węża. A właśnie – trawa. Wyrzuciła ją za siebie i wytarła dłonie o jeansy.

- Daj spokój, nie uważasz, że to było urocze?

- Czy mój wstręt nie mówi sam za siebie? – Luce nagle poczuła się trochę zakłopotana tym, jak dziecinnie musi teraz wyglądać.

- A co z twoją wiarą w moc reinkarnacji? – zapytał Cam, dotykając zrzuconej skóry. – Czyż nie na to czekamy, po tym wszystkim.

Zdjął swoje okulary przeciwsłoneczne. Jego szmaragdowe oczy, zdradzały jego pewność siebie. Wciąż trzymał to nieludzkie „coś” czekając na jej odpowiedź.

- Zaczynam myśleć, że jesteś trochę dziwny.- powiedziała w końcu, posyłając mu nikły uśmiech.

- Och, i pewnie myślisz, jak dużo jest we mnie jeszcze do poznania. – odparł, siadając blisko niej. Bliżej niż był, zanim wąż się pojawił. Bliżej niż Luce mogłaby się tego spodziewać. Wyciągnął powoli swoją dłoń w jej kierunku, by już za chwilę zanurzyć ją w jej włosach. Luce napięła się.

Cam był boski i intrygujący. Nie rozumiała tego w jaki sposób, kiedy była kłębkim nerwów – tak jak teraz – nadal mogła się czuć komfortowo. Chciała po prostu być tu, gdzie była. Nie mogła oderwać oczu od jego pełnych, różowych, zbliżających się ust, które sprawiały że zakręciło jej się w głowie. Objął ją ramieniem, a ona poczuła dziwne drżenie w swojej piersi. Czekala aż usta Cam'a połączą się z jej ustami. I wtedy zamknęła oczy.

- Tutaj jesteście! – zdyszany głos dotarł do Luce, właśnie w tym momencie. Luce irytując się, westchnęła i skierowała swoją uwagę na Gabbe, która stanęła przed nimi z wysoko upiętym kucykiem i oczywiście szerokim uśmiechem na

twarzy. – Wszędzie was szukałam.

- Dlaczego na ziemi muszą dziać się takie rzeczy? – Cam spiorunował ją wzrokiem, czym zarobił u Luce kilka punktów.

- Cmentarz był ostatnim miejscem na które stawiałam. – Gabbe gładziła, wyliczając na palcach. –

Sprawdziłam twoją sypialnię, potem trybuny, potem.....

- Czego chcesz Gabbe? – uciął jej Cam, jakby był jej bratem i znał ją od bardzo dawna.

Gabbe zamrużyła oczami, po czym przyłożyła palec do swoich ust. – To przez panią Sophie.- powiedziała w końcu, pstrykając palcami. – Właśnie. Oszalała, kiedy Luce nie pojawiła się na zajęciach. Wciąż mówiła jaką to ty nie jesteś obiecującą uczennicą i takie tam.

Luce nie mogła rozgryźć tej dziewczyny. Czy była tu naprawdę z polecenia? Czy chciała zdrwić z Luce, jakie to niby wywarła dobre wrażenie na nauczycielce? Nie wystarczyło jej, że miała Daniela owiniętego wokół jej palca – musiała teraz jeszcze mieć Cam'a?

Gabbe przecież musiała odnieść wrażenie, że w czymś im przerwała, ale ona tylko stała nad nimi, mrugając swoimi dużymi, zajęczymi oczami i okręcając pasemko swoich blond włosów wokół palca.

- Cóż, chodźcie. – powiedziała w końcu, wyciągając do nich ręce, żeby pomóc im obojgu wstać. – Musimy cię dostarczyć do klasy.

*

- Lucinda, ty masz stanowisko numer trzy. – powiedziała pani Sophia, patrząc w dół na kartkę, kiedy Luce, Cam i Gabbe weszli do biblioteki. Żadnego: Gdzie byliście? Żadnej wzmianki o spóźnieniu.

Pani Sophia po prostu umieściła Luce obok Penn, przy komputerze w laboratoryjnej części biblioteki. Jakby w ogóle nie zauważyła, że Luce nie było.

Luce posłała Gabbe oskarżycielskie spojrzenie, ale ona tylko wzruszyła ramionami i powiedziała bezgłośnie: - No co?

- Gdzieś ty była? – Penn domagała się odpowiedzi, kiedy tylko Luce usiadła. Była chyba jedyną osobą, która zauważyła, że jej nie było.

Odnalazła wzrokiem Daniela, który praktycznie schował się za swoim komputerem przy stanowisku siódmym. Z tego miejsca, aureola jego blond włosów, była wszystkim co mogła dostrzec, ale to wystarczyło, by rumieniec wylał się na jej policzki. Wcisnęła się bardziej w swoje krzesło, przypominając sobie ich rozmowę w siłowni i poczuła się znowu zażenowana.

Nawet po tych wszystkich uśmiechach i po jednym prawie że pocałunku z Cam'em, nie potrafiła wyrzucić z siebie tego co czuje, kiedy widzi Daniela. Na dodatek nigdy nie będą razem.

To było właśnie sedno tego, co jej powiedział w siłowni. Zaraz po tym jak

praktycznie rzuciła się na niego.

Odrzucenie zraniło ją tak mocno, tak blisko serca, że prawie czuła jak wszyscy wokół niej mogli dostrzec po jedynym spojrzeniu na nią, co się właściwie stało. Penn stuknęła niecierpliwie swoim ołówkiem o ławkę Luce. Ale Luce nie wiedziała jak ma się wytłumaczyć. Gabbe przerwała jej piknik z Cam'em zanim zdążyła się upewnić co właściwie się stało. Albo co miało się stać. Nie potrafiła jednak zrozumieć, co było dziwne, dlaczego po tym wszystkim, ważniejsze dla niej było to, co jej się przytrafiło w siłowni z Danielem. Pani Sophia stała na środku, przed komputerem pstrykając palcami w powietrzu, zupełnie jak przedszkolanka, żeby zwrócić na siebie uwagę uczniów. Rzędy jej srebrnych bransoletek dzwoniły jak dzwoneczki.

- Jeśli którekolwiek z was kiedykolwiek przeszło swoje drzewo genealogiczne.... – przekrzykiwała otaczający ją hałas - ...to wiecie jaki w pewnym sensie skarb jest pogrzebany w waszych korzeniach.

- Och, rety, niech ktoś uśmierci tę metaforę. – wyszeptała Penn – Albo mnie. Jedno z dwojga.

- Będziecie mieli dwadzieścia minut dostępu do Internetu, żeby zbadać swoje drzewo genealogiczne. – powiedziała pani Sophia, stukając w stoper. – Pokolenie ma szacunkowo dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat, więc wasze drzewa obejmą ostatnie sześć pokoleń.

Pojękiwania.

Słyszalne westchnienie, dobiegło ze stanowiska siódmego – od Daniela.

Pani Sophia zwróciła się do niego: - Daniel? Czy masz jakiś problem z tym zadaniem?

Westchnął ponownie i wzruszył ramionami.

- Nie, skądże. Jest super. Moje drzewo genealogiczne. Na pewno będzie interesujące.

Pani Sophia potrząsnęła swoją głową pytająco. – Biorę to oświadczenie jako entuzjastyczne poparcie. – Zwracając się ponownie do klasy, powiedziała: - Wierzę, że znajdziecie takie linie, które będą warte rozwinięcia na dziesięć do piętnastu stron.

Luce nie potrafiła się teraz na tym skupić. Nie w tej chwili, kiedy było tyle innych rzeczy do rozważenia. Ona i Cam na cmentarzu. Może i nie było to najbardziej romantyczne miejsce, ale w pewien sposób bardziej jej odpowiadało. To tak jakby nigdy wcześniej nic takiego nie robiła. Opuściła zajęcia żeby przechadzać się między tymi wszystkimi grobami. Urządzić sobie piknik, na którym Cam przyrządził jej cudowne latte. Urządził sobie niezłą zabawę z jej strachu przed węzami. Cóż, obeszłoby się bez tego całego węza, ale w końcu Cam był wtedy taki słodki. Słodszy niż Daniel był przez cały ten tydzień. Nienawidziła się do tego przyznawać, ale to była prawda. Daniel nie był nią zainteresowany.

Cam wprost przeciwnie.

Chciałaby teraz zadzwonić do Callie, uciec z tej biblioteki i odłożyć to zadanie z drzewem genealogicznym na później. Opowiedzieć jej o innym chłopcu, co było najszybszym – a może i jedynym – sposobem na to by wyrzucić Daniela ze swojej głowy. Ale tu w Sword & Cross przecież był ten okropny zakaz dotyczący telefonów, a uczniowie wokół niej byli tacy pilni. Zmrużone oczy pani Sophii przesuwają się po klasie do ostatniej chwili.

ROZDZIAŁ 8



SKOK NA ZBYT GŁĘBOKĄ WODE

Kiedy Luce w końcu odpowiedziała na pukanie do drzwi w sobotni poranek, Penn wepchnęła swoje ramię między drzwi.

- Myślisz, że nadejdzie kiedyś dzień, w którym te drzwi będą otwarte? – zaczęła przeproszać, poprawiając sobie okulary. – Muszę przestać podglądać przez dziurkę od klucza. Ładny bałagan, tak poza tym. – dodała, rozglądając się wokół. Podeszła do okna, obok łóżka Luce. – Niezły widok, pomijając kratę i to wszystko.

Luce stanęła za nią, patrząc na cmentarz, i ten zwykły widok sprawił, że przypomniała sobie piknik z Cam'em pod dębami. Przypomniała sobie też, choć niewidoczne teraz, miejsce w którym stała pod posągiem z Danielem. Mściwego anioła, który niespodziewanie zniknął po całym tym incydencie.

Pamiętała zmartwione oczy Daniela kiedy szeptał jej imię tego dnia, ich nosy tak blisko siebie, sposób w jaki trzymał ją za szyję, koniuszkami palców – wszystko to sprawiło, że poczuła gorąco.

Ale też poczuła się żałośnie. Westchnęła i odwróciła się od okna, zauważając że Penn także się ruszyła.

Podnosiła jakieś rzeczy z biurka Luce, poddając każdą jej własność starannej analizie. Przycisk do papieru w kształcie statuy wolności, który jej tata przywiózł z konferencji z Nowego Jorku, zdjęcie mamy w komicznej trwałej na włosach, którą zrobiła, gdy była w wieku Luce, eponimiczne płyty Lucindy Williams, które Callie dała jej na długo przed tym jak kiedykolwiek usłyszała o Sword & Cross.

- Gdzie są twoje książki? – zapytała Penn, chcąc podążyć ścieżką wspomnień – Mówiłaś, że wybierasz się na studia.

Potem Penn zaczęła przeglądać jej szafę. Luce patrzyła, jak ta szybko straciła zainteresowanie wariantami zgodnymi z zasadą ubioru takimi jak czarne koszulki czy swetry. Kiedy Penn podążyła w kierunku szuflad w jej komodzie, Luce zagroziła jej drogę.

- Ja tylko mówię... - Penn kontynuowała –

Trenerka Diante i Albinoska pełniły swoje obowiązki na trawniku, siedząc na dwóch plastikowych krzesłach, pod wbitym w skraj trawnika uginającym się parasolem. Kiedy odkładały na bok swoje papierosy, wyglądały jakby drzemały, za tymi swoimi ciemnymi okularami słonecznymi. Wyglądały na całkowicie znudzone, uwięzione przez swoją pracę, jakby czuły się obserwowane.

Na trawniku było dużo ludzi, ale kiedy tak Luce szła blisko Penn, cieszyła się, że przy głównym holu nikogo nie było. Nikt nie powiedział Luce, że wkroczyła na teren zamknięty, o ile ten teren naprawdę był zamknięty, ale Randy z pewnością wymyśliłaby za to odpowiednią karę.

-A co z czerwonymi? – zapytała Luce, przypominając sobie o wszechobecnych kamerach.

- Podmieniłam zużyte baterie do niektórych z nich w drodze do twojego pokoju. – powiedziała Penn, w taki sam nonszalancki sposób w jaki ktoś inny mógłby powiedzieć „Ja tylko tankowałam samochód.”

Penn przeciągle rozejrzała się wokół zanim poprowadziła Luce do głównego wejścia do budynku i dalej w dół po trzech stromych stopniach do oliwkowych drzwi, nie widocznych wcześniej.

- Czy to też jest suterena z czasów wojny domowej? – zapytała Luce. To wyglądało jak miejsce, gdzie ukrywali się jeńcy wojenni. Penn zrobiła długie, teatralne pociągnięcie nosem.

- Czy to cuchnące zepsucie nie mówi samo za siebie? To tutaj, to chyba jakaś przedwojenna pleśń. – Penn wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – Większość uczniów trzyma się z dala od tego, żeby nie wdychać zgromadzonego tu powietrza.

Luce próbowała nie oddychać przez nos, kiedy Penn wyjmowała wielki pęk żelaznych kluczy.

- Moje życie byłoby prostsze, gdyby posegregowali te klucze. – powiedziała Penn, przeszukując pęk by w końcu włożyć do zamka srebrny klucz. Kiedy klucz przekreślił się w zamku, Luce poczuła dreszcz radosnego podekscytowania. Penn miała rację – ten sposób spędzania czasu jest lepszy od tworzenia jej drzewa genealogicznego. Szły, utrzymując niewielki dystans, przez ciepły, wilgotny korytarz którego sufit był niewiele wyżej od ich głów. Zatęchłe powietrze pachniało tak, jakby ktoś tutaj zmarł, i Luce prawie że cieszyła się z faktu, że pokój był tak ciemny iż nie było widać wyraźnie nawet podłogi.

Penn wyciągnęła kolejny klucz, którym otworzyła małe ale znacznie bardziej współczesne drzwi. Uchyliły je nieznacznie, tylko tyle by móc się za nie prześlizgnąć i stanęły po ich drugiej stronie.

W środku, w biurze z aktami, cuchnęło pleśnią, ale powietrze było znacznie chłodniejsze i suchsze. Biuro było czarne jak smoła poza jarzącym się na czerwono znakiem WYJSCIE nad ich głowami. Luce ścisnęła silną sylwetkę Penn, która szukała czegoś po omacku.

- Gdzie ten sznurek? – wymruczała. – Tu jest.

Delikatnym pociągnięciem Penn włączyła gołą żarówkę wiszącą przy suficie na metalowym łańcuchu. Widok wciąż był przyćmiony, ale Luce mogła teraz zobaczyć, że cementowe ściany także były pomalowane na oliwkowy kolor i wyłożone ciężkimi, metalowymi półkami i szafkami z segregatorami. Tuzin pudeł

kartonowych z segregatorami był wepchnięty na półki, a przejście między szafkami wyglądało jak rozciągnięte w nieskończoność. Wszystko było pokryte cienką warstwą kurzu.

Promienie słoneczne tutaj nie dochodziły. Chociaż Luce zdawała sobie sprawę z tego, że znajdują się zaledwie kilka stopni pod ziemią, to wydawało jej się, że od powierzchni dzielą ją mile. Potarła swoje odkryte ramiona. Jeśli byłaby cieniem, to było dokładnie to miejsce w którym by się ukryła. I chociaż jeszcze nie dały o sobie znać, to Luce wiedziała, że nie był to dobry powód do tego, by poczuć się bezpiecznie.

Penn, niezrażona mrocznym widokiem sutereny, zrobiła krok w kierunku stołka stojącego w rogu.

- Łał – powiedziała, pchając go w tył, - Coś tu się zmieniło. Akta powinny być tutaj.....Zdaję się, że zrobili tu wiosenne porządki, od czasu kiedy tu byłam ostatnio.

- Jak dawno temu to było? – zapytała Luce.

- Jakiś tydzień....- głos Penn ciągnął się w miarę jak znikąca za wysoką szafką, w ciemności.

Luce nie mogła pojąć, po co w Sword & Cross trzymają te wszystkie pudła. Przerzuciła jedną z kartek grubego segregatora z nalepką ŚRODKI ZAPOBIEGAWCZE. W gardle zrobiło jej się sucho. Może jest coś, o czym nie chciałyby wiedzieć.

- Uczniowie w kolejności alfabetycznej.... – zawołała Penn. Jej głos był stłumiony, jakby była gdzieś daleko. – E, F, C....tutaj jesteście, Grigori.

Luce podążyła za dźwiękiem szeleszczących stron przez wąskie przejście, aż znalazła Penn z pudełkiem opartym o jej ramię, zmagającą się z jego wagą. Akta Daniela trzymała pod brodą.

- Są takie cienkie. – powiedziała, unosząc nieco swoją brodę tak, żeby Luce mogła je wziąć. – Normalnie, są o wiele bardziej.....hm... - spojrzała na Luce i przytknęła sobie palec do ust w geście zadumy. – No dobrze, teraz zabrzmiałam jak szalona prześladowczyni. Może po prostu zobaczymy co jest w środku.

A aktach Daniela były tylko pojedyncze kartki. Czarno białe zdjęcie, które musi mieć zrobione każdy uczeń widniało w prawym rogu. Patrzył prosto w aparat, a teraz na Luce, ze słabym uśmiechem na twarzy. Nie mogła się powstrzymać, by też się nie uśmiechnąć. Wyglądał zupełnie tak samo jak tamtego wieczoru, kiedy – cóż, właściwie nie mogła sobie przypomnieć kiedy. Wspomnienie jego wyrazu twarzy było w jej umyśle takie wyraziste, ale nie mogła sobie przypomnieć, kiedy go takim widziała.

- Boże, czy nie wygląda dokładnie tak samo? – Penn przerwała przemyślenia Luce. – Spójrz na datę. To zdjęcie zrobiono trzy lata temu, kiedy pierwszy raz przyszedł do Sword & Cross.

To musiało być to o czym Luce myślała..... że Daniel wyglądał zupełnie tak samo jak wygląda teraz. Ale poczuła się tak, jakby myślała – albo zamierzała pomyśleć – o czymś zupełnie innym, ale nie mogła sobie przypomnieć o czym.

- Rodzice: nieznan. – czytała Penn, a Luce oparła się o jej ramię. – Opiekun prawny: Okręgowy sierociniec w Los Angeles.

- Sierociniec? – zapytała Luce, przykładając swoją dłoń do serca.

- To wszystko co tu jest. Pozostałe akta umieszczone są w jego....

Przeszłości kryminalnej. – skończyła Luce, wyprzedzając w czytaniu Penn. – Wałęsanie się po publicznej plaży po godzinach.....wandalizm na wózkach sklepowych.....przechodzenie przez jezdnię w niedozwolonym miejscu.

Penn podniosła swoje oczy na Luce i stłumiła śmiech. – Kochany Grigori został aresztowany za przechodzenie przez jezdnię w niedozwolonym miejscu? Przyznasz, że to zabawne.

Luce nie podobał się widok aresztowanego Daniela za cokolwiek. Podobało jej się to mniej zważywszy na fakt, że Sword & Cross sprowadziło całe jego życie do tych kilku drobnych, nieistotnych przestępstw. Wszystkie te pudła wypełnione papierami, a w Daniela aktach jest tylko tyle.

- Gdzieś musi być więcej. – powiedziała.

Usłyszały kroki nad głowami. Oczy Penn i Luce powędrowały na sufit.

- Główne biuro. – wyszeptła Penn, wyciągając chusteczkę higieniczną z rękawa i przytykając ją do nosa. – To może być ktokolwiek. Ale nikt nie zejdzie na dół, zaufaj mi.

W sekundę później, drzwi od pokoju otworzyły się skrzypiąc i światło z korytarza oświetliło schody. Słysząc było kroki na schodach. Luce poczuła jak Penn ścisną tył jej koszulki, pchając ją między regały z książkami. Czekają, wstrzymując oddechy i ścisnęły kurczowo nielegalnie zdobyte akta Daniela w dłoniach. Były takie złodziejkami.

Luce zamknęła oczy, czekając na najgorsze, kiedy dręczące, melodyjne nucenie, dotarło do pokoju. Ktoś śpiewał.

- Duuuuu, da da da duuuu. – kobiecy głos nucił łagodnie. Luce wyciągnęła szyję między dwa pudła z aktami i zobaczyła szczupłą, starszą sylwetkę kobiecą z małą latarką przypiętą do czoła niczym górnik. Pani Sophia. Niosła dwa duże pudełka, jedno ułożone na drugie tak, że jedyne co było widoczne to jej świecąca latarka. Jej niedbałe kroki sprawiały wrażenie jakby pudła były wypełnione pierzem a nie ciężkimi aktami.

Penn ścisnęła dłoń Luce, kiedy patrzyły jak pani Sophia umieszcza pudełka na pustym miejscu na półce. Wzięła długopis by napisać coś w swoim notesie.

- Jeszcze tylko parę, - powiedziała Sophia potem coś pod nosem, tak że Luce nie mogła już usłyszeć. W chwilę później, wycofała się w stronę schodów, znikając tak szybko jak się pojawiła. Jej nucenie było już ledwo słychać. Kiedy drzwi się

zamknęły, Penn wypuściła ogromnie dużo powietrza ze swoich płuc.

- Powiedziała, że będzie ich więcej. Najprawdopodobniej jeszcze wróci.

- I co teraz zrobimy? – zapytała Luce.

- Prześlizgniesz się z powrotem na schody. – powiedziała Penn, wskazując w ich kierunku. – Pobiegniesz na ich szczyt i wrócisz do głównego biura. Jeśli ktokolwiek cię zobaczy, powiesz, że szukałaś łazienki.

- A co z tobą?

Odłożę akta Daniela i spotkamy się na trybunach. Pani Sophia nie będzie nic podejrzewać, jeśli zobaczy tylko mnie. Schodzę tu na dół tak często, że jest to prawie moja druga sypialnia.

Luce spojrzała na akta Daniela z małym ukłuciem żalu. Jeszcze nie była gotowa, żeby odpuścić. Najpierw musiała się pogodzić z faktem sprawdzania akt Daniela, a teraz myślała też o Cam'ie. Daniel jest taki tajemniczy – i nieszczęsnym trafem, jego akta także. Z drugiej strony Cam wyglądał na otwartego i prostego w rozszyfrowaniu, co sprawiło, że była ciekawa. Zastanawiała się czego jeszcze byłaby w stanie się o nim dowiedzieć, a czego jej nie powiedział. Ale jedno spojrzenie na twarz Penn mówiło, że spędziły tu już wystarczająco dużo czasu.

- Jeśli jest tu coś jeszcze czego możemy się dowiedzieć się o Danielu, znajdę to. – zapewniła ją Penn. – Będziemy szukać. – Popchnęła lekko Luce w kierunku drzwi. – A teraz idź.

Luce ruszyła szybko w kierunku korytarza a potem otworzyła drzwi i weszła na schody. Powietrze przy wyjściu na schody wciąż było wilgotne, ale mogła poczuć jak się zmienia z każdym krokiem. Kiedy w końcu dotarła do szczytu schodów, zamrugła i przetarła oczy żeby przystosować je do wyjścia na światło słoneczne sączące się z korytarza. Wyszła zza rogu i przeszła przez wybielone drzwi głównego biura. I zamarła.

Dwie czarne szpilki(chodzi o buty na obcasie), przewiązane w kostkach, wystawały z budki telefonicznej, wyglądając podle wiedźmowato. Luce pospiesznie skierowała się ku drzwiom głównym, mając nadzieję, że zostanie nie dostrzeżona, i wtedy zdała sobie sprawę, że te szpilki łączyły się z parą legginsów z wężowej skóry, które należały do ponurej Molly. W rękach miała cienki, srebrny aparat fotograficzny. Podniosła wzrok na Luce, odkładając słuchawkę od ucha i opuściła swoje nogi na podłogę.

- Czemu wyglądasz na winną, Kotleciaro? – zapytała, wstając i założyła swoje dłonie na biodra. – Pozwól, że zgadnę, wciąż ignorujesz moją sugestię co do tego, żebyś się trzymała z daleka od Daniela.

Właśnie miało się rozegrać całe potworne zło. Molly nie miała pojęcia, gdzie Luce przed chwilą była. Nic o niej nie wiedziała. Nie było żadnego powodu, dla którego miała by być taka okropna. Od pierwszego dnia w szkole, Luce nie zrobiła nic co mogłoby urazić Molly – poza trzymaniem się od niej z daleka.

- Zapomniałaś już jakie okropne nieszczęście przytrafiło ci się ostatnim razem kiedy narzucałaś się chłopakowi, który nie jest tobą zainteresowany? – głos Molly ranił ją niczym nóż. – Jak to on miał na imię? Taylor? Truman?

Trevor. Skąd Molly wiedziała o Trevorze? To było to, jej najgłębszy, najmroczniejszy sekret. Jedyna rzecz, którą Luce chciała- którą potrzebowała- zachować w tajemnicy w Sword & Cross. Teraz, nie tylko z powodu tego, że to Zło Wcielone o wszystkim wiedziało, poczuła jak ogarnia ją potworny, okrutny wstyd, w środku tego szkolnego, głównego biura. Czy może być prawdopodobne to, że Penn kłamała, że Luce jest jedyną osobą, którą zabrała do tajemniczego biura. Czy było jakieś inne logiczne wyjaśnienie? Luce objęła swoją klatkę piersiową rękoma. Czowała się taka chora i obnażona....i taka niewytłumaczalnie winna, zupełnie jak w noc pożaru.

Molly uniosła jej głowę.

W końcu.... – powiedziała, łagodnie – coś do ciebie dotarło. – Odwróciła się tyłem do Luce i pchnęła drzwi od głównego wejścia. Potem, zanim wyszła na zewnątrz, odwróciła swoją głowę w kierunku Luce i spojrzała na nią spode łba. – Tak więc, nie zrób kochanemu, staremu Danielowi tego samego, co zrobiłaś temu jak mu tam.... Zrozumiano?

Luce zaczęła iść w kierunku drzwi zaraz po niej, ale po kilku krokach zdała sobie sprawę, że jeśli teraz wyjdzie prawdopodobnie zderzy się z Molly. Ta dziewczyna była taka złośliwa. Jednak po jej wyjściu, została dolana oliwa do ognia, Gabbe dreptała w dół trybun na spotkanie z Molly, na środek boiska. Były zdecydowanie zbyt daleko od Luce, żeby mogła wyczytać coś z wyrazu ich twarzy kiedy obie obróciły się w jej stronę. Blond kucyk Gabbe podskakiwał na jej głowie, kiedy podeszła do czarnego złośliwego chochlika – i była to najbardziej nikczemna rozmowa w cztery oczy, jaką Luce kiedykolwiek widziała. Zacisnęła spocone pięści, wyobrażając sobie jak Molly opowiada o wszystkim co wie o Trevorze, Gabbe, która natychmiast pobiegnie zdać relację z plotek Danielowi. Kiedy o tym myślała, obrzydliwy ból przebiegł od jej płaców do ramienia, a potem rozlał się na jej klatce piersiowej. Może i Daniel był karany za przechodzenie przez jezdnię w niedozwolonym miejscu, ale co z tego?

To było nic w porównaniu z tym, za co ona się tutaj znalazła.

- Uwaga na głowę! – zawołał jakiś głos. To była ostatnia rzecz jaką Luce chciałaby usłyszeć. Coś mknęło w zabawny sposób właśnie w jej stronę. Skrzywiła się, spoglądając w górę, dokładnie na słońce. Nie mogła nic dostrzec i nie miała nawet czasu żeby zasłonić swoją twarz, kiedy poczuła uderzenie po jednej stronie swojej głowy, i usłyszała głośny śmiech, dzwoniący jej w uszach. Auć.

To była piłka do nogi Rolanda.

- No nieźle! – zawołał, kiedy piłka poturlała się dokładnie do niego. Zupełnie jakby to było zaplanowane. Luce pomasowała swoją głowę i zrobiła kilka

chwiejnych kroków. Ktoś trzymał ją za nadgarstki. Odrobina gorąca sprawiła że zaczęła dyszeć. Spojrzała w dół, by przyjrzeć się dłoniom trzymającym ją teraz za ramiona, potem spojrzała w górę na głęboko szare oczy Daniela.

- Wszystko w porządku?- zapytał. Kiedy skinęła głową, podniósł brwi. – Jeśli chciałaś zagrać w piłkę nożną, wystarczyło powiedzieć. – dodał. – Mógłbym ci wyliczyć na palcach zasady gry, i pokazać jak większość ludzi oddaje piłkę, uderzając w najbardziej delikatne części ciała swojego przeciwnika.

Puścił jej ramiona i Luce myślała, że chce zbliżyć się do niej by pogłaskać ją po bolącej części jej twarzy. Przez chwilę zamarła, wstrzymując oddech. Serce jej waliło kiedy dłoń Daniela uniosła się, ale po to by mógł odgarnąć włosy ze swojej twarzy.

Wtedy Luce zdała sobie sprawę z tego, że Daniel sobie z niej żartuje. I dlaczego miałby tego nie robić? Piłka na pewno zostawiła ślad na jej twarzy.

Molly i Gabbe stały wciąż się gapiąc – teraz na Daniela – z założonymi na piersi rękoma.

- Myślę, że twoja dziewczyna zaczyna się robić zazdrosna. – powiedziała Luce, wskazując na nie.

- Która? – zapytał.

- Nie wiedziałam, że obie są twoimi dziewczynami.

Żadna z nich nie jest moją dziewczyną. – powiedział po prostu. – Nie mam dziewczyny. To znaczy... myślałaś, że która z nich to moja dziewczyna?

Luce była oszołomiona. A co z tymi tajemniczymi rozmowami z Gabbe?

I w takim razie dlaczego te dziewczyny patrzą teraz na niego w taki sposób? Czy Daniel kłamie?

Spojrzał na nią zabawnie. – Może uderzyłaś się w głowę mocniej niż myślałem. – powiedział. – Chodź, przejdziemy się, przyda ci się trochę świeżego powietrza.

Luce starała się zrozumieć złośliwy żart Daniela i jego ostatnią sugestię. Czy on powiedział, że jest przygłupia i potrzebuje więcej powietrza? Nie, to nie miałyby sensu. Spojrzała na niego. Wyglądał na szczerze zmartwionego. Właśnie wtedy kiedy zamierzała splawić Grigori'ego.

- Gdzie? – zapytała ostrożnie. Ponieważ to byłoby zbyt proste, poczuć taką radość z faktu, że Daniel nie ma dziewczyny i z tego, że chce iść na spacer właśnie z nią. Musi być jakiś haczyk.

Daniel tylko spojrzał spod przymrużonych oczu na Gabbe i Molly.

- Gdzieś, gdzie nie będziemy obserwowani.

Luce powiedziała Penn, że spotkają się na trybunach, ale będzie później czas na wyjaśnienia i oczywiście Pen zrozumie. Luce pozwoliła się poprowadzić Danielowi poza baczne przypatrywanie się dziewczynom aż do małego gaju z w połowie zniszczonymi drzewami brzoskwinowymi, który rozciągał się wokół

starego kościoła, a teraz siłowni. Poszli aż do lasu z cudownymi, starymi powyginanymi drzewami dębu, do którego Luce nigdy by nie przypuszczała, że Daniel ją zabierze. Daniel oglądał się za siebie, żeby się upewnić że ona za nim idzie. Uśmiechnęła się na myśl o tym, że za nim podąża, jakby nie było w tym nic dziwnego, ale kiedy szła dróżką pośród powykęcanych, starych korzeni, nie mogła oprzeć się myśleniu o cieniach.

Teraz kiedy szła wśród drzew, mrok pod liśćmi przysłał nawet najmniejszy snop słonecznego światła podającego na nie. Intensywny smród wilgoci i błota przenikał powietrze i Luce wiedziała, że w pobliżu na pewno jest jakaś woda. Gdyby była osobą wierzącą, zaczęła by się modlić, żeby cienie zostawiły ją w spokoju, tylko na ten ułamek czasu, kiedy jest z Danielem, żeby nie mógł zobaczyć jak bardzo szalona czasem bywa. Ale Luce nigdy się nie modliła. Nawet nie wiedziała jak ma to zrobić. Nagle połączyła swoje dłonie, krzyżując palce.

- Las kończy się właśnie tutaj. - powiedział Daniel. Dotarli do polany i Luce złapała z trudem oddech z zachwytu.

Coś się zmieniło, kiedy szli z Danielem przez las, to było coś więcej niż zwykła odskocznia od flegmowych kolorów Sword & Cross. Kiedy wyszli z lasu i stanęli na wysokiej, czerwonej skale, to było jak stanie w środku pocztówki. To było coś w rodzaju zawirowania jakiego człowiek mało miastowy dostaje w wypełnionej po brzegi drogerii. Sielankowy, wyidealizowany obraz południa, który tak naprawdę nie istnieje. Każdy kolor, który dostrzegały oczy Luce zdawał się być olśniewająco jaskrawy, tak jakby widziała go po raz pierwszy. Krystalicznie niebieskie jezioro, tuż poniżej nich, otaczał gęsty, szmaragdowy las. Nad ich głowami, po czystym niebie, latały dwie mewy. Kiedy Luce stanęła na palcach, mogła zobaczyć wysychające bagno, płowego koloru.

Zerknęła na Daniela. On także wyglądał olśniewająco. Jego skóra przybrała złotego koloru w tym świetle, a jego oczy były prawie wypełnione łzami. Cały niesamowity zachwyty wymalował jej się na twarzy.

- Co o tym sądzisz? – zapytał. Wyglądał na bardziej zrelaksowanego teraz, kiedy był z daleka od wszystkich innych.

- Nigdy nie widziałam czegoś tak pięknego. – powiedziała Luce, przyglądając się nieskazitelnej powierzchni jeziora. Czowała jakby nakłaniało ją do zanurkowania w nim. Jakieś piętnaście stóp nad wodą znajdował się wielki, płaski, pokryty mchem głaz. – Co to?

- Pokażę ci. – powiedział Daniel, ściągając buty. Luce, bez powodzenia, starała się nie gapić, kiedy ściągał swoją koszulkę przez głowę, ukazując umięśniony tors. – No chodź.. – powiedział i Luce zdała sobie sprawę, że musi wyglądać jakby wrosła w ziemię. – Potrafisz w tym pływać. – dodał wskazując na

jej szary top i spodenki. – Nawet nie zamierzam dać ci forów żebyś mogła wygrać tym razem.

Zaśmiała się. – Bo co? Przez te wszystkie razy, ja dawałam wygrać tobie?

Daniel zaczął przytakiwać, ale gwałtownie przestał.

- Nie. Zdaję się, że poprzednio na basenie przegrałaś.

Przez moment, Luce miała ochotę mu powiedzieć przez co przegrała. Może nawet mogli by się pośmiać z tego całego nieporozumienia z Gabbe- jako jego dziewczyną. Ale zaraz potem, Daniel uniósł swoje ramiona wzdłuż głowy, poskoczył, zakreślił łuk i skoczył do jeziora z perfekcyjnym, małym pluskiem.

To była jedna z najpiękniejszych rzeczy jakie Luce widziała. Miał wdzięk jakiego nie była świadkiem nigdy wcześniej. Nawet plusk wody ślicznie dźwięczał jej w uszach.

Chciałaby być teraz tam z nim, na dole.

Ściągnęła swoje buty i zostawiła je pod magnolią, obok butów Daniela, potem stanęła na krawędzi skały. Była wysokości jakichś dwudziestu stóp, czyli wysokości, jaka sprawiała, że serce Luce szybciej biło. W pozytywnym sensie. W minutę później, głowa Daniela pojawiła się nad powierzchnią wody. Uśmiechał się szeroko, klepiąc w wodę.

- Nie każ mi zmieniać zdania, na temat twojej wygranej. – zawołał.

Biorąc głęboki wdech, wycelowała palcami w głowę Daniela i odepchnęła się od ziemi i podskoczyła. Spadanie trwało tylko ułamki sekund ale było to najbardziej rozkoszne uczucie, szybować przez słoneczne powietrze w dół, i w dół i w dół.

Plusk. Woda szokowała chłodem w pierwszym momencie, ale zaraz potem stała się idealna. Luce wynurzyła się by zaczerpnąć powietrza. Spojrzała na Daniela i zaczęła płynąć stylem motylkowym.

Płynęła tak szybko, że straciła Daniela z oczu. Wiedziała, że może się popisać i miała nadzieję, że on się przygląda. Była już bardzo blisko, a kiedy dotarła do celu uderzyła dłonią w głaz – w sekundę przed Danielem.

Oboje oddychali z trudem kiedy rozłożyli się na płaskiej, ciepłej powierzchni wody. Brzegi skały były śliskie z powodu mchu i Luce ciężko się było ich chwycić. Daniel nie miał najmniejszego problemu z wspięciem się na skałę. Odwrócił się w jej stronę i podał jej rękę, tak by mogła zaprzeć się nogami o ścianę i wyjść z wody.

W czasie kiedy ona się podnosiła, on leżał na plecach, prawie suchy. Tylko jego spodenki jeszcze nie wyschły, zostawiając na nim jedyny ślad tego, że kąpał się w jeziorze. Natomiast ubrania Luce były całkowicie mokre i przykleiły jej się do ciała, a jej włosy ociekały z wody. Większość chłopców wykorzystałaby okazję by patrzeć pożądliwie na zmoczone ciało dziewczyny, ale Daniel tylko leżał na skale z zamkniętymi oczami, tak jakby dawał jej chwilę czasu na doprowadzenie się do porządku – albo był to akt dobroci, albo brak zainteresowania.

Luce zdecydowała, że był to akt dobroci, wiedząc że jest niepoprawną romantyczką. Daniel wyglądał na spostrzegawczego, więc musiał choć trochę poczuć to, co czuła teraz Luce. To, że chciała być blisko niego, podczas gdy wszyscy kazali jej się trzymać od niego z daleka, to nie był zwykły urok, ale bardzo silne uczucie- naprawdę realne- że skądś się znają.

Daniel otworzył jedno oko i uśmiechnął się – tym samym uśmiechem ze zdjęcia w jego aktach. Była pewna, że ma déjà vu, tak bardzo, że musiała się położyć.

- Co? – zapytał, a jego głos brzmiał nerwowo.

- Nic.

- Luce.

- Po prostu nie mogę się czegoś pozbyć ze swojej głowy... - powiedziała, obracając się twarzą do niego. Nie była jeszcze na tyle spokojna by móc usiąść. – Tego przecucia, że cię znam. Że już cię kiedyś widziałam.

Woda pluskała uderzając o głaz, ochlapując palce u nóg Luce, które zwisały na brzegu skały. Woda była zimna i przyprawiała ją o gęsią skórę na całym ciele. W końcu Daniel powiedział:

- Czy już tego nie omawialiśmy? – ton jego głosu się zmienił, tak jakby próbował się z niej wyśmiewać. Brzmiał zupełnie jak chłopcy z Dover: pewny siebie, wiecznie znudzony, zadufany. – Pochlebia mi to, że czujesz między nami taki rodzaj związku, naprawdę. Ale nie musisz wymyślać jakichś zapomnianych historyjek, żeby zdobyć uwagę chłopaka.

Nie. On myślał, że ona kłamie na temat tego dziwnego przecucia, z którego nie mogła się otrząsnąć kiedy była przy nim. Zawstydzona, zacisnęła mocno zęby.

- Dlaczego niby miałabym to robić? – zapytała, patrząc z przymrużonymi oczami na słońce.

- Ty mi powiedz. – powiedział Daniel. – A właściwie, nie. Z tego nie może wyniknąć nic dobrego. – westchnął.

- Słuchaj, powinnam to była powiedzieć wcześniej, wtedy kiedy zaczęłam mieć tego oznaki. – Luce usiadła. Jej serce waliło jak szalone. Daniel też miał to przecucie.

- Wiem, że odtrąciłem cię wcześniej w siłowni... - powiedział powoli, sprawiając że Luce pochyliła się do przodu, tak jakby mogła przez to szybciej zanurzyć się w jego słowach. - ..Powiniennem ci po prostu powiedzieć prawdę.

Luce czekała.

- Byłem podpalony przez dziewczynę... – zanurzył rękę w wodzie, skubał płatki lilii by potem rozcierać je na proch w rękach. –...którą bardzo kochałem, nie tak dawno temu. To nic osobistego i nie zamierzam cię ignorować. – Spojrzał na Luce. Słońce przenikało przez krople wody na jego włosach, sprawiając, że błyszcząły. – Ale też nie chcę dawać ci żadnych nadziei. Po prostu nie szukam

nikogo z kim chcę się związać, bynajmniej nie tak szybko.

Och.

Spojrzała w dal, na nieruchomą, ciemno niebieską wodę, gdzie zaledwie minuty temu śmiali się i ochlapywali. Na jeziorze nie było już żadnych oznak jakiegokolwiek zabawy. Na twarzy Daniela także.

Cóż, Luce też kogoś podpaliła. Może gdyby mu powiedziała o Trevorze i o tych wszystkich okropieństwach, Daniel też otworzyłby przed nią swoją przeszłość. W końcu dotarło do niej, że nie zniosłaby tego, iż o jego przeszłości dowiedziałyby się od kogoś innego. I miała tu na myśli inną dziewczynę – wyobraziła sobie Gabbe, Molly z wmontowanym uśmiechem na twarzy, duże oczy, długie włosy – co wystarczyło, żeby poczuła mdłości. Jego przejmująca historia powinna go z wszystkiego wytłumaczyć. Ale tak nie było. Daniel zachowywał się w stosunku do niej dziwnie odkąd się poznali. Oszołomił ją pierwszego dnia, zanim się sobie przedstawili, potem ochronił ją przed posągami na cmentarzu. A teraz przyprowadził ją tutaj nad jezioro, by mogli pobyć sami. Był przy niej w każdym miejscu. Daniel miał opuszczoną głowę, ale jego oczy spoglądały na nią.

- Czy to nie wystarczająca odpowiedź? – zapytał, jakby dokładnie wiedział o czym myślała.

- Wciąż mam to uczucie, jakbyś wszystkiego mi nie mówił. – powiedziała. Wiedziała, że tego wszystkiego nie tłumaczyło jedno złamane serce. Miała w tej sprawie pewne doświadczenie.

Daniel patrzył przed siebie, na ścieżkę która przyszli nad jezioro. Po jakimś czasie zaśmiał się gorzko.

- Oczywiście, że są rzeczy o których ci nie powiedziałem. Ledwo cię znam. Nie jestem pewien, dlaczego myślisz, że jestem ci coś winien. – Wstał.

- Gdzie idziesz?

- Muszę wracać. – powiedział.

- Nie odchodź. – wyszeptala Luce, ale on już tego chyba nie słyszał.

Patrzyła jak Daniel skacze do wody z ciężarem na sercu.

Kiedy się wynurzył, zaczął płynąć do brzegu. Zerknął na nią raz, dając jej definitywnie znak, że się żegna.

Jej serce przepelniał żal, kiedy patrzyła jak doskonale płynie stylem motylkowym. Czowała się tak pusta w środku, nie mogąc nic poradzić na zachwyty nim. Jego styl był tak czysty, płynął bez wysiłku, że aż ciężko było na niego patrzeć.

W chwilę później dotarł do brzegu, pokonując dystans między nimi krócej, niż wydawało się to Luce. Sprawiał wrażenie, że się nie spieszy, kiedy płynął, i nie było sposobu by mógł tak szybko dotrzeć na drugą stronę, chyba że mknął przez wodę.

Czy tak pilnie mu było dostać się jak najdalej od niej?

Patrzyła- z uczuciem dezorientacji, mieszającym się z głębokim zażenowaniem i jeszcze większą pokusą – jak Daniel podnosi się z wody i staje na brzegu. Snop światła słonecznego przebijał się przez drzewa i padł na jego sylwetkę z żarzącym się blaskiem, a Luce patrzyła przymrużonymi oczami na ten piękny widok.

Zastanawiała się czy to przez to uderzenie piłką miała zaburzenia wzroku. Czy może to, co jej się wydaje że widzi, to jakaś iluzja. Jakiś podstęp tego późno popołudniowego światła słonecznego. Stała na skale, żeby się lepiej przyjrzeć.

ROZDZIAŁ 9



STAN NIEWINNOŚCI

W poniedziałkowy wieczór, pani Sophia stała przed podium na czele największej klasy w Augustine, próbując zrobić rękoma kukielki z cieni. Zdecydowała, że ostatnie uczniowskie posiedzenie przed oceną okresową odbędzie się w jej klasie do religii a Luce nie zdążyła jeszcze nadrobić tego miesiąca, który straciła.

Co oczywiście wyjaśnia fakt, że tylko ona jedna udawała, że pisze coś w notesie. Żaden z uczniów nawet nie zauważył, że wieczorne słońce przenikło przez niewielkie zachodnie okno i umniejszyło rękodzieło światłocieni pani Sophii. Luce nie chciała zwracać niczyjej uwagi na fakt, że ona poświęca swoją na siedzenie i przecieranie zakurzonej rolety.

Kiedy słońce musnęło kark Luce, uderzyło ją to, jak długo już siedzi w tej klasie. Obserwowała wschodzące słońce, które wyglądało jak czupryna pana Cole'a podczas dzisiejszej lekcji historii. Cierpiała, kiedy słońce prażyło w południe podczas biologii z Albinoską. A teraz był już prawie wieczór. Słońce zaszło już nad całym kampusem a Luce prawie nie opuszczała swojej ławki. Jej ciało było tak sztywne, jak metalowe krzesło na którym siedziała. Jej umysł był tak tępy jak ołówek, którym teraz pisała.

O co chodzi z tymi światłocieniami? Czy ona i pozostali wyglądają jakby mieli po pięć lat?

A zaraz po tym poczuła się winna. Faktem jest, że pani Sophia była więcej niż miła, zwłaszcza kiedy któregoś dnia odciągnęła Luce na bok, żeby z nią porozmawiać na temat tego, jak daleko zaszła przy sporządzaniu swojego drzewa genealogicznego. Luce udała zaskoczoną i wdzięczną kiedy pani Sophia weszła ponownie do jej bazy danych i przez godziny szukała odpowiednich słów. Poczuli się też z tego powodu trochę zawstydzona, ale granie tępej było lepsze w tej chwili, kiedy była zbyt zajęta obserwacją pewnego kolegi z klasy, niż poświęcanie czasu na badanie drzewa genealogicznego.

Teraz, pani Sophia stała w swojej długiej, krepowej sukni, zgrabnie splatając kciuki i podnosząc ręce w powietrze, przybierając kolejną pozę. Za oknem, chmury zasłoniły słońce. Luce skupiła się na wykładzie, kiedy nagle zauważyła cienie na ścianie dokładnie za panią Sophią.

- Jak wszyscy pamiętacie z poprzedniego roku, kiedy czytaliśmy „Raj

utracony”, Bóg obdarował anioły wolną wolą. – powiedziała Sophia, wydechając powietrze do mikrofonu, przypiętego do kołnierza jej sukni w kolorze kości słoniowej i machając swoimi wąskimi palcami, niczym doskonałymi anielskimi skrzydłami. – I jeden z nich przekroczył granicę. – Pani Sophia radykalnie obniżyła głos i Luce patrzyła jak podnosi palce wskazujące tak, że skrzydła anielskie zamieniają się w diabelskie rogi.

Przed Luce ktoś wymamrotał: - Wielkie rzeczy, to najstarsza książkowa sztuczka.

Na chwilę pani Sophia ucięła wykład, co wyglądało jakby w ostateczności słowa tej jednej osoby rozniosły się po całej klasie. Być może dlatego, że Luce nie była wychowana religijnie tak jak wszyscy pozostali, a może dlatego, że współczuła pani Sophii poczuła silne pragnienie by obrócić się do wszystkich i uciszyć krzykaczy.

Była marudna. Zmęczona i głodna. Zamiast zejść na dół na obiad, tak jak reszta szkoły, dwudziestu uczniów zapisanych na religię z panią Sophią zostało poinformowanych o tym, że będą uczestniczyć w „nieobowiązkowych” – żałośnie, niewłaściwe określenie, jak poinformowała ją Penn – zajęciach, a ich posiłek zostanie im przyniesiony do klasy, żeby zaoszczędzić czas.

Posiłek – nie obiad, nawet nie lunch, tylko jakiegoś rodzaju wypełnienie – był dziwnym doświadczeniem dla Luce, której już i tak ciężko było znaleźć coś, co mogłaby zjeść w tym mięsnym centrum stołówki. Randy po prostu zostawiła wózek z przygnębiającymi kanapkami i jakimś dzbanem letniej wody.

Kanapki były z tajemniczą wędliną, majonezem i serem, i Luce patrzyła zazdrośnie jak Penn głośno przeżywa jedną za drugą, zostawiając na kanapkach pół okręgi wycięte zębami, kiedy je gryzła. Luce była już na skraju wytrzymałości i miała już sięgnąć po kanapkę kiedy Cam wyciągnął przed nią swoją rękę. Otworzył dłoń i ukazał małą kiść świeżych fig. Ich głęboko purpurowe skórki wyglądały jak klejnoty na jego dłoni.

- Co to? – zapytała, uśmiechając się.

- Nie można żyć o samym chlebie, prawda? – zapytał Cam.

- Nie jedz tego. – nadleciała Gabbe, zabierając figi z dłoni Luce i wyrzuciła je do kosza. Przerывая im ponownie prywatną rozmowę, wsunęła w puste dłonie Luce woreczek pełny orzechowych M&M- sów z automatu. Luce wyobraziła sobie, że wyciąga wszystkie rzeczy z głowy Gabbe i wyrzuca je do śmieci.

- Ona ma rację. – pojawiła się Arriane, patrząc groźnie na Cam'a. – Kto wie jakimi świństwami je nafaszerował.

Luce zaczęła się śmiać, ponieważ Arriane oczywiście żartowała, ale nikt poza nią się nawet nie uśmiechnął, więc uciszyła się i wsunęła M&M-sy do kieszeni, dokładnie wtedy kiedy pani Sophia poprosiła by zajęli swoje miejsca.

Godziny później – jak się wydawało, wciąż byli więzieni w klasie, a pani

Sophia przeszła dopiero w Początku Stworzenia do wojny w niebie. Nawet nie doszli do Adama i Ewy. Żołądek Luce głośno protestował.

- Czy wszyscy wiemy, który podły anioł sprzeciwił się Bogu? – zapytała pani Sophia, jakby czytała książeczkę w bibliotece grupie dzieciaków. Luce spodziewała się, że cała klasa dziecinnie odpowie: Tak, pani Sophio. – Ktokolwiek wie? – Pani Sophia zapytała ponownie.

- Roland! – ryknęła Arriane.

- Dokładnie. – powiedziała Sophia, kiwając głową. Ledwo dosłyszalnym głosem dodała: - Teraz nazywamy go Szatanem, ale przez wszystkie te lata przybierał wiele imion – Mefistofeles czy Belial, a nawet czasem Lucyfer.

Molly, która siedziała naprzeciwko Luce, kołysała się na tylnych nogach swojego krzesła, doprowadzając Luce przez ostatnią godzinę do szaleństwa, teraz podrzuciła jej liścik na ławkę.

Luce. ...Lucyfer.. .. widzisz jakiś związek?

Jej pismo było mroczne, złowieszcze i szaleńcze. Luce zobaczyła jej wystające kości policzkowe kiedy ta się uśmiechała. W chwili słabości, spowodowanej głodem Luce zaczęła zażarcie odpisywać na odwrocie liściku Molly. Ale przecież nosiła imię po Lucindzie Williams, najlepszej, żyjącej piosenkarce i autorce piosenek, której koncert prawie odwołano z powodu deszczu, a na którym rodzice Luce się pierwszy raz spotkali. Kiedy jej mama poślizgnęła się na plastikowym kubku po błotnej lawinie, wpadła w ramiona jej ojca, i nie opuściła ich już przez dwadzieścia lat. Jej imię jest pamiątką po czymś romantycznym, a czym może się pochwalić wyszczekana Molly? Poza tym, jeśli jest coś co w tej całej szkole przypomina Szatana, to na pewno nie odbiorca tej wiadomości, tylko nadawa. Wzrok Luce wwierał się z powrotem w od niedawna zafarbowaną na szkarłatno, chochlikową fryzurę Molly. Luce była gotowa obrzucić ją kawałkami potarganego papieru i popsuć jej humor, korzystając z okazji, że pani Sophia była zajęta lightboxem. Obie ręce miała uniesione nad głową, jakby coś trzymała w dłoniach. W miarę jak je obniżala, cienie jej palców na ścianie wyglądały cudownie, zupełnie niczym wymachujące ręce i nogi, jakby ktoś skoczył z mostu, lub z budynku. Znaki były tak dziwaczne, tak mroczne i dobrze wykonane, że denerwowały Luce. Nie potrafiła odwrócić od nich wzroku.

- Przez dziewięć dni i dziewięć nocy... - powiedziała pani Sophia - ... upadali Szatan i jego anioły, dalej i dalej od nieba.

Jej głos przypominał coś Luce. Spojrzała dwa rzędy dalej na Daniela, którego wzrok przez moment napotkała, zanim nie ukrył się za notatnikiem. Ale ten urywek sekundy wystarczył, by wszystko do niej wróciło: jej sen, który miała wczoraj.

To było jak powtórka jej spotkania z Danielem nad jeziorem. Ale we śnie, kiedy Daniel się z nią pożegnał i wskoczył do wody, Luce miała odwagę podążyć

za nim. Woda była ciepła, czuła się w niej tak komfortowo, jak jeszcze nigdy dotąd, kiedy była w wodzie, a ławica fioletowych ryb tłoczyła się wokół niej. Płynęła tak szybko jak tylko potrafiła i w pierwszym momencie myślała, że ryby pomagają jej dostać się szybciej do Daniela i do brzegu. Ale szybko gromada ryb stawała się mroczna i przysłoniła jej widok, a ona nie mogła już zobaczyć Daniela. Ryby stawały się niewyraźne i wyglądały niebezpiecznie, zbliżając się coraz bliżej i bliżej tak, że nie mogła już nic zobaczyć. Czuła, że się topi, znikając w głębokim mule jeziora. Nie było jej żal tego, że nie była w stanie zaczerpnąć powietrza, nie było jej też żal tego, że nigdy już nie będzie w stanie się wynurzyć. Było jej żal tego, że na zawsze straci Daniela.

Nagle, tuż poniżej, pojawił się Daniel. Jego ramiona rozłożyły się jak żagle. Rozpędziły mroczne ryby i otuliły Luce, by zaraz potem wzbic się ku górze i unieść ich oboje nad powierzchnię wody. Wzbili się ponad wodę, wyżej i wyżej, ponad skałę i drzewo magnolii, pod którym zostawili swoje buty. A w sekundę później, byli tak wysoko, że Luce już nic nie mogła dostrzec.

- Aż w końcu wylądowali... – powiedziała pani Sophia, kładąc swoje ręce na podium - ...w płonącej jamie, zwanej piekłem.

Luce zamknęła oczy i wypuściła powietrze. To był tylko sen. Na nieszczęście teraz, to była jej rzeczywistość.

Westchnęła i oparła swoją brodę na rękach, przypominając sobie o tym, że miała odpowiedzieć na liścik Molly. Właśnie trzymała go w dłoniach. To wyglądałoby teraz głupio. Lepiej nie odpowiadać, niech Molly nie wie, że ją zdenerwowała. Papierowy samolot naleciał przez jej lewe przedramię.

Spojrzała daleko na lewo w róg klasy, gdzie siedziała Arriane i aż przesadnie puszczała do niej oko.

Mam nadzieję, że nie śniłaś o Szatanie. I gdzie pognałaś z DG w sobotnie popołudnie?

Luce nie miała jeszcze okazji przez cały dzień porozmawiać z Arriane. Ale skąd Arriane wie, że Luce spędziła dzień z Danielem? Kiedy pani Sophia mordowała się żeby przedstawić dziewięć kręgów piekła, Luce patrzyła jak Arriane posyła kolejny perfekcyjnie złożony samolot na ławkę Luce. Molly także.

Molly zerwała się w samą porę by pochwycić samolot w swoje zręczne palce z pomalowanymi na czarno paznokciami, ale Luce nie zamierzała jej odpuścić tym razem. Wyrwała część samolotu z rąk Molly, targając go głośno przez środek. Luce miała wystarczająco dużo czasu na to, by schować podarty liścik do kieszeni, zanim pani Sophia się rozejrzała wokół.

- Lucinda i Molly – powiedziała, ściągając swoje usta w linię i kładąc swoje dłonie równo na podium. – Mam nadzieję, że cokolwiek wy dwie macie do przedyskutowania, posyłając sobie te lekceważące mnie liściki, to jest to coś ważnego, czym możecie się podzielić z klasą.

Umysł Luce pracował na zwiększonych obrotach. Jeśli ona czegoś szybko nie wymyśli, zrobi to Molly, i nawet nie zamierza myśleć jak ją to upokorzy.

- M...Moly tylko mówiła... - Luce zaczęła się jąkać - ...że nie zgadza się z pani poglądem, na temat podziału piekła. Ma swoją własną opinię.

- Cóż, Molly, jeśli znasz alternatywny schemat krainy cieni, oczywiście chciałabym go usłyszeć.

- Co do piekła.... - wymamrotała Molly pod nosem. Odchrząknęła i stanęła prosto. - A więc, pani opisuje jamę Lucyfera, jako najniższe miejsce w piekle, tam gdzie kończą wszyscy zdrajcy. Ale według mnie... - powiedziała Molly, jakby chciała przekroczyć granicę - Myślę, że najgorsze tortury w piekle... - spojrzała w stronę Luce, dokładnie ją omiatając - ...powinny być zarezerwowane nie dla zdrajców, ale dla tchórzy. Najślabszych, najbardziej bezkręgowych nieudaczników. Ponieważ, co dla mnie oznaczają zdrajcy? W ostateczności oni dokonali wyboru. Ale tchórze? Biegają w kółko, obgryzając paznokcie, bojąc się cokolwiek zrobić. A więc co może być gorszego. - zakaszła, - Lucinda! - po czym odchrząknęła. - Ale to tylko moja opinia. - usiadła.

- Dziękujemy Molly. - powiedziała ostrożnie pani Sophia. - Jestem pewna, że wszyscy czujemy się teraz oświeceni.

Ale Luce wcale się tak nie czuła. Przestała słuchać w środku wygłaszanej przez Molly tyrady, czując przejmujące, obrzydliwe drylowanie w żołądku.

Cienie. Wyczuła je zanim je zobaczyła, bulgotające niczym rozgrzana smoła, na podłodze. Macki ciemności zwijały się wokół jej nadgarstków i Luce odważyła się spojrzeć w dół w przerażeniu. Wykręcały się w kierunku jej kieszeni, jakby chciały się dostać do liściku Arriane. A jeszcze nie zdążyła go przeczytać. Luce wepchnęła głęboko pięść do kieszeń i używając dwóch palców i swojej siły woli rozpedzała cienie tak mocno jak tylko potrafiła.

I stała się rzecz niewiarygodna: Cienie cofnęły się w tył jak zraniony pies. To był pierwszy raz, kiedy Luce zdołała się im przeciwstawić. Po drugiej stronie klasy, Arirane ją obserwowała. Miała przekrzywioną głowę i otwarte usta.

Liścik - wciąż musi czekać na odpowiedź Luce. Pani Sophia wyłączyła lightbox.

- Myślę, że mój artretyzm ma dość piekła jak na jedną noc. - zachichotała, zachęcając otępiałe umysły uczniów, by chichotały razem z nią. - Jeśli wszyscy ponownie przeczytacie siedem najistotniejszych esejów, z „Raju utraconego”, to myślę, że będziecie bardziej niż przygotowani, na jutrzejszy egzamin.

Kiedy pozostali uczniowie zaczęli się pakować i odchodzić do swoich pokoi, Luce rozwinęła liścik Arriane.

Powiedz, że nie wciskał ci tych kitów. „Zostałem wcześniej podpalony”.

Och. Zdecydowanie powinna porozmawiać z Arriane i dowiedzieć się, co właściwie wie o Danielu. Ale najpierw....

On stanął przed nią. Jego srebrna sprzączka od paska była na wysokości jej oczu. Wzięła głęboki wdech i spojrzała do góry, na jego twarz.

Szare oczy Daniela spoczywały na niej. Luce od dwóch dni nie miała okazji z nim porozmawiać, odkąd ją zostawił nad jeziorem. A wyglądał, jakby czas, który spędził z daleka od niej, odmłodził go. Luce zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma rozłożony liścik od Arriane w dłoni. Przełknęła głośno ślinę i włożyła liścik do kieszeni.

- Chciałbym cię przeprosić, za to, że tak nagle zostawiłem cię tamtego dnia.- powiedział Daniel, brzmiąc dziwnie oficjalnie. Nie bardzo wiedziała czy powinna przyjąć jego przeprosiny, ale nie dał jej czasu na odpowiedź. – Zakładam, że udało ci się dotrzeć na suchy ląd, prawda?

Luce próbowała się uśmiechnąć. Przyszło jej na myśli, by odpowiedzieć Danielowi o jej śnie, ale na szczęście zdała sobie sprawę, że to byłoby całkowite dziwactwo.

- Co sądzisz o poglądach, na zajęciach? – Daniel wyglądał na zamkniętego w sobie, sztywnego, jakby nigdy wcześniej ze sobą nie rozmawiali. Może po prostu sobie z niej żartował.

- To była tortura. – odpowiedziała Luce. Zawsze drażniło ją, kiedy bystre dziewczyny udawały, że nie są zainteresowane czymś tylko dlatego, że zakładały, że chłopcy chcą to usłyszeć. Ale Luce nie miała zamiaru udawać: to naprawdę była tortura.

- Dobrze. – powiedział Daniel, wyglądając na zadowolonego.

- Też tego nienawidzisz?

- Nie...- powiedział zagadkowo i Luce żałowała, że nie skłamała, żeby wyglądać na bardziej zainteresowaną, niż jest w rzeczywistości.

- Więc..... podobało ci się,- powiedziała, chcąc powiedzieć coś, cokolwiek, byle tylko podtrzymać tę rozmowę - Co ci się w tych zajęciach właściwie podobało?

- Może „podobało” nie jest właściwym słowem. – po dłuższej przerwie powiedział, - Tym się zajmuje moja rodzina..... badaniem takich rzeczy. Myślę, że nie mogę nic poradzić na to, że czuję się z tym związany.

Chwilę zajęło Luce przetworzenie jego słów w jej głowie. Wróciła pamięcią do stęchłej sutereny, gdzie przejrzała akta Daniela. Akta twierdziły, że Daniel Grigori spędził większość swojego życia w Los Angeles, w okręgowym sierocińcu.

- Nie wiedziałam, że masz jakąś rodzinę. – powiedziała.

- A dlaczego miałabyś wiedzieć? – zaszydził Daniel

- Nie wiedziałam.... A więc, masz rodzinę?

- Pytanie brzmi, dlaczego sądzisz, że wiesz cokolwiek na temat mojej rodziny, albo w ogóle o mnie?

Luce poczuła jak żołądek gwałtownie opada jej dół. Zobaczyła ostrzeżenie:

Prześladownicy- w oczach Daniela. I wiedziała już, że znowu zawaliła.

- D. – Roland stanął przed nimi i położył swoją rękę na ramieniu Daniela. – Będziesz tu tkwił czekając na kolejny trwający rok wykład, czy się zwijasz?

- Tak, - powiedział łagodnie Daniel, rzucając z ukosa ostatnie spojrzenie na Luce. – Zmywajmy się stąd.

W dodatku – oczywiście – powinna rzucić się do ucieczki kilka minut temu. Tak samo, jak powinna zachować się instynktownie i nie zdradzać żadnych szczegółów z akt Daniela. Bystra, normalna osoba uniknęłaby rozmowy na ten temat albo zmieniłaby go na mniej dziwny, albo w ostateczności, trzymałaby swoje duże usta zamknięte!

ROZDZIAŁ 10



NIE MA DYMU

- Na co czekamy? – zapytała Penn, w sekundę po tym jak Daniel z Rolandem wyszli. – Chodźmy. – pociągnęła Luce za rękę.

- Gdzie idziemy? – zapytała Luce. Serce wciąż mocniej jej biło po rozmowie z Danielem – która też spowodowała, że wyszedł. Kształt jego wyrzeźbionych ramion zniknął w holu, wyglądając na większy niż był w rzeczywistości.

Penn przekreśliła lekko głowę Luce kierując ją w swoją stronę. – Hello? Do biblioteki, tak jak napisałam w liściku.... – przyglądała się ślepemu wyrazowi twarzy Luce. – Nie dostałaś żadnego z moich liścików? – zdenerwowana, zaczęła uderzać swoją stopą o podłogę. – Ale przecież podałam je Todd’owi, żeby podał je Cam’owi, żeby podał je tobie.

- Expres konny. – Cam wszedł im w drogę i pokazał dwa liściki, które trzymał w ręku.

- Daj spokój. Czy twój koń po drodze umarł z przemęczenia? – naburmuszyła się Penn, wydzierając mu liściki. – Dałam ci je godzinę temu. Chyba ich nie czytałeś....?

- Oczywiście, że nie. – Cam skrzyżował swoje ręce na szerokiej klatce piersiowej, obrażony. Na środkowym palcu miał gruby, czarny pierścień. – Jeśli dobrze pamiętam, Luce miała problemy przez posyłanie sobie liścików z Molly....

- Nie posyłałyśmy sobie żadnych liścików z Molly.....

- W każdym bądź razie... - powiedział Cam, zabierając liściki z powrotem z rąk Penn i w końcu przekazując je Luce. – działałem wyłącznie w dobrym interesie Luce. Czekając na właściwy moment.

- No cóż, dziękuję. – Luce schowała liściki do kieszeni i wzruszyła ramionami do Penn.

- Mówiąc o właściwym momencie.... – powiedział, - byłem kiedyś poza szkołą i zobaczyłem to... - Wyciągnął małe, aksamitne, czerwone pudełeczko i otworzył je tak by Luce mogła zobaczyć co w nim jest. Penn spoglądała jej przez ramiona, żeby dojrzeć co w nim było.

W środku, na cienkim, złotym łańcuszku wisiał mały okrągły wisiorek z grawerowanymi liniami na około i małą węzową głową na środku. Luce spojrzała na Cam’a. Czy on sobie żarty z niej robił?

Cam dotknął wisiorka. – Pomyślałem, po tamtym dniu.... Chciałem pomóc

ci zmierzyć się ze swoim strachem. – powiedział, brzmiąc prawie nerwowo, jakby bał się, że Luce może tego nie zaakceptować. Ale czy powinna to zaakceptować? – Tylko żartowałem. Po prostu mi się spodobał. Jest unikatowy. I przypomniał mi o tobie.

Był unikatowy. I bardzo piękny, co wprawiło Luce w dziwne zakłopotanie.

- Byłeś na zakupach? – odważyła się zapytać, ponieważ łatwiej było rozmawiać o tym jak opuścił kampus, niż o tym... dlaczego obdarowałaś właśnie ją? – Myślałam, że jedną z zasad tej szkoły jest to, że wszyscy tu utknęliśmy.

Cam opuścił nieco swoją brodę z uśmiechem w oczach. – Są na to sposoby. – powiedział cicho. – Pokażę ci kiedyś. A właściwie mógłbym pokazać ci.....dzisiaj?

- Cam, kochanie – dobiegł ich zza niego głos. To była Gabbe, poklepująca go po ramieniu. Cienkie pasemko na przedzie jej włosów było splecione w francuza i spięte za uchem, niczym doskonała opaska, na którą Luce zaczęła patrzeć zazdrośnie.

- Potrzebuję twojej pomocy... - zamruczała Gabbe. Luce rozejrzała się wokół i zdała sobie sprawę z tego, że w klasie nie było już nikogo poza ich czwórka. - ...przy urządzeniu małej imprezy później, w moim pokoju. – powiedziała Gabbe, kładąc swoją brodę na ramieniu Cam'a, po czym przemówiła do Luce i Penn: - Wy też przyjdziecie, prawda?

Gabbe, której usta zawsze wyglądały na zlepione od błyszczycy i której blond włosy jeszcze nigdy tak dobrze nie otaczały chłopaka, który właśnie w tym momencie chciał rozmawiać z Luce. Nawet gdyby Luce uważała, że między nią a Danielem nic nie było, dobrze wiedziała, że nigdy się nie zaprzyjaźni z tą dziewczyną.

Poza tym, nie powinno się chyba lubić kogoś kto idzie na jej imprezę, zwłaszcza kiedy inni ludzie, których się nie lubi, prawdopodobnie też tam będą...może powinna pomóc wyplątać się z tego Cam'owi? Czy on właśnie nie sugerował, że mogą się dziś wymknąć?

Zaledwie wczoraj, po klasie krążyła plotka, że Jules i Philip, ta wykolczykowana para, nie pokazała się na zajęciach pani Sophii. Najwidoczniej, próbowali się wydostać z kampusu w środku nocy, ale coś poszło nie tak i....teraz są w czymś co przypomina izolatkę, o której istnieniu nie wiedziała nawet Penn.

Najdziwniejsze było to, że pani Sophia – która zazwyczaj nie toleruje szeptów – nie uciszała szaleńczo szepczących uczniów podczas jej lekcji. Zupełnie jakby szkoła chciała, żeby uczniowie wyobrażali sobie najgorszą z możliwych kar, którą się dostaje za naruszenie jakichkolwiek z despotycznych zasad.

Luce przełknęła głośno ślinę, spoglądając na Cam'a. Uniósł swoje brwi, ignorując Gabbe i Penn całkowicie. – Co ty na to, kochana? – zapytał, brzmiąc tak czarująco hollywoodzko, że Luce zapomniała o tym co się stało z Jules i Philipem.

- Wybaczcie... - wtrąciła się Penn, odpowiadając obojgu i chwytając Luce za łokieć. – ale mamy dziś inne plany.

Cam spojrzął na Penn, próbując zrozumieć, gdzie to niby tak nagle miałyby się obie z Luce wybrać. Patrząc na niego, Luce miała wrażenie że jest on po prostu lepszą, fajniejszą wersją jej samej. Po części chciałaby pójść właśnie z nim, dokładnie po tym jak Daniel nie chciał z nią spędzić więcej czasu. Ale Gabbe wciąż wisiała na jego ramieniu, a uścisk Penn był coraz silniejszy, więc Luce pomachała do nich, nadal trzymając w ręku prezent Cam'a.

Hm, może następnym razem. Dziękuję za naszyjnik.

Zostawiając zamyślonych Gabbe i Cam'a w klasie, daleko za sobą, Penn i Luce opuściły Augustine. To było odrażające uczucie, być w tym ciemnym budynku o tak późnej porze, a po pośpiesznych krokach Penn na schodach, Luce odnosiła wrażenie, że i ona czuje się tak samo.

Na zewnątrz było wietrznie. W palmowych drzewach ukrywały się sowy. Kiedy przechodziły obok dębów posadzonych wzdłuż budynku, rozwichrzone pnącza mchu oplótły je, niczym włosy na wietrze.

- Może następnym razem? – Penn naśladowała głos Luce. – Czego to dotyczyło?

- Niczego....Nie wiem. – Luce chciała zmienić temat. – To co powiedziałaś, zabrzmiało bardzo snobistycznie, Penn. – powiedziała, śmiejąc się, kiedy przemierzały z trudem część wspólną. – Inne plany.... Myślałam, że dobrze się bawiłaś na ostatniej imprezie.

- Jeśli byś się pofatygowała by przeczytać mój ostatni liścik, wiedziałabyś dlaczego mamy dużo ważniejsze sprawy na głowie.

Luce zaczęła grzebać po kieszeni, znajdując pięć niezjedzonych M&M-sów i podzieliła się nimi z Penn, która wyrażała naprawdę głęboką nadzieję, że pochodzą one z higienicznego miejsca, ale w końcu je zjadła.

Luce otworzyła pierwszy liścik od Penn, który wyglądał jak ksero strony, którą widziała w podziemnym archiwum.

Gabrielle Givens

Cameron Briel

Lucinda Price

Todd Hammond

Poprzednie miejsce zamieszkania :

Wszyscy na południowym wschodzie, poza T. Hammond

(Orlando, Florida)

Arriane Alter

Daniel Grigori

Mary Margaret Zane

Poprzednie miejsce zamieszkania:

Los Angeles, California

Grupa, do której należała Lucinda była zapisana jako przybyła do Sword & Cross 15 września tego roku. A druga grupa przybyła 15 marca, trzy lata wcześniej.

Kto to jest Mary Margaret Zane?- zapytała Luce, wskazując na listę.

- Nikt inny jak tylko nasza cnotliwa Molly.- powiedziała Penn.

Molly ma na imię Mary Margaret? – Nic dziwnego, że jest taka wkurzona na cały świat. – powiedziała Luce. – Skąd to masz?

- Zabrałam z jednego z pudełek, które pani Sophia przyniosła tamtego dnia. – powiedziała Penn. – To jest pismo pani Sophii.

Luce spojrzała na nią. – Co to znaczy? Po co miałyby to spisywać? Myślałam, że daty naszego przyjazdu do szkoły są w naszych aktach.

- Bo są. Cokolwiek to jest, nie mogę tego rozgryźć. – powiedziała Penn. – Bo przecież to, że pojawiaasz się tu w tym samym czasie co inni, nie oznacza, że masz coś z nimi wspólnego.

- Z co po niektórymi nie chciałyby mieć nic wspólnego.- powiedziała Luce, przypominając sobie skromne spojrzenie Gabbe, przyklejone do jej twarzy.

Penn podrapała się po brodzie. – Ale kiedy Arriane, Molly i Daniel pojawili się tutaj, już się ze sobą znali. Myślę, że pochodzili z tego samego sierocińca w L.A.

Gdzieś tam był klucz do historii Daniela. Musiało być tam coś więcej niż to, że przebywał sierocińcu w Californii. Ale wracając pamięcią do reakcji Daniela - błąd z przerażenia wyraz twarzy, spowodowany tym, że Luce ma jakiś interes w tym, że chce się czegoś o nim dowiedzieć – cóż, to sprawiło, że poczuła jakby wszystko co robią z Penn było daremne i niedojrzałe.

- Jaki z tego morał? – zapytała Luce, nieoczekiwanie podirytowana.

- Nie mogę pojąć, po co pani Sophia miałyby porównywać te informacje. Myślałam, że pani Sophia pojawiła się w Sword & Cross w tym samym czasie co Arriane, Daniel i Molly.... – ucięła Penn – Kto wie? Może to nic nie znaczy. Tak

mało wzmianek o Danielu jest w archiwach, że stwierdziłam, że pokaże ci to co mam. Dowód rzeczowy B. – powiedziała, wskazując na drugi liścik.

Luce westchnęła. Część jej chciałaby zrezygnować z poszukiwań i może wtedy nie czułaby się zażenowana z powodu Daniela. Ale ta natarczywa część jej wciąż pragnęła poznać go lepiej.....co było znacznie prostsze kiedy teoretycznie nie było go w pobliżu i nie dawał jej powodu do tego, by się tego wstydziła.

Luce spojrzała na liścik, który był niczym innym jak tylko kserem karty katalogowej z biblioteki.

Grigori, D. Ostrzeżenia: Mity w Średniowieczu

Europa. Wydawnictwo Serafin, Rzym, 1755

Numer: R999.318 CR!

- Wygląda na to, że jeden z przodków Daniela był filologiem. – powiedziała Penn, czytając Luce przez ramię.

A więc to to miał na myśli. – powiedziała Luce pod nosem. Spojrzała na Penn. – Powiedział mi, że badanie religii jest u niego rodzinne. Chyba to miał na myśli.

- Myślałam, że jest sierotą.....

- Nie pytaj. – powiedziała Luce, machając ręką. – To dla niego drażliwy temat. - Przebiegła palcem po tytule książki. – Co to za ostrzeżenie?

- Tylko w jeden sposób możemy się tego dowiedzieć. – powiedziała Penn. – I coś mi mówi, że będziemy tego ostro żałować. Ponieważ wygląda na to, że to najprawdopodobniej najnudniejsza książka na świecie. Dobrze, że wciąż.... – dodała, pocierając nadgarstki o swoją koszulkę -mam swobodny wgląd do katalogów. Ta książka powinna być gdzieś w tej stercie. Podziękujesz mi później.

- Dobra jesteś. – przyznała Luce. Była podekscytowana dostaniem się do biblioteki. Jeśli ktokolwiek z rodziny Daniela napisał książkę, to nie mogła być ona nużąca. Albo może nie dla Luce. Potem spojrzała na jeszcze jedną rzecz, która trzymała w ręku. Aksamitne pudełeczko od Cam'a.

- Jak myślisz, co to może oznaczać? – zapytała Penn, kiedy zaczęły podążać w kierunku schodów, wyłożonych mozaikowymi płytkami, które prowadziły do biblioteki.

Penn wzruszyła ramionami. – Węże kojarzą ci się z

- Nienawiścią, udręką, skrajną paranoją i obrzydzeniem. – wymieniła Luce.

- Może to.....Dobra, ja przyzwyczaiałam się do mojego lęku przed kaktusami. Nie potrafiłam być blisko nich – nie śmieję się, nakłułaś się kiedyś na jeden z nich? Ich igły zostają na twojej skórze przez wiele dni. W każdym bądź razie, pewnego roku, w moje urodziny, tata podarował mi jedenaście kaktusów. W pierwszym momencie, chciałam nimi rzucić w niego. Ale potem, no wiesz, przyzwyczaiałam się do nich. Przestałam się odsuwać, za każdym razem kiedy byłam blisko nich. W efekcie końcowym, terapia podziałała.

- Więc chcesz przez to powiedzieć, że prezent Cam'a....- powiedziała Luce – jest naprawdę słodki.

- Myślę, że tak. – powiedziała Penn. – Ale gdybym nie wiedziała, że on za tobą szleje, to nie byłaby taka ufna i nie powierzyłabym mu naszej prywatnej korespondencji. Wybacz.

- On wcale za mną nie szaleje. – zaczęła mówić Luce, dotykając złotego wisiora w pudełeczku, wyobrażając sobie, jak będzie wyglądał na jej skórze. Luce nic nie powiedziała Penn o pikniku z Cam'em, ponieważ.....cóż, właściwie nie wiedziała dlaczego. Musiałaby też odpowiedzieć o czasie spędzonym z Danielem, a sama nie wiedziała, przy którym powinna – albo może chciała pozostać.

- Ha! – zarechotała Penn. – A więc to oznacza, że go lubisz! I zdradzasz Daniela. Nie nadążam za tobą i twoimi chłopakami.

- Tak jakby chodziło tylko o któregoś z nich. – powiedziała posępnie Luce. – Myślisz, że Cam przeczytała liścik?

- Jeśli tak, a mimo to dał ci ten naszyjnik.... – ciągnęła Penn – to chyba jest naprawdę w tobie zakochany.

Zatrzymały się w bibliotece a ciężkie, podwójne drzwi zatrzasnęły się za nimi. Dźwięk rozszedł się echem po całej sali. Pani Sophia spojrzała na nie znad mnóstwa papierów porzucanych po oświetlonym stoliku.

- Och, witajcie dziewczynki. – powiedziała, rozpromieniając się tak, że Luce poczuła się winna, że przeszkadzają jej podczas czytania. – Mam nadzieję, że podobała się wam moja krótka powtórka, na zajęciach! – prawie zaśpiewała.

- Bardzo. – przytaknęła Luce, myśląc tylko o tym, że nie było w tych zajęciach nic krótkiego. – Przyszliśmy, żeby sobie powtórzyć kilka rzeczy przed egzaminem.

- Właśnie. – wtrąciła się Penn. – zainspirowała nas pani.

- Wspaniale! – Pani Sophia zaszeleściła kartkami. – Mam tu gdzieś dalszy ciąg listy do przeczytania. Z przyjemnością ją wam skseruje.

- Świetnie. – skłamała Penn, lekko pchając Luce w kierunku stery książek. – Damy pani znad, kiedy będziemy jej potrzebowały.

W bibliotece było cicho, za wyjątkiem szumu na biurku pani Sophii. Luce i Penn spojrzały na numery regałów i mijaly półka po półce w kierunku książek o religii. Energooszczędne świetlówki miały wmontowany czujnik ruchu, który powinien je włączać, kiedy znajdowały się w jego zasięgu, ale tylko połowa ze świateł działała. Luce zauważyła, że Penn wciąż trzyma ją za rękę i zdała sobie sprawę, że nie chce by ta ją puściła. Dziewczyny szły do zazwyczaj przepelnionej części biblioteki, gdzie tylko na jednym ze stolików paliło się światło. Wszyscy pozostali pewnie poszli na imprezę do Gabbe. Wszyscy, poza Todd'em. Siedział z nogami wyłożonymi na krześle, naprzeciwko niego i wyglądał, jakby czytał atlas świata, wielkości filiżanki do kawy. Kiedy dziewczyny stanęły przed nim, spojrzał

w górę na nie z zmizerniałym wyrazem twarzy, który przekształcił się zw irytację tym, że mu przeszkodziły.

- Chyba trochę za późno na to byście tu przebywały. – powiedział beznamiętnie.

- Dla ciebie chyba też. – zripostowała Penn, jakby odstawiała jakiś dramat. Kiedy tylko oddaliły się o kilka półek między od Todd'a, Luce uniosła swoje brwi.

- Co to miało być?

- Co? – nadąsała się Penn. – On ze mną flirtuje. – założyła swoje ręce na klatkę piersiową i zdmuchnęła brązowy kosmyk włosów ze swoich oczu. – Tak jakby.

- Czy ty chodzisz do czwartej klasy? – dokuczała jej Luce.

Penn dźgnęła Luce swoim palcem wskazującym z taką intensywnością, że Luce by podskoczyła gdyby właśnie w tym momencie nie zaczęła głośno chichotać. – Czy znasz kogokolwiek innego, kto zagłębi się razem z tobą w rodzinną historię Daniela Grigori'ego? Myślę, że nie. Więc daj mi spokój.

Zaraz potem, dotarli w róg biblioteki, gdzie wszystkie 999- te książki były ustawione wzdłuż półki w kolorze niebiesko szarym. Penn przykucnęła i dotknęła grzbietu książki swoimi palcami, a Luce poczuła dreszcz, zupełnie jakby Penn dotknęła palcem wzdłuż jej karku. Obróciła głowę wokoło i zobaczyła smugę szarości. Nie czerń, jaką cienie zazwyczaj przybierały, ale coś jaśniejszego, cieńszego. Cos nie niemiłe widzianego.

Obserwowała, dzikie oczy, jak u cieni, rozciągały się, kłębiąc się właśnie nad głową Penn. Podchodziły powoli, wyglądając jak nawleczona igła i Luce nawet nie chciała myśleć o tym, co by się stało, gdyby dotknęły jej przyjaciółkę. Tamtego dnia, w siłowni, cienie po raz pierwszy ją dotknęły – i do dziś czuła się naruszona, prawie brudna po ich dotyku. Nie wiedziała, do czego jeszcze są zdolne.

Zdenerwowana, niepewna, Luce wyciągnęła swoje ramiona, zupełnie jakby chciała uderzyć piłkę. Wciągnęła głęboko powietrze i wymachnęła nimi. Zjeżyła się pod wpływem zimnego kontaktu, kiedy uderzyła w cienie – machnęła też rękoma nad głową Penn lekko ją uderzając.

Penn położyła swoje dłonie na głowie i patrzyła na Luce, będąc a szoku. – Co się z tobą dzieje?

Luce opadała w dół, obok Penn i rozmasowywała jej głowę. – Przepraszam. To było...Myślałam, że widzę osę.... Latającą nad twoją głową. Spanikowałam. Nie chciałam, żeby cię ukąsiła.

Luce zdała sobie sprawę z tego jak kiepskie, beznadziejnie kiepskie było to wyjaśnienie i czekała na to, że jej przyjaciółka zacznie wyzywać ją od szaleńców – bo niby co osa miałaby robić w bibliotece? Mogła tylko czekać na to, że Penn po prostu wyjdzie. Ale wyraz twarzy Penn złagodniał. Wzięła rękę Luce w obie swoje dłonie i potrząsnęła nimi.

- Mnie też przerażają osy. – powiedziała. – Jestem alergiczką. W zasadzie, uratowałaś mi życie.

To był dal nich moment w którym tworzyła się między nimi więź – ale nie do końca, ponieważ Luce wciąż całą swoją uwagę skupiała na cieniach. Gdyby tylko był jakiś sposób na to, by móc je zignorować w swoim umyśle, bez ignorowania Penn. Luce miała silne, niespokojne uczucie co do tych szarych cieni. Jednolitość cieni, nigdy nie była pocieszająca, ale to ostatnie doznanie było nowym, niepokojącym etapem. Czyżby miało to oznaczać, że jakieś inne cienie też znalazły sposób by się do niej dostać? Czy po prostu coraz to lepiej je odróżnia? I co z tym dziwnym momentem, podczas zajęć pani Sophii, kiedy rozproszyła cienie, zanim się dostały do jej kieszeni? Zrobiła to bez zastanowienia, nie mając podstaw by oczekiwać, że dwoma palcami rozwieje cienie, ale bynajmniej – rozejrzała się wokół półek – tymczasowo odeszły. Zastanawiała się czy ustanowiła jakiś precedens do komunikowania się z cieniami. Poza tą „komunikacją” jaką nastąpiła z tymi unoszącymi się nad głową Penn – nawet jeśli Luce wiedziała, że to był eufemizm. Zimne, obrzydliwe uczucie rosło w jej żołądku, kiedy zdała sobie sprawę, że to co zaczęła robić z cieniami mogło wyglądać..... jakby chciała z nimi walczyć.

- Dziwne – powiedziała Penn, siedząc na podłodze. – Powinna być dokładnie między „Słownikiem Aniołów” a tymi okropnymi kazaniami Billy’ego Graham’a. – spojrzała na Luce. – Ale ona zniknęła. - Myślałam, że powiedziałaś....

- Bo powiedziałam. Komputer pokazał ją na liście, właśnie przy tej półce, ale jest za późno żeby to ponownie sprawdzić online.

- Idź zapytać Todd’a. – zasugerowała Luce. – Może to on jej używa, żeby ukryć swojego Playboya.

- Ohyda. – Penn uderzyła się w udo.

Luce wiedziała, że Penn żartuje, bo próbowała zbagatelizować jej rozczarowanie. To było takie frustrujące. Nie mogły znaleźć nic o Danielu bez biegania wzdłuż ścian, i nawet nie wiedziała co mogłaby znaleźć na stronach tej książki. I czy w ostateczności, dowiedziałyby się z niej czegoś więcej o Danielu. Ale zawsze lepsze to, niż nic.

- Zostań tutaj. – powiedziała Penn, wstając. – Wrócę zapytać panią Sophię, czy ktoś dziś nie szukał tej książki.

Luce patrzyła jak Penn wlecze się z powrotem między półkami w kierunku biurka pani Sophii. Zaśmiała się, kiedy Penn przyspieszyła kroku na widok siedzącego przy stoliku Todd’a.

Pozostając sama w rogu, Luce chwyciła jakąś książkę z półki. Obiegła szybko myślami wszystkich uczniów Sword & Cross ale nie mogła by znaleźć nikogo, kto mógłby chcieć wypożyczyć którąś z tych religijnych książek. Może pani Sophia potrzebowała jej, żeby przygotować się do swojego wykładu. Luce

zastanowiło to, jak czuje się Daniel, siedząc i słuchając wykładu, który pewnie był dobrze mu znany z czasów dzieciństwa. Chciałaby wiedzieć jakie było jego dzieciństwo. Co się stało z jego rodziną? Czy w sierociniec, w którym się wychowywał był katolicki? Czy może on, tak jak ona, chciał tylko mieć z religii dobrą ocenę i zaliczyć rok. Zastanawiała się, czy Daniel kiedykolwiek czytał tą książkę napisaną przez jego przodka i co o niej myślał, i czy sam myślał o napisaniu książki. Chciałaby wiedzieć, co teraz robił na tej imprezie u Gabbe i kiedy ma urodziny, jaki ma rozmiar nogi i czy czasem, gdy ma wolną chwilę – myśli o niej.

Potrząsnęła głową. Potok jej myśli był żaloszny i musiała go uciąć. Otworzyła książkę, którą trzymała w ręku – „Słownik Aniołów”, w mało interesującej, szmacianej oprawie- i zdecydowała się na czytanie jej, dopóki nie wróci Penn. Zaszła do upadłego anioła Abbadona, który żałował tego, że opowiedział się po stronie szatana i głęboko żałował swojej decyzji – nuda – kiedy usłyszała wycie syren dobiegające z nad jej głowy. Spojrzała do góry i zobaczyła świecący na czerwono alarm pożarowy.

- Alarm, Alarm. – automatyczny, monotony głos dobiegał z głośnika. – Alarm pożarowy został aktywowany. Należy jak najszybciej opuścić budynek.

Luce wsunęła książkę na półkę i stanęła na równe nogi. W Dover często robili takie rzeczy. Kiedy po jakimś czasie i nauczyciele i uczniowie przestali reagować na fałszywe alarmy, straż pożarna naprawdę wywoływała alarm, żeby zmusić ludzi do reakcji. Luce już mogła sobie wyobrazić zarządców Sword & Cross, którzy wpadli na ten sam pomysł. Kiedy zaczęła iść w stronę wyjścia, była zaskoczona tym, że zaczęła kaszleć. W bibliotece naprawdę był dym.

- Penn? – zawołała, słysząc jak jej głos odbija się echem w jej uszach. Wiedziała, że nie przekrzyczy wycia alarmu.

Piekący zapach dymu przypomniał jej tamtą płomienną noc z Trevorem. Obrazy i dźwięki wlały się do jej umysłu. Powróciły wszystkie te rzeczy, które wpełnęła głęboko w głąb swojej podświadomości tak, że prawie je wymazała z pamięci. Aż do teraz. Widziała szokującą biel oczu Trevora, na sekundę przed tym jak pochłonął je pomarańczowy żar. Pojedyncze kosmyki płomieni, kiedy ogień rozprzestrzeniał się pomiędzy każdy z palców Trevora. Przenikliwy, niekończący się krzyk w jej głowie, podobny do syren, długo po tym jak Trevor już nie żył. Przez cały ten czas, stała i patrzyła, po prostu nie potrafiła przestać patrzeć, jakby zmrożona otaczającymi ją płomieniami. Nie była w stanie się poruszyć. Nie potrafiła zrobić nic, by mu pomóc. Dlatego też umarł.

Luce poczuła uścisk dłoni na swoim lewym nadgarstku, spodziewając się zobaczyć Penn. Ale to był Todd. Jego blade oczy były szeroko otwarte i też kaszłał.

- Musimy się stąd wydostać. – powiedział, szybko oddychając. – Myślę, że trafimy do wyjścia, jak będziemy się cofać.

- A co z Penn i panią Sophią?- zapytała Luce. Poczwała się nagle słaba i miała zawroty głowy. Przetarła swoje oczy. – Były tam. – kiedy wskazała na przejście w kierunku wejścia do biblioteki, mogła zobaczyć jak gęsty był tam dym.

Todd spojrział tam niepewnie, ale zaraz po tym przytaknął. – Dobrze. – powiedział, trzymając jej rękę kiedy się pochyłili i pobiegli w kierunku frontowych drzwi biblioteki. Skręcili w prawo kiedy jedno z przejść wyglądało na całkowicie zadymione, a wtedy znaleźli się przodem do ściany bez bladego pojęcia jak się z stamtąd wydostać. Oboje się zatrzymali, zdyszani. Dym, który zaledwie sekundy temu unosił się w powietrzu tuż nad ich głowami, teraz sięgał już ich ramion. Dławił ich nawet wtedy, gdy się pochyłali. Nie widzieli przed sobą nic, poza swoimi stopami. Upewniając się, że wciąż trzymają się razem z Todd'em, Luce obróciła się w kierunku przejścia, z którego właśnie przyszli. Wyciągnęła przed siebie dłoń i poczuła gorący metal jednej z półek. Nie była nawet w stanie dotrzeć do planu biblioteki. Nie wiedziała, czy są w części D czy O.

Nie wiedziała jak ma ich doprowadzić w do Penn i pani Sophii, nie miała też pojęcia gdzie jest wyjście. Luce poczuła jak ogarnia ją coraz to większa panika, sprawiając, że ciężiej jej było oddychać.

- Musiały wyjść przez frontowe drzwi. – krzyknął Todd, brzmiąc tylko w połowie na przekonanego. – Musimy zawrócić.

Luce zasłoniła ręką usta. Jeśli cokolwiek stało się Penn....

Ledwo widziała już Todd'a, który stał teraz przed nią. Miał rację, ale gdzie była droga powrotna? Skinęła głową i poczuła jak Todd ciągnie ją za rękę. Przez długi czas szła nie wiedząc dokąd, ale kiedy zaczęli biec, dym się przerzedzał coraz bardziej, aż w końcu zobaczyła czerwoną strzałkę z napisem WYJŚCIE EWAKUACYJNE. Luce westchnęła z ulgą kiedy Todd wyszukał po omacku klamkę i otworzył drzwi.

Byli w korytarzu, którego Luce wcześniej nie wiedziała. Todd zatrzęsął za nimi drzwi. Oboje dyszeli, napełniając swoje płuca czystym powietrzem. Powietrze smakowało tak dobrze, że Luce z chęcią zatopiłaby w nim swoje zęby, mogłaby pić je galonami, kąpiąc się w nim. Oboje wykaszliwali dym z płuc, po czym zaczęli się śmiać, niespokojnie, na wpół z ulgą. Śmiali się do momentu, w którym Luce zaczęła płakać. Ale nawet kiedy Luce przestała już płakać i kaszleć, z jej oczu nadal płynęły łzy. Jak mogła cieszyć się tym świeżym powietrzem, skoro nie wiedziała czy nic się nie stało Penn? Jeśli Penn nie wyszła z tego – jeśli utknęła gdzieś tam w środku – to Luce straci już po raz drugi kogoś, na kim jej bardzo zależy. Tylko, że teraz to będzie jeszcze gorsze.

Przetarła oczy i patrzyła jak obłok dymu przenika przez szczelinę pod drzwiami. Jeszcze nie byli bezpieczni. Na końcu korytarza były jeszcze jedne, szklane drzwi. Luce mogła przez nie zobaczyć chwiejące się na wietrze drzewa. Luce ciężko wypuściła powietrze. Za kilka chwil, będą na zewnątrz, z dala od tego

dławiącego dymu.

Jeśli będą na tyle szybcy, mogliby wrócić pod frontowe drzwi i upewnić się, że Penn i pani Sophii nic się nie stało.

- Chodź. – powiedziała do Todd'a, który stał pochylony, z rzęzącym oddechem. – Musimy iść dalej.

Todd się wyprostował, ale Luce widziała, że zrobił to resztką sił. Twarz miał czerwoną, a oczy miał wściekle i mokre. Musiała praktycznie ciągnąć go do drzwi. Była tak bardzo skupiona na wydostaniu się stamtąd, że ledwo dostrzegła ciężki, świszczący dźwięk nad nimi, który zagłuszył wyjący alarm. Spojrzała w górę na wir cieni. Widmo szarych i głęboko czarnych cieni. Powinna móc je zobaczyć pod sufitem, ale wyglądały jakby bez trudu mogły pokonać tę granicę. Jakby mogły wydostać się pod obce i wysokie niebo. Płątały się w swoim gąszczu i teraz były bardzo wyraźne. Pośród nich, znajdowały się też te jaśniejsze, szarawe, które Luce widziała wcześniej. Przypominały igielki, choć po dłuższej chwili wyglądały jak zapalone zapałki. Podskakiwały nad nimi w korytarzu. Czy była w stanie odeprzeć te bezkształtne istoty, tak jak kiedy muskały głowę Penn? Na to wspomnienie zaswędziała ja dłoń i zwinęły się jej palce u stóp.

Todd zaczął uderzać o ściany, jakby korytarz kurczył się wokół nich. Luce wiedziała, że nie byli blisko drzwi. Chwyliła za dłoń Todd'a, ale ich spocone dłonie tylko się o siebie otarły. Owinęła więc swoje palce wokół jego nadgarstka. Rękę miał białą jak u ducha, wiszącą blisko podłogi, prawie nią powłócząc. Przerażliwy jęk wydostał się z jego ust.

Ponieważ dym całkowicie już teraz przeniknął do korytarza?

Czy dlatego, że też czuł obecność cieni?

Niemożliwe.

Twarz Todd'a była zaciśnięta i przerażona. Stawała się taka w miarę, jak cienie zaczęły wirować im nad głowami.

- Luce? – wołał trzęsącym się głosem.

Pozostała horda cieni stanęła im na drodze. Ciemno czarna, mroczna pokrywa rozciągnęła się w poprzek ścian i Luce nie mogła już dostrzec drzwi. Spojrzała na Todd'a – czy on też to widzi?

- Biegnij! – wrzasnęła.

Czy on może biec? Jego twarz była pokryta popiołem a powieki jego oczy były prawie zamknięte. Był na skraju wytrzymałości. Ale nagle wyglądał na zaskoczonego. Czy raczej coś zaskoczyło ich oboje.

- Co do diabła....? – uciał Todd.

Ich stopy przez moment uniosły się nad podłogę. Zupełnie jakby unieśli się na fali oceanu, niosąc się na grzbiecie fali, wysoko w powietrzu. Luce nie wiedziała w jakim kierunku idą – nie widziała nawet drzwi, słyszała tylko warczenie cieni wokół. Krążących wokół, ale nie dotykających jej. Powinna być

przerazona, ale nie była. Jakimś cudem czuła się broniona przed cieniami, jakby coś ją chroniło – coś ciekłego, ale nieprzeniknionego. Coś niesamowicie znajomego. Coś silnego, ale też delikatnego. Coś....

Jakby trochę za szybko, ona i Todd dostali się do drzwi. Jej stopy ponownie dotknęły ziemi i przecisnęła się przez drzwi na zewnątrz.

Wtedy się wyprostowała. Dusząc się. Dysząc.

Kolejny alarm zaczął dzwonić. Ale brzmiał bardzo odlegle.

Poczuła powiew wiatru na karku. W końcu byli na zewnątrz! Stojąc na krawędzi schodów. Zbiegła na dół na dziedziniec, i chociaż myślała, że jej umysł jest otępiały przez dym, mogła dosłyszeć gdzieś blisko jakieś głosy.

Obróciła się, żeby zobaczyć co się właściwie się stało. Jak jej i Todd'owi udało się przedostać przez te grube, mroczne, niezgłębione cienie? I czym było to coś, co ich uratowało?

Teraz Luce już tego czegoś nie czuła.

Prawie chciałyby wrócić i tego poszukać.

Ale korytarz był ciemny, a jej oczy wciąż łzawiły. Nie wiedziała też już kłębiących się cieni. Może odeszły. Ale był tak jakiś strzęp światła, coś wyglądającego jak pień drzewa z konarami – nie, jak tułów z długimi, szerokimi kończynami. Pulsująca, prawie fioletowa kolumna światła unosiła się w powietrzu nad nimi. Na myśl- absurdalnie- przyszedł Luce Daniel. Coś widziała. Wzięła głęboki oddech i próbowała zamrunąć załzawionymi od dymu oczami. Ale światło wciąż tam było. Wczuła się w głos, który usłyszała, uspakajający ją, jak kołysanka śpiewana w środku wojny.

Nie wiedziała jak cienie nadchodzą.

Te ciała- uderzyły w nią i Todd'a, przerywając uścisk ich dłoni i odrzucając Luce w powietrze.

Wylądowała na mnóstwie schodów. Krzyk agonii wydostał się z jej ust.

ROZDZIAŁ 11



BOLESNE PRZEBUDZENIE

- Boisz się? – zapytał Daniel. Miał przechyloną w bok głowę, a jego blond włosy były w lekkim nieładzie, rozwiewane przez łagodny wiaterek. Obejmował ją. W miarę jak jego uścisk wokół jej talii stawał się coraz to bardziej stanowczy, wydawał się być również przyjemny i lekki, niczym delikatny dotyk szarfy. Jej palce były splecione ze sobą na jego nagim karku.

Czy się bała? Oczywiście, że nie. Była przecież z Danielem. W końcu. W jego ramionach. Jedynym prawdziwym pytaniem, które spychała w głąb swojej świadomości było: Czy powinna się bać? Nie była pewna. Nawet nie wiedziała gdzie była.

Czuła zapach deszczu w powietrzu, blisko. Ale oboje z Danielem mieli suche ubrania. Czuła jak długa, biała suknia owiewa jej kostki. Dobiegało do nich słabe światło dnia. Luce poczuła słabe ukłucie żalu z powodu zachodu słońca, tak jakby miała na nie jakiś wpływ, bądź mogła je zatrzymać. Skądś wiedziała, że ten ostatni promień słońca był tak cenny, jak ostatnia kropla miodu w słoju.

- Zostaniesz ze mną? – zapytała. Jej głos był cichym szeptem, prawie niedosłyszalnym jękiem. Podmuch wiatru zawirował wokół nich, powiewając włosami Luce tak, że wpadły jej do oczu. Daniel owinął ją szczelniej ramionami. Poczowała jego oddech blisko swojego, jego skórę na swojej skórze.

- Na zawsze. – wyszeptał. Wypełnił ją słodki dźwięk jego głosu. Na lewej stronie jego czoła widniało małe zadrapanie, ale szybko o nim zapomniała kiedy Daniel otoczył dłonią jej policzek i zbliżył do niej swoją twarz. Uniosła swoją głowę i poczuła, że całe jej ciało zastygło w oczekiwaniu.

Nareszcie, nareszcie, jego usta pochylały się w dół by połączyć się z jej ustami, w silnej potrzebie, zabierając jej oddech. Pocałował ją, jakby do niego należała, tak naturalnie jakby była jego dawno utraconą drugą połową, którą wreszcie odzyskał.

Zaczął padać deszcz. Moczył ich włosy, spływając im po twarzach do ust. Deszcz był ciepły i odurzający, jak ich pocałunki. Luce objęła dłońmi jego nagie plecy, żeby go przyciągnąć bliżej do siebie, i jej palce prześlizgnęły się po czymś aksamitnym. Podążyła jedną ręką wokół tego czegoś, potem drugą, sprawdzając jak daleko sięgają tego granice, a potem spojrzała na entuzjastyczną twarz Daniela.

Coś rozpościerało się za nim.

Skrzydła. Lśniące i mieniające się wieloma barwami na deszczu, trzepoczące powoli, bez wysiłku. Widziała je już wcześniej, może, czy może coś podobnego.

- Daniel. – powiedziała, dysząc. Skrzydła pochłonęły jej uwagę i jej umysł. Wyglądały jakby wirowały w milionie kolorów, przyprawiając ją o ból głowy. Spróbowała spojrzeć gdzie indziej, gdziekolwiek, ale nie mogła dostrzec nic poza Danielem, w świetle niekończących się róży i błękitów zachodzącego słońca. Zanim nie spojrzała w dół i nie dostrzegła tej jednej, ważnej rzeczy.

Ziemi.

Tysiące stóp pod nimi.

Kiedy otworzyła swoje oczy było zbyt jasno, a jej skóra była zbyt sucha i czuła przeszywający ból z tyłu głowy. Niebo zniknęło, tak jak Daniel. A więc to był tylko kolejny sen.

Tylko, że ten pozostawił po sobie prawie chore uczucie pożądania.

Znajdowała się w pokoju z białymi ścianami. Leżąc na łóżku szpitalnym. Po jej lewej stronie, wisiała cieniutka zasłona, która rozciągała się wzdłuż połowy pokoju, oddzielając ją od kogoś krzątającego się po drugiej stronie.

Luce ostrożnie dotknęła wrażliwego miejsca u podstawy jej karku i zajęczała. Próbowała się zorientować w swojej sytuacji. Nie wiedziała gdzie była, ale czuła wyraźnie, że nie przebywa już w Sword & Cross. Jej biała sukienka było skłębiona – poklepała miejsca obok siebie - miała na sobie luźne, szpitalne ubranie. Czuła jak każdy element jej snu, wymyka jej się z pamięci – wszystko, tylko nie skrzydła. Były takie realne. Ich dotyk był taki aksamitny i płynny. Żołądek podszedł jej do gardła. Zacisnęła i rozluźniła swoje pięści, w pełni zorientowana, że są puste.

Ktoś westchnął i ścisnął jej dłoń. Luce odwróciła szybko głowę i skrzywiła się z bólu. Myślała, że jest sama. Gabbe siedziała w rogu na wypłowiałym, niebieskim bujanym fotelu, który w irytujący sposób uwydatniał kolor jej oczu. Luce chciałaby uciec – albo spodziewała się że będzie mogła uciec – ale kiedy Gabbe posłała jej ciepły uśmiech, sprawiła tym samym, że Luce się cieszyła, że jednak nie jest sama.

- Ile z tego, co się zdarzyło było snem? – wymruczała.

Gabbe się zaśmiała. Obok niej, na stoliku, stał słoiczek kremu do skórek, a ona zaczęła wycierać białą maść o zapachu cytryny w łóżko Luce.

- To zależy... - powiedziała, masując palce Luce. – Ale mniejsza o sny. Wiem, że jeśli mój świat się wali, to nic nie pomaga mi tak bardzo jak manicure.

Luce spojrzała w dół. Nigdy nie przykładała wagi do malowania paznokci, ale słowa Gabbe przypomniały jej o jej mamie, która zawsze proponowała jej manicure, kiedy Luce miała zły dzień. Kiedy Gabbe wolno pocierała jej dłonie, Luce zastanawiała się nad wszystkimi tymi latami, które przeminęły.

- Gdzie jesteśmy? – zapytała.

- W szpitalu, w Lullwater.

Pierwsza podróż z Sword & Cross i skończyła w szpitalu, zaledwie pięć minut drogi od domu jej rodziców. Ostatni raz była tu, kiedy spadła z roweru i założyli jej trzy szwy na łokciu. Ojciec nie odstępował jej ani na chwilę. Ale teraz, nigdzie go nie było.

- Jak długo tu jestem?- zapytała.

Gabbe spojrzała na biały zegar na ścianie i powiedziała: - Znaleźli cię, omdlałą z wdychania dymu wczorajszej nocy, około jedenastej. To standardowa procedura, wezwać pogotowie z sektora 5, kiedy znajdą nieprzytomnego ucznia reformowanej szkoły, ale nie przejmuj się, Randy powiedziała, że wypuszczą cię stąd niebawem. Oczywiście, kiedy tylko twoi rodzice się zgodzą...

- Moi rodzice tu są?

- Przepelnieni niepokojem o swoją córkę, aż po same rozdwojone końce włosów twojej mamy. Są na korytarzu, wypełniając jakieś papiery. Powiedziałam im, że będę miała na ciebie oko.

Luce zajęczała i przyłożyła twarz do poduszki, czując ponownie dokuczliwy ból z tyłu głowy.

- Jeśli nie chcesz się z nimi widzieć....

Ale Luce nie jęczała z powodu rodziców. Umierała z tęsknoty za nimi. Przypomniała sobie bibliotekę, ogień i nowy rodzaj cieni, które przerażały ją coraz bardziej. Zawsze były mroczne i szpetne, zawsze sprawiały, że się denerwowała, ale ostatniej nocy wyglądało na to, że cienie czegoś od niej chcą. To było coś jeszcze; to unosząca ją w powietrzu siła, która pozwoliła jej się wydostać.

- Co to za spojrzenie? – zapytała Gabbe, unosząc jej głowę i machając jej przed oczami. – O czym ty myślisz?

Luce nie wiedziała, skąd u Gabbe ta nagła dobroć dla niej. Asystentka pielęgniarki to nie było dokładnie to, na co Gabbe zgodziła by się dobrowolnie, no i nie było wokół żadnych chłopców, których uwagę mogła by monopolizować. Gabbe nawet nie wydawała się lubić Luce. Na pewno nie przyszła by tu z własnej woli, a może?

Ale choć nie wiadomo jak Gabbe była by miła, nie tłumaczyło to zdarzeń z zeszłej nocy. Na korytarzu czekało na nią makabryczne, nie do opisanie spotkanie. Surrealistyczne uczucie bycia pchaną w kierunku ciemności. Dziwnie istotna oświetlona postać.

- Gdzie jest Todd? – zapytała Luce, przypominając sobie przerażone oczy chłopca. Puściła jego rękę, kiedy coś w nich uderzyło, a potem...

Zasłonka nagle się przesunęła i oto ukazała się Arriane, ubrana w skejty i czerwono biały uniform wolontariuszy. Jej krótkie, czarne włosy były upięte w serię supelków na szczycie jej głowy. Przyszła z tacką, na której stały trzy połówki orzecha kokosowego z neonowymi parasoleczkami i imprezowymi słómkami.

- Żeby była jasność.... – powiedziała gardłowo, nosowym głosem. – Wrzucisz wapno do kokosu i wypijesz – wio. W czymś przerwałam?

Arriane podeszła bliżej, zatrzymując się przy nogach Luce. Podąła im kokosową lupinę z kiwającą się różową parasoleczką.

Gabbe podskoczyła pierwsza by chwycić kokos, obwąchując jego zawartość. – Arriane, ona właśnie przeszła traume. – zbeształa ją. – I dla twojej informacji, przerwałam nam temat Todd'a.

Arriane odrzuciła swoje ramiona do tyłu. – To właśnie dlatego potrzebuje niezłego kopa. – argumentowała, trzymając zaborczo tacę, kiedy ona i Gabbe wpatrywały się w siebie z naciskiem. – Dobra. – powiedziała Arriane, odwracając swój wzrok od Gabbe. – Dam jej twojego nudnego, starego drinka. – podała Luce kokos z niebieską słomką.

Luce musiała być w jakimś osłupiająco – traumatycznym oszołomieniu. Skąd one miały te wszystkie rzeczy? Łupiny orzecha? Parasoleczki? To było zupełnie jakby wydostały się z reformowanej szkoły i przeniosły się do medycznego klubu.

- Skąd wzięłyście te wszystkie rzeczy? – zapytała Luce. – To znaczy...dziękuję wam, ale....

Kiedy zajdzie taka potrzeba, mobilizujemy wszystkie nasze środki. – powiedziała Arriane. – Roland pomógł.

Wszystkie trzy przez moment siorbały orzeźwiające, słodkie drinki, ale Luce nie wytrzymała dłużej.

- A więc, wracając do Todd'a....?

- Todd... - powiedziała Gabbe, odchrząkując. – Właściwie to....on nawdychał się dużo więcej dymu niż ty, kochana....

- Wcale nie. – sprzeczała się Arriane. – Złamał sobie kark.

Luce zaczęła dyszeć, a Gabbe uderzyła Arriane parasolką ze swojego drinka.

- No co? – powiedziała Arriane. – Luce to wytrzyma. W końcu i tak się dowie, po co to opóźniać?

- Dowody na razie na nic nie wskazują. – powiedziała Gabbe, akcentując każde słowo.

Arriane wzruszyła ramionami. – Luce tam była, musiała widzieć....

- Nie widziałam co się z nim stało. – powiedziała Luce. - Staliśmy razem, a potem jakoś zostaliśmy odepchnięci z dala od siebie. Miałam złe przecucie, ale nie wiedziałam.... – wyszeptała, - więc on... - Odszedł z tego świata. – powiedziała Gabbe łagodnie.

Luce zamknęła swoje oczy. Przeszedł przez nią dreszcz, który nie miał nic wspólnego z drinkiem. Przypomniała sobie jak gorączkowo uderzała w ściany, jego spocone dłonie, trzymające jej własne kiedy cienie opadły w dół na nich, ten straszny moment, gdy oboje zostali odepchnięci, a ona nie potrafiła zmusić się do

tego, by do niego podejść. Na pewno widział cienie. Luce była teraz tego pewna. I umarł. Po śmierci Trevora nie było tygodnia bez zawistnych listów skierowanych do Luce. Jej rodzice próbowali przechwytywać maile zanim ona mogłaby przeczytać te wszystkie okropne rzeczy, ale wiele z nich wciąż do niej docierało. Niektóre były pisane ręcznie, inne na maszynie do pisania, jeden był nawet z wyciętych liter z czasopisma, zupełnie jak list z żądaniem okupu. MORDERCZYNI, WIEDŹMA. Wyzywali ją dość wystarczająco okrutnie, że mogłaby założyć album z wycinkami, powodując poszerzającą się agonię, która trzymała ją w domu przez całe lato.

Myślała, że zrobiła wystarczająco dużo, by wyjść z tego koszmaru: pozostawiając swoją przeszłość za sobą, kiedy przyjechała do Sword & Cross, skupiając się na zajęciach, zaprzyjaźniając się...o Boże. Wstrzymała oddech.

- Co z Penn? – zapytała, przysłaniając ręką usta.

- Penn ma się dobrze.- powiedziała Arriane. – Jest na pierwszej stronie tej opowieści, będąc naocznym świadkiem pożaru. Ona i pani Sophia wydostały się, śmierdząc jak dym z krateru we wschodniej Georgii, ale nic poza tym.

Luce wypuściła powietrze. Jak na razie, to była jedyna dobra wiadomość. Ale pod tą cienką, szpitalną koszulą była cała roztrzęsiona. Wkrótce z pewnością przyjdą do niej ci sami ludzie, którzy byli u niej zaraz po śmierci Trevora. Nie tylko ci, którzy pisali te złośliwe listy. Dr. Sanford. Jej kurator. Policja. Tak jak wcześniej, spodziewa się że cała historia się powtórzy. Będą chcieli by przypomniała sobie każdy szczegół. Ale oczywiście ona nie będzie potrafiła. W jednym momencie, Todd był blisko niej, a zaraz potem....

- Luce. – Penn wtargnęła so pokoju, trzymając w ręku wielki, brązowy balon napełniony helem. Miał kształt plastra opatrunkowego i napisane niebieskimi literami Naklej mnie.

- Co to? – zapytała, patrząc krytycznie na wszystkie trzy dziewczyny. – Jakiś rodzaj Pidżama – Party?

Arriane rozwiązała sznurowadła w swoich skejtach i wskoczyła na małe łóżko obok Luce. Przełożyła swojego drinka do drugiej ręki i oparła swoją głowę o ramię Luce. Gabbe malowała bezbarwnym lakierem paznokcie w drugiej – wolnej od drinka- ręce Luce.

- Taaaaa... - zarechotała Arriane. - Przyłącz się do nas Pennyloafer. Właśnie zamierzałyśmy zagrać w Prawda albo Wyzwanie. Pozwolimy ci zacząć pierwszej.

Gabbe próbowała ukryć swój śmiech za delikatnym, udawanym kichnięciem. Penn położyła swoje dłonie na biodrach. Luce zaczęła jej współczuć, ale i się jej bać. Penn wyglądała naprawdę przerażająco.

- Jeden z naszych kolegów z klasy umarł wczorajszej nocy. – Penn sprecyzowała ostrożnie. – A Luce mogła być naprawdę ranna. – potrząsnęła swoją głową. – Jak wy dwie w tym czasie możecie się bawić? – Pociągnęła nosem. – Czy

to alkohol?

- Ooooch. – powiedziała Arriane, patrząc na Penn z powagą na twarzy. –
Lubiłaś go, prawda?

Penn podniosła poduszkę z krzesła stojącego za nią i rzuciła ją w Arriane.
Ale prawda była taka, że Penn miała rację. To było dziwne, że Gabbe i Arriane
rozmawiały o śmierci Todd'a z taką lekkością.

Jakby takie rzeczy zdarzały się cały czas. Jakby nie wpłynął na nie fakt, że
Luce była w to zamieszana. Tylko, że one nie wiedziały tego, co Luce o ostatnich
chwilach Todd'a. Nie wiedziały dlaczego teraz poczuła się taka chora. Przesunęła
swoje nogi na łóżku, robiąc Penn miejsce i wręczyła jej to, co zostało z
orzeźwiającego drinka.

- Wyszliśmy tylnym wyjściem, a potem.... – słowa ugrzęzły jej w gardle. –
Co się stało z tobą i panią Sophią?

Penn spojrzała niepewnie na Arriane i Gabbe, ale żadna z nich nie zrobiła nic
wstrętne. Penn się poddała i usiadła w rogu łóżka.

- Poszłam tam zapytać ją o... - popatrzyła znowu na dziewczyny, potem na
Luce w zrozumiały sposób. – o to, o co miałam ją zapytać. Ale ona nie знаła
odpowiedzi, za to chciała mi pokazać inną książkę.

Luce już zapomniała po co była ta cała jej wyprawa z Penn, zeszłej nocy.
Zdawało się to być już takie odległe, zwłaszcza po tym co stało się po tym.

- Zrobiliśmy może dwa kroki od biurka pani Sophii... - kontynuowała Penn
– i pojawiła się nam przed oczami wielki płomień. To znaczy.... Czytałam kiedyś o
nagłych wybuchach pożaru, ale to było....

Wszystkie pozostałe trzy dziewczyny pochyliły się by usłyszeć dalszą część
opowieści. Historia Penn była pierwszoplanowa.

Coś go musiało zapoczątkować... - powiedziała Luce, próbując sobie
zobrazować biurko pani Sophii. – Ale nie wydaje mi się by oprócz nas, ktoś był w
bibliotece.

Penn potrząsnęła głową. – Bo nikogo nie było. Pani Sophia twierdzi, że
musiał się zerwać jakiś przewód. Cokolwiek się zdarzyło, ogień miał się na czym
rozprzestrzenić. Tam były wszystkie dokumenty. – pstryknęła palcami.

- Ale wszystko w porządku z panią Sophią? – zapytała Luce, ściskając swoją
szpitalną koszulę.

- Jest zrozpaczona, ale nic jej nie jest. – powiedziała Penn. – Ostatecznie
przecież wyszła z tego cało, ale straciła chyba wszystkie swoje rzeczy. Kiedy
mówili jej co się stało z Todd'em, była zbyt odrętwiała, żeby to zrozumieć.

- Może wszyscy jesteśmy zbyt sparaliżowani, żeby to zrozumieć. –
powiedziała Luce. Tym razem Arriane i Gabbe przytaknęły. – Czy...czy rodzice
Todd'a już wiedzą? – zapytała, zastanawiając się w jaki sposób wyjaśni to co się
stało, swoim rodzicom. Wyobrazila ich sobie, wypełniających te wszystkie papiery

w holu. Czy oni w ogóle chcą się z nią zobaczyć? Czy skojarzą śmierć Todd'a ze śmiercią Trevora...i skierują obie okropne historie przeciwko niej?

- Słyszałam jak Randy rozmawiała z rodzicami Todd'a przez telefon. – powiedziała Penn. – Myślę, że będą chcieli procesu. Jego ciało zostało dziś wysłane z powrotem na Florydę. Tak to było?

Luce westchnęła.

- W Sword & Cross odbywa się w środę nabożeństwo żałobne Todd'a. – powiedziała cicho Gabbe. – Daniel i ja pomożemy w jego zorganizowaniu.

- Daniel? – powtórzyła Luce, zanim zdążyła odzyskać nad sobą kontrolę. Spojrzała na Gabbe i choćby nie wiadomo jak była pogrążona w smutku, nie mogła nic poradzić na wciąż powracające pierwsze wrażenie tej dziewczyny: pomalowane na różowo usta, blond uwodzicielki.

- Był pierwszym, który znalazł was oboje, zeszłej nocy. – powiedziała Gabbe. – Przyniósł cię do biura Randy'ego spod biblioteki.

Daniel ją niósł? Była w ... jego ramionach, otaczających jej ciało? Powrócił jej sen i uczucie latania – nie, unoszenia się w powietrzu – znów ją otoczyło. Poczuli się nagle przywiązani do łóżka. Cierpiała na samo wspomnienie nieba, deszczu, jego ust, jego uśmiechu, tonu jego głosu powracającego do jej uszu. Na twarz wyszedł jej rumieniec, najpierw z powodu pożądania, a potem z bolesnej niemożności ponownego powtórzenia tego, co zdarzyło się zanim się obudziła. Wspaniałe, oślepiające skrzydła były jedynie fantazją w jej śnie. W realnym świecie, Daniel poniósł by ją tylko wtedy kiedy by potrzebowała opieki lekarskiej. Nigdy by jej nie pożądał, nigdy by nie wziął ją w swoje ramiona, nie tak.

- Och, Luce, wszystko w porządku? – zapytała Penn. Wachlowała rozpalone policzki Luce parasoleczką z drinka.

- Tak. – powiedziała Luce. Nie mogła pozbyć się ze swojego umysłu tych skrzydeł. Zapomnieć o jego twarzy, tak blisko jej własnej. – Myślę, że wciąż dochodzę do siebie.

Gabbe poklepała ją po dłoni. – Kiedy tylko dowiedzieliśmy się o tym co się stało, poprosiliśmy Randy'ego o to, byśmy mogli cię odwiedzić. – powiedziała, wywracając oczami. – Nie chcieliśmy żebyś obudziła się sama.

Usłyszały pukanie do drzwi. Luce spodziewała się zobaczyć swoich rodziców, ale nikt nie wszedł do środka. Gabbe wstała i spojrzała nerwowo na Arriane, która nie zamierzała się podnosić.

- Zostańcie tutaj. Ja się tym zajmę.

Luce wciąż próbowała ogarnąć to, co powiedziały jej o Danielu. Wiedząc, że nie ma to żadnego sensu chciała, żeby to on stał za drzwiami.

- Co z nią? – ktoś zapytał, szepcząc. Ale Luce to usłyszała. To był on. Gabbe coś odpowiedziała.

- Po co to całe zgromadzenie? - warknęła Randy z za drzwi. Luce

stwierdziła z drżącym sercem, że godziny odwiedzin już się skończyły. – Jeśli którekolwiek z was, chuligani, pozwoliło sobie coś tu przynieść, będzie pozbawione wolności. I nie Grigori, nie będę akceptować żadnych kwiatów jako łapówki. Wszyscy natychmiast do minivana.

Słyszając głos administratorki, Arriane i Penn wzdrygnęły się, po czym wepchnęły łupiny orzecha kokosowego pod łóżko. Penn schowała parasoleczkę do futerału na długopis a Arriane spryskała powietrze jakimś waniliowo – piżmowymi perfumami. Odwinęła też dla Luce gumę do żucia z papierka.

Penn nabrała powietrza zanim przebiegła przez chmurkę unoszących się perfum i położyła się szybko obok Luce, szepcząc jej: - Jak tylko staniesz na nogi, znajdziemy tą książkę. Myślę, że będzie dla nas lepiej, jeśli pozostaniemy czymś zajęte, trzymając z dala od tego nasze umysły.

Luce ścisnęła rękę Penn w podziękowaniu i uśmiechnęła się do Arriane, która wyglądała na zbyt zajęta zawiązywaniem sznurówek w swoich skejtach, żeby coś usłyszeć.

Wtedy Randy wtargnęła do pokoju. – Jeszcze większe zgromadzenie! – zawołała. – Niewiarygodne.

- Właśnie zamierzałyśmy.... – zaczęła mówić Penn.

- Wyjść. – dokończyła Randy. Miała ze sobą bukiet dzikich peonii w ręku. Dziwne. To ulubione kwiaty Luce. Ciężko było je znaleźć.

Randy otworzyła szafeczkę pod umywalką i szperała w niej przez moment, potem wyciągnęła mały, zakurzony wazon. Napełniła go wodą i włożyła do niego peonie, po czym ustawiła je na stoliku obok Luce. – Są od twoich przyjaciół. – powiedziała. – którzy już się będą zbierać.

Drzwi się szeroko otworzyły i Luce w końcu mogła zobaczyć Daniela, opierającego się o futrynę. Miał opuszczoną brodę, a jego szare oczy patrzyły na nią z troską. Napotkał wzrok Luce i lekko się uśmiechnął. Kiedy odgarnął swoje włosy z oczu, Luce zobaczyła małe, ciemno czerwone zadrapanie na jego czole.

Randy pokierowała Penn, Arriane i Gabbe do drzwi. Ale Luce nie mogła oderwać oczu od Daniela. Pomachał dłonią w powietrzu i powiedział niemo coś co wyglądało jak: Przykro mi zanim Randy wypchnęła go z drzwi.

Mam nadzieję, że cię nie wykończyli. – powiedziała Randy, czając się przy drzwiach i marszcząc surowo brwi.

- Och, nie! – Luce potrząsnęła swoją głową, zdając sobie sprawę jak bardzo jest zależna od lojalności

Penn i od dziwnego sposobu bycia Arriane, który rozchmurza nawet najbardziej poważny humor. Od Gabbe też, w końcu chyba naprawdę jest dla niej miła. I od Daniela, którego ledwo widziała, a który zakłócił spokój jej umysłu bardziej, niż mógł to sobie wyobrazić. Wrócił zobaczyć, co z nią. Myślał o niej.

- To dobrze. – powiedziała Randy. – Bo to nie koniec twoich gości.

Ponownie, serce Luce przyspieszyło, kiedy czekała by zobaczyć się z rodzicami. Ale usłyszała tylko energiczne stukanie o linoleum na podłodze i wkrótce zobaczyła szczupłą sylwetkę pani Sophii. Wokół ramion miała przewiązany barwny szal, a usta pomalowane na głęboko czerwony kolor. Za nią szedł niski, łysy mężczyzna w garniturze oraz dwóch policjantów, jeden pulchny a drugi szczupły, obydwójce mieli zakola i założone na piersi ręce.

Pulchny policjant był młodszy. Usiadł na krześle obok Luce, a zaraz potem – oczywiście nikt oprócz niego nie usiadł – wstał i założył ponownie ręce na piersi. Łysy mężczyzna podszedł do Luce i wyciągnął do niej rękę.

- Jestem Schultz, adwokat Sword & Cross. – Luce sztywno potrząsnęła jego ręką. – Panowie są tu tylko po to, by zadać ci kilka pytań. Nic z tego nie będzie użyte w sądzie, chcemy tylko potwierdzić szczegóły wypadku....

- A ja będę tu cały czas, w czasie pytań Lucindo. – dodała pani Sophia, podchodząc i głaskając Luce po głowie. – Jak się masz, kochanie? – wyszeptała. – Jesteś w stanie amnezycznego szoku?

- Wszystko w porządku.... – przerwała Luce, gdy zobaczyła dwie sylwetki w drzwiach. Prawie wpadła w płacz, kiedy zobaczyła ciemne, pokręcone włosy matki i szylkretowe, wielkie okulary swojego ojca.

- Mamo. – wyszeptała, zbyt cicho, by ktoś mógł to usłyszeć. – Tato.

Podeszli do łóżka, obejmując ją i ściskając jej dłonie. Chciała ich mocno uściskać, ale czuła się zbyt słaba, więc tylko czerpała przyjemność z ich znajomego dotyku. Patrzyli na nią z takim przerażeniem, jakie teraz i ona czuła.

- Kochanie, co się stało? – zapytała jej mama. Ale Luce nie potrafiła wydobyć z siebie ani słowa.

- Powiedziałam im, że jesteś niewinna. – powiedziała pani Sophia, obróciła się, żeby przypomnieć to też policjantom. – Niesamowicie okropny zbieg okoliczności.

Oczywiście była mowa o wypadku Trevora, i oczywiście gliny to wygrzebały.... I pewnie był to niezwykle dowód śmierci Todd'a. Luce miała wystarczającą praktykę z oficerami policji, i dobrze wiedziała, że zostawi ich sfrustrowanych i podirytowanych. Szczupły gliniarz miał dłubie baczki, które zaczynały siwieć. W ręku trzymał otwarte akta, które pochłaniały całą jego uwagę, ponieważ ani razu nie spojrzał na Luce.

- Panno Price – powiedział powoli z południowym akcentem – Dlaczego byliście sami z panem

Hammondem w bibliotece o tak późnej godzinie, skoro wszyscy pozostali uczniowie byli na imprezie?

Luce spojrzała na swoich rodziców. Jej mama przygryzała wargi. Twarz jej ojca była biała, niczym prześcieradło.

- Nie byłam tam z Todd'em. – powiedziała, nie rozumiejąc sedna pytania. –

Byłam tam z Penn, moją przyjaciółką. Pani Sophia też tam była. Todd coś czytał, kiedy wybuchł pożar. Ja zgubiłam Penn i Todd był jedyną osobą, jaką znalazłam.

- Jedyną osobą, którą znalazłaś..... by co zrobić?

- Jedną minutę. – Pan Schultz podszedł bliżej i przerwał policjantowi. – To był wypadek, jeśli mogę panom przypomnieć. Nie przesłuchujecie podejrzanego.

- Nic nie szkodzi, ja chce odpowiedzieć. – powiedziała Luce. W pokoju było tylko osób, że nie wiedziała na kogo patrzeć. Zerknęła na gliniarza. – Co pan miał na myśli?

- Czy jest pani agresywną osobą, panno Price? – ścisnął mocniej teczkę. – Czy raczej jest pani typem samotnika?

- Wystarczy. – przerwał jej ojciec.

- Tak, Lucinda jest poważną uczennicą. – dodała pani Sophia. – Nie była wrogo nastawiona wobec Todd'a Hammonda. To co się wydarzyło to był wypadek, nic więcej.

Policjant zerknął w kierunku otwartych drzwi, jakby chciał, żeby pani Sophia przez nie wyszła. – Oczywiście psze Pani. Coż...jak widać sprawy tej reformowanej szkoły, dają korzyści nie zawsze bycia odpowiedzialnym za.....

- Powiedziałam panom wszystko co wiem. – powiedziała Luce, zaciskając w pięści prześcieradło. – Nie mam nic do ukrycia.

Patrzyła na nich tak przenikliwie długo, jak tylko potrafiła, mówiąc powoli i czysto, tak by nie mogli zadać żadnych nowych pytań jej rodzicom i tak by gliny mogły wszystko zapisać. Nie pozwoliła sobie na okazywanie emocji, których wszyscy zapewne się po niej spodziewali. I - pomijając pojawienie się cieni – historia nabierała sensu.

Ruszyli w kierunku drzwi. Znaleźli wyjście i koniec korytarza. Zbiegali szybko po schodach, stawiając gwałtownie stopy na krawędziach. Ona i Todd biegli z taką siłą, że nie potrafili się zatrzymać i spadli ze schodów. Straciła z nim kontakt, uderzając się w głowę wystarczająco mocno, by obudzić się tutaj po dwunastu godzinach. To było wszystko co pamiętała.

Dała im powody do dyskusji. To była jedyna prawda, z którą przyjdzie się jej zmierzyć – w samotności.

Kiedy było już po wszystkim, pan Schultz popatrzył na policjantów spojrzeniem mówiącym: Jesteście usatysfakcjonowani? , a pani Sophia uśmiechnęła się promiennie do Luce, jakby obie osiągnęły coś niemożliwego. Mama Luce ciężko westchnęła.

- Cóż...przemyślimy wszystko na posterunku. – powiedział szczupły policjant, zamykając teczkę Luce z dużą rezygnacją. Wyglądał jakby oczekiwał podziękować za jego usługę. Następnie czworo z nich opuściło pokój tak, że została sama z rodzicami. Posłała im spojrzenie, które mówiło: Zabierzcie mnie do domu. Usta jej mamy drżały, a jej tata powoli westchnął.

- Randy zabierze cię do Sword & Cross, jeszcze dziś popołudniu. – powiedział tata. – Nie patrz tak na mnie, kochanie. Lekarz powiedział, że nic ci nie będzie.

- Powiedział, że jesteś zdrowa. – dodała mama, ale brzmiało to nieszczerze.

Jej ojciec położył rękę na jej ramieniu. – Zobaczymy się w sobotę. To tylko kilka dni.

Sobota. Zamknęła swoje oczy. Dzień dla rodziców. Czekala na niego odkąd przyjechała do Sword & Cross, ale teraz przyćmiła to śmierć Todd'a. Jej rodzice wyglądali tak, jakby tylko czekali na to by się z nią pożegnać. Pewnie już znaleźli sposób żeby się nie widywać ze swoją córką z reformowanej szkoły. Byli tacy normalni. A Luce nie mogła ich za to winić.

- Odpocznij teraz, Luce. – powiedział jej tata, pochylając się, żeby pocałować ją w czoło. – Miałaś długą, ciężką noc.

- Ale....

Była wyczerpana. Zamknęła na krótko oczy, a kiedy je otworzyła jej rodzice machali jej w drzwiach na pożegnanie.

Zerwała biały kwiat z bukietu i przybliżyła go powoli do twarzy, podziwiając kruche płatki, na których skroplił się nektar wydostający się ze środka kwiatu. Wdychała jego delikatny, aromatyczny zapach. Próbowala sobie wyobrazić jak wyglądały w rękach Daniela. Zastanawiała się skąd je wziął i co przez nie miał na myśli. To był dość dziwny wybór kwiatów. Dzikie peonie nie rosły w podmokłej Georgii. Nie przyjęły się nawet w ogrodzie jej ojca w Thunderbolt. Co więcej, te nie miały wyglądu żadnych innych, które widziała w całym swoim życiu. Te były tak duże jak jej zamknięta na nich dłoń i zapachem przypominały jej o czymś, co nie całkiem rozumiała.

ROZDZIAŁ 12



W PROCH

Sępy krążyły nad cmentarzem w mglisty wieczór. Upłynęły już dwa dni od śmierci Todd'a, a Luce nadal nie potrafiła niczego przełknąć, ani zasnąć. Luce stała w czarnej sukience bez rękawów u schyłku cmentarza gdzie całe Sword & Cross zebrało się by uczcić śmierć Todd'a. Tak jakby ta trwająca godzinę, przygnębiająca ceremonia to było za mało. Zwłaszcza odkąd szkolna kaplica została przekształcona w basen, a ceremonia utrzymana została w ponurej scenerii podmokłego cmentarza.

Od wypadku, szkoła została zamknięta a zarząd miał zaciśnięte usta. Luce spędziła ostatnie dwa dni na unikaniu spojrzeć pozostałych uczniów, którzy patrzyli na nią z różnym stopniem podejrzeć. Ci, których nie znała, patrzyli na nią z pewną dozą strachu. Inni, jak Roland i Molly, pozerali ją wzrokiem w inny, znacznie bardziej bezwstydnym sposobem, jakby stała za tym jakaś mroczna fascynacja jej przeżyciem. Znosiła te dociekliwe spojrzenia podczas zajęć, najlepiej jak potrafiła i była szczęśliwa kiedy Penn przyniosła jej w nocy kubek gorącej, imbirowej herbaty, albo kiedy Arriane wsunęła jej pod drzwiami karteczkę z wydętymi ustami odbitymi na niej.

Desperacko szukała czegoś, co zajęłoby jej umysł, w oczekiwaniu na kolejne wtargnięcie z buciorami w jej życie. Wiedziała bowiem, że to coś nadejdzie. Ta kolejna wizyta policji, albo cieni – albo jednego i drugiego. Tego ranka, ogłoszono, że wieczór spotkań towarzyskich został odwołany, ponieważ odbędzie się ceremonia i wszystkie zajęcia zostaną skrócone o godzinę, żeby każdy mógł się przebrać i przyjść na cmentarz o piętnastej. Tak jakby wszyscy uczniowie nie wyglądali tak, jakby byli przygotowani do pogrzebu, przez cały czas.

Luce nigdy nie widziała tak wielu ludzi zgromadzonych w jednym miejscu, w kampusie. Randy stanęła na czele grupy w wyblakłej po całej długości, plisowanej spódnicy i wysokich, gumowych, czarnych butach. Z mglistym spojrzeniem, pani Sophia i trzymający chusteczkę pan Cole stali za Randy w żałobnych strojach. Pani Tross i trenerka Diante stały w czerni blisko grupy innych żałobników i zarządcą, którego Luce nigdy wcześniej nie widziała.

Uczniowie ustawili się w rzędach, alfabetycznie. Na przedzie, Luce mogła zobaczyć Joel'a Blanda, dzieciaka, który wygrał na basenie w zeszłym tygodniu, jak wycierał nos w brudną chusteczkę. Luce stała gdzieś w rzędzie P, ale widziała

podirytowanego Daniela, ustawionego w rzędzie G, zaraz obok Gabbe, dwa rzędy dalej. Był ubrany nienagannie, w dopasowaną, czarną marynarkę w prążek ale jego głowa była pochylona niżej niż pozostałych, otaczających go. Nawet z tyłu, Daniel wyglądał druzgocąco posępnie.

Luce pomyślała o białych peoniach, które jej przyniósł. Randy nie pozwoliła jej zabrać wazonu, kiedy opuszczały szpital, więc Luce sprawiła im piękny wazon, zrobiony z przyciętej plastikowej butelki po wodzie, którą obcięła nożyczkami do manicure.

Kwiaty były pachnące i kojące, ale wiadomość, którą przesyłały, nie była oczywista. Zazwyczaj, kiedy chłopak przesyła ci kwiaty, nie musisz już pytać o jego uczucia. Ale w przypadku Daniela, takie przypuszczenia były złym pomysłem. Było znacznie bezpieczniej przypuszczać, że przyniósł je jej ponieważ tak się robi, kiedy ktoś przeżył jakiś dramat.

Ale to nadal wciąż to, że : Przyniósł jej kwiaty! Jeśli teraz usiadłaby na stojącym za nią krześle i spojrzała na budynek sypialniany, przez metalowe kraty, w trzecim oknie po lewej, mogłaby je zobaczyć.

- W pocie oblicza Twojego, jadł będziesz chleb.... – śpiewał pastor przez godzinę, na początku tłumy.

– ...póki nie wrócisz do ziemi, z której wzięty zostałeś. Prochem jesteś i w proch się obrócisz.*

Pastor był szczupłym mężczyzną około siedemdziesiątki, schowanym pod wielką, czarną marynarką. Miał sportowe buty, z postrzępionymi sznurowadłami; jego twarz była nierówna i mocno opalona.

Mówił do mikrofonu podłączonego do starego, plastikowego boom boxa, który wyglądał jak z lat osiemdziesiątych. Dźwięk, który się z niego wydobywał, był nieczysty, zdeformowany i ciężki do zniesienia przez tłum.

Wszystko w tym nabożeństwie było niewłaściwe i całkowicie złe. Nikt nie był tutaj ze względu na Todd'a. Całe nabożeństwo miało raczej za zadanie pokazać uczniom jak niesprawiedliwe jest życie. Nie było nawet ciała Todd'a, tak samo można było powiedzieć o koleżeńskich relacjach – a raczej o ich braku – z ciałem chłopca. Nikt z nich go nie znał; żadne z nich nawet nie chciało go poznać. Coś było nie tak z tym stanem tutaj, w tym tłumie, coś co sprawiało, że jest gorzej niż gdyby stało tu kilku ludzi i płakało. Coś co sprawiało, że Luce pomyślała, że Todd stał się dla niej bardziej obcy niż był naprawdę. Niech spoczywa w pokoju. A cała reszta pójdzie na przód.

Biała, sowa zawyła nad ich głowami siedząc na najwyższe gałęzi dębowego drzewa. Luce wiedziała, że gdzieś tam jest jej gniazdo z małymi sówkami. Słyszała przestraszony krzyk ich matki w tym tygodniu w nocy, podążając za gorączkowym trzepotem skrzydeł ich ojca, który zawrócił z nocnego polowania z ich powodu. A zaraz po tym było już po wszystkim. Luce wstała ze swojego krzesła, czując się

bezsilnie. Todd był tak niewinny, jak ona była winna z jakiegoś powodu, którego nie znała.

Podążyła za pozostałymi uczniami w pojedynczym rzędzie w kierunku tak zwanego przyjęcia, kiedy ktoś objął ją w pasie i odwrócił.

Daniel?

Ale nie, to był Cam.

Jego zielone oczy patrzyły w jej i wyglądał jakby dostrzegł jej rozczerpanie, co tylko pogorszyło sprawę. Zagryzła usta by nie pozwolić sobie na szloch. Widząc Cam'a nie powinna sobie pozwolić na płacz- ale była po prostu taka wyczerpana emocjonalnie, chwiejąc się na granicy upadku. Zagryzła swoje usta tak mocno aż poczuła krew, a potem otarła usta w rękę.

- Cześć. – powiedział Cam, przeczesując tył jej włosów. Skrzywiła się. Wciąż czuła ból po uderzeniu o schody na tyle jej głowy. – Chcesz gdzieś pójść i pogadać?

Szli wraz z innymi po trawie w kierunku przyjęcia, stając w cieniu jednego z dębów. Skupiska krzeseł były poustawiane jedno na drugim. W pobliżu stał rozkładany stół pełny- wyglądających na czerstwe- ciasteczek, włożonych do jakichś pudełek, ale wciąż w plastikowych skorupkach. Tanie, plastikowe misy na poncz były wypełnione gęstą, czerwona cieczą i przyciągnęły kilka much, których zwłoki pływały na powierzchni. To było takie żalodne przyjęcie. Kilku uczniów nawet nie zadało sobie choćby tyle trudu by tu przyjść. Luce dostrzegła Penn w czarnym, damskim garniturze, podającą sobie dłoń z zarządcą. Daniel wyglądał na zamyślonego, szepcząc coś do Gabbe.

Kiedy Luce odwróciła się z powrotem do Cam'a, jego palec przesunął się delikatnie wzdłuż jej obojczyka, by zatrzymać się na wgłębieniu jej szyi. Zrobiła głęboki wdech i poczuła dreszcz przebiegający po jej skórze.

- Jeśli nie podoba ci się naszyjnik... - powiedział, pochylając się nad nią - Mogę podarować ci coś innego. - Jego usta były tak blisko, że czuła jego oddech na swojej szyi. Luce położyła swoją rękę na jego ramieniu i zrobiła krok w tył.

- Podoba mi się.. – powiedziała, myśląc o pudełku, leżącym na jej biurku. Przestała o nim myśleć w momencie, kiedy dostała kwiaty od Daniela i spędziła pół nocy na patrzeniu na oba prezenty i rozważając intencje obu z nich. Cam był o wiele bardziej klarowny, prostszy do rozgryzienia. Jakby on był algebrą a Daniel rachunkiem różniczkowym. Zawsze lubiła rachunki różniczkowe, choć niektóre z nich zajmowały jej godzinę, zanim je rozgryzła.

- Myślę, że naszyjnik jest piękny. – powiedziała Cam'owi. – Ale nie miałam jeszcze okazji, żeby go założyć.

- Przykro mi. – powiedział, wydymając usta. – Nie chcę na ciebie naciskać.

Jego ciemne włosy były przygładzone do tyłu i odsłaniały teraz więcej twarzy niż zazwyczaj. Wyglądał przez to starzej, bardziej dojrzałe. I sposób w jaki

na nią patrzył był tak intensywny. Jego duże, zielone oczy patrzyły na nią badawczo, jakby akceptował wszystko to, co drzemie w jej środku.

- Pani Sophia mówiła, żeby dać ci spokój przez kilka dni. Wiem, że miała rację, tyle ostatnio przeżyłaś. Ale chcę, żebyś wiedziała, że cały czas o tobie myślałem. Chciałem móc cię zobaczyć.

Pogładził jej policzek wierzchnią stroną swojej dłoni i Luce poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Tyle przeżyła. I czuła się okropnie, stojąc tu i płacząc nie z powodu Todd'a – którego śmierć miała znaczenie i powinna dla niej znaczyć znacznie więcej – ale z powodu własnych egoistycznych pobudek. Ponieważ ostatnie dwa dni przywołały tak wiele bólu i wspomnień o Trevorze i jej życiu przed Sword & Cross, o rzeczach, z którymi myślała, że się uporała, a których nie potrafiła wyjaśnić nikomu. Jeszcze więcej cieni do odpędzenia. Wyglądało na to, że Cam to wyczuł, albo przynajmniej jakaś jego część, ponieważ objął ją ramionami, przyciągając jej głowę do swojej silnej, szerokiej klatki piersiowej i kołysał nią raz w jedną raz w drugą stronę.

- W porządku. – powiedział. – Wszystko będzie dobrze.

Może nie będzie mu musiała nic wyjaśniać. Im bardziej czuła się niepoczytalna w środku, tym bardziej Cam stawał się dla niej dostępny. Czy było dla niej wystarczające to, że stała tu, w ramionach kogoś, komu po prostu na niej zależało, pozwalając sobie na to, żeby jego proste uczucie, ukoiło ją przez jakiś czas?

Było tak przyjemnie, po prostu być przytulaną.

Luce nie wiedziała jak ma się odsunąć od Cam'a. Był dla niej zawsze taki miły. Ona też go lubiła, ale dochodził jeszcze powód, przez który czuła się winna, niestety czasem ją irytował. Był taki doskonały i pomocny i dokładnie taki, jakiego go właśnie teraz potrzebowała. Tylko, że po prostu...nie był Danielem. Anielskie babeczki otoczyły jej ramiona. Luce rozpoznała manicure na paznokciach, które je trzymały.

- Tam jest poncz, którego koniecznie musimy się napić. – powiedziała Gabbe, trzymając też babeczkę dla Cam'a. Spojrzał na lukrowany wierzch babeczki. – Wszystko w porządku? – Gabbe spytała Luce.

Luce przytaknęła. Po raz pierwszy, Gabbe pokazała się dokładnie w chwili, w której Luce chciałyby ją zobaczyć. Uśmiechnęły się do siebie i Luce uniosła swoją babeczkę w podziękowaniu. Ugryzła mały, słodki kęs.

- Poncz- brzmi nieźle. – powiedział Cam przez zaciśnięte zęby. – Może poszłabyś nam przynieść po szklaneczkę, Gabbe?

Gabbe wywróciła oczami. – Oddaj facetowi jedną przysługę, a zacznie traktować cię jak niewolnika.

Luce się roześmiała. Cam był tylko trochę pochylony, ale dla Luce było oczywiste co zamierzał zrobić.

- Przyniosę poncz. – powiedziała Luce, gotowa by zaczerpnąć trochę powietrza. Skierowała się w kierunku stolika rozkładanego i misą z ponczem. Właśnie zbierała muchy z jego powierzchni, kiedy ktoś wyszeptał jej do ucha.

- Chcesz się stąd wyrwać?

Luce obróciła się, gotowa wymyśleć jakąś wymówkę dla Cam'a, że nie może się stąd wymknąć- nie teraz i nie z nim. Ale to nie był Cam. To nie on wyciągnął do niej dłoń i dotknął jej nadgarstka swoimi palcami.

To był Daniel.

Trochę zmiękła. Za dziesięć minut był jej czas na śródowną rozmowę telefoniczną, a ona desperacko chciała usłyszeć głos Callie, albo swoich rodziców. Usłyszeć, co dzieje się na zewnątrz tych żelaznych bram, coś co wywabiłoby jej ostatnie dwa dni.

Ale wyrwać się stąd? Z Danielem? Odkryła, że potakuje. Cam ją znienawidzi, kiedy zobaczy, że ona wychodzi, a na pewno zobaczy. Będzie ją obserwował. Prawie poczuła jego zielone oczy na tyle swojej głowy. Ale oczywiście musiała iść. Wsunęła swoją dłoń w dłoń Daniela.

- Oczywiście.

Za każdym razem, ich wcześniejszy dotyk był jedynie przypadkiem, z którego jedno z nich się wyrывało – zazwyczaj Daniel – zanim uderzało w Luce ciepło, które chciałoby ewoluować w coś więcej niż zwykłe uderzenie gorąca. Nie tym razem. Luce spojrzała w dół na dłoń Daniela, trzymając mocno jej własną i całe jej ciało chciało więcej. To było prawie – choć nie zupełnie – tak przyjemne uczucie, jakie czuła w swoim śnie. Ledwo czuła swoje nogi, pod wpływem jego dotyku, który przechodził przez nią.

Jakby w przeciągu jednego tylko jej mrugnięcia, znaleźli się przy bramach cmentarza. Poniżej nich, w oddali, inni żałobnicy skupieni na czymś innym, nie zauważyli jak tych dwoje się oddala.

Daniel nagle się zatrzymał i – bez ostrzeżenia – puścił jej dłoń. Zadrzała z zimna, ponownie.

- Ty i Cam.... – powiedział, pozwalając żeby te słowa zawisły w powietrzu niczym pytanie. - ... spędzacie ze sobą dużo czasu?

- Zabrzmiało to tak, jakby ci się nie podobał ten pomysł. –powiedziała Luce, czując się natychmiast głupio z powodu grania nieśmiałej. Chciałaby tylko sprawdzić czy nie zabrzmiał trochę zazdrośnie, ale jego twarz i ton jego głosu, były bardzo poważne.

- On nie jest... - zaczął mówić Daniel. Obserwował czerwono ogoniastego jastrzębia, lądującego na dębie, ponad ich głowami. – On nie jest wystarczająco dobry dla ciebie.

Ludzie powtarzali jej to już tysiące razy. Wszyscy, zawsze mówili to samo. Nie wystarczająco dobry. Ale kiedy te słowa padły z ust Daniela, brzmiały

naprawdę istotnie, a nawet prawdziwie, nie ogólnikowo i lekceważąco tak jak brzmiało zawsze w przeszłości.

- No ,dobrze.. – powiedziała, ściszym głosem. – Więc kto jest?

Daniel zasłonił ręką swoje usta. Śmiał się już do siebie, od dłuższego czasu. – Nie wiem. – powiedział w końcu. – Dobre pytanie.

To nie była odpowiedź, jakiej Luce się spodziewała. – To chyba nie jest trudne. – powiedziała, wkładając ręce do kieszeni, bo przecież coś musiała z nimi zrobić. – Być wystarczająco dobrym dla mnie.

Oczy Daniela wyglądały jakby się zapadały, będąc najpierw fioletowe przez moment, zanim stały się ciemno szare. – Otóż... - powiedział. – jest.

Potrząsnął głową i kiedy to zrobił, jego włosy odsłoniły twarz na sekundę. Jednak na wystarczająco długo. Luce zobaczyła zadrapanie na jego czole. Było zagojone, ale Luce mogłaby przysiąc, że było nowe.

- Co ci się stało w czoło? – zapytała, wyciągając do niego swoją dłoń.

- Nie wiem. – zerwał się, odpychając jej rękę wystarczająco mocno, aby ją szybko schowała. – Nie wiem, skąd to się wzięło.

Wyglądał na bardziej zaniepokojonego niż Luce, którą zaskoczył. W końcu to tylko małe zadrapanie.

Usłyszeli kroki na żwirze, za nimi. Oboje zaczęli się kręcić.

- Mówiłam ci, że jej nie widziałam. – powiedziała Molly, ignorując rękę Cam'a, kiedy zbliżali się do wzgórza na cmentarzu.

- Chodźmy. – powiedział Daniel, wyczuwając to, co czuła ona – była prawie pewna, że tak jest – zanim choćby posłała mu nerwowe spojrzenie.

Wiedziała dokąd idą, zanim jeszcze podążyła za nim. Za kościół (siłownię), w las. Zupełnie jak wtedy, kiedy wiedziała jak wygląda jak skacze na skakance, zanim go takiego zobaczyła. Tak jak wtedy, kiedy wiedziała o jego zadrapaniu, zanim na nie spojrzała.

Poszli dokładnie w to samo miejsce, ich kroki były tej samej długości. Ich stopy dotykały trawy w tym samym momencie, za każdym razem, zanim nie dotarli do lasu.

- Jeśli przychodzisz więcej niż raz, w jedno miejsce, z tą samą osobą... - powiedział Daniel, prawie do siebie. –... to myślę, że nie możesz już nigdy powiedzieć, że to tylko twoje miejsce.

Luce się uśmiechnęła słysząc to, bo zdała sobie sprawę z tego co Daniel właśnie powiedział : że nigdy wcześniej nie był z nikim innym nad jeziorem. Tylko z nią.

Kiedy wędrowali przez las, poczuła chłód na swoich ramionach, bijący od cieni pod drzewami .

Pachniał tak samo jak każdy, przybrzeżny las Georgii : dębową ściółką, która kojarzyła się Luce z cieniami, a teraz kojarzyła jej się z Danielem. Nie mogła

powiedzieć, że czuje się gdziekolwiek bezpieczna, po tym co stało się z Todd'em, ale przy Danielu w końcu mogła zaczerpnąć powietrza pełną piersią, po raz pierwszy od wielu dni.

Wierzyła, że zabrał ją tutaj ponownie, ponieważ z jakiegoś powodu ostatnio tak nagle ją tu zostawił. Jakby potrzebowali drugiej szansy, żeby to zaczęło się dobrze. To, co miało być czymś w rodzaju ich pierwszej randki, sprawiło, że Luce poczuła się żałośnie. Daniel musiał o tym wiedzieć i nie czuł się dobrze z tym, że musiał tak szybko odejść.

Dotarli do magnolii, która była ważnym punktem przy jeziorze. Słońce pozostawiło na nim złote smugi, kiedy chowało się za lasem, na zachodzie. Wieczorem, wszystko wyglądało inaczej. Cały świat wyglądał jakby się żarzył. Daniel oparł się o drzewo i przyglądał się jak ona obserwuje wodę. Podeszła by stanąć pomiędzy nim, stojącym pod woskowatymi liśćmi, a kwiatami, które powinny już zwiędnąć i opaść o tej porze roku, ale one wyglądały tak czysto i świeżo, zupełnie jak wiosenne kwiaty. Luce wdychała piżmową woń i poczuła, że jest blisko Daniela, bliżej niż miałyby do tego jakikolwiek powód – i kochała to uczucie, które przychodziło z znikąd.

- Nie jesteśmy odpowiednio ubrani, by móc tym razem pływać. – powiedział, wskazując na czarną sukienkę Luce.

Uniosła delikatnie brzegi sukni, odsłaniając kostki, wyobrażając sobie swoją mamę w szoku, jeśliby zniszczyła nową sukienkę, ponieważ ona i jej chłopak chcieli ponurkować w jeziorze.

- To może moglibyśmy chociaż zamoczyć nasze stopy?

Daniel ruszył w kierunku stromej, czerwonej kamiennej ścieżki, która prowadziła do jeziora. Wspinali się wzdłuż gęstych, płowych trzciny i trawy, używając powyginanych gałęzi drzew, żeby utrzymać równowagę. Brzegi jeziora otoczone były kamyczkami. Luce zdjęła swoje czarne balerinki i zerwała z powierzchni jeziora lilię wodną palcami u stóp. Woda była zimniejsza niż poprzednio. Daniel urwał wystającą z wody trawę i zaczął zaplatać z niej warkocz.

Spojrzał na Luce. – Myślałaś kiedyś o tym, by się stąd wydostać...?

- Cały czas. – powiedziała z jękiem, przypuszczając, że on myśli tak samo. Oczywiście, chciałyby być tak daleko od Sword & Cross jak to tylko możliwe. A kto by nie chciał. Ale ostatecznie próbowała trzymać swój umysł z dala od stracenia kontroli, wyobrażając sobie jak ona i Daniel przygotowują się do ucieczki.

- Nie, - powiedział Daniel. – Miałem na myśli to, czy naprawdę zastanawiałaś się nad przeniesieniem się gdzieś indziej? Prosiłaś swoich rodziców o przeniesienie? Ja tylko.... Po prostu Sword & Cross nie jest odpowiednim miejscem dla ciebie.

Luce zajęła miejsce na skale, na przeciwko Daniela i objęła swoje kolana.

Jeśli sugerował, że jest ona wyrzutkiem, w szkole pełnej wyrzutków, to nie mogła nic poradzić na to, że poczuła się trochę odizolowana. Odkasznęła.

- Nie mogę sobie pozwolić na luksus wyboru innego miejsca. Sword & Cross jest... - zatrzymała się - naprawdę ostatnim miejscem, gdzie chcieli mnie przyjąć.

Daj spokój.. – powiedział Daniel.

- Nie chciałbyś wiedzieć...

- Chciałbym. – westchnął. – Tam gdzieś zawsze jest kolejny przystanek, Luce.

- To bardzo prorocze, Danielu. – powiedziała. Czowała, że jej głos się podnosi. – Ale jeśli interesuję cię to tylko dlatego, że chcesz się mnie stąd pozbyć, to co my tutaj robimy? Nikt nie kazał ci mnie tu przyciągnąć razem ze sobą.

- Nie. –powiedział. – Masz rację. Miałem tylko na myśli, że nie jesteś taka jak inni uczniowie tutaj. Jest na pewno jakieś lepsze miejsce dla ciebie.

Serce Luce waliło szybko, jak zawsze kiedy była blisko Daniela. Ale tym razem było inaczej. Cały ten widok, sprawił, że się pocila.

- Kiedy tu przyjechałam.. – powiedziała, - obiecałam sobie, że nie powiem nikomu o mojej przeszłości, ani o tym co spowodowało, że się tu znalazłam.

Daniel ukrył swoją twarz w rękach. – To o czym mówię, nie ma nic wspólnego z tym, co się stało z tamtym kolesiem....

- Wiesz o nim? – Luce zmarszczyła twarz. Nie. Skąd niby miał o tym wiedzieć? – cokolwiek ci powiedziała Molly.....

Ale wiedziała, że było już za późno. Daniel był jedynym, który znalazł ją z Todd'em. Jeśli Molly powiedziała mu o tym, że Luce była także zamieszana w inną śmierć w płomieniach, to nie potrafiła sobie wyobrazić jak mogłaby to wyjaśnić.

- Posłuchaj, - powiedział, chwytając jej dłonie . – To co powiedziałem, nie miało nic wspólnego z jakąkolwiek częścią twojej przeszłości.

Oparła się więc na tym w co ciężko uwierzyć. – Czy to ma jakiś związek z Todd'em?

Potrząsnął głową. – To ma związek z tym miejscem. To ma związek z rzeczami.....

Dotyk Daniela coś jej przypomniał. Zaczęła myśleć o dzikich cieniach, które widziała tamtej nocy. Sposób w jaki się zmieniały, odkąd przybyła do tej szkoły – z ukradkowych, niespokojnych w prawie wszechobecne, rozwinięte, przerażające.

Ona jest stuknięta – to właśnie to musi myśleć o niej Daniel. Może myślał, że jest ładna, ale gdzieś tam, w głębi wiedział, że jest poważnie nieźrównoważona. To dlatego chciał, żeby wyjechała, bo wtedy nie kusiłoby go bycie z kimś takim jak ona. Jeśli to było to, o czym myślał Daniel, to nie wiedział nawet połowy z prawdy o niej.

- A może to ma związek z tymi dziwnymi cieniami, które widziałam w noc, w którą zmarł Todd? – powiedziała, mając nadzieję, że go zaszokuje. Ale tak szybko jak te słowa wypłynęły z jej ust, wiedziała, że nie wywarły one na Danielu spodziewanego skutku bardziej niż to.....że uświadomiła sobie, że w końcu to komuś powiedziała. Nie miała już nic więcej do stracenia.

- Co powiedziałaś? – zapytał powoli.

Och, wiesz... - powiedziała, teraz wzruszając ramionami, próbując zlekceważyć to, co właśnie powiedziała.- Raz dziennie, czasem więcej, mam wizyty tych mrocznych rzeczy, które nazywam cieniami.

- Nie żartuj sobie. – powiedział krótko Daniel. I choć ton jego głosu był żądający, to wiedziała, że miał rację. Nienawidziła tego, jak bardzo fałszywie nonszalancko brzmiał jej głos, kiedy tak naprawdę była rozdarta. Czy powinna mu powiedzieć? Czy może? Skinął głową jakby zachęcał ją do mówienia. Jego oczy wyglądały tak, jakby chciały wyciągnąć z niej każde słowo.

- To mi się zdarza od ostatnich dwunastu lat, kiedy jestem blisko wody czy drzew, ale teraz... – trzęsły jej się ręce. – To mi się zdarza prawie cały czas.

- Co one robią?

Pomyślała, że on sobie z niej żartuje, albo zachęca ją do mówienia, tak by mógł stroić sobie żarty jej kosztem, ale głos miał zachrypnięty, a twarz pozbawioną kolorów.

- Zazwyczaj, zaczynają unosić się tutaj. – sięgnęła do karku Daniela i połaskotała go, demonstrując mu to. Ten jeden raz, nie próbowała żadnych sztuczek, żeby być blisko niego – to był jedyny znany jej sposób, by mu wszystko wyjaśnić. Zwłaszcza odkąd cienie zaczęły naruszać jej ciało, w wyczuwalny, cielesny sposób.

Daniel nawet nie drgnął, tak więc kontynuowała. – Czasami są naprawdę odważne. – powiedziała, podnosząc się na kolana i kładąc swoje dłonie na klatce piersiowej Daniela. – I pchają się wprost na mnie. – Teraz dotkała jego twarzy. Jej usta zadrżały i nie mogła uwierzyć, że właśnie się przed kimś otworzyła – nie mówiąc już o tym, że tym kimś był Daniel – i mówi o tych okropnych rzeczach. Zniżyła swój głos do szeptu i powiedziała.

- Od niedawna, nie są usatysfakcjonowane dopóki... - przełknęła głośno ślinę. – nie odbiorą komuś życia i nie uderzą mnie w tył głowy.

Popchnęła ramiona Daniela, nie tak, by wywarło to na niego jakiś wpływ, ale lekkim dotykiem popchnęła go tak by upadł. Jego upadek zaskoczył ją tak bardzo, że sama straciła równowagę i wylądowała dokładnie na nim. Daniel leżał na plecach, patrząc na nią szeroko otwartymi oczami.

Nie powinna była mu tego mówić. A teraz leżała na nim, ujawniając mu swój najgłębszy sekret, rzecz, którą można by porównać z lunatykowaniem. Jak mogła wciąż chcieć tak bardzo go pocałować?

Jej serce biło przeraźliwie szybko. I wtedy sobie zdała sprawę z tego, że czuła ich oba serca, jedno szybsze od drugiego. To był rodzaj jakiejś desperackiej rozmowy, której nie mogli ubrać w słowa.

- Na prawdę je widzisz? – wyszeptał.

- Tak. – szeptała, chcąc się podnieść i wszystko cofnąć. Ale nie potrafiła się unieść z piersi Daniela. Próbowwała wyczytać jego myśli – czy któraś z normalnych osób pomyślałaby, żeby wyznać to, do czego ona się właśnie przyznała. – Niech zgadnę. – powiedziała ponuro. – Teraz na pewno myślisz, że powinnam się przenieść. Na oddział psychiatryczny.

Daniel wydostał się spod niej, zostawiając ją leżącą twarzą do skały. Jej oczy podążyły za jego stopami, spoczywając na jego nogach, potem na torsie, a potem na twarzy. Wpatrywał się w las.

To się nigdy wcześniej nie zdarzało.... – powiedział.

Luce stanęła na nogi. To było upokarzające, leżeć tam samej. Dodając do tego to, że chyba nawet nie słyszał tego co powiedziała.

- Co się nie zdarzało? Wcześniej przed czym?

Obrócił się do niej i ujął jej policzki w swoje dłonie. Wstrzymała oddech. Był tak blisko. Jego usta były tak blisko jej własnych. Luce uszczypnęła się u udo, żeby mieć pewność, że tym razem to nie będzie sen. Była zupełnie świadoma.

Nagle, jakby z użyciem siły, przysunął się do niej. Stał teraz przed nią, oddychając szybko. Ramiona miał sztywne po obu stronach.

- Powtórz mi to, co widziałaś.

Luce obróciła się w stronę jeziora. Czysta, niebieska woda pluskała o brzegi i Luce rozważała, czy by do niej nie wskoczyć. Tak właśnie Daniel zrobił ostatnim razem, kiedy sprawy przybrały niezbyt korzystny dla niego wpływ. Czemu nie miałyby zrobić tego samego?

- Może cię to zaskoczy... -powiedziała, - ale nie ekscytuje mnie siedzenie tutaj i opowiadanie o tym, jak to jestem całkowicie obłąkana. - Zwłaszcza tobie. Daniel nie odpowiedział, ale czuła jego wzrok na sobie. Kiedy w końcu odważyła się spojrzeć na niego, patrzył na nią dziwnie niepokojącym, posępnym wzrokiem – jednym z tych, kiedy jego szare oczy były praktycznie przymrużone, ale i tak potwornie smutne. Poczula, jakby go coś zawiodła. Jej okropnym wyznaniem. Dlaczego Daniel wyglądał jako jedyny jakby był wstrząśnięty jej wyznaniem?

Podszedł do niej i pochylił się tak, że jego oczy wpatrywały się dokładnie w jej. Luce prawie nie mogła tego znieść. Ale nie mogła się zmusić do jakiegokolwiek ruchu. Cokolwiek przerwało ten trans, pochodziło od Daniela – który wciąż się zbliżał. Pochylił swoją głowę blisko jej i zamknął oczy. Jego usta się rozchyliły. Oddech Luce zatrzymał się w jej piersi.

Także zamknęła oczy. Zbliżyła swoją głowę blisko jego. Rozchyliła swoje usta.

I czekała.

Na pocałunek, o którym marzyła, że nadejdzie. Otworzyła swoje oczy, ponieważ nic się nie działo. Poza szeleszczącym dźwiękiem pomiędzy gałęziami drzew. Daniel odszedł. Westchnęła zawiedziona, ale nie zaskoczona.

To coś, co ją zdziwiło to to, że dostrzegła ścieżkę, którą podążał z powrotem przez las. Zupełnie jakby była jakimś myśliwym, który potrafi wskazać rotację liści, prowadzącą ją z powrotem do Daniela. Oczywiście nie była nikim w tym rodzaju, a ścieżka, którą Daniel szedł, zostawiając ją nad jeziorem była jakby większa, przejrzystsza i tym samym bardziej ulotna. To tak jakby fioletowa poświata rozświetlała jego ścieżkę przez las.

Zupełnie jak ta fioletowa poświata, którą widziała podczas pożaru w bibliotece. Widziała ją.

Zatrzymała się na skale i patrzyła w dal przez moment, pocierając oczy. Ale kiedy spojrzała ponownie w las, wciąż widziała to samo: Tylko w jednej płaszczyźnie jej wizji – zupełnie jakby patrzyła przez okulary dwuogniskowe – widziała żywe dęby i mierzwy pod nimi, nawet śpiew ptaków pomiędzy

gałęziami – wszystko to wyglądało jakby się trzęsło. I nie było to zwykłe trzęsienie, ale prawie obmywanie się w lekko purpurowym świetle, do tego emitujące ledwo słyszalne, nisko głosowe burczenie. Obróciła się za siebie, przerażona samym faktem stania z tym twarzą w twarz, przerażona tym, co to miało oznaczać. Coś się z nią działo i nie mogła o tym nikomu powiedzieć. Próbowwała się skupić na jeziorze, ale nawet ono stało się zbyt mroczne, żeby je zobaczyć.

ROZDZIAŁ 13



U SAMYCH PODSTAW

Luce słyszała jak jej Conversy ciężko uderzają o chodnik. Czuła jak wilgotny wiatr, szarpie jej czarną koszulkę. Praktycznie mogła wyczuć gorącą smołę z dopiero co wybrukowanej części parkingu. Ale kiedy zarzuciła swoje ramiona na dwie skulone postacie, stojące blisko wejścia do Sword & Cross w sobotni poranek, o wszystkim tym zapomniała.

Nigdy dotychczas się tak nie cieszyła z objęć swoich rodziców.

Przez wiele dni żałowała tego dystansu i zimna, które wytworzyły się między nią a rodzicami w szpitalu i nie zamierzała teraz popełniać tego samego błędu. Oboje się potknęli, kiedy się na nich rzuciła. Jej mama zaczęła chichotać a jej tata poklepał ją po plecach, zupełnie jak ojciec- syna. Miał przy sobie swój wielki aparat fotograficzny powieszony na szyi. Oboje się wyprostowali i odciągnęli swoją córkę na długość ramion. Wyglądali jakby chcieli się dobrze przyjrzeć jej twarzy, ale kiedy już to zrobili, ich własne twarze się ściągnęły. Luce zaczęła płakać.

- Kochanie, co się dzieje? – zapytał ojciec, kładąc swoją rękę na głowie Luce. Matka Luce sięgnęła do olbrzymiego, niebieskiego portfela i wyciągnęła chusteczkę do nosa. Z niespokojnym wzrokiem machała nią przed nosem Luce i zapytała. – Jesteśmy tutaj. Wszystko w porządku, prawda?

Nie, nic nie jest w porządku.

- Czemu nie zabraliście mnie do domu, tamtego dnia? – zapytała Luce, czując złość i ciągłe cierpienie. – Czemu pozwoliliście, żeby mnie tu znowu zabrali?

Jej ojciec zbladł. – Za każdym razem, kiedy rozmawialiśmy z zarządcą, mówił, że masz się dobrze, że wróciłaś na zajęcia, razem z grupą –jak sądziliśmy. Z bólem gardła od dymu i może małym guzem na głowie. Myśleliśmy, że to wszystko. – Obliznął swoje usta.

- A było coś więcej? – zapytała jej mama.

Jedno spojrzenie na rodziców mówiło, że dla nich ta walka była już skończona. Mama pewnie wolałaby skończyć tą wizytę wcześniej. A ciężko kochający ojciec pewnie już chciałby dać nogę.

Nie było mowy o tym, by wyjaśnić im to co się zdarzyło tej nocy, albo przez co przeszła odkąd musiała wrócić na zajęcia, nie z własnej, nieprzymuszonej woli.

Ale psychicznie, było w porządku. To był po prostu kolejny dzień, na swój sposób – emocjonujący, psychologicznie romantyczny – po którym nie mogła się czuć bardziej załamana.

- Staramy się tylko przestrzegać zasad. – wyjaśnił ojciec Luce, ściskając swoją dużą dłoń jej kark. Jej ciężar zniekształcił postawę Luce, przez co stanie stało się niewygodne, ale od tak dawna nie była blisko ludzi, których kocha, że nie odważyła się poruszyć. – Chcemy dla ciebie wszystkiego, co najlepsze.- dodał jej ojciec. – Musimy wierzyć, że ci ludzie... - wskazał na przerażający budynek w pobliżu kampusu, który miał reprezentować Randy'ego , dyrektora Udell'a i tym podobnych - ...wiedzą co mówią.

- Nie wiedzą. – powiedziała Luce, spoglądając na zaniedbały budynek i pusty trawnik. Jak dotychczas, nic w tej szkole nie miało dla niej jakiegokolwiek sensu. Nawet to, co nazywali Dniem Spotkań z Rodzicami. Chcieli pokazać uczniom jaki to mają wielki przywilej z zobaczenia kogoś z krwi i kości. I dochodziło jeszcze to, że do lunchu zostało jeszcze dziesięć minut, a samochód rodziców Luce był jedynym, który stał na parkingu.

- To miejsce to jakiś absurdalny żart. – powiedziała, brzmiąc wystarczająco cynicznie, że jej rodzice posłali jej niepokojące spojrzenie.

- Luce, słoneczko.. – powiedziała jej mama, głaszcząc jej włosy. Luce wiedziała, że nie używa przy tym swojego najmniejszego palca. Palce jej matki instynktownie podążały w dół, mimo że Luce miała teraz krótkie włosy, głaszcząc ją po plecach. – My tylko chcemy spędzić miły dzień z tobą. Twój tata przyniósł ci twoje ulubione jedzenie.

Zawstydzony, jej ojciec wyjął kolorową kołdrę i wielki kosz z wikliny, w kształcie teczki, którego Luce nigdy wcześniej nie widziała. Zazwyczaj kiedy urządzali sobie pikniki, było to bardzo przypadkowe zdarzenie, z papierowymi torebkami i starym rozdzierającym się prześcieradłem, które rozkładali na trawie za domem.

- Marynowana okra? – zapytała Luce głosem, który brzmiał dziecięco. Nikt nie mógł powiedzieć, że jej rodzice się nie starali.

Jej tata przytaknął. – I słodka herbata, i herbatniki z białym sosem. Sos serowy z dodatkiem papryczki, taki jak lubisz. Och.. – powiedział, - i jeszcze coś.

Mama Luce sięgnęła do swojej torebki po grubą, czerwoną, zamkniętą kopertę i podała ją Luce. Przez krótki moment, ten kolor wgryzł się w żołądek Luce i wróciły wspomnienia o listach krytyki. Psychiczna Zabójczyni. Śmiercionośna Dziewczyna. Ale kiedy spojrzała na charakter pisma na kopercie, na jej twarzy pojawił się olbrzymi uśmiech.

Callie.

Rozdarła kopertę i wyciągnęła kartkę z czarnobiałą fotografią dwóch, starszych pań, które poprawiały swoje włosy. Na odwrocie, każdy kawałek kartki

był pokryty dużym, okrągłym charakterem pisma Callie. Było tam też kilka bazgrołów na brzegach kartki, bo pewnie zabrakło jej miejsca.

Droga Luce.

Od naszej ostatniej rozmowy przez telefon, która była stanowczo niewystarczająca (Czy mogłabyś napisać petycję o jej przedłużenie? Bo to było wręcz niesprawiedliwe), zamierzam staromodnym sposobem napisać epicki list. W załączniku znajdziesz każdą, nawet najmniejszą rzecz, która mi się przydarzyła przez te ostatnie dwa tygodnie. Czy to ci się podoba, czy nie.

Luce przycisnęła kopertę do piersi, wciąż szeroko się uśmiechając, żądna pochłonięcia listu, jak tylko jej rodzice pojedą do domu. Callie nie zamierzała dać jej spokoju. A jej rodzice siedzieli dokładnie naprzeciw niej. Od długiego czasu nie czuła się tak mocno kochana. Wyciągnęła dłoń do ojca i ścisnęła jego rękę.

Wyjący gwizd, sprawił, że jej rodzice podskoczyli.

- To tylko dzwonek na obiad. – wyjaśniła Luce. Wyglądali na przestraszonych. – Chodźcie, chciałabym żebyście kogoś poznali.

Kiedy tak szli przez gorący parking w kierunku wspólnego terenu, gdzie wszyscy spędzali Dzień z Rodzicami, Luce zaczęła patrzeć na kampus oczami swoich rodziców. Dostrzegła na nowo zagięcia na dachu biura głównego i obrzydliwy odór przejrzałych, gnijących brzoskwiń w gaju obok siłowni. Bramy z kutego żelaza, które otaczały cmentarz zajęła pomarańczowa rdza. Luce zdała sobie sprawę z tego, że przez te zaledwie kilka tygodni przywykła do brzydoty Sword & Cross.

Jej rodzice wyglądali głównie na przerażonych. Jej ojciec wskazał na wysuszoną winorośl, pnącą się w chylący ku upadkowi sposób, wokół rozpadającego się ogrodzenia przy wejściu na teren wspólny.

- To jest winorośl szczepu Chardonnay. – powiedział, krzywiąc się, ponieważ kiedy rośliny czuły ból, on też go czuł.

Jej matka użyła obu rąk przyciskając portfel do swojej piersi, łącząc swoje łokcie razem – tek jak wtedy, kiedy znalazła się w dzielnicy, której myślała, że może zostać pobita. No i jeszcze nie widzieli czerwonych. Jej rodzice, nieugięci przeciwnicy małych rzeczy, takich jak kamerka do komputera Luce, zniechęciliby pomysł stałego inwigilowania w szkole. Luce chciała ustrzec ich przed całym tym okrucieństwem Sword & Cross, ponieważ ona już zdążyła się przyzwyczać do systemu – choć czasem nie pojętego – panującego tutaj. Kiedyś Arriane prowadziła ją niczym przez tor przeszkód, wzdłuż campusu, by pokazać jej „ martwych czerwonych”, których baterie się wyczerpały albo zostały podmienione na te wyczerpane, efektywnie powodując ślepotę kamer. Jej rodzice nie potrzebowali o tym wszystkim wiedzieć; chcieli tylko spędzić miło dzień ze swoją córką. Penn wymachiwała swoimi nogami, siedząc na trybunach, gdzie ona i Luce miały się spotkać w południe.

- Penn, to są moi rodzice, Harry i Doreen Price. – powiedziała Luce, wskazując na nich. – Mamo, tato to jest...

- Pennyweather Van Syckle- Lockwood. – przedstawiła się formalnie Penn, ściskając rękę najpierw mamy potem taty. – Dziękuję, że pozwoliliście mi dołączyć do siebie podczas lunchu.

Zawsze uprzejmi, rodzice Luce zagruchali i uśmiechnęli się, nie zadając Penn żadnych pytań o jej własnych rodziców i o to gdzie oni właściwie są, a czego Luce nie miała czasu im wytłumaczyć. To był tylko kolejny ciepły, bezchmurny dzień. Ciemno zielone wierzby delikatnie kołysały się na wietrze, a Luce pokierowała swoich rodziców w miejsce, gdzie drzewa ukrywały większość płam sadzy i stłuczone okna po pożarze. Kiedy rozłożyli kołdrę na suchym kawałku trawy, Luce odciągnęła Penn na bok.

- Jak się masz? – zapytała, wiedząc, że jest jedną z tych, którzy spędzają cały dzień z własnymi rodzicami, ale nie Penn i może potrzebować jakiegoś lekarstwa. Ku zaskoczeniu Luce, głowa Penn podskakiwała ze szczęścia.

- Jest o wiele lepiej niż w zeszłym roku. – powiedziała Penn. – I wszystko dzięki tobie. Nie miałabym z kim spędzić tego dnia, gdyby cię tu nie było.

Ten komplement zaskoczył Luce i sprawił, że rozejrzała się po dziedzińcu żeby zobaczyć jak sobie radzą inni. Mimo, że parking był w połowie nadal pusty, to Dzień z Rodzicami zdawał się rozkręcać.

Molly siedziała w pobliżu, na kocu, między mężczyzną o okrągłej twarzy a kobietą, jedząc chciwie nogę z indyka. Arriane siedziała na trybunach, szepcząc coś do starszej od siebie, punkowej dziewczyny z hipnotycznie jaskrawo różowymi włosami. Zapewne była to jej siostra. Obie uchwyciły spojrzenie Luce a Arriane uśmiechnęła się szeroko i pomachała, potem obróciła się do siostry i szeptała coś.

Roland miał wokół siebie mnóstwo ludzi, urządzających sobie piknik na wielkiej narzucie. Śmiali się i żartowali, a kilkoro młodszych dzieci rzucało w siebie jedzeniem. Wyglądali na miło spędzających czas, zanim któryś nie rzucił kolbą kukurydzy i prawie nie oślepił na jedno oko Gabbe, która spacerowała wzdłuż dziedzińca. Popatrzyła krzywo na Rolanda kiedy prowadziła mężczyznę na tyle starego, że wyglądał na jej dziadka, klepiąc go po łokciu, kiedy szli w kierunku rzędu krzeseł ułożonych wokół wolnej przestrzeni.

Daniel i Cam najwidoczniej zniknęli – a Luce nie mogła sobie wyobrazić jak mogłyby wyglądać ich rodziny. Mimo złości i zażenowania, które czuła po tym jak Daniel zostawił ją nad jeziorem po raz drugi, wciąż pożałowała czegokolwiek, co było z nim związane. Ale wtedy przypomniała sobie cienkie akta Daniela w archiwum i zaczęła się zastanawiać, czy Daniel utrzymuje kontakt z kimkolwiek ze swojej rodziny.

Matka Luce nałożyła sosu serowego do czterech miseczek, a jej ojciec zanurzył usta w świeżej, ostrej papryczce. Po jednym kęsie, usta Luce by płonęły,

ale w taki sposób, który lubiła. Penn wyglądała na nierozeznaną w typowej dla Georgii kuchni, którą Luce знаła od dziecka. Patrzyła praktycznie przerażona na marynowaną okrec, ale jak tylko ich spróbowała, posłała Luce uśmiech zaskoczenia i aprobaty. Rodzice Luce zabrali ze sobą każde z jej ulubionego jedzenia, nawet pralinki z orzechem pekanu z ich rodzinnej ciastkarni.

Luce powinna się cieszyć ze spędzania czasu z rodzicami i zmyć to wszystko swoją ulubioną słodką herbatą, ale czuła się jak oszustka, udając że ten elizejski lunch jest taki normalny dla Sword & Cross. Cały ten dzień jest jedną wielką fikcją.

Na dźwięk krótkich, słabych oklasków, Luce spojrzała na trybuny, gdzie Randy stała obok dyrektora szkoły- Udell'a, człowieka, którego Luce nigdy wcześniej nie widziała z bliska. Poznała go z niezwykle wyblakłego portretu, który wisiał w głównym holu szkoły, ale teraz stwierdziła, że artysta był w stosunku do niego bardzo hojny. Penn wcześniej powiedziała jej, że dyrektor oprowadza po kampusie tylko raz w roku – w Dzień Spotkań z Rodzicami- bez żadnych wyjątków. Z drugiej jednak strony był odludkiem, który nie opuszczał swojej rezydencji na wyspie Tybee nawet wtedy, kiedy uczeń jego szkoły zmarł. Żuchwa tego człowieka połykała jego brodę, a jego oczy patrzyły tępo w tłum, nie skupiając się na nikim. U jego boku stała Randy ze skrzyżowanymi nogami w białych pończochach. Miała uśmiech przyczepiony do twarzy, a dyrektor przykladał chusteczkę do swojego czoła. Oboje dziś mieli odegrać swoje role, ale wydawało się ich to wiele kosztować.

- Witamy w Sword & Cross podczas sto pięćdziesiątego dziewiątego rocznego Dnia Spotkań z Rodzicami.- powiedział dyrektor do mikrofonu.

- Czy on żartuje? – Luce wyszeptła do Penn. Ciężko było sobie wyobrazić Dzień z Rodzicami podczas wojny secesyjnej.

Penn wywróciła oczami. – Pewnie pomylił litery. Mówiłam im, żeby mu dali nowe okulary do czytania.

- Mamy dla was długi, rodzinny, wypełniony zabawą plan dnia, począwszy od tego nieśpiesznego pikniko- lunchu...

- Bo zazwyczaj mamy tylko dziesięć minut. – wtrąciła Penn, mówiąc na boku do rodziców Luce, którzy zeszywnieli.

Luce uśmiechnęła się zza głowy Penn i powiedziała bezgłośnie: - Ona żartuje.

- Potem będziecie mieli okazję do aktywnego działania. Nasza własna biologiczka, pani Yolanda Tross, dostarczy fascynujących wykładów w bibliotece, na temat lokalnej flory znajdującej się na terenie kampusu. Trenerka Diante będzie nadzorować szereg przyjaznych rodzinie wyścigów, tu na trawniku.

A pan Stanley Cole oferuje historyczne zwiedzanie naszego pełnego cenionych bohaterów cmentarza. To będzie naprawdę pracowity dzień. I owszem...

- powiedział Udell, w tandetnym uśmiechu z zaciśniętymi zębami. – będziecie testowali ten dzień.

To był tego rodzaju żart, trochę oklepany i mdły, jaki wywołuje lekki uśmiech wśród zaproszonych członków rodziny. Luce wywróciła oczami i spojrzała na Penn. To przygnębiające, że co poniektórzy próbowali chichotać, choć przecież było oczywiste, że wszyscy są tu z powodu tego, by poczuć się lepiej, skoro i tak już zostawiają swoje dzieci pod opieką Sword & Cross. Price'owie też się zaśmiali, ale spojrzeli na Luce i pewnie się zastanawiali jak ona to wszystko znosi.

Po lunchu, pozostałe rodziny zgromadzone wokół dziedzińca spakowały swoje pikniki i oddaliły się w rozmaite strony. Luce miała przeczucie, że bardzo niewiele osób bierze udział w szkolnych imprezach, organizowanych przez nauczycieli. Nikt nie podążał za panią Tross do biblioteki i jak dotąd tylko Gabbe i jej dziadek weszli do worka po ziemniakach, szykując się do wyścigu, na drugim końcu pola.

Luce nie wiedziała gdzie Molly albo Arriane, czy Roland się wymknęli ze swoimi rodzinami, i wciąż nie widziała jeszcze Daniela. Nie wiedziała czy jej rodzice będą bardzo zawiedzeni, jeśli nie zobaczą kampusu i nie będą uczestniczyć w żadnej z zorganizowanych zabaw. I choć wycieczka pana Cole'a wydawała się być czystym złem, Luce zaproponowała, żeby spakowali resztki lunchu i przyłączyli się do niego przy bramie cementarza. Kiedy właśnie byli w drodze do bramy, Arriane ześlizgnęła się ze szczytu trybun zupełnie jakby zjeżdżała po poręczy. Zastąpiła im drogę, ładując wprost przed rodzicami Luce.

- Helooooo. – zawyła, robiąc swoje najlepsze wrażenie szalonej dziewczyny.

- Mamo, tato.. – powiedziała Luce, ściskając ich ramiona. – to jest moja dobra przyjaciółka, Arriane.

- A to.. – Arriane wskazała na wysoką, jaskrawo, różowo- włosom dziewczynę, która powoli schodziła po schodach z trybun. – jest moja siostra Annabelle.

Annabelle zignorowała wyciągniętą rękę Luce i wzięła ją w swoje szeroko rozpostarte ramiona, ściskając ją mocno. Luce czuła ich kości ocierające się o siebie. Ten intensywny uścisk trwał wystarczająco długo, żeby Luce zaczęła się zastanawiać, co z tą dziewczyną jest, ale kiedy tylko zaczęła się czuć niekomfortowo, Annabelle ją puściła.

- Tak miło mi cię poznać. – powiedziała, potrząsając dłonią Luce.

- Ciebie również. – powiedziała Luce, spoglądając przez ramię Annabelle na Arriane.

- Czy wy dwie też idziecie na wycieczkę pana Cole'a? – Luce zapytała Arriane, która teraz patrzyła na Annabelle tak, jakby była stuknięta.

Annabelle otworzyła usta, ale Arriane szybko ją wyprzedziła mówiąc: - Do

diaska, nie. To zajęcie dla totalnych ćmoków. – spojrzała na rodziców Luce. – Bez obrazu.

Annabelle wruszyła ramionami. – Może będę miała okazję dogonić was później. – zawołała do Luce, zanim Arriane pociągnęła ją za sobą.

- Wyglądały na miłe. – powiedziała matka Luce głosem, którego używała by coś jej wytłumaczyć.

- Uhm, czemu ta dziewczyna tak się w ciebie wczepiła? – zapytała Penn.

Luce spojrzała na Penn, potem na swoich rodziców. Czy naprawdę musiała im się tłumaczyć z tego, że ktokolwiek mógłby ją polubić?

- Lucinda! – zawołał pan Cole, machając do nich zza bramy cmentarza. – Tutaj!

Pan Cole uściskał serdecznie dłonie obojga z rodziców Luce, a nawet położył rękę na ramieniu Penn. Luce nie mogła się zdecydować czy bardziej ją denerwuje wycieczka z panem Cole'em w tym dniu czy to jak udawany był jego entuzjazm. Ale wtedy zaczął mówić i ją zaskoczył.

- Przygotowywałem się na ten dzień przez cały rok. – wyszeptał. – Ta szansa by zabrać uczniów na świeże powietrze i odpowiedzieć im o wielu zdumiewających rzeczach o tym miejscu... och, jak ja to uwielbiam. Takie wycieczki zbliżają nauczycieli do uczniów. Oczywiście, nikt się nie pojawił na mojej wycieczce rok wcześniej, co czyni was moimi inauguracyjnymi wycieczkowiczami...

- Cóż, czujemy się więc zaszczytzeni. – powiedział ożywionym głosem ojciec Luce, posyłając panu Cole'owi szeroki uśmiech. Luce wiedziała, że to nie był zwykła, spragniona historycznych opowieści przemowa jej ojca. Był przeświadczony, że Cole mówi poważnie.

W końcu, obydwu mężczyzn zaczęło iść w dół stromego zbocza ku wejściu na cmentarz. Matka Luce zostawiła kosz piknikowy przy bramie i posłała Penn i Luce jeden ze swoich ciepłych uśmiechów.

Pan Cole pomachał do nich dłonią, żeby zwrócić na siebie uwagę. – Na początek, trochę ciekawostek. No co.... – uniósł swoje brwi - ... wiecie co jest najstarszą częścią cmentarza?

Kiedy Luce i Penn patrzyły w dół na swoje stopy – unikając jego wzroku, tak jak to robiły podczas zajęć– ojciec Luce stanął na palcach, żeby spojrzeć na jeden z wielkich posągów.

- To było podchwytliwe pytanie. – wykrzyczał Cole, poklepując ozdobne, kute z żelaza bramy. – Ta część bramy została zbudowana przez pierwszego właściciela w 1831 roku. Mówiono, że jego żona Ellamena, miała piękny ogród i chciała odgrodzić perliczki od swoich pomidorów. – zaśmiał się. – Oczywiście to było przed wojną. I zanim powstało to urwisko. Chodźmy dalej!

Kiedy tak szli, pan Cole opowiadał fakt po fakcie o tym jak został

zbudowany cmentarz i o jego historycznym tle, o który się opierała budowa i o „artyście” – nawet on użył tego luźnego terminu – od którego pochodzą te rzeźby skrzydlatych bestii, na szczycie monolitu, w środku podstawy. Ojciec Luce zadawał panu Cole’owi pytania, podczas gdy mama Luce dotykała dłońmi jakiejś przepięknie zdobionej płyty nagrobkowej, mówiąc „O, rany....” za każdym razem kiedy zatrzymywała się by przeczytać napis na płycie. Penn powłóczyła nogami, wlekąc się za matką Luce, zapewne żałując, że nie dołączyła do innej rodziny. Luce trzymała się z tyłu, zastanawiając się co by było, gdyby zabrała rodziców na własną wycieczkę po cmentarzu.

To tu odbyła się moja pierwsza kara.....

A tu, spadający anioł, prawie by mnie przygniół.....

Tutaj zaś, chłopiec z tej reformowanej szkoły, którego nigdy byście nie zaakceptowali, zabrał mnie na najdziwniejszy piknik mojego życia.

- Cam, - zawołał pan Cole, kiedy prowadził wycieczkę wokół monolitu. Cam stał z wysokim, ciemnowłosym mężczyzną w szytym na miarę, czarnym garniturze. Żaden z nich nie słyszał i nie widział pana Cole’a, ani wycieczki, którą prowadził. Rozmawiali cicho i gestykulowali zawile przy dębie, w sposób który Luce widziała u nauczyciela dramatu, kiedy uczniowie blokowali mu wejście na scenę.

- Czy ty i twój ojciec dołączycie później do naszej wycieczki? - zapytał Cam’a pan Cole, tym razem trochę głośniej. – Co prawda większość już straciliście, ale wciąż jest kilka interesujących faktów, które mogą się wam obojgu przydać.

Cam powoli obrócił swoją głowę w ich kierunku, a potem z powrotem spojrzała na swojego towarzysza, który wydawał się być rozbawiony. Luce nie mogła uwierzyć, że ten mężczyzna, klasycznie wysoki, z ciemnymi włosami i nieziemskim wyglądem, z wielkim, złotym zegarkiem, wyglądał wystarczająco staro, żeby być ojcem Cam’a. Ale może po prostu dobrze się trzymał. Cam prześlizgnął się wzrokiem po nagiej szyi Luce i przez moment wydawał się być oczarowany. Zaczerwieniła się, wiedząc co jej matka musi sobie myśleć o całej tej scenie i, że pewnie się zastanawia o co tu chodzi.

Cam zignorował pana Cole’a i zwrócił się do matki Luce, przykładając sobie jej dłoń do swoich ust, zanim ktokolwiek był w stanie im przeszkodzić. – A pani z pewnością musi być starszą siostrą Luce. – powiedział zawadiacko.

Stojąca po jej lewej stronie Penn, chwyciła ją za łokieć i wyszeptała tak, by tylko Luce mogła to usłyszeć. – Proszę, powiedz mi, że nie tylko ja mam mdłości.

Ale mama Luce wyglądała, jakby ją coś oślepiło, co sprawiło, że Luce – jak i oczywiście jej ojciec – poczuli się niekomfortowo.

- Nie, nie możemy dołączyć do pana wycieczki. – oznajmił Cam, mrugając do Luce i odsunął się na tyle by mógł się zwrócić do ojca Luce. – Ale było mi

bardzo miło, - spojrział na nich wszystkich, oprócz Penn – móc was tu dzisiaj spotkać. Chodźmy tato.

- Kto to był? – zapytała szeptem matka Luce, kiedy Cam i jego ojciec, czy ktokolwiek to był, zniknęli na drugim końcu cmentarza.

- Och, tylko jeden z wielbicieli Luce. – powiedziała Penn, starając się poprawić wszystkim humor, ale stało się odwrotnie.

- Jeden z...? – ojciec Luce spojrział w dół na Penn.

W tym późno popołudniowym świetle, Luce dostrzegła po raz pierwszy siwy włos na głowie taty. Nie chciała spędzić ostatnich chwil przekonując ojca, żeby się nie martwił o chłopców w jej szkole.

- To nic takiego, tato. Penn żartuje.

- Chcielibyśmy, żebyś uważała, Lucindo. – powiedział.

Luce pomyślała o Danielu i o jego sugestiach – dość silnych – z tamtego dnia. Może w ogóle nie powinna być w Sword & Cross. Natychmiast poczuła przemożną chęć błagania rodziców, by zabrali ją stąd.

Ale to było dokładnie to samo wspomnienie, które jej kazało trzymać język za zębami. Ten ekscytujący dotyk jego skóry na jej własnej, kiedy popchnęła go na skałę nad jeziorem, sposób w jaki na nią patrzył, był jednym z najsmutniejszych jakie widziała. To było całkowicie szalone, ale i też absolutnie prawdziwe, że może warto być w tym piekielnym Sword & Cross, żeby tylko spędzić jeszcze trochę czasu z Danielem. Po to tylko, żeby sprawdzić, czy nic z tego nie będzie.

- Nienawidzę pożegnać. – westchnęła matka Luce, przerywając swojej córce w przemyśleniach, wciągając ją w energiczny uścisk. Luce spojrzała w dół na zegarek i zmarszczyła twarz. Nie wiedziała, że popołudnie tak szybko upłynęło i że już czas żeby się pożegnać.

- Zadzwoisz do nas w środę? – zapytał jej tata, całując ją w oba policzki, tak jak to robią zawsze francuzi.

Kiedy wszyscy szli w stronę parkingu, rodzice Luce trzymali ją za ręce. Każde z rodziców ścisnęło ją mocno i zasypywali ją serią całusów. Kiedy ścisnęli rękę Penn i życzyli jej powodzenia, Luce zauważyła kamerę, przymocowaną do cegły, przy wyjściu z budki telefonicznej. Przy Czerwonych musiał być zamontowany czujnik ruchu, bo kamera podążała za każdym ich ruchem. Ta musiała nie być ujęta w wycieczce Arriane i nie miała wyczerpanych baterii. Kiedy szli dalej, spojrzeli za siebie na dwie dziewczyny machające do nich przed wejścia do holu głównego. Tata podstawił swojego czarnego, starego Chryslera i opuścił szyby.

- Kochamy cię. – zawołał tak głośno, że Luce pewnie by się zawstydzila, gdyby nie była tak bardzo smutna z powodu tego, że pojechali.

Luce im odmachwała. – Dziękuję. – wyszeptwała. Za pralinki i okrycie. Za cały spędzony dzisiaj dzień. Za to, że wzięliście Penn pod swoje skrzydła, o nic nie

pytając. Za to, że wciąż mnie kochacie, mimo iż was przerażam.

Kiedy tylnie światła samochodu jej ojca zniknęły za zakrętem, Penn sprowadziła ją powrotem na ziemię.

- Tak sobie pomyślałam, że może poszłabyś ze mną do mojego taty. – kopła ziemię palcami u stóp i patrzyła nieśmiało na Luce. - O ile jest jakaś szansa, że będziesz chciała. Jeśli nie, zrozumieć, widzę jak podążasz już w kolejną podróż w głąb siebie. – wskazała swoim kciukiem w kierunku otchłani cmentarza.

- Oczywiście, że z tobą pójdę. – powiedziała Luce.

Szły wzdłuż obrzeża cmentarza, zatrzymując się na wysokim brzegu, dopóki nie doszły do wschodniego rogu, gdzie Penn stanęła przed mogiłą. To był skromny, biały nagrobek, pokryty warstwą płowych igieł sosnowych. Penn uklękła i zaczęła go wycierać.

STANFORD LOCKWOOD

napisane było na prostym nagrobku.

NAJLEPSZY OJCIEC NA ŚWIECIE.

Luce słyszała przejmujący głos Penn, kiedy czytała inskrypcje i poczuła jak łzy napływają jej do oczu. Nie chciałyby, żeby Penn to zobaczyła – w końcu, ona wciąż ma rodziców. Jeśli ktokolwiek miałby teraz płakać, to powinna to być.... Penn właśnie płakała. Starła się to ukryć, łagodnie pociągając nosem, ale kilka łez otarła brzegiem rękawa swojego swetra. Luce także uklękła i zaczęła pomagać jej omieść igły z mogiły. Otoczyła ramionami swoją przyjaciółkę i ścisnęła ją tak mocno jak tylko potrafiła.

Kiedy Penn odsunęła się i podziękowała Luce, sięgnęła do swojej kieszeni i wyciągnęła list.

- Zazwyczaj coś do niego piszę. – wyjaśniła.

Luce chciała dać chwilę czasu Penn sam na sam ze swoim ojcem, więc wstała, zrobiła krok do tyłu i obróciła się odchodząc w dół zbocza, w kierunku środka cmentarza. Oczywiście miała wciąż trochę zaszkłone ale zobaczyła kogoś siedzącego samotnie na szczycie monolitu. Tak. Chłopca, z ramionami wokół kolan. Nie potrafiła sobie wyobrazić jak mógł się tam dostać, ale był tam. Wyglądał na zeszywniałego i samotnego, zupełnie jakby spędziła tam cały dzień. Nie widział Luce i Penn. Raczej nic nie widział. Luce nie musiała być bardzo blisko niego, by dostrzec te fioletowo szare oczy, które tak dobrze znała.

Przez cały czas Luce szukała wyjaśnienia, dlaczego akta Daniela były takie skąpe, jakie tajemnice skrywał w tej książce jego przodek, a która spłonęła w bibliotece, gdzie powędrował myślami tego dnia, kiedy spytała go o jego rodzinę. Dlaczego zawsze jest taki ciepły a zarazem chłodny.... Dla niej.

ROZDZIAŁ 14



BEZCZYNNOŚĆ

Deszcz padał przez całą środę. Czarne jak smoła chmury przesuwały się z zachodu i kłębiły się nad kampusem, nie pomagając raczej oczyścić umysłu Luce. Ulewa przyszła w nierównych falach – najpierw mżawka, potem połał się deszcz, a następnie spadł grad – potem wszystko ustało, ale tylko po to by zacząć wszystko od nowa. Uczniowie nie mogli wychodzić na zewnątrz w czasie przerw w zajęciach i pod koniec matematyki, Luce myślała, że zwariuje. Zdała sobie sprawę z tego, że jej zapiski zaczęły gwałtownie odbiegać od wartości twierdzenia, przypominając bardziej to:

15 września: Pierwsze spotkanie z D

16 września: Przewrócony pomnik, ręka na mojej głowie, by mnie chronić (na przemian: szukanie po omacku jego i wyjścia) natychmiastowe odejście D

17 września: Potencjalnie błędna sugestia D, żeby się udać na przyjęcie Cam'a. Niepokojące odkrycie relacji D i G (błąd?)

Wyrażony w ten sposób, to był raczej żenujący katalog ich początku. Daniel był zarazem miły jak i chłodny dla niej. Możliwe było, że on czuł to samo w stosunku do niej – poza tym faktem, kiedy na niego naciskała, co oczywiście było spowodowane zupełną tajemniczością z jego strony.

Nie. W takiego rodzaju błędne koło nie chciałyby się zaangażować. Luce nie chciała pogrywać w żadne gierki. Po prostu chciała z nim być. Choć nie wiedziała dlaczego. I jak go zdobyć. Czy raczej, co to właściwie znaczy z nim być. Jedyne co wiedziała to to, że - mimo wszystko – był jedynym o którym myślała. Jedynym, na którym jej zależało.

Chciałyby myśleć, że jeśli prześledziłyby każde ich spotkanie i to jak za każdym razem ją odpychał, to na pewno znalazłaby jakieś wyjaśnienie dla tych chaotycznych zachowań Daniela. Ale jak do tej pory jej lista tylko pogłębiała jej depresję. Zmięła kartkę i uformowała piłeczkę.

Kiedy w końcu zadzwonił dzwonek, obwieszczający koniec zajęć, Luce wybiegła z klasy. Zazwyczaj czekała na Arriane czy Penn, obawiając się momentu, kiedy ich drogi się rozejdą i zostanie sam na sam ze swoimi myślami. Ale dzisiaj, dla odmiany, nie chciała się z nikim widzieć. Chciała mieć czas tylko dla siebie. Miała tylko jeden dobry pomysł na to by nie myśleć o Danielu: długie, męczące, samotne pływanie.

Podczas kiedy inni uczniowie szli w kierunku swoich pokoi, Luce naciągnęła kaptur swojego czarnego swetra na głowę i rzuciła się w deszcz, chcąc jak najszybciej dostać się do basenu.

Kiedy spieszyła się w dół po schodach Augustine, wpadła wprost na coś wysokiego i czarnego. Cam. Jak tylko go potrąciła, sterta książek zachwiała się w jego ramionach i spadała na mokrą nawierzchnię, serią tych głuchych uderzeń. Cam miał swój własny, czarny kaptur naciągnięty na głowę i słuchawki w uszach, z których rozbrzmiewała głośna muzyka. Pewnie nie widział ani jej, ani nikogo w pobliżu. Oboje byli w swoich światach.

- Wszystko w porządku? – zapytał, kładąc swoją dłoń na jej plecach.

- Tak, w porządku. – odpowiedziała Luce. To właściwie ona się potknęła. A książki Cam'a będą zalane.

- Cóż, teraz musimy poodwracać te książki. Czy to nie następny krok do tego, by nasze ręce się znowu dotknęły, kiedy będziemy je podnosić?

Luce się roześmiała. Kiedy podała mu jedną z książek, przytrzymał jej rękę i ścisnął ją. Deszcz sączył się po jego ciemnych włosach a duże krople zatrzymywały się na jego długich, grubych rzęsach. Wyglądał naprawdę dobrze.

- Jak się mówi „zażenowany” po francusku? – zapytał.

Hm... gene. – zaczęła mówić Luce, sama czując się trochę zażenowana. Cam wciąż trzymał ją za rękę. – Chwileczkę, czy to nie ty, jako jedyny dostałeś wczoraj 5 z francuskiego?

- Zauważyłaś? – zapytał. Jego głos brzmiał dziwnie.

- Cam, - powiedziała. – Czy wszystko w porządku?

Pochylił się ku niej, otarł jej krople deszczu, która spływała jej po nosie. Ten krótki dotyk jego palca wskazującego sprawił, że jej ciało zadrżało i nagle nie mogła nic poradzić na to, że zaczęła się zastanawiać jaki ciepło i przyjemnie mogłaby się poczuć w jego ramionach, zupełnie jak po nabożeństwie Todd'a.

- Myślałem o tobie. – powiedział. – Chciałem się z tobą zobaczyć. Szukałem cię na przyjęciu po nabożeństwie, ale ktoś mi powiedział, że już poszłaś.

Luce miała przeczucie, że wiedział z kim poszła. I, że chce jej właśnie dać do zrozumienia, że wie.

- Przepraszam. – powiedziała, czując się jak na przesłuchaniu, pod ostrzałem piorunów. Ale teraz, oboje mieli przemoczone od deszczu ubrania.

- Chodźmy, musimy zejść z tego deszczu. – Cam skierował ją w stronę wejścia do Augustine.

Luce spojrzała przez ramię w kierunku siłowni, w której chciałaby się znaleźć, a nie tu, z Cam'em. Albo raczej nie chciała być z nim w tej chwili. Miała w głowie zbyt wiele impulsów i potrzebowała teraz trochę przestrzeni – z dala od wszystkich – żeby je sobie poukładać.

- Nie mogę. – powiedziała.

- To może później? Może dziś wieczorem?

- Oczywiście, później, super.

Cam się rozpromienił. – Przyjdę do twojego pokoju.

Zaskoczył ją, przyciągając do siebie na krótki moment, a potem pocałował ją w czoło. Luce poczuła się natychmiast ukojona, zupełnie jakby dostała zastrzyk z czegoś uspakajającego. Ale zanim zdołała poczuć coś więcej, on się szybko odsunął i poszedł z powrotem w stronę akademika. Luce potrząsnęła głową i poszła powoli w stronę siłowni. Najwyraźniej miała więcej zmartwień niż sam Daniel.

Istnieje szansa, że to spotkanie wieczorem, z Cam'em, może być miłe, a nawet zabawne. Jeśli przestanie padać, Cam pewnie zabierze ją w jakieś sekretne miejsce w kampusie i będzie jak zwykle charyzmatyczny i wspaniały w ten pewny siebie sposób. Sprawiał, że czuła się wyjątkowa.

Uśmiechnęła się.

Odkąd ostatni raz była na Naszym Szkolnym Fitnessie (jak Arriane nazywała siłownię) widać było, że personel odpowiedzialny za sprzątanie, zaczął walczyć z kudzu. Mieli rozłożoną zieloną matę wzdłuż części elewacji budynku, ale tylko w połowie skończyli, tak więc połowa zielonych pnączy zwisała niczym macki w poprzek drzwi. Luce musiała się pod nimi pochylić, bo tylko w ten sposób mogła wejść do środka. Siłownia była pusta, a cisza jaka w niej panowała była dziwną odskocznią w porównaniu do burzy, na zewnątrz. Większość światel była wyłączona. Co prawda nie zapytała nikogo, czy może skorzystać z siłowni po godzinach lekcyjnych, ale drzwi były otwarte i Luce cieszyła się, że nie było to nikogo, kto mógłby ją powstrzymać. W ciemnym korytarzu, mijając stary, łaćski zwój w szklanej gablocie i miniaturową, marmurową reprodukcję Piety. Zatrzymała się przed drzwiami siłowni, gdzie widziała Daniela skaczącego na skakance. Westchnęła. To byłby znakomity dodatek do jej listy:

18 września: D oskarża mnie o prześladowanie go

Następnie dwa dni później:

20 września: Penn przekonuje mnie, żebym prześledziła jego akta.
Zgodziłam się.

Fuj. Była w czarnej dziurze swojego wstrętu. A jednak nie mogła się przed tym powstrzymać. Na środku korytarza znieruchomiała. Nagle zrozumiała, dlaczego była pochłonięta Danielem, bardziej niż zwykle, przez cały dzień. No i jeszcze ten konflikt o Cam'a. Śnili jej się obaj, zeszłej nocy. Spacerowała przez gęstą mgłę, a ktoś trzymał ją za rękę. Obróciła się, myśląc że to był Daniel. Kiedy jej usta dotknęły jego, poczuła czułość i miękkość jego ust, ale nie były to usta Daniela. Te usta należały do Cam'a. Obdarowywał ją niezliczoną ilością miękkich pocałunków ale za każdym razem kiedy Luce na niego zerkała, jego burzliwe, zielone oczy były otwarte, wwiercając się w nią, jakby ją pytał o coś, czego nie mogła mu powiedzieć.

Wtedy Cam zniknął a wraz z nim mgła, a Luce została szczelnie owinięta ramionami Daniela, czyli była tam, gdzie dokładnie chciała być. Przechylił ją powoli i pocałował gwałtownie, jak gdyby był zły, i za każdym razem kiedy jego usta odrywały się od jej, choćby na pół sekundy, jedno z tych prąjących pragnień przebiegało przez nią, wywołując u niej cichy jęk. Tym razem dokładnie wiedziała, że miał skrzydła i pozwoliła by owinęły się wokół niej niczym koc. Chciała ich dotknąć, rozłożyć je całkowicie wokół siebie i Daniela, ale wtem muśnięcie jedwabiu się oddaliło, kiedy Daniel złożył je z powrotem za sobą. Przestał ją całować i spojrzał na jej twarz, czekając na jej reakcję. Nie rozumiała dziwnie rosnącego strachu w dole swojego żołądka. Ale był tam, wywołując u niej nieprzyjemne ciepło, potem pęcherze gorąca – których nie mogła dłużej znieść. To był właśnie moment, w którym się obudziła, cała się trzęsąc: W ostatniej sekundzie snu, Luce płonęła i rozbijała się na kawałki – by w końcu zostać startą w popiół.

Obudziła się przemoczona od potu – jej włosy, poduszki, piżama były całe mokre, wszystko to sprawiło, że nagle poczuła przeraźliwy chłód. Leżała, trzęsąca się i samotna aż do pierwszych świateł poranka.

Luce potarła mokre od deszczu rękawy swetra, żeby się rozgrzać. Oczywiście. Sen pozostawił ją z ogniem w sercu i chłodem w kościach, a ona nie mogła się z tym pogodzić przez cały dzień. Był też powodem, dla którego tu przyszła żeby popływać i spróbować się dogadać z własnym organizmem. Tym razem jej kostium doskonale pasował i nie zapomniła sobie przynieść okularów. Otworzyła drzwi do basenu i stanęła na wysokiej trampolinie – sama – wdychając wilgotne powietrze z nieciekawym posmakiem chloru. Bez zwracania uwagi na innych uczniów lub świstu gwizdka trenerki Diante, Luce mogła poczuć obecność czegoś jeszcze, w kościele. Czegoś niemalże świętego. Może to uczucie było spowodowane tylko tym, że basen był takim wspaniałym pokojem, mimo tego, że deszcz przelewał się przez pęknięty witraż do środka. Mimo tego, że żadna ze świec, ustawionych w bocznym, czerwonym ołtarzu, się nie paliła. Luce próbowała sobie wyobrazić jak basen zastępują ławki i uśmiechnęła się na tą myśl. Spodobał jej się pomysł pływania pośród tych pogrążonych w modlitwie głów. Opuściła okulary na oczy i skoczyła do wody. Woda była ciepła, dużo cieplejsza niż deszcz na zewnątrz i huk grzmotów, które stąd zdawały się być nieszkodliwe i odległe, zwłaszcza kiedy zanurzyła głowę pod wodą. Odepchnęła się i zaczęła rozgrzewkę od kraulu. Jej ciało się odprężyło a kilka okrążeń później, Luce nabrała prędkości i zaczęła płynąć motylkiem. Czuła jak jej ciało płonie i zanurzyła się w tym płomieniu. To było dokładnie to samo uczucie, które wtedy czuła. Dokładnie w tych samych strefach. Gdyby tylko mogła porozmawiać z Danielem. Tak naprawdę porozmawiać, bez przeszkadzania jej w tym co chce mu powiedzieć, albo sugerowania jej żeby zmieniła szkołę zanim w ogóle dojdzie do sedna sprawy. Może to mogłoby jej pomóc. Gdyby go związała i zakneblowała, może by ją

wysłuchał.

Ale co mogłaby mu jeszcze wyznać? Chciałaby mu powiedzieć jakiego rodzaju uczucie roztoczyła wokół niego i które, gdyby się nad tym głębiej zastanowiła, nie miało nic wspólnego z ich dotychczasowymi działaniami. A co by było, gdyby mogła go sprowadzić z powrotem nad jezioro? Był jedynym, który się domyślał, że jest to ich miejsce. Teraz, mogłaby go tam zaprowadzić i być bardzo uważną, by nie zrobić nic, co mogłoby go rozdrażnić –

Nie, to nie zadziała.

Bzdura. Znowu to robi. Miała się skupić na pływaniu. Tylko na pływaniu. Powinna pływać dopóki nie zmęczy się na tyle, by nie mieć siły myśleć o czymkolwiek, zwłaszcza o Danielu. Będzie pływać dopóki....

- Luce!

Dopóki ktoś jej nie przerwie. Na przykład Penn, która stała na brzegu basenu.

- Co ty tutaj robisz? – zapytała Luce, wypluwając wodę.

- Co TY tutaj robisz? – zrewanżowała się Penn. – Od kiedy tak chętnie ćwiczysz? Nie podoba mi się ta nowa strona ciebie.

-Jak mnie znalazłaś? – dopóki tego nie powiedziała, Luce nie zdawała sobie sprawy jak nieuprzejmie musi brzmieć ton jej głosu, zupełnie jakby unikała Penn.

-Cam mi powiedział gdzie jesteś. – powiedziała Penn. – Nawet urządziliśmy sobie małą pogawędkę. To było dziwne. Chciał wiedzieć, czy jesteś w porządku.

- To dziwne. – zgodziła się Luce.

- Nie. – powiedziała Penn, - Dziwne było to, że w ogóle podszedł do mnie i zagadał. Pan Popularny..... i ja. Chyba nie muszę literować mojego zaskoczenia z powodu dalszego ciągu, co? Rzecz w tym, że był naprawdę miły.

- Cóż, on jest miły. – Luce podciągnęła swoje okulary na głowę.

- Dla ciebie. – powiedziała Penn. – Jest tak miły, że wymknął się ze szkoły żeby ci kupić naszyjnik – którego nigdy nie założyłaś.

- Raz go założyłam. – powiedziała Luce. Co w zasadzie było prawdą. Pięć nocy wcześniej, kiedy Daniel ponownie zostawił ją nad jeziorem, samą, podczas gdy on zapadł się w lesie. Była tak roztrzęsiona, że nie mogła zasnąć. Więc spróbowała z naszyjnikiem. Zasnęła, trzymając go blisko swojego obojczyka i obudziła się z nim, gorącym, w jej ręce.

Penn wymachiwała przed Luce swoimi trzema palcami, jakby chciała powiedzieć: Hello? A ty ile dajesz mu punktów, 7?

- Chodzi mi o to, - powiedziała w końcu Luce. – Że nie jestem aż tak powierzchowna, że szukam faceta, który będzie mi kupował różne rzeczy.

- Nie aż taka powierzchowna, he? – zapytała Penn. – W takim razie zrób sobie „nie powierzchowną” listę tego, dlaczego jesteś taka zauroczona Danielem. Co oznacza żadnych: On ma takie piękne małe, szare oczy, albo: sposób w jaki

jego mięśnie naprężają się na słońcu.

Luce wybuchała śmiechem, kiedy usłyszała wysoki ton głosu Penn i jej ręce przyciśnięte do piersi.

- On po prostu na mnie działa. – powiedziała, unikając wzroku Penn. – Nie potrafię tego wytłumaczyć.

- Działa aż tak bardzo, że godzisz się na ignorowanie? – Penn potrząsnęła swoją głową. Luce nigdy nie opowiadała Penn o tym jak spędzała czas z Danielem, czas w którym chciałyby zobaczyć chociaż przebłysk tego, że jemu na niej też zależy. Tak, żeby Penn mogła zrozumieć jej uczucia. Ale były one zbyt intymne i skomplikowane do wytłumaczenia.

Penn przykucnęła przy Luce. – Słuchaj, przyszedłam tu dlatego, żeby cię zaciągnąć do biblioteki by skończyć naszą misję – związaną z Danielem

Znalazłaś książkę?

- Nie dokładnie. – powiedziała Penn, wyciągając rękę do Luce, żeby jej pomóc wyjść z basenu. – Arcydziela pana Grigori' ego nadal nie można odnaleźć, ale wpadłam na pomysł, żeby za przyzwoleniem pani Sophii, włamać się do programu wyszukiwania literatury i odkryć kilka rzeczy. Myślałam, że możesz być tym zainteresowana.

- Dzięki. – powiedziała Luce, dźwigając się przy pomocy Penn. – Postaram się nie być zbyt dokuczliwa, z tym podnieceniem wokół Daniela.

- Mnie tam wszystko jedno.- powiedziała Penn. – Tylko się pośpiesz z suszeniem. Tak w skrócie, to przejście nie ma zadaszania, a ja nie mam parasola.

W większości już sucha i z powrotem ubrana w swój szkolny mundurek, Luce podążyła za Penn w kierunku biblioteki. Część przedniej części biblioteki była odgradzona przez policję żółtą taśmą, tak więc dziewczyny musiały się prześlizgnąć przez wąską przestrzeń między katalogami kart i księgozbiorami. Miejsce to wciąż pachniało jak ognisko, a dzięki zraszaczom i deszczowi posiadał dodatkowy zapach pleśni.

Luce w pierwszej kolejności spojrzała na biurko pani Sophii, a które teraz było zwęglone w prawie idealnym okręgu starych posadzek, w centrum biblioteki. Wszystko w promieniu piętnastu stóp zostało zniszczone. Ale poza tym, pozostała część była dziwnie nietknięta. Bibliotekarka nie była w swoim zwykłym miejscu, ale obok spalonego miejsca został ustawiony dla niej rozkładany stolik. Był przygnębiająco pusty, z wyjątkiem nowej lampy, pojemnika z ołówkami i szarej sterty samoprzylepnych karteczek.

Luce i Penn posłały sobie nawzajem grymas niezadowolenia zanim postanowiły podejść do stanowiska z komputerem, w tyle. Kiedy mijaly czytelnię, miejsce w którym ostatni raz widziały Todd'a, Luce spojrzała na swoją koleżankę. Penn trzymała swoją twarz skierowaną do przodu, ale kiedy Luce się z nią zrównała i ścisnęła ją za rękę, Penn także mocno ją ścisnęła. Przysunęły dwa

krzesła do stanowiska z komputerem i Penn wpisała swoje imię w nazwie użytkownika. Luce obejrzała się za siebie, żeby się upewnić, że nikogo nie ma w pobliżu. Czerwone pole pojawiło się na ekranie komputera.

Penn jęknęła.

- Co? – spytała Luce.

- Po poziomie czwartym, trzeba mieć specjalne pozwolenie, żeby mieć dostęp do sieci.

- To dlatego to miejsce nocą jest takie puste.

Penn grzebała w swoim plecaku. – Gdzie ja wsadziłam to zaszyfrowane hasło? – wymamrotała.

- Tam jest pani Sophia. – powiedziała Luce, zatrzymując bibliotekarkę w czarnej koszuli i w krótszych jasnozielonych spodniach, która właśnie przechodziła. Jej lśniące kolczyki ocierały się o jej ramiona i miała włożony ołówek we włosy. – Tutaj. – wyszeptała głośniej Luce.

Pani Sophia zerknęła na nie. Jej okulary zsunęły się w dół jej nosa, trzymała stos książek w ramionach i nie miała wolnej ręki by je sobie odsunąć.

Kto tam? – zawołała, chodząc w kółko. – Och, Lucinda, Pennyweather, - powiedziała, brzmiąc na zmęczoną. – Witam.

- Zastanawialiśmy się, czy mogłaby nam pani podać hasło do komputera. – zapytała Luce, wskazując na czerwone okno na ekranie.

- Nie chcecie wejść na serwis społecznościowy, prawda? Te strony to jakaś szatańska robota.

- Nie, nie, to są poważne badania. – powiedziała Penn. – Poparłaby je pani.

Pani Sophia pochyliła się nad dziewczętami by odblokować komputer. Śmigając palcami po klawiaturze, wpisał najdłuższe hasło, jakie Luce kiedykolwiek widziała.

- Macie dwadzieścia minut. – powiedziała pani Sophia, odchodząc.

- To powinno nam wystarczyć. – wyszeptała Penn. – Znalazłam krytyczny esej na Watchers, i do póki nie możemy znaleźć książki, może przynajmniej poczytamy o tym i się dowiemy o co w nim chodzi.

Luce poczuła, że ktoś za nimi stoi i kiedy się odwróciła zobaczyła, że pani Sophia wróciła. Luce aż podskoczyła. - Przepraszam. – powiedziała. – Nie wiem dlaczego mnie tak pani przeraziła.

- Nie, to ja powinnam przeprosić – powiedziała pani Sophia. Jej uśmiech praktycznie sprawił, że jej oczy jakby zniknęły. – Jest mi ostatnio tak ciężko, od czasu pożaru. Ale nie ma sensu, żebym z powodu mojego smutku zaniedbywała dwie z moich najbardziej obiecujących uczennic.

Ani Penn, ani Luce nie wiedziały co powiedzieć. To była rzecz, która je wszystkie łączyła, po pożarze. Pocieszający był fakt, że bibliotekarka jest trochę tak jakby w ich lidze.

- Próbowałam się czymś zająć, ale.... – przerwała pani Sophia. Penn spojrzała nerwowo na Luce.

- Cóż, potrzebowałybyśmy nieco pomocy w poszukiwaniach, jeśli to jest to, co pani....

- Mogę pomóc! – pani Sophia przyciągnęła sobie trzecie krzesło. – Widzę, że szukacie na Watchers. – powiedziała, czytając zza ich ramion. – Grigori’owie to był bardzo wpływowy klan. A ja akurat mam dostęp do papieskiej bazy danych. Może coś uda nam się z tego wyciągnąć.

Luce prawie połknęła kawałek gumki z ołówka, który przygryzała. – Przepraszam powiedziała pani Grigori’owie?

O tak, historycy śledzili ich losy aż od średniowiecza. Byli....- urwała, szukając słów. -pewnego rodzaju badaczami, mówiąc słowami współczesnego laika. Specjalizowali się w pewnego rodzaju tradycji Upadłych Aniołów. Wcisnęła się ponownie między dziewczyny, a Luce była zdziwiona tym jak jej palce szybko prześlizgują się po klawiaturze. Wyszukiwarka zmagala się z utrzymaniem łączności, kiedy pani Sophia przeciągała myszką po artykule, podstawowym źródle wiadomości o Grigori’ach. Nazwisko Daniela było wszędzie, wypełniając ekran. Luce poczuła nieco ciepła na czole. Obraz z jej snu powrócił do niej: skrzydła, jej płonące ciało, dopóki nie zamieniło się w popiół.

- Są jeszcze inne anioły, w których się można specjalizować? – zapytała Penn.

Oczywiście. To...dość szeroki zakres literatury. – powiedziała pani Sophia, kiedy zaczęła je wymieniać. – Są jeszcze te, które stały się demonami. I te, które odrzuciły Boga. Są też ci, którzy się zadawali ze śmiertelnymi kobietami. – To ostatnie, na które natknęły się jej palce.

- To bardzo niebezpieczny nałóg. – powiedziała Penn. – A czy ten gość z Watchers, wiąże jakoś Daniela Grigori’ego z nimi?

Pani Sophia zagryzła swoje fioletoworóżowe usta. – Bardzo możliwe. Sama się nad tym zastanawiałam, ale ciężko jest kopać w aktach tutejszych uczniów, zgodzicie się ze mną? - Jej blada twarz skrzywiła się, kiedy spojrzała w dół na zegarek. – Mam nadzieję, że dostarczyła m wam wystarczająco dużo wiedzy, byście mogły zacząć swój projekt. Nie będę wam zajmować więcej czasu. – wskazała na zegar na komputerze. – Macie jeszcze dziewięć minut.

Kiedy szła z powrotem na przód biblioteki, Luce patrzyła na doskonałą postawę pani Sophii. Mogłaby nosić książkę na głowie. Wcale nie wyglądała na choćby trochę bardziej ucieszoną tym, że pomogła im w poszukiwaniach. No i Luce nie wiedziała właściwie, co ma zrobić z informacjami, które miała na temat Daniela. Ale Penn wiedziała. Już zaczęła bazgrać jakieś notatki.

-Osiem i pół minuty. – poinformowała Luce, wręczając jej pióro i kartkę papieru. – Nie zrozumiemy sensu tego wszystkiego w osiem i pół minuty, więc

lepiej zacznij pisać.

Luce westchnęła i zrobiła to co jej powiedziała Penn. To była nudząco zaprojektowana strona internetowa, z cienką, niebieską lamówką i zwykłym, beżowym tłem. Na górze, powyżej nagłówka, napisany toporną czcionką głosił: Klan Grigori' ów. Wystarczyło przeczytać nazwę, a Luce czuła ciepło swojej skóry. Penn stuknęła ołówkiem w monitor, przywracając uwagę Luce do zadania. „Grigogi' owie nie śpią.” Wyglądało na możliwe: to dlatego Daniel ciągle wygląda na zmęczonego. „Na ogół są cisi. „Sprawdzić. Czasem rozmowa z nim wyglądał tak jakby nabrał wody w usta. „Dekret w ósmym wieku...” Ekran stał się czarny. Ich czas się skończył.

- Ile zapisałaś? – zapytała Penn.

Luce zagięła swoją kartkę. Żalotne. Nawet nie pamiętała co nabazgroliła: pierzaste zakończenia skrzydeł. Penn spojrzała na nią z ukosa.

- Tak, widzę że masz zamiar zostać asystentką doskonałą. – powiedziała, śmiejąc się. – Może później będziemy mogły teoretyzować na temat gry w MASH. – Spojrzała na swoje własne, obfitsze notatki. – Nic nie szkodzi, ja zrobiłam wystarczające, by mogły nas zaprowadzić do kolejnych źródeł.

Luce wepchnęła swoją kartkę do kieszeni obok zmiętej, doskonałej listy swoich wszystkich interakcji z Danielem. Już zaczynała wspominać swojego ojca, który nie lubił oddalać się zbyt od swojej niszcarki do papieru, kiedy pochylała się do pojemnika przeznaczonego na recykling. Dostrzegła dwoje nóg przechodzących przez przejście dokładnie w ich kierunku. Ten chód był jej tak dobrze znany jak jej własny. Usiadła z powrotem prostując się – czy raczej próbowała usiąść – kiedy uderzyła głową w stolik na którym stał komputer.

-Aud! – jęknęła, masując miejsce na głowie, w które się uderzyła po pożarze. Daniel zatrzymał się, zaledwie kilka metrów dalej. Wyraz jego twarzy mówił, że podście do niej, było ostatnia rzeczą jaką by chciał. W ostateczności jednak, postanowił na nią spojrzeć, zaraz po tym jak się zalogował do komputera. Nie było by dobrze, gdyby sobie pomyślał, że Luce go prześladuje bardziej, niż już o tym wiedział. Ale Daniel zdawał się patrzeć jakby za nią; jego fioletowo- szare oczy utkwily w czymś- lub kimś stojącym za jej ramieniem.

Penn poklepała Luce po ramieniu, a następnie pociągnęła ją w kierunku osoby, która stała za nimi. Cam opierał się o krzesło Luce, uśmiechając się do niej. Piorun, który pojawił się na zewnątrz, praktycznie posłał ją w ramiona Penn.

- To tylko burza. – powiedział Cam, zadzierając swoją głowę. – Szybko przejdzie. A szkoda, bo wyglądasz całkiem ładnie, kiedy się boisz.

Cam wyciągnął do niej rękę. Zaczął od dotknięcia jej ramienia a następnie pociągnął palcem wzdłuż jej ręki by dotrzeć do jej dłoni.

Jej oczy zatrzepotały. To było tak miłe uczucie. A kiedy je otworzyła, znalazła w dłoni małe, rubinowe, aksamitne pudełeczko w dłoni. Cam obrócił je i

otworzył- tylko na sekundę- i Luce zobaczyła błysk złota.

- Otwórz je później. – powiedział. – Kiedy będziesz sama.

- Cam....

- Byłem w twoim pokoju.

- Czy my możemy..... - Luce spojrzała na Penn, która wpatrywała się w nich z zafascynowaniem kinomana. Wreszcie zerwała się z miejsca i pomachała do nich ręką.

- Chcecie żebym sobie poszła. Załapałam.

- Nie, zostań. – powiedział Cam, brzmiąc bardziej słodko niż Luce się tego spodziewała. Odwrócił się do Luce. – Ja pójdę. Ale później....obiecujesz?

-Oczywiście. – poczuła jak się rumieni.

Cam wziął ją za rękę i pociągnął ją w dół, do lewej przedniej kieszeni jej jeansów. Kieszeń była ciasna, a Luce przeszedł dreszcz, kiedy poczuła palce Cam'a rozłożone na swoich biodrach. Mrugnął do niej, a potem odwrócił się na pięcie. Zanim jednak Luce zdążyła złapać oddech, wrócił się.

-Jeszcze jedno. – powiedział, a jego ręka poszybowała za jej głowę a on przybliżył się do niej. Odchyliła lekko głowę w tył, ale on zbliżył swoją jeszcze bardziej, kładąc swoje usta na jej. Były tak miękkie, na jakie cały czas wyglądały.

Pocałunek nie był głęboki, zaledwie muśnięcie warg, ale Luce poczuła, że znaczył coś więcej. Nie mogła oddychać z szoku i z emocji oraz z tego jak publiczny jest ten bardzo długi, bardzo nieoczekiwany.....

- Co do diabła.....!

Głowa Cam'a odskoczyła do tyłu, po czym się zgarbił i zacisnął szczęki.

Daniel stał za nim, pocierając swoje nadgarstki. - Trzymaj swoje łapy z dala od niej!

- Nie usłyszałem cię. – powiedział Cam, prostując się powoli.

O mój Boże. Oni walczą. W bibliotece. O nią.

W jednym momencie, Cam rzucił się w kierunku Luce. Krzyczała w jego ramionach, które się wokół niej zaciskały. Ale ręce Daniela były szybsze. Pacnął mocno Cam'a i posadził go przy stoliku. Cam stęknął, kiedy Daniel chwycił garść jego włosów i uderzył jego głową płasko o stół.

- Mówiłem, trzymaj swoje brudne łapska z dala od niej, ty szatański kawałku gówna.

Penn zaczęła pisać. Wzięła swój piórnik i stanęła pod ścianą.

Luce patrzyła jak Penn podrzuca brudno żółtym piórnikiem, raz, dwa, trzy razy w powietrzu. Po raz czwarty poleciał wystarczająco wysoko, by małą, czarną kamerę obrócić w lewo, w kierunku bardzo dużego stosu książek literatury faktu. Ale wtedy, Cam rzucił się na Daniela i oboje turlali się po wypolerowanej posadzce. Daniel zrobił unik, zanim Luce w ogóle zorientowała się gdzie mierzył Cam. Ale nie był wystarczająco szybki i Cam uderzył pięścią tuż pod oko Daniela.

Daniel pchnął go do przodu, potrącając przy tym Luce i Penn, które wpadły na stolik od komputera. Odwrócił się i wymruczał niepewnie przeprosiny zanim popędził z powrotem w kierunku Cam'a.

- O mój Boże, przestańcie! – Luce krzyczała płacząc, tuż przed tym jak Daniel skoczyłby na głowę Cam'a. Daniel zablokował Cam'a, obrzucając go niechlujnie lawiną ciosów po ramionach i bokach twarzy.

- To ci sprawia przyjemność. – mruknął Cam, pochylając swoją głowę raz w jedną, raz w drugą stronę, jak bokser. Nadal wyczekując, Daniel przeniósł swoje ręce na szyję Cam'a. I ścisnął je. Cam odpowiedział, zrzucając na plecy Daniela półkę z książkami. Uderzenie poniosło się przez bibliotekę i było głośniejsze niż grzmot na zewnątrz. Daniel jęknął i go puścił. Upadł na ziemię z łoskotem. – Co tam jeszcze masz, Grigori?

Luce zachwiała się na samą myśl, że Daniel nie może wstać. Ale Daniel podniósł się szybko.

- Pokarze ci... - syknął. – na zewnątrz. – Zbliżył się do Luce a następnie się odsunął. – Wy zostańcie tutaj.

Oboje wybiegli z biblioteki wyjściem, którego Luce użyła podczas pożaru. Ona i Penn stały zamroczone na swoich miejscach. Patrzyły na siebie z opadniętymi szczękami.

- Chodź. – powiedziała Penn, ciągnąc Luce do okna, które wychodziło na dziedziniec. Przykleiły swoje twarze do szyb, ocierając parę z szyby, po swoich oddechach.

Deszcz lał jak z cebra. Na zewnątrz było ciemno, z wyjątkiem świateł, wychodzących z biblioteki. Przed budynkiem było zbyt błotnisto i deszczowo, żeby cokolwiek zobaczyć. Nagle dwie postacie wybiegły na trawnik. Obaj natychmiast zmoknęli. Klócili się przez moment a potem zaczęli krążyć wokół siebie. Pięści zostały ponownie podniesione. Luce chwyciła się parapetu, patrząc jak Cam robi pierwszy krok, biegnąc na Daniela, zaciska go w swoich ramionach. Następnie obraca się i kopie go w żebra. Daniel przewraca się, chwytając się za bok. Wstań. Luce chciała go podnieść. Czowała się tak, jakby sama była kopana. Za każdym razem kiedy Cam podchodził do Daniela, czuła to w kościach. Nie mogła tak po prostu stad i patrzeć.

- Daniel jeszcze raz się potknął. – obwieściła Penn, po tym jak Luce się odwróciła. – Ale szybko się podniósł i uderzył Cam'a prosto w twarz. Pięknie!

- Bawi cię to? – spytała Luce, przerażona.

- Razem z tatą oglądaliśmy UFC*. – powiedziała Penn. – Wygląda na to, że obydwu chłopców przechodziło mieszany trening wojskowy. Doskonały unik Danielu! – wyjęczała. – O, nie.

- Co? – Luce wyrzwała ponownie przez okno. – Jest ranny?

- Spokojnie. – powiedziała Penn. – Ktoś idzie, żeby przerwać walkę. Akurat

wtedy, kiedy Daniel miał szansę się odegrać.

Penn miała rację. Wyglądało na to, że pan Cole biegnie przez kampus. Kiedy dotarł do bijących się chłopców, zatrzymał się i obserwował ich przez moment, niemal zahipnotyzowany sposobem ich walki.

- Zrób coś. – wyszeptała Luce, niezbyt dobrze się czując.

Wreszcie pan Cole chwycił obu chłopców za karki. Przez chwilę, wszyscy troje się ze sobą zmagali, aż wreszcie Daniel się odsunął. Potrząsnął swoją prawą ręką, następnie chodził w kółko, spluwając parę razy w błoto.

- Bardzo pociągająco, Danielu. – powiedziała sarkastycznie Luce. Oprócz tego, był pociągający. Teraz rozmawiał z panem Cole'em. Ten machał szaleńczo rękoma a chłopcy stali ze spuszczoneymi głowami. Cam był pierwszym, który się oddalił. Pobiegł w kierunku akademika, po czym zniknął.

Pan Cole położył rękę na ramieniu Daniela. Luce umierała z niewiedzy, o czym rozmawiają, i czy Daniel zostanie ukarany. Chciała do niego pójść, ale ten zastąpiła jej drogę.

- I wszystko to o jakiś błyskotkę. Tak czy siak, co ci podarował Cam?

Pan Cole sobie poszedł i Daniel teraz stał sam, w świetle latarni, patrząc w górę na deszcz.

- Nie wiem. –Luce powiedziała Penn, odchodząc od okna. – Cokolwiek to jest, ja tego nie chcę. Zwłaszcza po tym wszystkim. – Podeszła do stolika i wyciągnęła pudełeczko z kieszeni.

- Jeśli ty tego nie chcesz, ja wezmę. – powiedziała Penn. Otworzyła z trzaskiem pudełeczko, a potem spojrzała na Luce, zamyślona.

ROZDZIAŁ 15



JASKINIA LWA

Upłynęło już dużo czasu, odkąd Luce się wydawało, że wygląda dobrze, kiedy patrzy w lustro. Nigdy nie dopuszczała do siebie tej myśli – jej piwne oczy, małe, proste zęby, grube rzęsy i gęste, czarne włosy. To było wtedy. Przed poprzednim latem.

Mama musiała obciąć jej wszystkie włosy, a wtedy Luce zaczęła unikać luster. Nie tylko z powodu obcięcia; Luce nie chciała więcej myśleć o tym, jaką siebie lubiła wcześniej i nie chciała widzieć tego żadnych dowodów. Kiedy była w łazience, zaczęła patrzeć na ręce i na to jak je myje. Trzymała głowę prosto, kiedy mijała przyciemniane szyby i unikała używania pudru w kompakcie z lusterkiem.

Ale dwadzieścia minut przed tym, jak miała się spotkać z Cam'em, stanęła przed lustrem w pustej damskiej łazience Augustine. Zastanawiała się czy dobrze wygląda. Włosy w końcu odrosły, a pod wpływem ciężaru, niektóre zaczynały zwijać się w loki. Zerknęła na zęby, wyprostowała ramiona i zaczęła patrzeć w lustro, jakby spoglądała oczami Cam'a. Miała mu coś powiedzieć, coś ważnego, i chciała się upewnić, że wygląda tak, że potraktuje jej słowa poważnie.

Nie było go dzisiaj na zajęciach. Tak samo zresztą Daniela, więc Luce założyła, że pan Cole nałożył na nich jakąś karę. Albo oboje leczyli swoje obrażenia. Ale Luce nie miała wątpliwości co do jednego, Cam będzie na nią dziś czekał.

Nie chciała go widzieć. W ogóle. Myślała o pięściach, które uderzały w żołądek Daniela. Ale to była jej wina, że walczyli ze sobą. To ona zwodziła Cam'a – a robiła to, ponieważ schlebiało jej jego zainteresowanie nią, ale to już nie będzie miało więcej znaczenia. Znaczenie będzie miało to, że mu dzisiaj wszystko wyjaśni: Nic między nimi nie było. Wzięło głęboki oddech, obciągnęła koszulkę na biodra i pchnęła drzwi od łazienki.

Zbliżając się do bram, nie dostrzegła go. Potem już ciężko było zobaczyć cokolwiek innego, niż strefę budowy na parkingu. Luce nie mogła wrócić głównym wejściem z powrotem do szkoły, ponieważ zaczął się tam remont, a zaskoczyło ją to, jak trzeba manewrować żeby przedrzeć się przez parking. Ominęła wybój i próbowała uchylić się przed radarem załogi budowlanej, machając na opary z asfaltu, które się jeszcze chyba nigdy tak nie rozwiewały. Ale nigdzie nie było śladu po Cam'ie.

Przez moment, poczuła się głupio, zupełnie jakby ktoś sobie z niej żartował. Metalowe bramy były pokryte pęcherzami rdzy. Luce spojrzała przed nie na gęste kępy starych drzew, po drugiej stronie drogi. Strzeliła kostkami u rąk i przypomniało jej się, jak Daniel jej powiedział, że nienawidzi, kiedy ona tak robi. Ale teraz go tu nie było, i nie widział co ona robi. Nikogo tu nie było. Zauważyła za to kawałek papieru ze swoim imieniem. Był zostawiony na szarym pniu magnolii obok zepsutej budki telefonicznej.

Uratuję cię dziś przed Wieczorem Spotkań. Podczas gdy inni uczniowie będą przypominali sobie czasy wojny secesyjnej – smutne, ale prawdziwe – ty i ja zaszalejemy. Czarny Sedan z

pozłocaną tablicą rejestracyjną doprowadzi cię do mnie. Pomyśl o tym, że zażyjemy w końcu świeżego powietrza. C.

Luce zakaszlała od dymu. Świeże powietrze to jedna sprawa, ale czarny Sedan zabierający ją z kampusu? Zaprowadzi ją do niego, jakby był jakimś monarchą, który spełnia kaprysy kobiet, żeby je do siebie sprowadzić. W każdym bądź razie, ciekawe gdzie on teraz był?

Żadna z tych rzeczy nie była częścią jej planu. Chciała się spotkać z Cam'em tylko dlatego, żeby mu powiedzieć, że to wszystko zaszło za daleko i że naprawdę nie widzi u siebie żadnego zaangażowania w stosunku do niego. Ponieważ- choć tego nigdy mu nie powie – z każdym jego uderzeniem pięścią w Daniela zeszłego wieczora, coś nią wzdrygało i zaczęło się w niej gotować. Tak naprawdę, chciałyby zdusić w zarodku to małe coś, co łączy ją z Cam'em. Miała złoty naszyjnik z wężem w kieszeni swojej kurtki. Nadszedł czas, by go oddać.

Ale teraz poczuła się głupio z powodu tego, że zakładała, że Cam chce z nią tylko porozmawiać.

Oczywiście miał coś w zanadrzu. Dźwięk zwalniającego samochodu sprawił, że Luce odwróciła głowę. Czarny Sedan zatrzymał się przed bramą. Przyciemniana szyba po stronie kierowcy została opuszczona w dół i przez okno wychyliła się owłosiona ręka, która podniosła słuchawkę w budce telefonicznej, po drugiej stronie bramy. Po chwili, odłożyła słuchawkę, a kierowca oparł się o róg okna. W końcu wielkie, metalowe bramy otworzyły się z jękiem i samochód ruszył do przodu, zatrzymując się przed nią. Drzwi się lekko otworzyły. Czy ona naprawdę zamierzała wsiąść do samochodu i kto wie, gdzie się spotkać z Cam'em?

Ostatnim razem kiedy stała przy tej bramie, żegnała się z rodzicami. Tęskniąc za nimi jeszcze zanim zdążyli odjechać, machała im z tego miejsca, zaraz obok zepsutej budki telefonicznej –i zapamiętała, że były tu kamery z rodzaju tych wyższej technologii bezpieczeństwa. Były wyposażone w detektory ruchu, monitując każdy jej ruch. Cam nie mógł wybrać gorszego miejsca dla samochodu, który miał ją stąd zabrać.

Nagle zobaczyła wizję izolatki w suterenie. Wilgotne, cementowe ściany i karaluchy, chodzące jej po nogach. Żadnego światła. Plotki o parze, Jules i Phillipie, wciąż obiegały kampus, których nie widziano odkąd się wymknęli ze szkoły. Czy Cam myślał, że Luce tak bardzo chce się z nim zobaczyć, że zaryzykuje spacer poza kampusem i da się przyłapać na tym czerwonym?

Silnik samochodu nadal pracował na podjeździe, tuż przed nią. Po chwili kierowca – sportowe okulary przeciwsłoneczne, gruba szyja i przerzedzone włosy – wyciągnął swoją dłoń. Miał w niej małą, białą kopertę. Luce przez chwilę się zawahała, zanim podeszła i wyciągnęła mu ją z ręki. Charakter pisma Cam'a. To była ciężka, kremowa karta, z nadrukowanym, w dekadentckim stylu, złotą czcionką, jego imieniem w lewym górnym rogu.

Czy wspomniałem wcześniej o tym, że czerwoni są unieszkodliwieni? Sama się przekonasz.

Zadbałem o to tak samo, jak zadbam o ciebie. Do zobaczenia wkrótce, mam nadzieję.

Unieszkodliwieni? Czy on miał na myśli....? Odważyła się spojrzeć na czerwonych. Zrobił to. Kamera została owinięta poszarpaną, czarną taśmą zakrywając tym samym obiektyw kamery. Luce nie wiedziała jak te rzeczy działają i jak długo potrwa, zanim wydział się o tym dowie, ale dziwne było to, że poczuła ulgę z powodu tego, że Cam się wszystkim zajął. Nie mogła sobie wyobrazić Daniela, planującego tak wszystko z wyprzedzeniem.

I jej rodzice i Callie spodziewali się dzisiejszego wieczoru telefonu od niej. Luce czytała dziesięciostronicowy list od Callie trzy razy, jej zabawne detale z weekendowej wycieczki do Nantucket, ale wciąż nie wiedziała jak odpowiedzieć Callie na wszystkie pytania związane z jej życiem w Sword & Cross. Gdyby Luce się odwróciła, weszła do środka budki i odebrała telefon, nie wiedziałyby jak ma wytłumaczyć Callie czy swoim rodzicom, te dziwne, mroczne zawirowania ostatnich dni. Najłatwiej by było nic im nie mówić i poczekać, aż same się rozwiążą w taki czy inny sposób.

Wślizgnęła się na tylnie, obite beżową skórą siedzenie i zapięła pasy. Kierowca uruchomił samochód bez słowa.

- Dokąd jedziemy? – spytała go.

- Do małej prowincji, w dole rzeki. Pan Briel lubi lokalny krajobraz. Po prostu usiądź i się zrelaksuj, kochanie. Zobaczysz.

Pan Briel!? Co to był za gościu? Luce nigdy nie lubiła kiedy ktoś jej mówił, że się ma zrelaksować, zwłaszcza, kiedy to brzmiało jak ostrzeżenie, żeby nie zadawać więcej pytań. Niemniej jednak, skrzyżowała swoje ręce na piersi, patrząc przez okno i starała się zapomnieć o tonie głosu kierowcy, kiedy ją nazywał „kochaniem”.

Przez przyciemnione szyby, drzewa na zewnątrz i szara droga asfaltowa

wyglądały na brązowe. Na skrzyżowaniu, którego zachodnie rozwidlenie prowadziło do Thunderbolt, czarny Sedan skręcił na wschód. Jechali wzdłuż brzegu rzeki. Od czasu do czasu, kiedy ich droga zbiegała się z rzeką, Luce widziała brązową, słonawą wodę, skręcającą obok nich.

Dwadzieścia minut później, samochód zwolnił, by zatrzymać się przed poobijanym barem, nad brzegiem rzeki. Zbudowany był z szarego, gnijącego drewna a nad frontowymi drzwiami widniał wielki, wodny napis STYX namalowany ręcznie czerwonymi, postrzępionymi literami. Części plastikowych chorągiewek z reklamą piwa, były przymocowane do drewna, pod blaszanym dachem; prostacka próba obchodzenia uroczystości. Luce studiowała trójkątne obrazki, w jedwabnych ramkach – palmy i opalone dziewczyny w bikini z butelkami piwa i uśmiechem na twarzy.

Zastanawiała się kiedy ostatni raz noga jakiejś prawdziwej dziewczyny przekroczyła próg tego baru.

Dwaj starsi punk rokowi faceci siedzieli na ławce z widokiem na rzekę i palili. Zmęczeni Mohawkowie* w średnim wieku, pochylili swoje czoła a ich skórzane kurtki miały brudny, brzydki wygląd i pewnie pamiętały czasy, kiedy dopiero co zostali punkami. Pusty wyraz na ich opalonych, zwiotczałych twarzach sprawił, że całe to miejsce wyglądało przygnębiająco.

Bagno po obu stronach autostrady zaczęło wypływać na asfalt, a droga po prostu w pewnym momencie zniknęła po błotem, trawą i bagnem. Luce nigdy wcześniej nie była tak daleko w głąb rzeki. Siedziała, niepewna tego, co powinna zrobić po opuszczeniu samochodu, jakkolwiek dobry byłby to pomysł, ale drzwi Styksu się otworzyły i Cam wyszedł przez nie. Oparł się o drzwi luzacko, przekładając jedną nogę na drugą. Wiedziała, że nie mógł jej zobaczyć przez przyciemnianą szybę ale uniósł swoją dłoń, jakby ją widział i przywoływał ją do siebie.

- Tutaj nic nie ma. – wymamrotała do siebie, zanim podziękowała kierowcy. Otworzyła drzwi i została przywitana przez słony powiew wiatru, po czym przeszła trzy kroki i znalazła się na drewnianym ganku. Zmierzwione włosy Cam'a spoczywały na jego twarzy, a on patrzył spokojnie swoimi zielonymi oczami. Jeden rękaw swojej koszulki miał podciągnięty wyżej i Luce mogła zobaczyć smukłą część jego bicepsów. Odnalazła w kieszeni złoty łańcuszek. Pamiętaj, po co tu jesteś. Na twarzy Cam'a nie było widać żadnych oznak walki, co sprawiło, że natychmiast pomyślała o tym, czy ma je Daniel.

Cam spojrzał na nią z zaciekawieniem, oblizując językiem swoją wargę.

- Właśnie obliczałem, ile będę musiał wypić pocieszających drinków, jeśli mnie dzisiaj wystawisz. – powiedział, otwierając ramiona, żeby ją przytulić.

Luce zrobiła krok i stanęła w jego ramionach. Cam był człowiekiem, któremu ciężko było odmówić, nawet wtedy, kiedy nie była zupełnie pewna, o co

poprosi.

- Nie byłoby cię na nie stad. – powiedziała, po czym natychmiast poczuła się winna, wiedząc, że jej słowa wypływają raczej z poczucia obowiązku, a nie z romantyzmu, który zdecydowanie wolałby Cam. Była tam tylko z powodu tego, że chciała mu powiedzieć, że między nimi nic nie będzie.

- Więc, co to za miejsce? I od kiedy masz kierowcę?

- Trzymaj się mnie, dziecinko. – powiedział, biorąc jej pytania za komplementy, jakby lubił przebywać w zatłoczonych barach, których wnętrza śmierdziały jak studzienka kanalizacyjna.

Nienawidziła tego typu rzeczy. Callie zawsze powtarzała, że Luce nie potrafi być do bólu szczerą, przez co skazuje samą siebie na nieprzyjemne sytuacje z chłopakami, którym nie potrafiła powiedzieć „nie”. Luce zadrżała. Musiała to z siebie wyrzucić. Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła wisiołek.

- Cam.

- Och, dobrze, że go wzięłaś ze sobą. – wziął od niej naszyjnik i obrócił ją tyłem do siebie. – Pozwól, że ci pomogę go założyć.

- Nie, zaczekaj.....

- Gotowe. – powiedział. – Naprawdę ci w nim dobrze. Tylko zobacz. – Pokierował ją przez skrzypiące drewniane deski podłogowe do okna przy barze, gdzie kilka zespołów odpoczywało przed występem. STARSZE DZIECI. OCIEKAJĄCY NIENAWIŚCIĄ. DOMOWE KRAKERSY. Luce wolałaby żeby żaden z nich nie widział jej odbicia. – Widzisz?

Nie mogła dokładnie zobaczyć swojej sylwetki w nakrapianej błotem szybie, ale złoty wisiołek błyszczał, na jej ciepłej skórze. Przycisnęła do niego rękę. Był piękny. I taki charakterystyczny, z tym malutkim, ręcznie rzeźbionym, wijącym się węzłem na środku. Nie przypominał niczego, co moglibyście zobaczyć na promenadzie, gdzie mieszkańcy sprzedawali zbyt drogo turystom swoje rzemiosło, pamiątki ze stanu Georgia, a zrobione w Filipinach. Za jej odbiciem w szybie, niebo nabrało bogatego koloru pomarańczowych lodów na patyku, przełamane cienkimi pasmami różowych chmur.

- Co do zeszłego wieczoru..... – zaczął mówić Cam. Widziała niewyraźnie przez ramię swojego odbicia w szybie, jak jego różowe usta się poruszają.

Też chciałabym z tobą porozmawiać o wczorajszym wieczorze. – powiedziała Luce, stając u jego boku. Widziała koniuszek jego tatuażu popękanego słońca, na jego karku.

- Wejźmy. – powiedział, prowadząc ją do wpół wyrwanych z zawiasów drzwi. – Tutaj możemy porozmawiać.

Wnętrze baru, było wyłożone drewnem, z kilkoma słabymi, pomarańczowymi lampami, które były jedynym źródłem światła. Na ścianie były zawieszane chyba wszystkie rodzaje i kształty poroża, a na barze stał wypchany

gepard, gotowy w każdym momencie do ataku. Jediną dekoracją na ścianie, było wyblakłe zdjęcie z napisem HRABSTWO PULASKI KLUB OFICERSKI ŁOŚ 1964/65 i setką owalnych twarzy ze skromnym uśmiechem z powodu przypiętych pastelowych kokardek. Z szafy grającej leciało Ziggy Stardus, a starszy facet z ogoloną głową i skórzanymi spodniami nucił sobie melodię i tańczył na środku małej, podwyższonej sceny. Poza Cam'em i Luce, był jedyną osobą w barze. Cam wskazał na dwa krzesła. Ich zniszczone, zielone poduszki, zapadały się na środku, a beżowa pianka wypływała z nich niczym ogromne kawałki popcornu. Na stoliku stała na wpół pusta szklanka z jasno brązowym napojem, w którym rozpuszczał się lód, a po szklance spływały krople wody.

-Co to? – zapytała Luce.

- Księżycowa Georgia. – powiedział, biorąc łyk. – Ale nie polecam jej na początek. – Kiedy na niego zerknęła, powiedział: - Jestem tu cały dzień.

- Urocz. – powiedziała Luce, bawiąc się naszyjnikami w palcach. – Ile ty masz lat, siedemdziesiąt? Siedzisz sam w barze, przez cały dzień?

Oczywiście nie wyglądał na pijanego, ale nie podobał jej się pomysł, przyjeżdżania aż tutaj, żeby z nim zerwać, podczas kiedy on będzie zbyt skołowany, żeby to zrozumieć. Zaczynała się również zastanawiać, jak wróci do szkoły. Nawet nie wie gdzie dokładnie jest.

- Och. – Cam masował swoje serce. – W byciu zawieszonym, najlepsze jest to Luce, że nie tęsknisz za zajęciami. Myślę, że zasłużyłem na mały odpoczynek. – potrząsnął swoją głową. – Co ci tak naprawdę przeszkadza? To miejsce? Czy wczorajsza walka? Czy może fakt, że nie jesteśmy obsługiwani? – podniósł swój głos tak, że prawie wykrzyczał ostatnie słowa, co spowodowało, że wielki, tęgi barman wyszedł z kuchni i stanął za barem. Barman miał długie, cieniowane włosy z grzywką i tatuaże, które wyglądały jak ludzkie warkocze, opadające w dół jego ramion. Był umięśniony i musiał ważyć ze trzysta funtów. Cam się do niej uśmiechnął.

- Co chcesz do picia?

- Nie wiem. – powiedziała Luce. – Nie mam ulubionych drinków.

- Na mojej imprezie piłaś szampana. – powiedział Cam. – Widzisz, kto zwrócił na nas uwagę? – szturchnął Luce swoim ramieniem. - Najlepszego szampana, jakiego tutaj macie. – powiedział do barmana, który odrzucił w tył swoją głowę i zaśmiał się złośliwie.

Nie trzeba było prosić jej o dowód tożsamości, wystarczyło jedno spojrzenie na nią a z pewnością można było odgadnąć jej wiek. Barman pochylił się w dół do małej lodówki z przesuwnymi, szklanymi drzwiczkami. Butelki brzęczały kiedy w nią kopał. Po tym, co wydawało się bardzo długim czasem, barman podszedł do nich z małą butelką Freixenet**. Wyglądał jakby coś pomarańczowego wyrastało z jego podstawy.

- Nie biorę za to żadnej odpowiedzialności. – powiedział barman, stawiając wino musujące na stole. Cam odkorkował szampana i uniósł swoje brwi, patrząc na Luce. Nalał ceremonialnie wino do kieliszków.

- Chciałbym cię przeprosić. – powiedział. – Wiem, że byłem trochę za bardzo zagorzały. I jeśli chodzi o zeszły wieczór i to co się działo między mną a Danielem – nie czuję się z tym dobrze. – Począł aż Luce przytaknie, po czym mówił dalej. – Zamiast się wściekać, powinienem słuchać ciebie, bo to ty jesteś jedyną osobą, na której mi zależy, a nie on.

Luce patrzyła jak pęcherzyki powietrza unoszą się w jej winie, myśląc o tym, że gdyby miała być szczerą, to powiedziała by, że jej zależy na Danielu, a nie na Cam'ie. Musiała mu to powiedzieć. Jeśli żałował, że nie posłuchał jej ostatnim razem, to może teraz to zrobi. Podniosła kieliszek, żeby się napić, zanim zacznie.

-O, poczekaj. – Cam położył swoją dłoń na jej ramieniu. – Nie możesz się napić, zanim nie wzniesiemy toastu za coś. – uniósł swój kieliszek i spojrzał na nią. – To za co wypijemy? Może coś zaproponujesz.

Drzwi wejściowe trzasnęły i do baru weszli goście, którzy wcześniej siedzieli na ławce i palili. Ten wyższy, z przetłuszczonymi, czarnymi włosami i z bardzo brudnymi paznokciami spojrzał na Luce i podążył w jej kierunku.

- Co świętujemy? – spojrzał na nią lubieżnie, stukając w jej uniesiony kieliszek, swoją szklanką. Pochylił się bliżej niej tak, że czuła przez jego flanelową koszulę, jak opiera się o nią swoim biodrem. – To wasze pierwsze wyjście, kochani? A co z godziną policyjną?

- Świątujemy to, że zabierasz właśnie teraz swoją dupę z powrotem na zewnątrz.- Cam powiedział to tak grzecznie, jakby tylko ogłaszał, że Luce ma właśnie urodziny. Jego oczy utkwiły na mężczyźnie, który teraz obnażył małe, spiczaste zęby, przeżuujące gumę.

- Na zewnątrz, tak? Tylko wtedy, kiedy zabiorę ją ze sobą.

Chwycił Luce za rękę. Po tym jak Cam wdał się w bójkę z Danielem, Luce spodziewała się, że nie będzie potrzebował większego pretekstu do kolejnej bójki. Zwłaszcza jeśli pił cały dzień. Ale Cam był niezwykle opanowany. Jedyną rzeczą jaką zrobił było klepięcie ręki tego faceta z taką prędkością, gracją i brutalną siłą, że można by go było porównać do lwa, który pacnął mysz. Cam obserwował jak mężczyzna cofa się kilka kroków w tył. Cam potrząsnął swoją dłonią, ze znużonym wyrazem na twarzy, po czym pogładził nadgarstek Luce w miejscu, gdzie próbował chwycić ją tamten facet.

- Przepraszam cię za to. Mówiłaś o zeszłym wieczorze?

- Mówiłam..... – Luce poczuła jak cała krew odpływa z jej twarzy. Bezpośrednio nad głową Cam'a, ogromny kawałek czegoś czarnego jak smoła zdawało się otwierać, rozciągając się dalej i rozwijając aż stało się największym, najczarniejszym cieniem, jaki Luce kiedykolwiek widziała. Powiew arktycznego

powietrza wybuchł z jego wnętrza, a Luce poczuła mroźność cienia, nawet pod palcami Cam'a, które wciąż znajdowały się na jej skórze.

O... Mój...Boże... - wyszeptała. Usłyszała tłukącą się szklanę, którą facet rozbił na głowie Cam'a.

Cam, powoli wstał z krzesła i strząsnął kawałki szkła ze swoich włosów. Obrócił się twarzą do mężczyzny, który był dwukrotnie starszy i kilka centymetrów wyższy. Luce skuliła się na swoim krześle, starając się nie myśleć o tym ,co dzieje się między tym gościem a Cam'em, ale obawiając się tego co się może zdarzyć z powodu tego rozległego, niosącego śmierć cienia nad ich głowami.

- Koniec tego. – powiedział stanowczo olbrzymi barman, nie zadając sobie trudu, by chociaż spojrzeć zza swojego magazynu „Fight”.

Mężczyzna natychmiast zaczął uderzać w Cam'a na oślep, a ten przyjmował ciosy tak, jakby to były klapsy od dziecka. Luce nie była jedyną osobą, oszołomioną opanowaniem Cam'a: ubrani w skórzane spodnie tancerze chowali się za szafą grającą . Po tym jak mężczyzna w przetłuszczonych włosach uderzył kilka razy Cam'a, sam się cofnął i jakby zawieszony, zamyślił się.

Tymczasem cień zbierał się pod sufitem, ciemne kosmyki rosły niczym chwasty, opuszczając się coraz niżej i niżej nad ich głowami. Luce skrzywiła się i pochyliła kiedy tylko Cam po raz ostatni odparł cios od brudnego faceta.

I w końcu zdecydował się walczyć.

To był tak zwykły ruch palców, jak gdyby Cam niszczył martwy liść. W jednej minucie, mężczyzna stał twarzą w twarz z Cam'em, ale kiedy tylko jego palce przyległy do klatki piersiowej przeciwnika, gość poleciał – odrywając swoje nogi od podłogi, uniósł się w powietrze, roztrzaskując puste butelki po piwie po drodze, aż w końcu uderzył plecami w przeciwległą ścianę, obok szafy grającej. Potarł swoją głowę, jęcząc i podnosił się do kucek.

- Jak to zrobiłeś? – oczy Luce były szeroko otwarte.

Cam ją zignorował, obracając się w kierunku niższego mężczyzny, kolegi tamtego, i powiedział: - Chcesz być następny?

Ten drugi facet uniósł ręce. – To nie moja walka, koleś. – powiedział, oddalając się.

Cam wzruszył ramionami podchodząc do pierwszego gościa i podniósł go z podłogi, chwytając za tył jego koszulki. Jego kończyny zwisały bezwładnie w powietrzu, niczym u marionetki. Następnie, zwykłym machnięciem nadgarstka, rzucił nim o ścianę. Mężczyzna wyglądał tak, jakby prawie utkwiał tam, gdzie Cam nim rzucił, podczas gdy ten go bił, mówiąc wciąż i wciąż: - Powiedziałem na zewnątrz.

- Wystarczy! – wykrzyczała Luce, ale żaden z nich ani jej nie usłyszał, ani się nią nie przejął. Luce poczuła, że jest jej niedobrze. Chciała oderwać swoje oczy od zakrwawionego nosa i dziąseł mężczyzny przypartego do ściany, niemalże

nadludzką mocą Cam'a.

Chciałaby powiedzieć Cam'owi, żeby o niej zapomniał i że sama jakoś znajdzie drogę powrotną do szkoły. Chciałaby, ponad wszystko, uciec przed makabrycznym cieniem, który teraz pokrywał sufit i ociekał w dół po ścianach. Chwyła torebkę i wybiegła na zewnątrz, w noc....prosto w czyjeś ramiona.

- Wszystko w porządku?

To był Daniel.

Jak mnie tu znalazłeś? – zapytała, odważnie chowając swoją twarz w jego ramionach. Łzy, z którymi nie potrafiła sobie poradzić, napłynęły jej do oczu.

- Chodź. – powiedział. – Zabiorę cię stąd.

Nie oglądając się za siebie, wsunęła swoją rękę w jego dłoń. Ciepło rozprzestrzeniało się przez jej ramię po całym jej ciele. A potem popłynęły jej łzy. To było nie fair, czuć się tak bezpiecznie, kiedy cień był wciąż tak blisko. Nawet Daniel wyglądał na podenerwowanego. Ciągnął ją za sobą tak szybko, że musiała prawie biec, by dotrzymać mu kroku. Nie chciała obracać się za siebie, kiedy poczuła cienie, wynurzające się przez drzwi baru i unoszące się w powietrzu. Potem już nie musiała. Cienie płynęły ciągłym strumieniem, ponad ich głowami, wsysając po drodze całe światło. Wyglądało to tak, jakby cały świat był rozrywany na kawałki, tuż przed jej oczami. Siarkowy odór utkwiał jej w nosie i był gorszy niż wszystko co wcześniej widziała. Daniel także spojrział w górę i się skrzywił, wyglądał tak, jakby starał się jedynie przypomnieć, gdzie zaparkował. Ale wtedy stały się rzeczy najdziwniejsze.

Cienie cofnęły się, łącząc się w czarne skupiska, po czym się rozproszyły. Luce zmrużyła swoje oczy z niedowierzaniem. Czy to Daniel to sprawił? Nie mógł tego zrobić, prawda?

- Co? – zapytał Daniel, roztargniony. Otworzył drzwi od strony pasażera w białym Taurusie, typu kombi. – Stało się coś złego?

- Nie mamy teraz czasu na roztrząsanie wielu, wielu rzeczy, które stały się źle. – powiedziała Luce, zanurzając się w fotelu samochodowym. – Patrz. – wskazała w kierunku wejścia do baru. Cam właśnie otwierał drzwi. Musiał znokautować tamtego faceta, chociaż wcale nie wyglądał jakby wdał się w bójkę. Ale pięści miał zaciśnięte.

Daniel uśmiechnął się z wyższością i potrząsnął głową. Luce bezskutecznie próbowała zapiąć swój pas, znowu i znowu, zanim Daniel do niej nie dotarł i odepchnął jej ręce. Wstrzymała oddech, kiedy jego palce otarły się o jej brzuch.

- Ja to zrobię. – wyszeptał, wpinając klamrę jej pasa w zatrzask. Uruchomił samochód i zaczął powoli wycofywać, nie śpiesząc się, podjechał pod drzwi baru. Luce nie mogła przestać myśleć o tej jednej rzeczy, którą miała powiedzieć Cam'owi, ale poczuła się doskonale, kiedy Daniel opuścił szybę i powiedział po prostu: - Dobranoc, Cam.

- Luce. – powiedział Cam, idąc w kierunku samochodu. – Nie rób tego. Nie odjeżdżaj z nim. To się źle skończy.- Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy, bo wiedziała, że błagają o to by została. – Przepraszam.

Daniel całkowicie zignorował Cam'a i po prostu odjechał. Bagna wyglądały mrocznie w mroku, a las przed nimi jeszcze mroczniej.

- Wciąż mi nie powiedziałeś, jak mnie tutaj znalazłeś. – powiedziała Luce. – Czy raczej, skąd wiedziałeś, że zamierzam spotkać się z Cam'em. I skąd masz ten samochód?

- Należy do pani Sophii. – wyjaśnił Daniel, włączając światła, a wtedy drzewa, łączące się ze sobą koronami ponad ich głowami, rzucały gęste cienie na drogę.

- Pani Sophia pożyczyła ci samochód?

Po latach mieszkania w L.A.- powiedział, wzruszając ramionami. -można powiedzieć, że mam magiczne ręce, jeśli chodzi o „pożyczanie” samochodów.

- Ukradłeś samochód pani Sophii? – naśmiewała się Luce, zastanawiając się czy bibliotekarka odnotuje to w swoich aktach.

- No cóż, zwrócimy go. –powiedział Daniel. – Poza tym, była bardzo pochłonięta dzisiejszą rekonstrukcją wojny secesyjnej. Coś mi mówi, że nawet nie zauważy, że zniknął.

Luce dopiero teraz zorientowała się co Daniel ma na sobie. Spojrzała na niebieski mundur żołnierza Unii, ze śmiesznym, skórzanym, brązowym paskiem, przewieszonym po przekątnej jego piersi.

Była tak bardzo przerażona cieniami, nad Cam'em i całą tą odrażającą sceną, że nawet nie spojrzała w pełni na Daniela.

- Tylko się nie śmiej. – powiedział Daniel, sam powstrzymując się od śmiechu. – Miałeś dzisiaj prawdopodobnie najgorsze spotkanie towarzyskie w ciągu całego roku.

Luce nie potrafiła się powstrzymać: przysunęła się do przodu i pstryknęła w jeden z guzików Daniela.

- Szkoda. – powiedziała, - Bo chciałam się jeszcze wygrać na bal maturalny.

Na usta Daniela wkradł się uśmiech. A potem westchnął.

- Luce. To co dziś zrobiłaś – sprawy mogły się naprawdę źle potoczyć. Wiesz o tym?

Luce patrzyła na drogę, zirytowana tym ,że nastrój tak szybko się ulotnił, przywracając ich do ponurej rzeczywistości. Sowy pohukiwały z drzew.

- Nie zamierzałam tu przyjeżdżać... - powiedziała, co zabrzmiało prawdziwie. Było zupełnie tak, jakby Cam ją oszukał. – Chciałabym nie.... – urwała szybko, zastanawiając się, gdzie teraz są cienie.

Daniel uderzył pięścią w kierownicę, sprawiając, że podskoczyła. Miał zaciśniętą szczękę, a Luce nienawidziła się za to, że była jedyną sprawczynią tego, że jest wściekły.

- Po prostu nie mogę uwierzyć, że się z nim związałaś. – powiedział.

- Nie związałam się z nim... - upierała się. – Jedyńm powodem, dla którego się z nim spotkałam, było to, że chciałam mu powiedzieć.... – To było bezcelowe. Związać się z Cam'em! Gdyby tylko wiedział, że ona i Penn spędzały każdą wolną chwilę na badaniu jego korzeni.... Cóż, prawdopodobnie były tak samo wkurzone.

- Nie musisz nic wyjaśniać. – powiedział, machając na nią, - Tak czy siak, to moja wina.

- Twoja wina?

Daniel skręcił z drogi i zatrzymał samochód na końcu piaszczystej ścieżki. Wyłączył światła i wpatrywali się w ocean.

Ciemne niebo, przybrało kolor śliwki, wierzchołki fal wyglądały prawie jak srebrne, błyszcząc się. Trawa na plaży, powiewała na wietrze, wydając wysokie, przygnębiające dźwięki. Stado mew siedziało w linii, wzdłuż balustrady na promenadzie, pielęgnując swoje pióra.

- Zgubiliśmy się? – zapytała.

Daniel ją zignorował. Wysiadł z samochodu, zamknął za sobą drzwi i ruszył w stronę wody. Luce odczekała dziesięć bolesnych sekund, obserwując jak jego sylwetka się pomniejsza w purpurowym zmierzchu, zanim wyskoczyła z samochodu, by za nim podążyć.

Wiatr owinał jej włosy wokół twarzy. Fale uderzały o brzeg, wyrzucając muszle i wodorosty. Powietrze było zimniejsze niż woda. Wszystko miało strasznie słony zapach.

- Daniel, co się dzieje? – powiedziała, biegnąc wzdłuż wydm. – Gdzie my jesteśmy? I co miałeś na myśli mówiąc, że to twoja wina?

Obrócił się do niej. Wyglądał na pokonanego. Jego kostium się pomiął, opuścił swoje szare oczy. Szum fal prawie przyćmił dźwięk jego głosu. – Potrzebuję trochę czasu, żeby pomyśleć.

Luce czuła że rośnie jej gula w gardle. Choć raz chciałyby przestać płakać, ale Daniel sprawiał, że było to bardzo trudne. – Dlaczego mnie tam uratowałeś? Dlaczego zabrałeś mnie aż tutaj, najpierw żeby na mnie nakrzyczeć, a potem mnie ignorować? – Ocierała łzy o brzeg swojej czarnej koszulki, a sól morską sprawiała, że szczypały ją oczy. – Nie, żeby widziała jakąś różnicę w sposobie w jaki mnie traktujesz przez większość czasu, ale....

Daniel obrócił się i przycisnął obie ręce do czoła. – Nie rozumiesz, Luce. – potrząsnął głową. – To jedyna rzecz, której nigdy nie pojmiesz.

W jego głosie nic Mia można było wyczuć. W rzeczywistości, był aż za miły. Jakby była zbyt tępa, żeby zrozumieć to, co dla niego było oczywiste.

- Ja nie rozumiem? – zapytała. – Ja nie rozumiem? Pozwól, że powiem ci co ja rozumiem. Myślisz, że jesteś taki bystry? Spędziłam trzy lata na pełnym stypendium naukowym w najlepszej szkole w kraju. A kiedy mnie wyrzucili, musiałam pisać petycje- petycje!- żeby nie wymazali mi moich czterech punktów w dzienniku.

Daniel się odsunął, ale Luce go dogniła, krocząc do przodu – z szeroko otwartymi oczami-za każdym razem, kiedy on się cofał. Prawdopodobnie go przerażała, ale co z tego? Prosił się o to za każdym razem kiedy traktował ją protekcjonalnie.

- Znam łacinę i francuski, a w gimnazjum uczestniczyła w olimpiadzie z nauk ścisłych, trzy lata z rzędu. – Przyparła go do poręczy na promenadzie i próbowała się powstrzymać od dźgania go swoim palcem w klatkę piersiową. Nie skończyła. – Rozwiązuję też niedzielne krzyżówki, czasem w mniej niż godzinę. Mam nieomylny zmysł orientacji..... choć nie zawsze, jeśli chodzi o facetów. – Przełknęła i dała sobie moment, żeby złapać oddech. – Pewnego dnia, będąc psychiatrą, która, szczerze mówiąc, słucha swoich pacjentów i pomaga ludziom. W porządku? Więc przestań mówić mi, że jestem głupia i nie mów mi, że czegoś nie rozumiem, tylko dlatego, że nie potrafię rozszyfrować twojego niekonsekwentnego- w jednej minucie chłodnego, a w następnej otwartego – spojrzała na niego, wypuszczając powietrze z płuc, - naprawdę, przykrego postępowania.

Otarła swoje łzy, będąc na siebie wściekłą, że wyrzuciła to wszystko z siebie.

- Zamknij się. – powiedział Daniel tak cicho i czule, że Luce z zaskoczenia go posłuchała.

- Wcale nie myślę, że jesteś głupia. – zamknął oczy. – Myślę, że jesteś najmądrzejszą osobą, jaką znam. I uroczą. I- przełknął, otwierając oczy i spoglądając prosto w jej. -najpiękniejszą.

- Słucham?

Spojrzał na ocean. – Jestem po prostu.....już tym zmęczony. – powiedział. Wyglądał na wyczerpanego.

-Czym?

Spojrzał na nią z najbardziej smutnym wyrazem twarzy, jakby stracił coś cennego. To był Daniel, którego znała, choć nie potrafiła wyjaśnić skąd. To był Daniel jakiego.....kochwała.

- Możesz mi pokazać. – wyszeptwała.

Potrząsnął głową. Ale jego usta były wciąż tak blisko jej własnych. I spojrzenie w jego oczach, było takie nęcące. To było prawie tak, jakby pragnął jej jak za pierwszym razem. Jej ciało całe się trzęsło kiedy stanęła na palcach i oparła się o niego. Położyła mu dłoń na policzku, a on zamrugał, ale się nie poruszył.

Poruszyła się powoli, bardzo powoli, jakby nie chciała go przestraszyć, za każdym razem zastygając na chwilę. Potem, kiedy byli wystarczająco blisko siebie, tak że ich oczy prawie się stykały, zamknęła swoje i przycisnęła swoje usta do jego. Miękki, niczym pióro, dotyk jego ust, był wszystkim co ich połączyło, a ogień, którego Luce nigdy wcześniej nie czuła przeszedł przez nią. Wiedziała już, że pragnie więcej – całego – Daniela. To byłoby już zbyt wiele prosić go o to, by wziął ją w swoje ramiona tak samo jak robił to wiele razy wcześniej, w jej snach i powrócić do tego wymarzonego pocałunku, który był taki głęboki.

Ale on tak zrobił.

Jego umięśnione ramiona objęły jej talię. Przyciągnął ją do siebie tak, że poczuła jak ich ciała się łączą- nogi, wplątane w nogi, biodra przyciśnięte do bioder, piersi unosząc się dopasowują się do siebie. Daniel przyparł ją do poręczy promenady, przyciągając ją bliżej do siebie, tak że nie mogła się ruszyć, dopóki nie miał jej dokładnie tam, gdzie chciał, żeby była. Wszystko to bez odrywania od niej swoich ust.

Wtedy zaczął ją naprawdę całować, najpierw delikatnie, subtelnie, skubiąc ustami jej ucho. Potem długo, słodko i czule po linii jej szczęki, przesuwając się w dół, na jej szyję, sprawiając, że jęknęła, i odchyliła swoją głowę w tył. Pociągnął ją delikatnie za włosy, a ona otworzyła oczy by zerknąć, przez sekundę, na pierwszą gwiazdę, która się pojawiła tej nocy na niebie. Poczuła się bliżej nieba, niż kiedykolwiek wcześniej. W końcu Daniel powrócił do jej ust, całując ją z taką intensywnością – ssąc jej dolną wargę, a następnie krawędzią miękkiego języka przesunął wzdłuż jej zębów. Otworzyła szerzej usta, chcąc desperacko wpuścić go do środka, w końcu nie bojąc się pokazać jak bardzo go pragnie. Dopasowując siłę jego pocałunków do jej własnych.

Miała piasek w ustach i między palcami, słony wiatr przyprawiał ją o gęsią skórę, a słodkie zauroczenie rozlewało się po jej sercu. Mogłaby, w tej chwili, umrzeć za niego.

Odepchnął się i spojrzał w na nią, jakby chciał jej coś powiedzieć. Uśmiechnęła się do niego i delikatnie pocałowała go w usta. Wiedziała, że nie ma lepszego sposobu na to, by mu pokazać co czuje, i czego pragnie.

-Wciąż tu jesteś. – wyszeptał.

- Nie mogli mnie od ciebie odciągnąć. – zaśmiała się.

Daniel zrobi krok w tył i spojrzał na nią mrocznie, a jego uśmiech zniknął. Zaczął chodzić przed nią, pocierając sobie czoło.

- Coś nie tak? – spytała delikatnie, ciągnąc go za rękaw, tak by mogła go znów pocałować. Przesuwał palcami po jej twarzy, po jej włosach, po szyi. Jakby się upewniał, że nie jest tylko snem.

Czy to był jej pierwszy, prawdziwy pocałunek? Myślała, że raczej nie powinna liczyć Trevora, więc chyba był to jej pierwszy pocałunek. I wszystko

poszło tak Dorze, jakby była Danielowi przeznaczona, a on dla niej. Pachniał.....tak pięknie. Jego usta smakowały słodko i intensywnie. Był wysoki, silny i....

Wysunął się z jej objęć.

- Dokąd idziesz? – zapytała.

Miał ugięte kolana i potknął się kilka razy., opierając się o drewnianą balustradę i patrząc w niebo. Wyglądał, jakby go coś bolało.

- Powiedziałas, że nikt nie mógł cię ode mnie oderwać? - powiedział ściszym głosem. – Ale zrobią to. Może tylko się spóźniają.

- Oni? Kto? – rozglądając się wokół, po opuszczonej plaży. – Cam? Myślę, że go zgubiliśmy.

- Nie. – Daniel zaczął schodzić w dół promenady. Miał dreszcze. – To niemożliwe.

- Daniel.

- Oni przyjdą. – wyszeptał.

- Przerażasz mnie. – Luce podążyła za nim, starając się nadążyć. Nieoczekiwanie bowiem, choć tego nie chciała, miała wrażenie, że wie o czym on mówi. Nie chodziło o Cam'a, ale o coś innego, jakieś inne zagrożenie. Luce widziała wszystko jak przez mgłę. Nagle jego słowa w nią uderzyły.

ROZDZIAŁ 16



W RÓWNOWADZE

Luce stała na rozdrożu pomiędzy cmentarzem po północnej stronie kampusu a ścieżką do jeziora, po północnej stronie. Był wczesny wieczór, ale robotnicy poszli już do domu. Światło, pochodzące z siłowni, przechodziło przez gałęzie dębów, rzucając cienie na trawnik przy drodze do jeziora. Luce nie była pewna, w którą stronę powinna iść. W rękach trzymała dwa listy.

Pierwszy, od Cam'a, z przeprosinami, których się spodziewała i z prośbą, żeby się z nim spotkała po szkole, żeby mogli porozmawiać. Drugi, od Daniela, w którym nie napisał nic poza: Spotkajmy się nad jeziorem. Nie mogła się już doczekać. Wciąż mrowiły ją usta, od pocałunku wczorajszego wieczoru. Nie mogła przestać myśleć o jego palcach w jej włosach, o jego ustach na jej szyi.

Pozostała część wieczoru była mniej przyjemna, kiedy usiadła obok Daniela na plaży. Biorąc pod uwagę sposób w jaki jego ręce zaledwie dziesięć minut wcześniej obiegały jej ciało, to wydawało się, że jest przerażony tym, że mógłby ją

teraz dotknąć. Nic nie było w stanie wyrwać go z tego oszołomienia. Mamrotał te same słowa wciąż i wciąż: - Coś się musiało stać. – I patrzył na nią z bólem w oczach, jakby znała odpowiedź, jakby wiedziała, o czym on mówi. W końcu, patrząc na morze oparta o jego ramię, zasnęła.

Kiedy się obudziła godzinę później, niósł ją już po schodach akademika, do jej sypialni. Zdała sobie sprawę z tego, że musiała przespać całą drogę powrotną do szkoły – na dodatek była zaskoczona dziwnym blaskiem w korytarzu. Powróciło. Światło Daniela. O którym by nawet nie wiedziała, gdyby go nie widziała.

Wszystko wokół nich było skąpane w tym subtelnym, fioletowym świetle. Biała nalepka naklejona na drzwi jakiegoś ucznia, nabrała neonowej barwy. Linoleum na podłodze wydawało się skrzyć. Szyby w oknach, które wychodziły na cmentarz, odbijały fioletowy blask, podczas gdy z zewnątrz przebijało się przez nie słabe, żółte światło poranka. I wszystko to pod czujnym okiem czerwonych.

- Mamy przechłapanie. – wyszeptała, zdenerwowana i na wpół śpiąca.

- Nie martwię się o czerwonych. – powiedział Daniel, podążając za jej wzrokiem, na kamery. W pierwszym momencie, jego słowa wydawały jej się takie kojące, ale potem zaczęła się zastanawiać co takiego było niepokojącego w tonie jego głosu: Jeśli nie martwił się o czerwonych, to było to coś innego.

Kiedy położył ją w jej łóżku, pocałował ją lekko w czoło a potem wziął głęboki oddech.

- Tylko mi nie znikaj. – powiedział.

- Nie ma szans, by tak było.

- Mówię poważnie. – zamknął swoje oczy na dłuższą chwilę. – Odpocznij teraz – ale spotkajmy się rano, przed zajęciami. Chciałbym z tobą porozmawiać. Obiecasz?

Ścisnęła jego rękę i przyciągnęła go do siebie, żeby go po raz ostatni pocałować. Trzymała jego twarz w swoich dłoniach i wtopiła się w niego. Za każdym razem kiedy zerknęła na niego, on ją obserwował.

A ona to kochała. W końcu, cofnął się i stanął w drzwiach, patrząc na nią. Jego wzrok wciąż sprawiał, że serce szybciej jej biło, tak jak przed chwilą sprawiły to jego usta. Kiedy wymknął się z powrotem na korytarz i zamknął za sobą drzwi, Luce pogrążyła się w głębokim śnie.

Przespała swoje zajęcia i obudziła się dopiero wczesnym popołudniem, czując się jak nowo narodzona i pełna życia. Nie troszcząc się o to, że nie ma żadnego usprawiedliwienia opuszczając szkołę. Jedyne zmartwienie, było to, że przespała spotkanie z Danielem. Musi znaleźć go, tak szybko jak tylko się będzie dało i mu się wytłumaczyć. Około drugiej, kiedy w końcu przyszło jej do głowy, by coś zjeść, albo wpaść na zajęcia z religii z panią Sophią, niechętnie wstała z łóżka. Wtedy zobaczyła dwie koperty, wsunięte pod jej drzwiami, które utwierdziły ją tylko w przekonaniu, że musi opuścić swój pokój.

Najpierw powinna porozmawiać z Cam'em. Jeśli poszłaby nad jezioro, zanim by się z nim spotkała, to wiedziała, że nie byłaby w stanie już opuścić Daniela. Jeśli pójdzie najpierw na cmentarz, to pragnienie zobaczenia się z Danielem będzie wystarczającym bodźcem żeby powiedzieć Cam'owi to, czego mu nie powiedziała, z powodu swojego zdenerwowania. Zanim stał się tak bardzo przerażający i stracił panowanie nad sobą.

Odpychając swoje obawy, co do spotkania z nim, zaczęła iść przez dziedziniec, w stronę cmentarza. Wczesny wieczór był ciepły, a powietrze ciężkie od wilgoci. To miała być jedna z tych skwarnych nocy, kiedy bryza z odległego morza nie była wystarczająco silna, by odświeżyć powietrze. Poza kampusem nie było nikogo, liście na drzewach wisiały nieruchomo. Luce była jedyną poruszającą się osobą w Sword & Cross. Wszystkim uczniom skończyły się zajęcia i tłoczyli się w stołówce stojąc w kolejce po lunch, a Penn – i prawdopodobnie inni uczniowie – zastanawiali się gdzie jest teraz Luce.

Cam stał oparty o nakrapiany porost na bramie cmentarza, kiedy tam dotarła. Ramiona miał zgarbiona a łokciami opierał się o żelazne rzeźbienia w kształcie winorośli, na bramie. Kopnął w dmuchawca metalowym czubkiem swojego grubego, czarnego buta. Luce nie przypominała sobie, żeby go widziała tak wewnętrznie przybitego – przez większość czasu Cam wyglądał na przenikliwie zainteresowanego otaczającym go światem.

Ale tym razem nawet na nią nie spojrzął, zanim nie stanęła dokładnie przed nim. A kiedy to zrobił, okazało się, że jego twarz ma ziemisty kolor. Włosy miał oklapnięte i Luce była zaskoczona tym, że nawet się nie ogolił. Jego oczy obieżyły jej twarz, jakby skupienie się na niej, wymagało dużego wysiłku. Wyglądał na wyniszczonego, nie z powodu walki, ale po prostu jakby nie spał kilka dni.

- Przyszłaś. – miał ochrypnięty głos, ale jego słowa zakończyły się uśmiechem. Luce strzeliła kostkami myśląc i tym, że nie będzie się długo uśmiechał. Skinęła głową i podniosła jego list. Sięgnął po niego, ale Luce odsunęła swoją rękę, udając, że przeczesuje nią swoje włosy. – Wyobrażam sobie, jak bardzo jesteś zła, o wczorajszy wieczór. – powiedział, cofając się w stronę bramy. Zrobił kilka kroków w głąb cmentarza, po czym siadł po turecku na małej, szarej, marmurowej ławeczce pośród pierwszych w rzędzie grobów. Strzepnął kurz i zeschnięte liście a potem poklepał wolne miejsce obok siebie.

- Zła? – powiedziała.

- To właściwie dlatego ludzie uciekają z barów.

Usiadła także po turecku naprzeciw niego. Stąd, widziała korony wielkich dębów, na środku cmentarza, gdzie ona i Cam urządzili sobie kiedyś piknik, a co teraz wydawało się być tak odległym czasem.

- No nie wiem. – powiedziała. – Jestem bardziej zbита z tropu. Może zdezorientowana. Zawiedziona. – Zatrzęsa się na wspomnienie obskurnych oczu

faceta, który ją chwycił, dziwnie silne uderzenie pięści Cam'a, głębokiej czerni wnętrza cienia.... – Dlaczego mnie tam zabrałeś? Wiesz co się stało, kiedy Jules i Phillip się wymknęli.

- Jules i Phillip to kretyni, których każdy ruch był monitorowany przez urzędnika namierzające. To oczywiste, że zostali złapani. – Cam uśmiechnął się mrocznie, ale nie do niej. – Nie jesteśmy tacy jak oni, Luce. Uwierz mi. A poza tym nie chciałem się wdać w kolejną bójkę. – Potarł skronie, a skóra wokół nich się zmarszczyła, wyglądając na szorstką i zbyt cienką. – Nie potrafiłem po prostu znieść sposobu, w jaki ten gość się do ciebie zwracał, w jaki cię dotknął. Zaslugujesz na to by się obchodzić z tobą z największą wrażliwością. – otworzył szerzej swoje zielone oczy. – To ja powinienem cię dotykać. Tylko ja.

Luce odgarnęła włosy ze swojej twarzy i wzięła głęboki oddech. – Cam, wyglądasz na naprawdę fajnego faceta.....

-O nie, - schował swoją twarz w dłoniach. – Nie zamierzam tak łatwo odpuścić. Tylko mi nie mów, że powinniśmy zostać przyjaciółmi.

- Nie chcesz być moim przyjacielem?

- Dobrze wiesz, że chciałbym być kimś więcej, niż tylko twoim przyjacielem. – powiedział, mówiąc „przyjacielem” jakby to było najgorsze przekleństwo. – To przez Grigori' ego, tak?

Poczuła jak żołądek jej się kurczy. Myślała, że nie będzie trudno mu tego wytłumaczyć, a że była tak bardzo pochłonięta własnymi uczuciami, to nie miała czasu się zastanowić nad tym, co Cam myśli o niej i Danielu.

- Tak naprawdę, to nie znasz żadnego z nas. – powiedział Cam wstając i robiąc krok na przód. – Ale jak się domyślam, dokonałaś już wyboru, hyh?

To było bardzo arogancie z jego strony, jeśli myślał, że wciąż jest brany pod uwagę. Zwłaszcza po ostatnim wieczorze. Myślał, że może rywalizować z Danielem?

Cam przysiadł przed nią na ławeczce. Jego twarz była inna – błagająca, szczerza – kiedy wziął jej rękę w swoje. Jego widok, zaskoczył Luce, był taki zraniony.

- Przepraszam. – powiedziała, cofając się. – To się po prostu stało.

- Dokładnie! To się po prostu stało. Co to było, niech zgadnę – zeszłego wieczoru patrzył na ciebie w ten swój romantyczny sposób. Luce, podejmujesz pośpiesznie decyzje, nie wiedząc nawet co jest stawką w tej grze. A stawka.....może być wysoka. – westchnął w zadumie i spojrzał na nią. – Potrafię sprawić, że będziesz szczęśliwa.

- Daniel sprawia, że jestem szczęśliwa.

- Jak możesz tak mówić? Nawet nie może cię dotknąć.

Luce zamknęła oczy, przypominając sobie ich połączone usta, wczorajszego wieczoru, na plaży. Daniel otoczył ją ramionami. Cały świat, wydawał się być taki

dobry, taki harmonijny, taki bezpieczny. Ale kiedy teraz otworzyła oczy, nigdzie nie było widać Daniela.

Był tylko Cam.

Odkasznęła. – Może, i zrobił to.

Poczuła na policzkach ciepło i przyłożyła do nich swoje zimne dłonie, ale Cam tego nie zauważył. Jego dłonie zacisnęły się w pięści.

- Zmyślasz.

- Sposób w jaki mnie całuje, to już nie twój interes. – zacisnęła w gniewie usta. Sztywno z niej.

Cam zachichotał. – Och, też potrafię zrobić to tak jak Grigori. – powiedział, biorąc jej rękę, całując jej wierzch i pozwalając, żeby opadła z powrotem.

- To tak nie wyglądało. – powiedziała Luce, odwracając się.

- A może tak. – pocałował ją w policzek, zanim się odsunęła.

- Nie.

Cam oblizwał swoje usta. – Chcesz powiedzieć, że Daniel Grigori całował cię w sposób, w jaki powinnaś być całowana? – coś w jego ciemnych oczach, zaczęło wyglądać złowrogo.

- Tak. – powiedziała. – To był najlepszy pocałunek, jaki w życiu miałam. – i choć wiedziała, że to był jej jedyny, prawdziwy pocałunek, to gdy ktoś ją spyta za sześćdziesiąt, a nawet sto lat, będzie mówić to samo.

- I wciąż tutaj jesteś. – powiedział, kręcąc głową z niedowierzaniem. Luce nie podobało się to, co jej insynuował.

- Jestem tu wyłącznie z powodu tego, że chciałam ci powiedzieć o mnie i Danielu. Żebyś wiedział, że ty i ja....

Cam wybuchnął śmiechem, głośnym, pustym rechotem, który odbijał się echem po całej, pustej przestrzeni cmentarza. Śmiał się tak długo i ciężko, że zaczął wycierać łzy i chwycił się za brzuch.

- Co w tym takiego zabawnego? – zapytała Luce.

-Nie masz pojęcia. – powiedział, wciąż się śmiejąc. Ton jego głosu, był zbliżony do tonu głosu jakiego wczoraj użył Daniel, gdy niemalże nieustannie powtarzał: To niemożliwe. Ale reakcja Luce na słowa Cam'a była całkowicie inna. Kiedy Daniel się od niej odsunął, jeszcze bardziej chciała go przysunąć bliżej siebie. Nawet wtedy, kiedy się kłócili, pragnęła być z Danielem bardziej, niż kiedykolwiek chciała być z Cam'em. Ale kiedy Cam sprawił, że poczuła się wyobcowana, ulżyło jej. Nie chciała być blisko niego. A w rzeczywistości, teraz była za blisko.

Miała dosyć. Zacisnęła zęby, wstała i zmierzała w kierunku bramy, zła na siebie, że zmarnowała tyle czasu. Ale Cam ją dogonił, kołyszając się przed nią i blokując jej drogę. Wciąż się śmiał, choć zagryzał usta by to powstrzymać.

- Nie odchodź. – krzyknął.

- Zostaw mnie w spokoju.

- Jeszcze nie. – zanim zdążyła go powstrzymać, Cam owinał swoje ramiona wokół jej pleców i uniósł ją nad ziemię. Luce krzyczała, przez chwilę walcząc, ale Cam tylko się uśmiechał.

- Puść mnie.

- Grigori i ja walczyliśmy do tej pory uczciwie, nie sądzisz? – spojrzała na niego, odpychając się dłońmi od jego piersi. - Idź do diabła.

- Jesteś jakimś nieporozumieniem. – powiedział, przyciągając jej twarz bliżej swojej. Jego zielone oczy wpatrywały się w nią, a ona nienawidziła tego, że jakaś część jej wciąż rozplywa się pod jego wzrokiem. – Posłuchaj, wiem, że sprawy się skomplikowały, w przeciągu tych kilku dni – powiedział przyciszonym głosem – ale zależy mi na tobie, Luce. Bardzo. Nie odrzucaj mnie zanim cię nie pocałuję.

Czuła jak jego ramiona zaciskają się wokół niej i nagle, była przerażona. Byli poza zasięgiem widoku ze szkoły i nikt nie wiedział, gdzie była.

- Nie chcę niczego zmieniać. – powiedziała mu, próbując brzmieć spokojnie.

- Chcesz mi poprawić humor? Udajmy, że jestem żołnierzem, a ty spełniasz moje ostatnie życzenie. Obiecuję, to będzie tylko jeden pocałunek.

Luce wróciła myślami do Daniela. Widziała go, czekającego nad jeziorem, rzucającego kamienie do wody, próbując zająć czymś ręce, podczas gdy powinien ją trzymać w ramionach. Nie chciała pocałować Cam'a, ale jeśli nie zamierzał jej puścić? Ten pocałunek może być małą, najbardziej nie istotną rzeczą. I najprostszym sposobem, by się od niego uwolnić. A wtedy będzie wolna i będzie mogła wrócić do Daniela. W końcu Cam obiecał.

- Tylko jeden pocałunek... – zaczęła, ale jego usta już dotykały jej. Jej drugi pocałunek w ciągu tak wielu dni. Pocałunki Daniela były spragnione, prawie rozpaczliwe, podczas gdy Cam całował delikatnie i zbyt doskonale, jak gdyby ćwiczył na wielu setkach dziewczyn przed nią. A jednak czuła, że coś w niej rośnie, wyczekując jej odpowiedzi, zabierając cały gniew, który zaledwie sekundę temu czuła i rozwiewając ją w nicość. Cam nadal przechylał ją w tył, trzymając ją w swoich ramionach, utrzymując cały jej ciężar na swoich kolanach. Czuła się bezpiecznie w jego silnych ramionach. A potrzebowała się poczuć bezpiecznie. To była miła odmiana od, no cóż, każdego momentu, w którym nie całowała Cam'a. Wiedziała, że o czymś zapomniała, o... kimś? Nie pamiętała. Był tylko pocałunek, jego usta i – nagle poczuła, że opada. Upadła tak mocno na ziemię, że poczuła jak wiatr zwala ją z nóg. Unosząc się na rękach, patrzyła jak kilka centymetrów dalej, twarz Cam'a uderza o ziemię. Drgnęła mimo woli. Wczesno popołudniowe słońce otulało swoim światłem dwie postacie na cmentarzu.

- Ile razy będziesz jeszcze niszczył tą dziewczynę? – Luce usłyszała smutny, południowy akcent.

Gabbe? Spojrzała w górę, na oślepiające światło słońca.

Gabbe i Daniel.

Gabbe podbiegła do niej pomogła jej wstać, ale Daniel nawet nie spojrzał jej w oczy. Luce przeklęła pod nosem. Nie wiedziała co było gorsze – to, że Daniel właśnie zobaczył, jak całuje się z Cam'em, czy to, - a była tego pewna – że Daniel znowu zamierzał bid się z Cam'em.

Cam stanął twarzą do nich, ignorując kompletnie Luce. – No dobra, to które z was będzie tym razem? - warknął.

Tym razem?

- Ja. – powiedziała Gabbe, podchodząc bliżej niego, z dłońmi położonymi na biodrach. – To pierwsze, miłosne kopnięcie było ode mnie, Cam, kochanie. Więc, co zamierzasz z tym zrobić?

Luce potrząsnęła głową. Gabbe chyba żartuje. To na pewno część jakiejś gry. Ale Cam nie wyglądał tak, jakby miało to być zabawne. Wyszczерzył zęby, zakasał rękawy, uniósł swoje pięści i podszedł bliżej Gabbe.

- Znowu, Cam? – skarciła go Luce. – Nie masz jeszcze dość walk, w tym tygodniu? - I jakby tego było mało, zamierzał właśnie uderzyć dziewczynę. Posłał jej ukradkowy uśmiech.

- Ten trzeci raz będzie czarujący. – powiedział głosem ociekającym złością. Odwrócił się właśnie wtedy, kiedy Gabbe ruszyła na niego, z wykopu uderzając go w szczękę. Luce odsunęła się, kiedy Cam upadał. Oczy miał zamknięte, i trzymał się za twarz. Stojąca nad nim Gabbe wyglądała na niczym nie speszoną, zupełnie jakby wyciągnęła z pieca doskonale, brzoskwiniowe ciasto. Spojrzała w dół na swoje paznokcie i westchnęła.

- To będzie wstyd, kiedy odpryśnie mi lakier, a dopiero co go poprawiłam. No ale cóż... - powiedziała, kopiąc Cam'a wielokrotnie w żołądek, rozkoszując się każdym kopnięciem, niczym dziecko, kiedy wygra w grę na Arcade Game.

Cam przetoczył się na klęczki. Luce nie mogła zobaczyć jego twarzy – schował ją za kolanami- ale jęczał z bólu, dławiąc się własnym oddechem.

Luce stała i patrzyła, raz na Cam'a, raz na Gabbe, nie mogąc uwierzyć w to co widziała. Cam był dwukrotnie większy od niej, ale wydawało się, że to Gabbe ma przewagę. Zaledwie wczoraj widziała, jak Cam pobił w barze ogromnego faceta. A tamtego wieczoru, przed biblioteką, Cam z Danielem mieli wyrównane szanse na wygraną.

Luce zdziwił widok Gabbe z tęczową wstążką, upinającą jej włosy z tyłu, w koński ogon. Teraz przyszpiliła Cam'a do ziemi, wykręcając jego rękę do tyłu.

- Wujaszku. – drwiła. – Wystarczy, że powiesz magiczne słowo kochanie, a puszcze cię.

- Nigdy. – Cam splunął na ziemię.

- Miałam nadzieję, że to powiesz. – powiedziała, wsadzając jego głowę w

bloto.

Daniel położył rękę na karku Luce. Zrelaksowała się pod jego dotykiem i spojrzała w tył, żeby go zobaczyć, przerażona wyrazem jego twarzy. Musiał ją teraz nienawidzić.

- Przepraszam. – powiedziała. – Cam, on....

- Dlaczego przyszedłeś z nim zobaczyć. – Daniel wyglądał na zranionego i oburzonego zarazem. Chwyił ją pod brodę i unióśł ją, żeby na niego spojrzała. Dotyk jego palców, mroził jej skórę. Jego oczy były fioletowe, nie szare.

Usta Luce drżały. – Myślałam, że mogę się tym zająć. Chciałam być szczerą z Cam'em, żebyśmy, ty i ja, mogli być razem i żeby nic nam już nie przeszkodziło. – Daniel parsknął, a Luce zdała sobie sprawę z tego, jak głupio to wszystko brzmiało. – Ten pocałunek....- powiedziała, załamując ręce. – To był jeden, wielki błąd.

Daniel zamknął oczy i się odwrócił. Dwa razy otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale potem je zamykał, jakby się rozmyślił. Chwyił się za włosy obiema rękoma i zachwiał się. Obserwując go, Luce obawiała się, że Daniel może się rozplakać. W rezultacie, wziął ją w swoje ramiona.

- Jesteś na mnie zły? – Luce wtuliła swoją twarz w jego pierś i wdychała słodki zapach jego skóry.

- Cieszę się tylko, że zdążyliśmy na czas.

Na dźwięk skomlenia Cam'a, oboje obrócili się, by rzucić na niego okiem. Potem się skrzywili. Daniel wziął Luce za rękę i próbował ją odciągnąć, ale ona nie mogła oderwać oczu od Gabbe, która trzymała głowę Cam'a między zgięciem łokcia a bokiem swojego ciała i nawet się nie zadyszała. Cam wyglądał na zmaltretowanego i żalosego. To w ogóle nie miało sensu.

-Daniel, co się tu dzieje? – wyszeptala Luce. – Ja Gabbe potrafiła skopać Cam'a? Dlaczego jej na to pozwolił?

Daniel pół westchnął, pół zachichotał. – Nie pozwolił jej. To co właśnie widziałas, to tylko jedna z tych rzeczy, które potrafi ta dziewczyna.

Luce potrząsnęła swoją głową. – Nie rozumiem. Jak....- Daniel pogładził ją po policzku.

- Przejdiesz się ze mną? – zapytał. – Spróbuję ci to wszystko wytłumaczyć, ale myślę, że powinnaś przed tym usiąść.

Luce też chciała sobie wyjaśnić parę rzeczy z Danielem. Albo, jeśli nie wyjaśnić, to chociaż podjąć rozmowę, by mogła sprawdzić, czy pokarze po sobie, że myśli o niej jako o całkowicie niepoczytalnej osobie. To fioletowe światło- to jedna sprawa. A druga to jej marzenia, których nie potrafiła – nie chciała – powstrzymać.

Daniel zaprowadził ją do tej części cmentarza, której Luce wcześniej nie widziała, do jasnej, płaskiej powierzchni, gdzie razem rosły dwa drzewa

brzoskwiniowe. Ich pnie skłaniały się ku sobie, tworząc nad sobą zarys serca. Poprowadził ją niżej, do dziwnych, powykręcanych gałęzi i wziął ją za rękę, przeplatając jej palce między swoimi.

Wieczór był cichy, wyjątkiem było jedynie brzmienie świerszczy. Lucy wyobraziła sobie wszystkich innych uczniów w jadalni. Nakładających sobie na swoje tace tłuczone ziemniaki i siorpiących mleko – o temperaturze pokojowej-przez słomkę. To wszystko było tak, jakby ona i Daniel znajdowali się teraz na jakiejś odmiennej płaszczyźnie od pozostałych, w szkole. Jego ręka wokół jej, jego włosy, błyszczące w świetle zachodzącego słońca, ciepło jego szarych oczu, to było wszystko co się liczyło- pozostała reszta była gdzieś bardzo daleko.

- Nie wiem od czego zacząć. – powiedział, naciskając mocniej na jej palce, kiedy je masował, tak jakby mógł wytrzeć z nich jakąś odpowiedź. – Tyle chciałbym ci powiedzieć i chcę to zrobić dobrze.

Tak bardzo by chciała, żeby słowa Daniela były prostym wyznaniem miłości, ale Luce wiedziała, że tak nie będzie. Daniel miał jej do powiedzenia coś trudnego, coś, co może jej wiele wyjaśnić w związku z jego osobą, ale może też być trudne do zrozumienia.

- Może spróbuj czegoś w rodzaju, wybieraj między dobrymi a złymi wiadomościami. – zasugerowała.

- Dobry pomysł. To które wybierasz najpierw?

- Większość ludzi wybiera najpierw te dobre.

- Pewnie tak, - powiedział. – Ale ty nie jesteś jak większość.

- No dobrze, wybieram najpierw te złe.

Zagryzł wargi. – Ale najpierw obiecasz, że nie odejdziesz, zanim nie usłyszysz dobrych wiadomości?

Nie zamierzała nigdzie odchodzić. Nie teraz, nie teraz, kiedy już jej nie odpychał. Nie, kiedy być może zaoferuje jej odpowiedzi na długą listę pytań, na których punkcie ma dużą obsesję już od kilku tygodni. Uniósł jej rękę i przycisnął do swojej piersi, na sercu.

- Zamierzam powiedzieć ci prawdę. – powiedział. – Pewnie mi nie uwierzysz, ale zasługujesz na to, by ją znać. Nawet, gdyby miało cię to zabić.

- Dobrze. – Silny supeł bólu, zacisnął się wokół jej talii i czuła, że zaczynają trząść się jej kolana. Była zadowolona z tego, że Daniel kazał jej usiąść. Sam chodził tam i z powrotem, po czym wziął głęboki wdech.

- W Biblii....

Luce jęknęła. Nie mogła nic na to poradzić; to była odruchowa reakcja na „niedzielną pogawędkę”. Poza tym, chciałyby porozmawiać o nich dwojgu, a nie słuchać moralizatorskich przypowieści. W Biblii nie było żadnych odpowiedzi, które by się wiązały z Danielem i które chciała znać.

- Po prostu posłuchaj.- powiedział, spoglądając na nią. – W Biblii, wiesz,

Bóg przywiązuje wielką wagę do tego, żeby wszyscy kochali Go z całej duszy. Jaka to miałyby być miłość -bezwarunkowa, bezkonkurencyjna?

Luce wzruszyła ramionami.- Myślę, że tak.

- No cóż... - Daniel wyglądał, jakby szukał odpowiednich słów. – Ta prośba, nie dotyczy się tylko ludzi.

- Co masz na myśli? Kogo jeszcze? Zwierzęta?

Czasami tak. – powiedział Daniel. – Jak choćby wąż. Został przeklęty po tym, jak skusił Ewę. Skazany na to by pełzać na zawsze po ziemi.

Luce zadrżała, wracając myślami do Cam'a. Wąż. Ich piknik. Naszyjnik. Potarła swoją czystą, nagą szyję, ciesząc się, że się go pozbyła. Daniel przebiegł palcami w dół linii jej szczęki, do zagłębienia w jej szyi. Luce westchnęła, w tym błogim stanie.

- Staram się powiedzieć....myślę, że mogłabyś powiedzieć, że ja także jestem przeklęty, Luce. Zostałem przeklęty już dawno, dawno temu. – mówił tak, jakby jego słowa miały gorzki smak. – Podjąłem kiedyś decyzję, decyzję w którą wierzyłem – w która wciąż wierzę, nawet mimo....

- Nie rozumiem. – powiedziała, potrząsając głową.

- Oczywiście, że nie. – powiedział, siadając obok niej. – A ja nie mam najlepszych osiągnięć w wyjaśnianiu ci tego. – podrapał się po głowie i obniżył swój głos, tak jakby mówił do siebie. – Ale wszystko co mogę zrobić, to spróbować. Nic więcej mi nie pozostało.

- Dobrze. – powiedziała. Zdezorientował ją, a prawie nic jeszcze nie powiedział. Starła się zachowywać na mniej zagubioną, niż się czuła.

- Zakochiwałem się. – wyjaśnił, biorąc jej rękę i trzymając mocno. – Wciąż i wciąż od nowa. Za każdym razem, kończyło się to katastroficznie. I tak w kółko.

Jego słowa sprawiły, że Luce źle się poczuła. Zamknęła oczy i cofnęła swoje dłonie. Już jej to powiedział. Tego dnia, nad jeziorem. Miał wypadek. Był podpalony.

-Spójrz na mnie. – błagał. – To moment, w którym zaczyna być ciężiej. –Luce otworzyła swoje oczy. – Osoba, w której się za każdym razem zakochuje, to jesteś ty.

Wstrzymywała swój oddech, zamierzając go wypuścić, ale wyszło to jak ostry, cięty śmiech.

- Oczywiście, Danielu. – powiedziała, zaczynając się podnosić. – Łał, ty naprawdę jesteś przeklęty. To brzmi okropnie.

- Posłuchaj. – pociągnął ją z powrotem w dół z taką siłą, że przez jej ramię przeszedł dreszcz. Jego fioletowe oczy błyszczały i mogła śmiało powiedzieć, że już był zły. Cóż, tak jak ona. Daniel spojrzał na baldachim z drzewa brzoskwiniowego, tak jakby to miało pomóc. – Błagam cię, pozwól mi wyjaśnić. – jego głos drżał. – Problemem jest to, że cię kocham.

Wzięła głęboki oddech. – Co to ma być? – Zmusiła się do słuchania, będąc silniejszą i nie czując bólu. Daniel wyglądał tak, jakby był załamany, za nim dwoje.

- Mogę żyć wiecznie. – powiedział.

Drzewa szumiały wokół nich, a Luce zauważyła kątem oka małą strużkę cieni. Nie taką obrzydliwą – pożerającą wszystko czarny wir, który widziała wczoraj w barze, raczej ostrzegający. Cień zachowywał odległość, kipiąc chłodno za rogiem, wciąż czekając. Na nią. Odczuwała wnikliwy chłód, głęboko w kościach. Nie mogła się otrząsnąć z tego ogromnego wrażenia, mrocznego jak nic, że zbliża się jej koniec.

Przepraszam. – powiedziała, spoglądając z powrotem na Daniela. – Czy mógłbyś powtórzyć?

- Mogę żyć wiecznie. – powtórzył. Luce wciąż była roztargniona, ale on nie przestawał mówić, potok słów wylewał się z jego ust. – Mogę żyć i patrzeć jak się rodzą dzieci, a potem dorastają, jak się zakochują. Patrzę jak ich dzieci mają własne, a oni się starzeją. Patrzę jak umierają. Jestem potępiony Luce, patrzę na to wciąż i wciąż od nowa. Na każdego, ale nie na ciebie. – jego oczy zrobiły się szkliste. Obniżył głos do szeptu. – Ty się nie zakochasz....

- Ale...- wyszeptała. – Ja właśnie....się zakochałam.

- Nie będziesz miała dzieci i się nie zestarzejesz, Luce.

- Czemu?

- Pojawiasz się zawsze co siedemnaście lat.

- No proszę cię....

- Spotykamy się. Zawsze się spotykamy, jakimś cudem zawsze jesteśmy razem, nieważne jak daleko pojedę, nieważne jak bardzo staram się zachować od ciebie dystans. To nigdy nie ma znaczenia. Zawsze mnie znajdujesz.- Gapił się w dół, na swoje zaciśnięte, teraz, pięści, jakby chciał w coś uderzyć, nie mogąc podnieść wzroku. – Za każdym razem, kiedy się spotykamy, zakochujesz się we mnie...

- Daniel.....

- A ja nie mogę ci się oprzeć, ani uciec od ciebie, czy choćby w najmniejszym stopniu nie brać odpowiedzialności za ciebie, bo to wszystko niema znaczenia. Ty zakochujesz się we mnie, a ja w tobie.

- Czy to jest takie przerażające?

- Ale to cię zabija.

- Przestań! – płakała. – Co ty usiłujesz zrobić? Przestraszyć mnie?

- Nie. – parsknął. – W końcu i tak by to nic nie dało.

- Jeśli nie chcesz być ze mną...- powiedziała, mając nadzieję, że to wszystko jest tylko misternym żartem, który zakończy tą dziwną przemowę i nic z tego nie będzie prawdą. To nie może być prawda. -to może powinieneś

wymyślić bardziej prawdopodobną historyjkę.

-Wiem, że mi nie wierzysz. To właśnie było powodem, dla którego niczego ci nie mówiłem, dopóki nie musiałem. Myślałem, że znam zasady icałowaliśmy się i teraz już niczego nie rozumiem. -Jego słowa z wczorajszego wieczoru powróciły do Luce: Nie wiem, jak to powstrzymać. Nie wiem, co robić.

- Bo mnie pocałowałeś.

Daniel skinął głową.

Pocałowałeś mnie, a kiedy to zrobiliśmy, byłeś zaskoczony.

Znow skinął, wyglądając na trochę zakłopotanego.

- Pocałowałeś mnie. – kontynuowała Luce, szukając jakiegoś sposobu, by wszystko ze sobą połączyć. – I myślałeś, że tego nie przeżyję?

- Bazując na poprzednich doświadczeniach....- powiedział ochryple. - ...tak.

- To jakieś szaleństwo. – powiedziała.

- Nie chodzi tym razem o pocałunek, ale o to co on oznacza. W niektórych życiach możemy się całować, ale w większości nie. – pogładził jej policzek, a ona zmagala się z tym, jak dobrze się z tym czuła. – Muszę się przyznać, że wolę te życia, w których możemy się całować. – spojrzał w dół. – Oczywiście sprawia to, że utrata ciebie staje się trudniejsza.

Chciałaby być na niego zła. Opowiadał jej jakąś dziwną historię, zamiast trzymać ją teraz w ramionach. Ale coś w niej było, jakby swędzenie z tyłu głowy, które mówiło jej, żeby nie uciekała teraz przed Danielem, ale została i słuchała tak długo, jak tylko potrafiła.

- Kiedy mnie tracisz... - powiedziała, czując kształt każdego słowa, płynącego z jej ust. - ...jak to się dzieje? I dlaczego?

- To zależy od ciebie, od tego jak dużo wiesz o naszej przeszłości, od tego, jak bardzo chcesz mnie poznać, to kim jestem.

Opuścił swoje ręce, wzruszając ramionami.

- Wiem, że to wszystko brzmi niesamowicie....

- Szaleńczo?

- Miałem raczej na myśli- niejasno. Ale postaram się niczego przed tobą nie ukrywać. To jest po prostu bardzo, bardzo delikatny temat. Czasami, w przeszłości, rozmawialiśmy o tym jak....

Patrzyła na kształt każdego wypowiedzianych przez niego słów, ale on nie chciał powiedzieć nic więcej.

- Umieram?

- Zamierzałem powiedzieć- łamie mi się serce. – Jego ból był tak oczywisty, że Luce chciała go pocieszyć. Czuła jakby coś w jej piersi ciągnęło ją do przodu. Ale nie mogła się ruszyć. To było wtedy, kiedy poczuła się pewna tego, że Daniel może coś wiedzieć o jarzącym, fioletowy świetle.

-Czym ty jesteś? Jakimś...

- Chodzę po ziemi, wiedząc gdzieś w głębi swojego umysłu, że nadchodzisz. Kiedyś sam cię szukałem. Ale potem, kiedy zacząłem się przed tobą ukrywać- przed złamanym sercem, choć wiedziałem, że to nieuniknione- ty zaczęłaś szukać mnie. Nie zajęło mi dużo czasu, by zdać sobie sprawę, że pojawiaasz się zawsze co siedemnaście lat.

Luce skończyła siedemnaście lat w sierpniu, dwa tygodnie przed tym, jak pojawiła się w Sword & Cross. To było smutne święto, tylko Luce, jej rodzice i kupny tort. Nie było świeczek, tak na wszelki wypadek. A co z jej rodziną? Też wracają co siedemnaście lat?

- To nie jest wystarczający czas, bym mógł się pozbierać po ostatnim razie. – powiedział. – Ale wystarczający, by nie zachowywać już takiej czujności.

- Więc, wiedziałeś, że się pojawię? – spytała nieufnie. Wyglądał na poważnego, ale wciąż mu nie wierzyła. Nie chciała mu wierzyć.

Daniel potrząsnął głową. – Nie do dnia, w którym cię zobaczyłem. To nie tak. Nie pamiętasz już mojej reakcji, kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem? – spojrzał w górę tak, jakby sam się cofał do tego momentu. – Przez pierwszych kilka sekund, za każdym razem, jestem taki szczęśliwy. Zapominam się. Ale zaraz sobie przypominam.

- Tak. – powiedziała wolno Luce. – Uśmiechnąłeś się, a potem.....to dlatego się ode mnie odwróciłeś? Popatrzył krzywo.

- Ale skoro to się zdarza co siedemnaście lat, jak mówiłeś, - powiedziała – to wciąż wiesz o tym, że się pojawię. W pewnym sensie, wiesz o tym.

- To skomplikowane, Luce.

- Widziałam cię tamtego dnia, jeszcze zanim ty zobaczyłeś mnie. Śmialiście się z Rolandem przed Augustine. Śmialiście się tak bardzo, że byłam zazdrosna. Jeśli wiesz to wszystko Danielu, jeśli jesteś taki inteligentny, to powinieneś przewidzieć to, kiedy się pojawię i to, kiedy umrę i powinieneś wiedzieć, jakie to wszystko będzie dla ciebie trudne. Jak więc mogłeś się tak bardzo śmiać? Nie wierzę ci. – powiedziała, czując jak drży jej głos. – Nie wierze w nic, co mi powiedziałeś.

Daniel przycisnął delikatnie swój kciuk do jej oka i otarł jej łzę.

- To takie piękne pytanie, Luce. Uwielbiam cię za to, że o to pytasz i chciałbym móc ci to lepiej wytłumaczyć. Wszystko co mogę ci powiedzieć to to, że jedynym sposobem na przetrwanie wieczności jest umiejętność doceniania każdej chwili. I to jest wszystko, co robię.

-Wieczności? – powtórzyła Luce. – To kolejna rzecz, której nie rozumiem.

- To nie ma znaczenia. Nie potrafię się już tak śmiać. Jak tylko się pojawiłaś, byłem zaskoczony.

- To nie ma żadnego sensu. – powiedziała, chcąc odejść, zanim zrobi się

zupełnie ciemno. Ale historia Daniela była czymś więcej, niż tylko bezsensowną historyjką. Przez cały ten czas, kiedy Luce przebywała w Sword & Cross, prawie uwierzyła w to, że była szalona. Ale jej szaleństwo wyblakło w tle szaleństwa Daniela.

- Nie ma żadnej instrukcji, jak wytłumaczyć te.....rzeczy, dziewczynie, którą kochasz. – stwierdził, przeczesując palcami jej włosy. – Robię to, najlepiej jak potrafię. Chciałbym, żebyś mi uwierzyła, Luce. Co jeszcze mam zrobić?

- Opowiedz inną historię. – powiedziała gorzko. – Znajdź jakieś rozsądne wyjaśnienie.

- Powiedziałaś, że czujesz, jakbyś mnie znała. Próbowałem temu zaprzeczać tak długo, jak mogłem, bo wiedziałem, że tak się stanie.

- Tak, czułam, że skądś cię znam. – powiedziała. Teraz jej głos był aż piekący ze strachu. – Ale raczej jakby z centrum handlowego, albo jakiegoś obozu letniego. A nie z poprzedniego życia. – potrząsnęła swoją głową. – Nie.....nie, mogłam.

Zakryła swoje uszy, ale Daniel je odkrył. – W głębi swojego serca, wiesz że to prawda. – chwycił ją za kolana i spojrzał głęboko w oczy. – Wiedziałaś o tym, kiedy podążałem za tobą na szczyt Corcovado, w Rio, kiedy chciałaś zobaczyć pomnik z bliska. Wiedziałaś o tym, kiedy niosłem cię dwie mile do rzeki Jordan, po tym jak pochorowałaś się w Jeruzalem. Mówiłem ci, żebyś nie jadła tych wszystkich daktyli. Wiedziałaś o tym, kiedy byłaś pielęgniarką w tym włoskim szpitalu, podczas pierwszej wojny światowej, a przed tym ukrywałem się w twojej piwnicy w czasie czystek w Petersburgu. Kiedy wspinałem się po wieży twojego zamku w Szkocji, w okresie Reformacji i tańczyliśmy w kółko, podczas koronacji króla balu w Wersalu. Byłaś jedyną kobietą ubraną na czarno. Była tam kolonia artystów w Quintana Roo i marsz protestacyjny w Cape Town, gdzie oboje spędziliśmy noc w zagrodzie. Otwarcie Teatru Globe w Londynie. Mieliśmy najlepsze miejsca. I gdy mój statek rozbił się na Tahiti, byłaś tam, tak samo jak pojawiłaś się, kiedy byłem skazańcem w Melbourne, w osiemnastym wieku, i kieszonkowcem w Nimes i mnichem w Tybecie. Pojawiałaś się wszędzie i zawsze, prędzej czy później rozumiejąc wszystko to, o czym ci właśnie powiedziałem. Ale nie pozwalasz sobie na zaakceptowanie tego, co czujesz, że jest prawdą.

Daniel zatrzymał się by złapać oddech i spojrzał na nią, jakby jej nie widząc. Następnie wyciągnął rękę, przyciskając ją jej kolano i posyłając ten płomień, prosto przez nią.

Luce zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, Daniel trzymał najbardziej doskonałą, białą peonię. Praktycznie świeciła. Rozejrzała się, by się zorientować skąd ją zerwał, i gdzie ona była, że Luce ją przeoczyła. Ale na około były tylko chwasty i rozkładające się spady owoców. Trzymali oboje kwiat.

- Wiedziałaś o tym, kiedy wybierałem dla ciebie codziennie peonię przez

cały miesiąc w Helston. Pamiętasz to? – wpatrywał się w nią, jakby chciał zajrzeć w głąb niej. – Nie. – westchnął po chwili. – Oczywiście, że nie. Zazdroszczę ci tego.

Ale kiedy jej to mówił, skóra Luce zaczynała być cieplejsza, jakby odpowiadała na słowa, z którymi mózg nie wiedział co zrobić. Jakaś część niej, nie była już pewna niczego.

- Robiłem wszystkie te rzeczy... - powiedział Daniel, przybliżając się tak, że ich czoła się stykały. - ...ponieważ jesteś moją miłością Lucindo. Dla mnie, jesteś wszystkim.

Dolna warga Luce drżała. Jej ręce wśliznęły się w jego. Płatki kwiatu prześlizgiwały się przez ich palce na ziemię.

- Więc, dlaczego wyglądasz na takiego smutnego? – Było tego zbyt wiele, by choćby zacząć o tym myśleć. Odsunęła się od Daniela i wstała, strząsając trawę i liście ze swoich jeansów. Kręciło jej się w głowie. Miała jakieś wcześniejsze życie?

- Luce.

Machnęła na niego. – Myślę, że muszę pójść, sama, się położyć. – oparła się całym ciałem o drzewo brzoskwini.

- Nie czujesz się dobrze. – powiedział, wstając i biorąc ją za rękę.

- Nie.

- Przepraszam. – westchnął Daniel. – Nie wiem, czego się spodziewałem, mówiąc ci to. Nie powinienem....

Nigdy nie przyszło jej nawet na myśl, że chciałaby sobie zrobić przerwę od Daniela, ale teraz musiała uciec. Sposób w jaki na nią patrzył, mówił jej, że chciałby powiedzieć, by spotkali się później, żeby móc sobie wyjaśnić więcej, ale Luce nie była już taka pewna, że to dobry pomysł. Im więcej jej mówił, tym bardziej czuła, że budzi się w niej coś – na co nie była jeszcze gotowa. Nie czuła się już jak wariatka- ale nie była pewna tego, że Daniel nim nie był. Dla każdego innego, jego wyjaśnienia nie miałyby żadnego sensu. Ale dla Luce...nie była jeszcze pewna, ale co jeśli odpowiedzi Daniela, są sensem całego jej życia? Nie wiedziała. Czuła się bardziej przerażona, niż kiedykolwiek w życiu.

Potrząsnęła ręką i zaczęła iść w stronę akademika. Kilka kroków dalej zatrzymała się i powoli odwróciła. Daniel nawet się nie ruszył.

- Co się stało?- zapytał, podnosząc brodę.

Stała tam, gdzie była, w pewnej odległości od niego.

- Obiecałam ci, że nie odejdę, dopóki nie usłyszę dobrych wiadomości.

ROZDZIAŁ 17



OTWARTA KSIĘGA

Luce opadła na swoje łóżko wyczerpana i roztrzęsiona. Po tym jak opuściła cmentarz – i Daniela- praktycznie biegła sprintem do swojego pokoju. Nie przeszkadzało jej to, że nie włączyła światła. Potknęła się o stojące przy biurku krzesło i uderzyła się w mały palec u nogi. Zwinęła się w kłębek i masowała obolałą stopę. W ostateczności, ból był czymś realnym, czymś z czym mogła dać sobie radę, czymś rozsądnym i przede wszystkim -był z tego świata. Cieszyła się z faktu, że w końcu mogła zostać sama.

Ktoś zapukał do jej drzwi.

Nie mogła mieć chwili wytchnienia.

Luce ignorowała pukanie. Nie chciała się z nikim widzieć, a ktokolwiek to był, nie dostanie od niej odpowiedzi. Znowu pukanie. Słyszała ciężki oddech i flegmowe, alergiczne odksztuszanie.

Penn.

Nie mogła się teraz widzieć z Penn. Wydawała by się szalona, gdyby próbowała wyjaśnić wszystko, co się z nią działo w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Albo zwariowałyby, gdyby próbowała zachowywać się normalnie i wszystko trzymać w sobie. Wreszcie Luce usłyszała kroki Penn, oddalające się w głąb korytarza. Odetchnęła z ulgą, ale oddech przerodził się w długi, samotny szloch. Chciałaby móc obwiniać Daniela za rozpętanie w niej tych, poza jej kontrolą, emocji. A po drugie, zaczęła sobie wyobrażać swoje życie bez Daniela. Tyle tylko, że to było niemożliwe.

To zupełnie tak, jakby sobie przypomnieć pierwsze wrażenie z domu, w którym od lat się nie mieszkało. To właśnie w ten sposób Daniel do niej dotarł. I teraz musiała znaleźć jakiś sposób, by przebrnąć przez to wszystko, co jej powiedział dzisiejszej nocy. Gdzieś w głębi swojego umysłu, wciąż wracała do tego, co Daniel jej powiedział na temat ich wspólnej przeszłości, czasów, w których byli razem. Może Luce nie pamiętała dokładnie momentów, które opisywał, ani miejsc o których była mowa, ale co dziwne, jego słowa wcale nie były dla niej szokujące. To wszystko było jakies znajome. Jak na przykład to, że zawsze, niewytłumaczalnie, nie lubiła daktyli. Nawet na ich widok, robiło jej się niedobrze. Stwierdziła, że jest na nie uczulona i w końcu mama przestała wkładać je do ciast, które piekła. Praktycznie przez całe swoje życie, błagała swoich

rodziców, żeby zabrali ją do Brazylii, choć nigdy nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego akurat tam chce jechać. Białe peonie. Daniel dał jej cały bukiet, po pożarze w bibliotece. Zawsze było w nich coś niezwykłego, coś tak znajomego.

Niebo za oknem było czarne jak węgiel, z tylko kilkoma obłokami białych chmur. W jej pokoju było ciemno, ale jasne, duże, kwitnące kwiaty na jej oknie wyróżniały się w mroku. Stały w wazonie już ponad tydzień, a nie usechł im nawet pojedynczy płatek. Luce usiadła i wdychała słodczy ich zapachu.

Nie mogła go za to winić. Tak, może to, co mówił brzmiało niezbyt rozsądnie, ale miał też rację – to ona była tą, która wciąż od nowa mu sugerowała, że coś ich musi łączyć. I nie była to tylko ta historia. Ona także była jedyną, która widziała cienie, jedyną, która miała swój udział w śmierci niewinnych osób. Starła się nie myśleć o Todd'ie i Trevorze, kiedy Daniel zaczął mówić o jej własnej śmierci – o tym jak wiele razy musiał patrzeć na jej śmierć. Gdyby był jakiś sposób na to, by zrozumieć te wszystkie rzeczy, Luce zastanowiłaby się nad tym, czy zapytać Daniela o to, czy kiedykolwiek czuł się odpowiedzialny. Za jej stratę. Czy całe jego życie to nic innego jak tajemnica, o odrażającym poczuciu winy, z którym musiał się zmagać każdego dnia.

Opadła na krzesło, które w jakiś sposób znalazło się na środku pokoju. Aud. Kiedy pocierała swoją stopę, wyczuła jakiś twardy przedmiot. Klapnęła na podłogę i szukając po omacku tego czegoś, znalazła grubą książkę. Przeniosła się pod ścianę i włożyła wtyczkę do kontaktu, a następnie spojrzała na okropne, fluorescencyjne światło. Nigdy wcześniej nie widziała książki, którą teraz trzymała w ręce. Oprawiona była w jasno szarą tkaninę z postrzępionymi rogami i stronami, klejonymi brązowym klejem, który kruszył się w dolnej jej części.

The Watchers: Mity w średniowiecznej Europie.

Książka przodka Daniela.

Była ciężka i pachniała lekko dymem. Luce wyciągnęła liścik, który był schowany po wewnętrznej stronie okładki.

Tak, znalazłam zapasowy klucz i nielegalnie weszłam do twojego pokoju. Przykro mi. Ale to jest PILNE. I nie mogłam cię nigdzie znaleźć. Gdzie jesteś? Musisz na to zerknąć, a potem zrobimy naradę. Wróć tu za godzinę. Postępuj z nią ostrożnie.

XOXO.

Penn.

Luce położyła liścik obok kwiatów i wzięła książkę z powrotem do łóżka. Usiadła z nogami zwisającymi z krawędzi. Samo trzymanie książki sprawiało, że czuła dziwne uczucie ciepła pod skórą. Kiedy ją trzymała, to było prawie tak, jakby książka ożyła. Otworzyła ją, spodziewając się, że będzie się musiała przekopywać przez jakieś sztywne, akademickie spisy treści lub indeksy zanim znajdzie coś, co mogłaby powiązać z Danielem. Ale nigdy nie znalazła choćby strony tytułowej.

Na wewnętrznej stronie okładki było wklejone czarno białe zdjęcie. To było bardzo stare zdjęcie, wywoływane na żółconym papierze. Ktoś nabazgrał długopisem na dole: Helston, 1854. Gorąco płonęło pod jej skórą. Ściągnęła swój czarny sweter przez głowę, ale nadal czuła gorąco, mimo iż została w topie. Wspomnienie głosu Daniela, brzmiało w jej głowie. Mogę żyć wiecznie – powiedział.

Zjawiasz się zawsze co siedemnaście lat. Zakochujesz się we mnie, a ja w tobie. I to cię zabija.

Głowa jej pulsowała.

Jesteś moją miłością, Lucindo. Dla mnie, jesteś wszystkim.

Przeciągnęła palcami po zdjęciu wklejonym do książki. Tata Luce, początkujący fotograf, byłby zdumiony tym, jak dobrze zachowane było to zdjęcie i tym jak musi być cenne. Luce, jedną ręką, przesunęła po ludziach na zdjęciu. Ponieważ, jeżeli to co mówił Daniel było prawdą, to nie miało by to już żadnego sensu.

Młody człowiek, z lekko przyciętymi włosami i jaśniejszymi oczami, pozował w elegancko wykończonym czarnym płaszczu. Miał uniesioną brodę i wystające kości policzkowe, które jeszcze bardziej wyróżniały go z pośród wszystkich, ale to jego usta przyciągnęły uwagę Luce. To był dokładnie ten sam uśmiech, współgrający z wyrazem jego oczu...co zaczęło się układać w całość, ponieważ Luce widziała go w każdym ze swoich snów, który miała przez ostatnie kilka tygodni.

Ten człowiek był żywym obrazem Daniela. Daniela, który wcześniej powiedział jej, że ją kocha i że przechodziła reinkarnację dziesiątki razy. Daniela, który mówił jeszcze wiele innych rzeczy, których Luce nie chciała usłyszeć i dlatego uciekła. Daniela, którego zostawiła pod drzewami brzoskwiniowymi, na cmentarzu.

Może to było po prostu niewiarygodne podobieństwo. Może to jakiś daleki krewny, a może autor tej książki, który przekazał każdy ze swoich genów przez całe drzewo genealogiczne, prosto Danielowi. Z wyjątkiem tego, że ten młody człowiek, pozował do zdjęcia obok młodej kobiety, która wyglądała niepokojąco znajomo.

Luce podniosła książkę bliżej twarzy i wpatrywała się w wizerunek kobiety. Miała na sobie czarną, marszczoną, jedwabną suknię balową, która przewiązana była w pasie tuż nad falującą, szeroką warstwą. Czarne, koronkowe rękawy kończyły się tuż przy dłoniach, pozostawiając jej białe palce nagimi. Jej małe zęby widoczne były między ustami, które rozchodziły się w swobodnym uśmiechu. Jej skóra była o kilka tonów jaśniejsza od mężczyzny. Głęboko osadzone oczy, otoczone były grubymi rzęsami. Jej czarne włosy, opadały falami do jej pasa. Przez moment Luce zapomniała jak się oddycha, a nawet jak sobie przypomniała, wciąż

nie mogła oderwać oczu od zdjęcia. Kobieta na zdjęciu?

To była ona.

Albo Luce miała rację, że jej wspomnienia o Danielu pochodzą z zapomnianych podróży do centrum handlowego w Savannah, w którym podają sos serowy na Ye Old Photo Booth, którego również nie pamiętała – albo Daniel mówił prawdę.

Luce i Daniel się już kiedyś poznali.

W zupełnie innym czasie.

Nie mogła złapać tchu. Całe jej życie przelewało się niczym morze przez jej umysł, wszystko poddane zostało w wątpliwość, mroczne cienie, które ją nachodziły, makabryczna śmierć Trevora, jej sny.

Musiała znaleźć Penn. Jeśli ktokolwiek byłby w stanie jej to wytłumaczyć, to właśnie byłaby Penn. Z zagadkową, starą książką pod pachą, Luce opuściła swój pokój i podążyła w kierunku biblioteki.

W bibliotece było ciepło i pusto, ale coś w tych wysokich sufitach i rzędach książek denerwowało Luce. Przeszła szybko obok nowego biurka bibliotekarki, które nadal wyglądało na sterylne i nieużywane. Minęła ogromne, nieużywane katalogi kart i niekończące się księgozbiory zanim dotarła do długich stołów w czytelnicy.

Zamiast Penn, Luce znalazła Arriane, która grała z Rolandem w szachy. Położyła nogi na stole a na głowie miała czapkę w paski. Włosy miała schowane pod czapką i Luce ponownie zauważyła, po raz pierwszy od tamtego ranka, kiedy obciąła Arriane włosy, marmurkową, błyszczącą bliznę na szyi Arriane.

Arriane była skupiona całkowicie na grze. Czekoladowe cygaro poruszało się między jej ustami, kiedy koncentrowała się na następnym ruchu. Roland miał skrócone swoje dredy w dwa węzły. Patrzył krzywo na Arriane, kiedy przyciskał jeden ze swoich pionków, małym palcem.

- Szach mat, suko. – powiedziała triumfalnie Arriane, zbijając króla Rolanda właśnie wtedy, kiedy Luce zatrzymała się naprzeciwko ich stolika. – Luuuuuucinda, - zaśpiewała, spoglądając w górę. – Ukrywasz się przede mną.

- Nie.

- Słyszałam pewne rzeczy na twój temat. – powiedziała Arriane, powodując tym samym, że Roland pochylił się do przodu i przysłuchiwał uważnie. – Szturch, szturch, mig mig. To oznacza, że masz usiąść i gadać. Ale już.

Luce przycisnęła książkę do piersi. Nie chciała usiąść. Chciałaby obieć bibliotekę i znaleźć Penn. Nie mogła teraz rozmawiać z Arriane – zwłaszcza przy Rolandzie, który szykował jej siedzenie obok niego.

- Dołącz do nas. – powiedział Roland.

Luce niechętnie przysiadła na krawędzi krzesła. Zatrzyma się tylko na kilka minut. To prawda, że nie wiedziała się z Arriane od kilku dni, co w normalnych

warunkach, byłoby dla dziewczyn dziwaczne. Ale one były dalekie od normalnych warunków, a Luce nie mogła myśleć o niczym innym jak tylko o fotografii.

- Skoro już skopałam Rolandowi dupę na szachownicy, to może zagramy teraz w nową grę. Może w „Kto widział obciążające Luce zdjęcia, z poprzedniego dnia”?- powiedziała Arriane, kładąc ręce na stole.

- Co? – Luce odskoczyła. Zaciśnęła mocno dłonie na okładce książki, mając pewność, że jej nerwowy wyraz twarzy odchodzi w zapomnienie. Nie powinna w ogóle jej tu przynosić.

- Dam wam trzy podpowiedzi. – powiedziała Arriane, wywracając oczami. – Molly pstryknęła ci zdjęcie, jak wsiadałaś do dużego, czarnego samochodu, wczoraj wieczorem.

- Och. – Luce westchnęła.

- Miała zamiar wydać cię przed Randy’em . – kontynuowała Arriane. – Ale przekonałam ją by tego nie robiła. Mmm- hmm.- Strzeliła swoimi palcami. – Teraz, aby okazać mi wdzięczność, powiedz mi: wymknęłaś się z kampusu, żeby zobaczyć szkolną izolatkę?- Obniżyła swój głos do szeptu i zaczęła stukać paznokciami o stół.- Czy może masz kochanka?

Luce spojrzała na Rolanda, który bacznie się jej przyglądał.

- Nic z tego. – powiedziała Luce. – Wymknęłam się na trochę, żeby porozmawiać z Cam’em. Nie poszłam tam właściwie...

- Bam. Pład Arri. – powiedział Roland, uśmiechając się szeroko. – Wisisz mi dziesięć dolców.

Luce szczęka opadła. Arriane poklepała ją po ręce.

- To nic wielkiego. Postanowiliśmy się trochę pozakładać, żeby było bardziej interesująco. Wyszłam z założenia, że poszłaś się spotkać z Danielem. Roland obstawiał Cam’a. Przez ciebie przegrałam. A to mi się nie podoba.

- Byłam z Danielem. – powiedziała Luce, nie wiedząc dlaczego miałyby niby cokolwiek prostować. Nie mają nic lepszego do roboty w swoim życiu niż siedzieć i zastanawiać się co ona robi w swoim wolnym czasie?

- Och. – powiedział Roland, brzmiąc na rozczarowanego. – Sprawy się komplikują.

- Roland. – Luce odwróciła się w jego stronę. – Muszę cię o coś zapytać.

- Wal śmiało. – wyciągnął notes i długopis z kieszeni swojej marynarki w czarno białe prążki. Trzymał długopis nad kartką, jakby zamierzał przyjąć zamówienie. – Czego sobie życzysz? Kawy? Alkoholu? Towar może być tylko na piątek. Magazyny dla dorosłych?

- Cygara? – zaoferowała Arriane, trzymając jedno takie czekoladowe w swoich ustach.

- Nie. – Luce potrzaskała głową. – Nic z tych rzeczy.

- No dobra, specjalne zamówienie. Podrzuciłem ci katalog do twojego

pokoju.- Roland wzruszył ramionami. – Możesz przyjść później i

- Nie chcę, żebyś coś dla mnie sprowadzał. Chciałabym tylko coś wiedzieć.... – przełknęła głośno ślinę. – Jesteście z Danielem przyjaciółmi, tak?

Wzruszył ramionami. – Nienawidzę gościa.

- Ale ufasz mu? – zapytała. – Mam na myśli to, że gdyby powiedział ci coś, co brzmiałoby szaleńczo, uwierzyłbyś mu?

Roland zerknął na nią, jakby przez chwilę to rozważał, ale Arriane wskoczyła na stół i kołysała się na nim przed Luce. – O czym właściwie teraz mówimy?

Luce wstała. – Nieważne. – nigdy nie powinna poruszać tego tematu. Zaatakował ją cały bałagan szeregółów. Zabrała książkę ze stołu. – Musze już iść. – powiedziała. – Przepraszam.

Odsunęła swoje krzesło i odeszła. Nogi miała ciężkie i słabe, a umysł przeciążony. Podmuch wiatru uniósł jej włosy z tyłu szyi, a wtedy odwróciła głowę w poszukiwaniu cieni. Nic. To tylko otwarte okno, w pobliżu krokwi biblioteki . Przeszukując wzrokiem bibliotekę, Luce nie mogła uwierzyć własnym oczom. Nie było żadnego znaku, wskazującego na ich obecność, żadnych czarnych kosmyków, czy szarych, drżących zawirowań na jej głowę, ale Luce czuła wyraźnie ich bliskość, prawie czuła zapach siarki w powietrzu. Gdzie miały niby być, jeśli nie prześladowały jej? Zawsze myślała o nich jak o swoich własnych cieniach. Nigdy nie przypuszczała, że mogą pójść w jakieś inne miejsce, robić jakieś inne rzeczy- dręczyć innych ludzi.

Czy Daniel także je widział?

Okrążając półkę i podążając w kierunku sali komputerowej, z tyłu biblioteki, gdzie pomyślała, że znajdzie Penn, podbiegła do biurka pani Sophii. Obie się potknęły, a pani Sophia chwyciła Luce, żeby złapała równowagę. Pani Sophia miała na sobie jeansy i modną, białą bluzkę i czerwonymi koralikami na ramionach. Jej metaliczne, zielone okulary, wisały na łańcuszku z wielobarwnych kuleczek powieszonym na jej szyi. Luce była zaskoczona tym, jak mocny był jej uścisk.

- Przepraszam. – mruknęła Luce.

- Dlaczego Lucinda, coś się stało? – pani Sophia przyłożyła dłoń do czoła Luce. Zapach mydła dla dzieci, pochodzący z jej ręki, wypełnił nos Luce. – Nie wyglądasz dobrze. – Luce przełknęła ślinę, nie chcąc się rozplakać z powodu tego, że bibliotekarka się nad nią lituje.

- Nie czuję się najlepiej.

- Wiedziałam. – powiedziała pani Sophia. – Opuściłaś dzisiejsze zajęcia i nie było cię wczoraj na wieczorze Spotkań Towarzyskich. Widziałaś się z lekarzem? Jeśli moja apteczka się nie spaliła, to powinnam mieć tu termometr.

- Nie, cóż, nie wiem....- Luce trzymała książkę przed sobą i zastanawiała się,

czy nie odpowiedzieć pani Sophii o wszystkim, zaczynając od początku...który gdzie się zaczynał?

Och, nie musiała. Pani Sophia rzuciła okiem na książkę, westchnęła i spojrzała na Luce ze zrozumieniem. – W końcu ją znalazłaś, tak? Chodź, musimy porozmawiać.

Chyba bibliotekarka wiedziała o życiu Luce więcej niż ona sama. Życie? Nie rozumiała, co to miało by znaczyć, ani jak wiele z nich jest możliwych. Pani Sophia podeszła do stolika w rogu, w innej części biblioteki. Luce wciąż kątem oka widziała Rolanda i Arriane, choć w zasadzie wydawali się poza zasięgiem jej wzroku.

- Jak na nią trafiłaś?- pani Sophia poklepała Luce po ramieniu i włożyła okulary na nos. Jej małe, czarne oczy migotały zza oprawek dwuogniskowych okularów. – Spokojnie, nie będziesz miała przez to problemów, moja droga.

- Nie wiem. Razem z Penn szukałyśmy jej. To głupie. Przypuszczałyśmy, że autor książki jest jakoś powiązany z Danielem, ale nie miałyśmy pewności. Kiedy przyszłyśmy jej poszukać, okazało się, że jest wypożyczona. Kiedy wróciłam dziś w nocy do pokoju, okazało się, że Penn mi ją zostawiła i

- A zatem Pennyweather zna treść tej książki?

- Nie wiem. – powiedziała Luce. Czowała się roztrzęsiona, a mimo to nie potrafiła przestać gadać. Pani Sophia wydawała się być całkiem spoko, niczym zwariowana babcia, której Luce nigdy nie miała. Poza tym, tak dobrze było móc z kimś o wszystkim porozmawiać. – Jeszcze się z nią nie widziałam, ale tylko dlatego, że byłam z Danielem i on zachowywał się naprawdę dziwnie, ale wczoraj mnie pocałował i zostaliśmy tam aż do.....

- Przepraszam, moja droga... – powiedziała pani Sophia, trochę za głośno. -ale czy ty właśnie powiedziałaś, że Daniel Grigori cię pocałował?

Luce zasłoniła swoje usta obiema rękoma. Nie mogła uwierzyć w to, że właśnie się wygadała pani Sophii. Chyba naprawdę musi tracić rozum. – Przepraszam, to było całkowicie bez znaczenia. I zawstydzające. Nie wiem, dlaczego to pani powiedziałam. – Czowała jak płoną jej policzki.

Ale było już za późno. Nagle przed Luce wyrosła Arriane. –Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś. – wyglądała na oszołomioną. Ale uwagę Luce znów przykuła pani Sophia, wyciągając jej książkę z rąk.

- Twój pocałunek z Danielem, nie jest bez znaczenia, moja droga, jest zazwyczaj niemożliwy. – pogładziła swoją brodę i spojrzała na sufit. – Co oznacza....cóż, nie może to oznaczać....

Palce pani Sophii zaczęły się przesuwac po kartkach książki, śledząc każdą stronę z niezrównaną szybkością.

- Co pani ma na myśli mówiąc „ zazwyczaj”? – Luce nigdy nie czuła się tak bardzo bezradna, w całym swoim życiu.

- Zapomnij o pocałunku. – pani Sophia machnęła na Luce ręką, całkowicie ją tym zaskakując. – To tylko połowa z tego. Pocałunek nie znaczy zbyt wiele, chyba że.....- mruknęła coś pod nosem i wróciła do przeglądania kolejnych stron.

Co wiedziała pani Sophia? Pocałunek Daniela nic nie znaczył? Luce obserwowała nieufnie, jak pani Sophia przerzuca kartki, kiedy coś na jednej ze stron przykuło jej uwagę.

- Proszę cofnąć. – powiedziała Luce, kładąc dłoń na rękę pani Sophii, żeby ją zatrzymać. Pani Sophia pochyliła się powoli, kiedy Luce cofała się o kilka stron do cienkiej, przezroczystej kartki. Jest. Luce chwyciła się za serce. Na marginesie, była seria rysunków, namalowanych najczarniejszym atramentem. Rysowanych na szybko, ale elegancko, wprawną ręką. Przez kogoś, kto z pewnością miał talent. Luce przebiegła palcami po rysunkach, wpatrując się w nie. Opuszczone kobiece ramię, widziane od tyłu, kok upięty nisko. Ręce opuszczone wzdłuż tułowia, rzucały cień na jej biodra. Długie, smukłe nadgarstki, ustępowały miejsca otwartym dłoniom, w których trzymała duże, rozkwitłe peonie. Palce Luce zaczęły drżeć. W gardle rosła jej gęsia skóra. Nie wiedziała dlaczego to, w porównaniu z tym, co dziś widziała i usłyszała, było na tyle wystarczająco piękne – i wystarczająco tragiczne – żeby przyprawić ją o płacz. Ramiona, ręce, biodra.....były jej własnymi. I wiedziała, że wszystko to, było rysowane przez Daniela.

- Lucinda. – pani Sophia patrzyła na nią nerwowo, powoli odsuwając swoje krzesło od stołu. – Czy ty.....czy czujesz się dobrze?

- Och, Daniel. – wyszeptała Luce, chcąc desperacko być blisko niego. Otarła łzy.

- Jest przeklęty, Lucindo. – powiedziała zaskakująco chłodnym tonem pani Sophia. – Oboje jesteście.

Przeklęci. Daniel wspominał o tym, że jest przeklęty. To tak wszystko to wytłumaczył. Ale mówił tylko o sobie, a nie o niej.

-Przeklęci? – powtórzyła Luce. Ale nie chciała już nic więcej słyszeć. Chciała tylko odnaleźć Daniela.

Pani Sophia strzeliła palcami przed twarzą Luce. Napotkała jej oczy, powoli, leniwie się uśmiechające.

- Jeszcze się nie obudziłaś? – mruknęła pani Sophia. Zamknęła książkę z głośnym trzaskiem, przykuwając uwagę Luce i położyła ręce na stole. – Czy on cokolwiek ci powiedział? Może ,po pocałunku?

- Powiedział mi.... – zaczęła Luce. – To brzmi szalenie.

- Takie rzeczy zazwyczaj takie są.

- Powiedział, że oboje...jesteśmy jakby przenoszonymi się w czasie kochankami. – Luce zamknęła swoje oczy, przypominając sobie długi katalog swoich żyć. Początkowo, ten pomysł wydał jej się taki obcy, ale teraz zdawała się już do niego przyzwyczać. Pomyślała, że jest to najbardziej romantyczna rzecz,

która miała miejsce w historii tego świata. – Mówił mi o czasach, kiedy się w sobie zakochiwaliśmy, w Rio, Jeruzalem, Tahiti...

- To wcale nie brzmi szaleńczo. – powiedziała pani Sophia. – Ale, oczywiście mu nie uwierzyłaś?

- W pierwszym momencie nie, - powiedziała Luce, wracając myślami do ich zacieklej różnicy zdań, pod drzewem brzoskwiniowym. – Wszystkie wyjaśnienia zaczął od Biblii, od której mój instynkt się wzbrania. – Ugryzła się w język. – Bez obrazy. Myślę, że pani zajęcia są naprawdę interesujące.

- Nic nie szkodzi. Ludzie w twoim wieku często wzbraniają się przed religią, nieprzekonani. Nie jesteś nikim nowym, Lucindo.

- Och, - Luce strzeliła kostkami w palcach. – Ale ja nie jestem nieprzekonana do religii. Moi rodzice są wierzący i

- Każdy w coś wierzy. Na pewno byłaś ochrzczona?

- Nie, jeśli nie liczyć pływania w basenie, zbudowanym na miejscu kościoła, tam. – mówiła nieśmiało Luce, wskazując na siłownię w Sword & Cross.

Tak, obchodzili Boże Narodzenie, była też w kościele kilka razy, i nawet wtedy kiedy cienie zamieniły jej życie i życie ludzi wokół niej w nieszczęście, wciąż uważała, że tam na górze jest coś, lub ktoś w kogo warto wierzyć. To jej zawsze wystarczało.

Wokół sali, uniósł się głośny stukot. Rozejrzała się i zobaczyła, że Roland upadł z krzesła. Ostatnim razem kiedy na niego patrzyła, kiwał się na dwóch nogach swojego krzesła. A teraz wyglądało na to, że grawitacja zwyciężyła. Kiedy stawał na równe nogi, Arriane wyciągnęła rękę, żeby mu pomóc. Rozejrzała się i pośpiesznie machnęła.

- Wszystko w porządku. – zawołała wesoło. – Wstawaj! – wyszeptała głośno do Rolanda.

Pani Sophia wciąż siedziała z rękoma położonymi na stole. Odkasznęła kilka razy, po czym otworzyła książkę i przebiegła palcami po zdjęciu z tyłu okładki. – Czy ujawnił coś więcej? Wiesz kim Daniel jest?

Powoli, siedząc wyprostowana na krześle, Luce zapytała: - A pani wie?

Bibliotekarka zeszywniała. – Studiowałam te rzeczy. Jestem wykładowcą. Nie zagrzebuję się w błahych sprawach sercowych.

To takich słów użyła, ale wszystko, od pulsującej żyły na szyi, do prawie niezauważalnego potu rozsianego na całym jej czole, mówiło Luce, że odpowiedz na jej pytanie brzmi „Tak”.

Nad ich głowami, czarny, olbrzymi zegar wybił godzinę jedenastą. Minutnik drżał z wysiłku, starając się pozostać na swoim miejscu, a zegar bił tak długo, że przerwał całą ich rozmowę. Luce nigdy wcześniej nie zauważyła tego, jak głośny był zegar. Każde bicie, sprawiało jej ból. Jest z dala od Daniela już zbyt długo.

- Daniel myślał.....- zaczęła mówić. – Wczoraj, kiedy mnie pocałował,

myślał, że umrę.- Pani Sophia nie wyglądała na zaskoczoną, a Luce taką się spodziewała ją zobaczyć. Luce strzeliła swoimi kośćmi. – Ale to już jest szalone, prawda? Ja się nigdzie nie wybieram.

Pani Sophia zdjęła okulary i przetarła małe oczy. – Na razie.

- O Boże. – wyszeptała Luce, czując tą samą obawę, która owiła ją na cmentarzu, kiedy opuszczała Daniela. Ale dlaczego? Wciąż było coś, czego jej nie powiedział – coś, co wiedziała, że sprawi, że będzie się bardziej, lub mniej bała. To było coś, co już wiedziała, ale w to nie uwierzyła. Nie, zanim nie zobaczy znów jego twarzy.

Książka wciąż była otwarta na fotografii. Do góry nogami, uśmiech Daniela wyglądał na zmartwiony, jakby wiedział – a powiedział jej, że zawsze wiedział – co niedługo nastąpi. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co musiał teraz przeżywać. Odtworzyła się historia, którą dzielili – i w której ona go całkowicie opuszcza. Musiała go odnaleźć. Zamknęła książkę i schowała ją w zagięciu łokcia. Wstała i odepchnęła swoje krzesło.

- Gdzie idziesz? – zapytała nerwowo pani Sophia.

- Znaleźć Daniela.

- Pójdę z tobą.

- Nie. – Luce potrząsnęła głową, wyobrażając sobie, jak pada w ramiona Daniela z bibliotekarką w tle. – Nie musi pani iść, naprawdę. – pani Sophia była już przygotowana, pochylając się, żeby zawiązać swoje sznurowadła. Wstała i położyła rękę na ramieniu Luce.

- Zaufaj mi. – powiedziała. – Muszę. Sword & Cross musi podtrzymać swoją reputację. Chyba nie myślisz, że pozwalamy, chcąc nie chcąc, biegać naszym uczniom samym, w środku nocy.

Luce powstrzymała się od powiedzenia pani Sophii o tym, jak opuściła szkołę, zeszłego wieczora. Jęknęła w duchu. Może powinna wziąć ze sobą wszystkich uczniów, żeby mogli cieszyć się jej dramatem? Molly mogłaby pstryknąć zdjęcie, a Cam mógłby wdać się w kolejną bójkę. Dlaczego nie zacząć od zgromadzonych tutaj Arriane i Rolanda, którzy, jak Luce właśnie zdała sobie sprawę, zniknęli.

Pani Sophia, z książką w ręku, już podążyła w kierunku wyjścia z biblioteki. Luce musiała podbiec, żeby ją dogonić, pospiesznie mijając katalogi kart, przypalony perski dywan w recepcji i gabloty z relikwiami z wojny secesyjnej, we wschodnim skrzydle z kolekcją specjalną, gdzie Luce widziała Daniela, szkicującego cmentarz, w jej pierwszą noc tutaj.

Wyszły na zewnątrz, w wilgotną noc. Chmury przysłoniły księżyc i teren kampusu pochłonęła atramentowa czerń. Potem, jak gdyby Luce miała kompas w ręku, czuła się prowadzona w kierunku cieni. Wiedziała dokładnie, gdzie są. Nie w bibliotece, ale gdzieś niedaleko stąd. Jeszcze ich nie wiedziała, ale wyczuwała je,

co było znacznie gorsze. Straszne, pokrywające jej skórę swędzenie, sączyło się przez nią do krwi i kości, zupełnie jak kwas.

Zbierały się i krzepły, wypełniając cmentarz- i wszystko poza nim – odrażającym smrodem siarki. Były teraz znacznie większe. Wydawało się, jakby powietrze w całym kampusie było zanieczyszczone przez ich okropny, zbutwiały smród.

- Gdzie jest Daniel?- zapytała pani Sophia. Luce zdała sobie sprawę z tego, że o tyle o ile bibliotekarka trochę wie o jej przeszłości, to jest całkowicie nieświadoma obecności cieni. Sprawilo to, że Luce była przerażona i osamotniona, odpowiedzialna za wszystko to, co może się wydarzyć.

- Nie wiem. – powiedziała, jakby nie miała wystarczającej ilości tlenu, w tą błotnistą noc. Nie chciała powiedzieć nic, co zaprowadziłoby je bliżej – zbyt blisko – wszystkiego, co ją przerażało. Ale musiała znaleźć Daniela. – Zostawiłam go na cmentarzu.

Biegły przez kampus, omijając kałuże błota, które zostały po wczorajszej ulewie. Po prawej stronie, widać było tylko kilka świateł, dobiegających z akademika. Przez jedno z okratowanych okien, Luce zobaczyła ślęczącą nad książką. Chodziły razem na poranne zajęcia. Wyglądała na silną dziewczynę. Miała kolczyk w nosie i teraz cicho kichnęła – ale Luce nigdy nie słyszała jej głosu. Nie miała pojęcia, czy dziewczyna jest nieszczęśliwa, czy zadowolona ze swojego życia. Luce zastanowiła się przez moment: Gdyby mogła się zamienić z tą dziewczyną – która nie musi się martwić o swoją przyszłość, lub o apokaliptyczne cienie, czy śmierć dwóch, niewinnych chłopców – zrobiłaby to?

Twarz Daniela – sposób w jaki tonęła w jego fioletowych oczach, kiedy niósł ją do domu, dzisiejszego ranka – pojawiła się przed jej oczami. Jego złote włosy błyszczały. Jego czule porozumiewawcze spojrzenie. Sposób, w jaki dotyk jego ust, przeniósł ją z dala od wszelkich ciemności. Dal niego – ścierpiała by wszystko i wiele więcej. Gdyby tylko wiedziała, ile tego było.

Ona i pani Sophia, biegły przed siebie obok trybun, a następnie przez boisko. Pani Sophia naprawdę była w dobrej formie. Luce wcześniej martwiła się o jej tempo, ale kobieta szła kilka kroków przed nią. Luce się wlokła. Jej strach przed cieniami był niczym huragan, który ją spowalniał. A przecież parla do przodu. Powiększające się nudności mówiły jej, że to co dostrzega, to zaledwie namiastka tego, co mogą osiągnąć cienie.

Zatrzymały się u bram cmentarza. Luce drżała, obejmując się ramionami, w nieudanej próbie ukrycia się. Jakaś dziewczyna stała plecami do nich, patrząc poniżej, na cmentarz.

- Penn. – zawołała Luce, ciesząc się, że widzi przyjaciółkę. Kiedy Penn się do nich odwróciła, jej twarz była przerażająco blada. Miała na sobie czarną wiatrówkę, mimo upału, i zaparowane od wilgotnego powietrza okulary. Drżała tak

samo jak Luce.

Luce wydyszała: - Co się stało?

- Przyszłam tu, żeby cię poszukać. – powiedziała Penn. – I kilka innych dzieciaków też tu przybiegło. Poszli tam. Ale ja.... ja... nie mogłam.

- Czemu? – zapytała Luce. – Co tam jest?

Ale nawet gdy o to zapytała, wiedziała już o jednej rzeczy, która tam jest, jedynej, której Penn nie będzie nigdy w stanie zobaczyć. Mrożący, czarny cień nakłaniał Luce, żeby szła przed siebie, sama.

Penn zamruwała szybko. Była przerażona. – Nie wiem. – powiedziała w końcu. – Na początku myślałam, że to fajerwerki. Ale żadne nie unoszą się tak wysoko na niebie.- zadrżała. – Coś złego się stanie. Tylko nie wiem, co.

ROZDZIAŁ 18



UKRYTA WOJNA

Luce rzuciła okiem na drżące światło, u podstawy cmentarza i zaczęła biec w jego kierunku. Uderzyła w nadłamany nagrobek, zostawiając Penn i panią Sophie daleko za sobą. Nie dbała o ostre, poskręcane gałęzie dębów, drapiące jej twarz i ręce kiedy biegła, czy kępy chwastów, grubości korzeni, o które się potykała.

Musiała się tam dostać.

Słabnące pasma księżycowego światła oferowały zbyt małe oświetlenie. Ale było jeszcze inne źródło światła – pochodzące z dołu cmentarza. Jej przeznaczenie. Wyglądało to jak monstrualna burza z piorunami. Tyle, że to wszystko rozgrywało się na ziemi. Cienie unikały ją od kilku dni, jak zdała sobie sprawę. Teraz ich mroczna demonstracja przeistoczyła się w coś, co nawet Penn zdołała zobaczyć. I inni uczniowie, którzy teraz biegi przed siebie, też musieli to widzieć. Luce nie wiedziała, co miałyby to oznaczać. Ale jeśli Daniel tam był, między tym złowrogim migotaniem.....to z pewnością była jej wina.

Jej płuca płuły, ale była prowadzona przez obraz Daniela, stojącego pod drzewem brzoskwińowym. Nie przestanie biec, dopóki go nie znajdzie – a jak już go znajdzie, to wepchnie mu tą książkę pod nos i wykrzyczy, że mu we wszystko wierzy, że jakaś jej część wierzyła mu cały czas, ale była tym za bardzo przerażona, żeby uwierzyć w tą nie do opisaną historię.

Chciałaby móc mu powiedzieć, że nie pozwoliłby strach nią kierować, już nie, i nigdy więcej. Teraz już wie, coś zrozumiała, coś co zajęło jej zbyt dużo czasu, żeby poukładać wszystko w całość. Coś dziwnego i obcego, co czyniło ich wspólną przeszłość jeszcze bardziej niewiarygodną. Wiedziała już kim- nie, czym jest Daniel. Jakaś część jej doszła do tego wniosku na własną rękę – że żyła już wcześniej i kochała go wcześniej. Tylko, że nie rozumiała co to znaczy, do czego ją to prowadzi – ten pociąg, który do niego czuła, jej sny – aż do teraz.

Ale nic z tego, nie miałyby teraz znaczenia, gdyby nie mogła się dostać na dół na czas, by znaleźć jakiś sposób obrony przed cieniami. Nic z tego nie będzie miało znaczenia, jeśli cienie dotrą do Daniela, zanim ona to zrobi. Przeskoczyła kilka nagrobków, ale kotlina w centrum cmentarza była wciąż tak daleko. Za sobą usłyszała czyjeś kroki. A potem przeraźliwy krzyk.

-Pennyweather!- to była pani Sophia. Doganiała Luce, krzycząc przez ramię do Penn, która ostrożnie mijała każdy nagrobek. – Jesteś wolniejsza niż

nadchodzące święta Bożego Narodzenia.

- Nie! – krzyknęła Luce. – Nie idźcie za mną!- nie chciała być odpowiedzialna za kogokolwiek stojącego na drodze ceniom. Pani Sophia zastygła nad przewróconym, białym nagrobkiem i wpatrywała się w niebo, jakby w ogóle nie słysząc Luce. Podniosła swoje smukłe ramiona w górę, tworząc z nich tarczę. Luce spojrzała w niebo i wstrzymała oddech. Coś zmierzało w ich kierunku, wiejąc chłodnym wiatrem.

W pierwszej chwili, Luce pomyślała, że to cienie, ale to było coś innego. Cos przerażającego, niczym postrzępiony, nierówny welon pełen cieni, pozwalający odrobinkom wypływać na niebo. Ten cień stworzony został z miliona małych, czarnych kawałków. Miotających się, trzepoczących w ciemnej burzy, rozciągającej się we wszystkich kierunkach.

- Szarańcza? – zawołała Penn.

Luce zadrżała. Wielki rój wciąż zachowywał dystans, ale głośnie uderzenia przybliżały się z każdą sekundą, niczym trzepot skrzydeł tysiąca ptaków. Niczym mroczne zamiatanie, czyszczące ziemię. Nadchodzą. Dziś w nocy ją zaatakują, a może ich wszystkich.

- To nie wygląda dobrze. – pani Sophia wskazała na niebo. – Te rzeczy nie miały się toczyć w tej kolejności.

Penn przystanąła przy Luce dysząc i obie teraz stały oszołomione. Nad ustami Penn wystąpił perlisty pot, a jej fioletowe okulary zaparowały od ciepła.

- Odbija jej. – szepnęła Penn, wskazując kciukiem na panią Sophię.

- Nie. – Luce potrzasnęła głową. – Ona zna się na rzeczy. A jeżeli pani Sophia się boi, to ciebie nie powinno tu w ogóle być, Penn.

- Mnie? – zapytała Penn zdezorientowana, pewnie dlatego, że to ona od pierwszego dnia w szkole, kierowała Luce. – Myślę, że żadnej z nas nie powinno tu być.

Luce poczuła ból w klatce piersiowej, podobny do tego, jaki czuła, gdy zegnała się z Callie. Odwróciła swój wzrok od Penn. Między nimi nastąpił rozłam, głęboki podział, z powodu przeszłości Luce. Nienawidziła się za to, że skierowała na nią uwagę Penn, a także, że to do niej się z tym zwróciła, dlatego teraz będzie lepiej, bezpieczniej, jeśli się rozstaną.

- Ja muszę tu zostać. – powiedziała, nabierając głęboko powietrza do płuc. – Musze odnaleźć Daniela. Ale ty, powinnaś wrócić do akademika, Penn. Proszę.

- Ale ja i ty...- powiedziała Penn, zachrypniętym głosem. - Jesteśmy jedyne....

Zanim Luce zdołała usłyszeć kocówkę zdania, już zbiegała w kierunku centrum cmentarza. Do mauzoleum, gdzie widziała rozmyślającego Daniela, wieczorem, w Dniu Spotkań z Rodzicami. Przeskoczyła przez ostatni nagrobek i wpadła w poślizg, staczając się w dół po wilgotnym stoku, na zmokłych liściach, aż

do momentu, kiedy ziemia się wyrównała. Podeszła do wielkiego dębu, w głębi kotliny, na środku cmentarza. Czuła gorąco, sfrustrowanie i przerażenie. Wszystko na raz. Oparła się o drzewo.

Nagle zobaczyła go, przez gałęzie drzewa.

Daniel.

Wypuściła z siebie całe powietrze i poczuła jak uginają się pod nią kolana. Jedno spojrzenie na jego ciemny, ale jakże piękny i majestatyczny profil sprawił, iż zrozumiała, że wszystko co sugerował – a nawet to, do czego doszła sama – to wszystko było prawdą.

Stał na szczycie mauzoleum, ze skrzyżowanymi rękoma i patrzył, jak chmura szarańczy przelatuje nad jego głową. Nikłe księżycowe światło, rzucało cień w kształcie półksiężyca na pochylony dach krypty. Luce pobiegła do Daniela, omijając mech hiszpański i pochylony, stary posąg.

- Luce!- zobaczył ją, kiedy podbiegała do mauzoleum. – Co ty tutaj robisz? – nie wydawał się być uszczęśliwiony jej widokiem – był raczej zszokowany i przerażony.

To moja wina, chciała zapłakać, kiedy dotarła do podstawy mauzoleum. I już wierzę, wierzę w naszą historię. Wybacz, jeśli cię kiedykolwiek opuściłam, już nigdy tego nie zrobię. Chciała mu jeszcze powiedzieć jedną rzecz, ale stał zbyt wysoko od niej a straszny zgielek cieni był zbyt głośny, do tego powietrze było zbyt wilgotne, żeby mógł ją usłyszeć z miejsca w którym stał.

Grobowiec był zbudowany z płaskiego marmuru. Ale na jednej z płaskorzeźb pawia był uszczerbek, którego Luce użyła, żeby wesprzeć swoją stopę. Zazwyczaj chłodny kamień, teraz był ciepły w dotyku. Jej spocone palce, kilka razy się naderwały, kiedy wspinała się na szczyt. Musiała dotrzeć do Daniela i prosić go o wybaczenie.

Zostało jej jeszcze kilka kroków, by wspiąć się na górę, kiedy coś poklepało ją po ramieniu. Rozejrzała się dookoła i sapnęła, gdy zobaczyła, że to był Daniel i wtedy straciła przyczepność. Złapał ją i otoczył ramionami jej talię, zanim upadła na ziemię. Ale przecież sekundę temu był nad jej głową.

Ukryła twarz w jego ramionach. I podczas kiedy prawda wciąż ją przerażała, będąc w jego ramionach, czuła się niczym morze uderzające o brzeg, jak podróżnik, powracający z długiej, ciężkiej i dalekiej drogi – w końcu w domu.

- Wybrałaś sobie zły czas, na to by wrócić. – powiedział. Uśmiechnął się, ale jego śmiech był raczej wymuszony. Patrzył gdzieś poza nią, w niebo.

- Ty też to widzisz?- zapytała.

Daniel spojrzał na nią, ale nie był w stanie udzielić jej odpowiedzi. Jego usta drżały.

- Oczywiście, że tak. – szepnęła, bo wszystko zaczęło się układać w całość. Cienie, jego historia, ich przeszłość. Zdławiła płacz. – Jak możesz mnie kochać? –

szlochała. – Jak możesz mnie znosić?

Objął rękoma jej twarz. – O czym ty w ogóle mówisz? Jak możesz tak mówić?

Jej serce płonęło z powodu szybkich uderzeń.

-Ponieważ.....- przełknęła ślinę. – Jesteś aniołem.

Obluzował swój uścisk. – Co powiedziałaś?

- Jesteś aniołem, Danielu. Wiem o tym. – powiedziała, czując jak jej zapory się otwierają, coraz szerzej i wszystkie uczucia się wylewają. – Tylko mi nie mów, że oszalałam. Śniłam o tobie, snami zbyt realnymi, żeby o nich zapomnieć. Te sny, kazały mi cię pokochać, jeszcze zanim choćby powiedziałaś do mnie jedno miłe słowo. – Oczy Daniela wpatrywały się nią niezmiennie. – W snach miałeś skrzydła i obejmowałeś mnie, unosząc do nieba, którego nie poznaję, a jednak wiem, że tam byłam, zupełnie jak tysiące razy byłam w twoich ramionach. – Oparła swoje czoło o jego. – To tyle wyjaśnia – pełen wdzięku sposób, w jaki się poruszasz, i książkę, którą napisał twój przodek, to, że nikt nie przyszedł cię odwiedzić, w Dzień Spotkań z Rodzicami, sposób, w jaki twoje ciało zdaje się unosić, kiedy pływasz. I to, że kiedy mnie całujesz, to czuję się jakbym trafiła do nieba. – zatrzymała się by złapać oddech. – I to, że możesz żyć wiecznie. Jediną rzeczą jakiej to nie wyjaśnia jest to, co ty robisz na ziemi, ze mną? Bo przecież ja jestem.....tylko sobą.

Spojrzała znowu w niebo, czując mroczny urok cienia. – I jestem temu wszystkiemu winna.

Kolor zszedł mu z twarzy. I Luce mogła wysunąć tylko jeden wniosek.

- W ogóle nie rozumiesz dlaczego, prawda?

- Nie rozumiem, co jeszcze tu robisz?

Zamrugnęła i pokiwała żałośnie głową, po czym odwróciła się by odejść.

-Nie!- odwrócił ją. – Nie odchodź. To wszystko dlatego, że ty nigdy.....że my nigdy....nie zaszliśmy aż tak daleko. – Zamknął oczy. – Możesz powiedzieć to jeszcze raz?- zapytał, prawie nieśmiało. – Możesz mi powiedzieć.....czym jestem?

- Jesteś aniołem. – powoli powtórzyła, zaskoczona tym, że Daniel zamknął oczy i jęknął, zupełnie tak, jakby się całowali. – Zakochałam się w aniele. – teraz to ona chciałaby zamknąć oczy i jęknąć. Pochyliła swoją głowę. – Ale w moich snach, twoje skrzydła.....

Gwałtowny, gorący wiatr omiół ich bokiem, praktycznie wyrwijąc Luce z ramion Daniela. Osłonił jej ciało swoim własnym. Chmura cieni – szarańczy, zadomowiła się na koronie drzewa, poza cmentarzem i skwierczała między gałęziami. Teraz urosły w wielką masę.

- O Boże. – wyszeptała Luce. – Muszę coś zrobić. Muszę je powstrzymać.....

- Luce. – Daniel pogładził ją po policzku. – Spójrz na mnie. Nie zrobiłaś nic złego. I nic nie możesz zrobić.....- wskazał na drzewo - z tym.- potrząsnął swoją głową. – Dlaczego kiedykolwiek pomyślałaś, że to ty jesteś winna?

- Bo.... – zaczęła. -....przez całe moje życie widzę te cienie.....

- Powinienem był coś zrobić, kiedy zdałem sobie z tego sprawę, w zeszłym tygodniu nad jeziorem. Ale po raz pierwszy w życiu je widziałas – i to mnie przeraziło.

- Skąd możesz wiedzieć, że to nie jest moja wina?- zapytała, myśląc o Todd' ie i Trevorze. Cienie zawsze przychodziły do niej przed tym, kiedy działo się coś strasznego.

Pocałował jej włosy. – Cienie, które widzisz, nazywają spikerami. Wyglądają przerażająco, ale nie mogą cię skrzywdzić. Do ich obowiązków należy rozeznanie w sytuacji po czym zdanie raportu komuś innemu. Plotkarze. Demoniczne wersje klik dziewcząt w liceach.

- Ale co z tymi?- wskazała na drzewa, wzdłuż obrzeży cmentarza. Ich masa falowała, przygnieciona przez ciężką, roztaczającą się ciemność. Daniel patrzył na nie ze spokojem.

- Te cienie, zostały wezwane przez spikerów. Do walki.

Ręce i nogi Luce stały się zimne ze strachu. – Co...hmmm.....co to będzie za walka?

- Jedna z tych dużych. – powiedział po prostu, unosząc podbródek. – Ale teraz tylko się popisują. Wciąż jeszcze mamy czas.

Za nimi, dobiegł ich kaszel, na którego dźwięk, Luce podskoczyła. Daniel pochylił się na powitanie pani Sophii, która stała w cieniu mauzoleum. Włosy wysunęły jej się spod spinki, wyglądając dziko i niesfornie, zupełnie jak jej oczy. Ktoś inny zrobił krok do przodu i wyszedł zza pani Sophii. Penn. Ręce miała wepchnięte w kieszenie swojej marynarki. Wciąż miała czerwoną twarz, a linia jej włosów była mokra od potu. Wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: Nie wiem, co się do cholery dzieje, ale nie mogłam cię tak po prostu opuścić.

Mimo wszystko, Luce uśmiechnęła się do siebie. Pani Sophia zrobiła krok przed siebie i wyciągnęła książkę. – Nasza Lucinda prowadziła swoje własne poszukiwania.

Daniel potarł linię szczęki. – Czytałaś te stare dzieje? Nie powinienem był tego pisać. – brzmiał prawie nieśmiało – ale Luce ułożyła kolejny kawałek układanki na swoim miejscu.

- Ty to napisałeś. – powiedziała.- Rysunki na marginesach. I wkleiłeś nasze zdjęcie.

- Znalazłaś zdjęcie? – powiedział Daniel z uśmiechem na twarzy, ściskając ją mocniej, jakby wzmianka o zdjęciu przywróciła wspomnienia. – Oczywiście.

- Trochę czasu mi zajęło, kiedy to zrozumiałam, ale kiedy zobaczyłam nas szczęśliwych na zdjęciu, coś się we mnie otworzyło. I już wiedziałam.

Owinęła ręce wokół jego szyi i przyciągnęła jego twarz do swojej, nie przejmując się tym, że pani Sophia i Penn były blisko. Kiedy usta Daniela dotknęły

jej własnych, cały okropny cmentarz zniknął – stare nagrobki, ognisko cieni, szperające w drzewach, a nawet księżyc i gwiazdy.

Pierwszy raz, kiedy zobaczyła zdjęcie z Helston, przeraziło ją to. Pomysł tych wszystkich jej istnieć – był po prostu zbyt duży, by mogła go znieść. Ale teraz, w ramionach Daniela, czuła, że one wszystkie jakby współpracują ze sobą, ogromne konsorcjum Lucind, które kochały tego samego Daniela, wciąż i wciąż od nowa. Było w tym tyle miłości- którą po prostu wyrzuciła z siebie, wylewała się z jej ciała, wypełniając przestrzeń między nimi. I przypomniała sobie jego słowa, które wypowiedział, kiedy ostatni raz patrzyli na cienie: że nie zrobiła nic złego. Że było powodów do tego, by czuła się winna. Czy to może być prawda? Czy była niewinna w związku ze śmiercią Trevora i Todd'a, tak jak zawsze myślała? W momencie, kiedy zapytała siebie samą o to, wiedziała, że Daniel powiedział jej prawdę. I poczuła się tak, jakby się obudziła z długiego, złego snu. Nigdy już nie będzie się czuła jak dziewczyna z obciętymi włosami i czarnymi, obszernymi ubraniami. Nigdy więcej bezustannego schrzaniania, strachu przed ohydny cmentarzem czy zatrzymania w reformowanej szkole, choćby i z dobrego powodu.

- Daniel. – powiedziała, poluzowując swoje objęcia tak, by mogła na niego spojrzeć. – Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałeś, że jesteś aniołem? Po co ta gadka z byciem przeklętym? – Daniel patrzył na nią nerwowo. – Nie jestem zła. – zapewniła go. – Tylko ciekawa.

- Nie mogłem ci powiedzieć. – powiedział. – Wszystko jest ze sobą powiązane. Do tej pory, nie wiedziałem nic o twoich własnych odkryciach. Jeśli powiedziałbym ci zbyt szybko, w niewłaściwym czasie, mogłabyś odejść i znów musiałbym czekać. A musiałem czekać już tak długo.

- Jak długo?- zapytała Luce.

- Nie na tyle długo, by zapomnieć o tym, że jesteś warta wszystkiego. Każdej ofiary. Każdego bólu. – Daniel zamknął oczy na chwilę, po czym je otworzył i spojrzał na panią Sopię i Penn.

Penn siedziała, plecami oparta o omszały, czarny nagrobek. Obejmowała swoje kolana i obgryzała paznokcie. Pani Sophia stała z rękoma położonymi na biodrach. Wyglądała tak, jakby miała coś do powiedzenia. Daniel cofnął się o krok i Luce poczuła zimny powiew wiatru między nimi.

- Wciąż boję się, że w każdej minucie możesz....

- Daniel!- pani Sophia zawołała z wyrzutem. Daniel machnął na nią.

- Nasze bycie razem, nie jest takie, jakie chciałabyś żeby było.

- Oczywiście, że nie jest. – powiedziała Luce. Mam na myśli to, że ty jesteś aniołem, ale teraz już o tym wiem....

- Lucinda Price. – tym razem obiektem złości pani Sophii stała się Luce. – Nie chcesz wiedzieć tego, co on ma ci do powiedzenia. – ostrzegała.- A ty Danielu, nie masz prawa. To ją zabije.....

Luce potrząsnęła głową, zdezorientowana wnioskami pani Sophii.

- Myślę, że jestem w stanie przeżyć odrobinę prawdy.

- To nie jest odrobina prawdy.- powiedziała pani Sophia, podchodząc do nich i wzmacniając swoją pozycję między nimi. – A ty tego nie przeżyjesz. Przez tysiąc lat od upadku, nie przeżyłaś tego ani razu.

- Daniel, o czym ona mówi? – Luce próbowała dosięgnąć ręki pani Sophii, ale bibliotekarka się odsunęła. – Nie wytrzymam tego. – powiedziała, czując jak żołądek skręca się jej z nerwów. – Nie potrzebuję więcej sekretów. Ja go kocham.

Po raz pierwszy wypowiedziała te słowa do kogokolwiek na głos. Żał jej było tylko tego, że te trzy najważniejsze słowa skierowała do pani Sophii, a nie do Daniela. Odwróciła się do niego. Jego oczy błyszczały.

- Naprawdę. – powiedziała. – Kocham cię.

Klask.

Klask. Klask

Klask. Klask. Klask. Klask.

Powolny, głośny aplauz dobiegł ich zza drzew. Daniel oderwał się i obrócił w stronę lasu, usztywniając swoją postawę tak, że Luce poczuła jak wylewa się z niej strach, czując się zakorzeniona w przerażeniu przed tym, co Daniel -przestraszony- zobaczył w cieniu, a czego ona jeszcze nie widziała.

-Och, brawo. Brawo. Naprawdę. Czuję się wzruszony do głębi duszy – co z przykrością muszę powiedzieć, nie zdarzało mi się w ostatnich dniach zbyt często.

Cam wyszedł z cienia. Jego oczy były otoczone grubą, złotą obwódką, która błyszczała na jego twarzy w swe tle księżycy, sprawiając że był podobny do dzikiego kota.

- To takie niewiarygodnie słodkie.- powiedział. – I on też cię kocha, - prawda kochasiu? Czyż nie Danielu?

- Cam. – ostrzegwał Daniel. – Nie rób tego.

- Czego? – zapytał Cam, unosząc lewą rękę w powietrzu. Strzelił palcami i mały ogień, wielkości zapalki, zapalił się w powietrzu, nad jego ręką. – Masz na myśli to?

Echo jego pstrykających palców zdawało się utrzymywać, jakby odbijało się od grobów na cmentarzu coraz głośniej, mnożąc się i odbijając tam i z powrotem. W pierwszym momencie, Luce wydawało się, że były to oklaski, jakby demoniczne audytorium klaskało szyderczo w ciemności z powodu miłości Daniela i Luce, w taki sam sposób, jaki robił to Cam. Ale potem przypomniała sobie dudniący trzepot skrzydeł, który słyszała wcześniej. Wstrzymała swój oddech, na dźwięki tych tysięcy uderzeń mknących w ciemności. Rój szarańczy – w kształcie cieni- zniknął w lesie, po czym wzniósł się ponownie nad ich głowami.

Ich bębnienie było tak głośne, że Luce przysłoniła swoje uszy. Na ziemi, Penn siedziała z głową między kolanami. Pani Sophia i Daniel ze stoickim

spokojem patrzeli w niebo, przyglądając się jak kakofonia rośnie i się zmienia. Cienie zaczęły brzmieć niczym bardzo głośne zraszacze.....albo raczej jak syczenie tysięcy węży.

- Czy to? – zapytała Cam, wzruszając ramionami tak, że ohydna, bezkształtna ciemność usadowiła się wokół niego.

Każdy insekt zaczął rosnąć i rozwijać się, stając się coraz większym, niż jakikolwiek owad mógłby być, ociekając jakby klejem i dzieląc swoje ciało na szereg segmentów. Potem jakby dokładnie wiedziały jak używać swoich nowych kończyn, uniosły się na nogach i podeszły bliżej, wyglądając niczym modliszki wielkości człowieka. Cam z zadowoleniem patrzył jak roilo się od nich wokół niego. Wkrótce tworzyły już ogromna armię wcielonego zła, tuż za Cam'em.

- Wybacz. – powiedział Cam, uderzając się dłonią w czoło. – Powiedziałeś, żebym nie robił tego?

-Daniel. – wyszeptała Luce. – Co się dzieje?

- Dlaczego koniec nazywasz rozejmem?- zapytał Daniel Cam'a.

- Och, cóż, wiesz co mówią o aktach desperacji. – zadrwił Cam. – A patrzeć jak oblepiasz jej ciało tymi swoimi anielskimi pocałunkami.....sprawia, że czuję się jak desperat.

- Zamknij się Cam!- krzyknęła Luce, nienawidząc się za to, że kiedykolwiek pozwoliła, żeby ją dotknął.

- W samą porę.- Cam wyrócił oczami. -O tak, będziemy się bid, kochanie. O ciebie. Znowu. – potarł swoją brodę i zmrużył zielone oczy. – I myślę, że tym razem będzie to większa bójka. Z kilkoma ofiarami. Ale damy radę.

Daniel otoczył Luce ramionami. – Powiedz mi dlaczego Cam? Tak bardzo mnie winisz?

- Wiesz dlaczego. – odezwał się Cam, wskazując na Luce. – Ona wciąż tu jest. Ale to nie potrwa długo.

Położył ręce na biodrach, a szereg gęstych, czarnych cieni, teraz w kształcie grubych węży, prześlizgiwało się wzdłuż jego ciała, otaczając jego ręce niczym bransoletki. Cam pogłaskał czule jedną z największych głów.

- I tym razem, kiedy wasza miłość zamieni się w ten tragiczny obłoczek popiołu, to będzie już na dobre. Zobacz, wszystko się zmieniło tym razem. – Cam się rozpromienił, a Luce poczuła jak Daniel drżał przez chwilę. – Z wyjątkiem tej jednej rzeczy, wszystko będzie tak samo – mam słabość do twojej przewidywalności, Grigori.

Cam zrobił krok do przodu. Jego cień – jego legion zrobił to samo, co sprawiło, że Luce, Daniel, Penn i pani Sophia cofnęli się do tyłu.

- Boisz się. – powiedział Cam, wskazując dramatycznie na Daniela. – Bo ja nie.

- To dlatego, że ty nie masz nic do stracenia. – Daniel splunął. – Nigdy nie

będę się z tobą targował.

- Hmmmm. – powiedział Cam, stukając się po brodzie. – To się jeszcze zobaczy. – spojrzał w około, uśmiechając się szeroko. – Czy muszę do ciebie literować? Tak. Myślę, że tym razem możesz mieć do stracenia coś więcej. Coś co sprawi, że unicestwienie jej, będzie znacznie przyjemniejsze.

- O czym ty mówisz? – zapytał Daniel.

Po lewej stronie Luce, pani Sophia otworzyła swoje usta i wydała z siebie serię dzikich odgłosów. Machnęła wściekle rękoma nad głową drżącym, tanecznym ruchem. Oczy miała prawie przejrzyste, jakby była w jakimś transie. Jej usta drgnęły, a Luce sobie uzmysłowała z przerażeniem, że pani Sophia mówi jakby wieloma głosami.

Daniel chwycił panią Sophię za rękę i nią potrząsnął. – Nie, miałaś absolutną rację: To wszystko nie ma sensu. – wyszeptał, podczas gdy do Luce docierało, że Daniel rozumiał dziwny język pani Sophii.

- Wiesz co ona mówi?- zapytała Luce.

- Pozwala nam się zrozumieć. – znajomy głos krzyczał z dachu mauzoleum. Arriane. A obok niej Gabbe. Zdawały się być oświetlane od tyłu i pokrywał je dziwny srebrzysty blask. Zeskoczyły z krypty, lądując bezdźwięcznie obok Luce.

- Cam ma rację, Danielu. – powiedziała szybko Gabbe. – Tym razem coś się zmieniło....coś co dotyczy Luce. Krąg mógł zostać przerwany – ale nie w sposób, którego byśmy chcieli. Chodzi mi o to....że to może być koniec.

- Czy ktoś może mi powiedzieć, o czym wy mówicie? – powiedziała Luce, wtrącając się. – Co się zmieniło? Jakie przerwanie? W każdym bądź razie, co jest stawką w tej walce?

Daniel, Gabbe i Arriane patrzyli na nią przez chwilę jakby próbowali ją sobie przypomnieć, jakby skądś ją znali, ale ona zmieniła by się całkowicie tak, że teraz nie rozpoznają jej twarzy.

W końcu Arriane przemówiła. – Stawka?- potarła blizny na szyi. – Jeśli oni wygrają- rozpęta się piekło na ziemi. To będzie koniec świata, taki jaki każdy zna.

Czarne kształty piszczwały wokół Cam'a walcząc i rzucając się na siebie, w jakimś chorym, diabelskim motłochu.

- A jeśli my wygramy?- Luce z trudem wydobyła z siebie te słowa.

Gabbe przełknęła, a potem powiedział poważnie. – Jeszcze nie wiemy.

Daniel nagle odsunął się niepewnie od Luce, wskazując teraz na nią.

- Ona...ona nie powinna....- wyjąkał, zasłaniając usta. – Pocałunek. – powiedział w końcu, wzmacniając uścisk na ramieniu Luce. – Książka. To dlatego możesz....

- Przejdźmy do części B, Danielu. – podpowiedziała Arriane. – Myśl szybciej. Cierpliwość jest cnotą, ale wiesz co Cam na ten temat myśli.

Daniel ścisnął dłoń Luce. – Musisz iść. Musisz stąd uciekać.

- Co? Dlaczego?

Luce spojrzała na Arriane i Gabbe, szukając u nich pomocy, ale potem oddaliła się od nich, kiedy chmara srebrnych iskier zaczęła unosić się nad dachem mauzoleum. Niczym niekończący się strumień świetlików, uwolniony z ogromnego, kamiennego słoju. Opadły na Arriane i Gabbe sprawiając, że ich oczy zaczęły błyszczeć. To przypomniało Luce o fajerwerkach- i o jednym 4 lipca, kiedy światła były takie same, a ona spojrzała w oczy swojej matki i zobaczyła odbijające się w nich fajerwerki, rosnące srebrzyste światła, jak gdyby oczy jej matki były lustrem.

Tylko że te błyski nie znikwały stopniowo w dymie z fajerwerków. Kiedy uderzały o trawnik cmentarza to wdzięcznie kwitły, stając się mieniącymi postaciami. Nie były to dokładnie ludzkie kształty, ale były mgliście rozpoznawalne. Wspaniałe, jarzące się promienie światła. Były to stworzenia tak olśniewające, że Luce dokładnie wiedziała, że są to wojska anielskiej siły, równe wielkości i liczbie mrocznych sił Cam'a. To właśnie tak wyglądało prawdziwe piękno i dobro – spektralne, majestatyczne stworzenia, tak czyste, że patrzenie na nie bolało, to jakby najbardziej chwalebne zaćmienie, albo same niebo. Powinna czuć się komfortowo, stojąc z boku, patrząc jak zwyciężają w tej walce. Ale zaczynała czuć się chora.

Daniel przesunął wierzchem dłoni po jej policzku. – Ona jest rozpalona.

Gabbe poklepała Luce po ramieniu i posłała jej promienny uśmiech. – Już dobrze złotko. – powiedziała, odciągając od Luce dłoń Daniela. Jej słowa były w jakiś sposób pocieszające. – My się tym zajmiemy. Ale ty musisz stąd iść. – spojrzała na chordy ciemności za Cam'em. – Teraz.

Daniel przyciągnął Luce do siebie w ostatnim uścisku.

- Ja się nią zajmę. – zawołała głośno pani Sophia. Wciąż miała książkę pod pachą. – Znam bezpieczne miejsce.

- Idź. – powiedział Daniel. – Znajdę was tak szybko jak będę mógł. Obiecay mi tylko, że odejdziesz stąd i nie będziesz się oglądać za siebie.

Luce miała tak wiele pytań. – Nie chce cię zostawiać.

Arriane stanęła między nimi i po raz ostatni szorstko pchnęła Luce w kierunku bram. – Wybacz Luce. – powiedziała. – Czas zostawić tą walkę nam. Jesteśmy pewnego rodzaju profesjonalistami.

Luce poczuła jak ręka Penn wsuwa się w jej własną, kiedy tylko zaczęły biec. Biegły w stronę bram cmentarza tak szybko, jak Luce zbiegała w dół, żeby znaleźć Daniela. Wracały po wyłożonej ściółką, śliskiej ścieżce. Biegły pomiędzy wystrzępionymi gałęziami dębów i walącymi się rzędami zniszczonych nagrobków. Przeskakiwały nad kamieniami i biegły w górę stoku, zmniejszając dystans między nimi a kutymi bramami. Gorący wiatr wiał im we włosy, a bagniste powietrze grzęzło im w płucach. Luce nie mogła znaleźć księżycy, by mógł je

poprowadzić, a światło dobiegające z centrum cmentarza zniknęło. Nie rozumiała co się dzieje. W ogóle. I nie podobało jej się to, że wszyscy inni wiedzieli.

Zasłona ciemności dotknęła tuż przed nią ziemi, rozłamując ją i otwierając poszarpany wąwóz. Luce i Penn wpadły w poślizg, zatrzymując się w ostatniej chwili. Rozejście było takie szerokie, jak wysoka była Luce i głębokie....no cóż, nie było widać końca tego ciemnego dołu. Jego krawędzie pienily się i skwierczały. Penn dyszała.

-Luce. Boje się.

- Za mną dziewczęta. – zawołała pani Sophia.

Prowadziła je na prawo, pośród ciemnych grobów, podczas gdy za nimi rozlegał się wybuch za wybuchem. – To tylko odgłosy bitwy. – sapnęła, jak jakiś dziwny przewodnik wycieczki. – Obawiam się, że tak będzie przez jakiś czas.

Luce krzywiła się przy każdym potknięciu, ale wciąż parla do przodu, dopóki nie zapłonęły jej łydki z bólu. Tuż za nią, Penn zawodziła. Luce odwróciła się i zobaczyła jak jej przyjaciółka się potyka, a jej oczy cofają się do tyłu głowy.

- Penn! – krzyknęła Luce, wyciągając ręce by ją złapać, zanim upadnie. Czule położyła ją na ziemi i obróciła. Zaczęła żałować, że to zrobiła. Ramię Penn zostało odcięte przez coś czarnego i postrzępionego. To coś wgrzyzło się w jej skórę, pozostawiając linie zwęglonego ciała, które pachniało jak pieczone mięso.

- Czy to źle wygląda? – zapytała Penn ochryple. Zamrugwała szybko, wyraźnie sfrustrowana tym, że nie jest w stanie podnieść głowy, by sama się zobaczyć.

- Nie. – Luce skłamała, potrząsając głową. – To tylko rozcięcie. – Przełknęła głośno ślinę, chcąc połknąć również swoje nudności, które u niej wzrastały i zaczęły nią szarpać, kiedy ciągnęła za poszarpany rękaw Penn. – Czy sprawiam ci tym ból?

- Nie wiem. – sapała Penn. – Nic nie czuję.

- Dziewczynki, co was zatrzymało? – pani Sophia podeszła do nich. Luce spojrzała na panią Sophię, chcąc jej powiedzieć, by nie mówiła Penn, jak źle to wygląda. I nie powiedziała. Posłała Luce szybkie skinienie, a następnie wsunęła ręce pod Penn i podniosła ją jak dziecko, które jest zanoszone przez rodziców do łóżka. – Mam cię. – powiedziała. – To nie będzie trwało długo.

- Hej, - Luce podążyła za panią Sophią, która uniosła Penn, jakby była torbą z piórami. – Jak pani....

- Żadnych pytań, dopóki nie znajdziemy się daleko stąd.- powiedziała pani Sophia.

Daleko stąd. Luce nie chciała być daleko od Daniela. A po tym jak przekroczyły bramy cmentarza i stanęły na równym terenie dziedzińca, Luce już nic na to nie mogła poradzić. Obejrzała się za siebie. I natychmiast zrozumiała, dlaczego Daniel kazał jej tego nie robić.

Obracająca się srebrno złota kolumna ognia buchała w ciemności, pośrodku cmentarza. Była tak szeroka, jak sam cmentarz, oplatając światłem setki stóp do góry, doprowadzając do wrzenia chmury. Czarne cienie dłubały w świetle, czasem je rozdierając i odciągając kosmyki, porywały je w ciemność, wrzeszcząc. Niczym rozwijane nicie, raz srebrne, raz złote, jeden akord dźwięku zaczął wypełniać powietrze. Dźwięk był tak wielki i nieskończony, jak głośny i potężny wodospad. Cichy dźwięk zagrział w ciemności. Wysokie dzwonienie wypełniło przestrzeń wokół nich. To była najpiękniejsza, najbardziej doskonała, niebiańska harmonia, jaką ziemia słyszała. To było zarazem piękne i przerażające i wszystko śmierdziało siarką.

Wszyscy w promieniu kilkudziesięciu kilometrów, musieli wierzyć, że to jest koniec świata. Luce nie wiedziała, co o tym myśleć. Jej serce odmawiało posłuszeństwa. Daniel powiedział jej, żeby się nie oglądała za siebie, bo wiedział, że taki widok sprawi, że będzie chciała wrócić do niego.

- O, nie, nie. – powiedziała pani Sophia, chwytając Luce za kark i ciągnąc ją w stronę kampusu. Kiedy dotarły do siłowni, Luce zdała sobie sprawę z tego, że pani Sophia trzyma Penn jedną ręką.

- Czym pani jest? – zapytała Luce, kiedy pani Sophia pchała ją przez podwójne drzwi.

Bibliotekarka wyciągnęła klucz z kieszeni swojego obszytego koralikami, czerwonego sweterka i wsunęła go do ceglastej ściany, która nie wyglądała na drzwi. Otworzyły drzwi od klatki schodowej w milczeniu, ale potem pani Sophia gestem dłoni wskazała, by Luce zeszła przed nią po schodach. Penn miała oczy zamknięte. Była albo nieprzytomna, albo czuła zbyt duży ból, by je otworzyć. Tak czy inaczej, zachowywała się niezwykle cicho.

- Gdzie idziemy? – zapytała Luce. – Musimy się stąd wydostać. Gdzie ma pani samochód? - nie chciałyby wystraszyć Penn, ale musiały się dostać do szpitala. I to szybko.

- Cicho, jeśli wiesz co jest dobre dla ciebie. – pani Sophia spojrzała na ramię Penn i westchnęła. – Idziemy do jedynej Sali w tym miejscu, która nie została zbezczeszczona przez sprzęt sportowy. I będziemy tam same.

Przez cały ten czas Penn pojękiwała w ramionach pani Sophii. Krew z jej ramienia sączyła się grubym, czarnym strumieniem na marmurową posadzkę. Luce spojrzała na strome schody. Nie była w stanie zobaczyć ich końca.

- Myślę, że dla dobra Penn, powinniśmy się tu zatrzymać. Będziemy potrzebować szybko pomocy.

Pani Sophia westchnęła i położyła Penn na schodach, szybko wtykając klucz do zamka drzwi, przez które dopiero co przeszły. Luce padała na kolana przed Penn. Jej przyjaciółka wyglądał tak drobnie i krucho. W przyćmionym świetle, pochodzącym z żyrandola kutego w żelazie, mogła teraz zobaczyć jak źle

wyglądają rany Penn.

Penn była jedyną przyjaciółką, jaką miała w Sword & Cross i z którą znajdowała wspólny język. Jedyną, przez którą nie była zastraszana. Luce bowiem widziała kilka razy do czego Arriane, Gabbe i Cam byli zdolni i to miałyby sens.

Ale jedna rzecz nie miała żadnego sensu: Penn była jedynym dzieckiem w Sword & Cross, takim jak Luce. Z wyjątkiem tego, że Penn była silniejsza niż Luce. Mądrzejsza, szczęśliwsza i mniej fraszobliwa. Była jedynym powodem tego, że Luce udało się przeżyć jakoś te pierwsze tygodnie w reformowanej szkole. Bez Penn, kto wie, jak skończyła by Luce?

-Och Penn, - westchnęła. – Wyzdrowiejesz. Naprawimy to wszystko.

Penn mruknęła coś niezrozumiałego, co sprawiło, że Luce się zdenerwowała. Odwróciła się w kierunku pani Sophii, która zamykała wszystkie okna w holu, jedno po drugim.

- Traci szybko przytomność. – powiedziała Luce. – Musimy wezwać lekarza.

- Tak, tak. – powiedziała pani Sophia, ale wyglądała na czymś pochłoniętą. Wyglądało to tak, jakby chciała pozamykać cały budynek przed cieniami z cmentarza, które właśnie były w drodze do nich.

-Luce? – wyszeptała Penn. – Boję się.

- Nie musisz. – Luce ścisnęła jej rękę. – Jesteś taka dzielna. Przez cały ten czas, byłaś filarem wytrzymałości.

- Daj spokój. – powiedziała z za niej pani Sophia głosem, jakiego wcześniej Luce u niej nie słyszała. – Jest słupem soli.

- Co? – zapytała zdezorientowana Luce. – Co to ma znaczyć?

Pani Sophia zmrużyła oczy w cienkie, czarne szparki. Jej twarz pokryła się zmarszczkami i przejmująco potrząsnęła głową. Następnie, bardzo powoli, z rękawą jej swetra wysunął się srebrny sztylet.

- Ta dziewczyna tylko nas spowalnia.

Luce otworzyła szeroko oczy, patrząc jak pani Sophia unosi sztylet nad głowę. Oszołomiona Penn, nie zorientowała się co się dzieje, ale Luce na pewno była wszystkiego świadoma.

-Nie! – krzyknęła, doskoczyła do ramienia pani Sophii, by ją powstrzymać. Ale bibliotekarka doskonale wiedziała co robi i zablokowała ręce Luce, przesuwając ją na bok wolną ręką i przesuwając nożem po gardle Penn.

Penn chrząknęła i kaszlnęła, jej oddech zamieniał się z rżeniem. Jej oczy uniosły się do góry, jakby o czymś myślała. Ale ona nie myślała o niczym, ona umierała. Na koniec jej oczy spotkały się z oczami Luce. Potem jej oddech powoli ucichł.

- Nieprzyjemne, ale niezbędne. – powiedziała pani Sophia, wycierając ostrze w czarny sweter Penn.

ROZDZIAŁ 19



POZA ZASIĘGIEM WZROKU

Na szczycie schodów znajdował się płaski mur. Jeden ze ślepych zaułków, które sprawiały, że Luce miała klaustrofobię. Ale ten był znacznie gorszy, bo do tego dotarła z nożem przy gardle. Obejrzała się śmiało za siebie na strome schody, po których weszły. Stąd, upadek z nich wyglądał na bardzo długi i bolesny.

Pani Sophia zaczęła znów mówić wieloma głosami, mruczając coś pod nosem, jakby w ten sposób uławiała sobie otworzenie kolejnych ukrytych drzwi. Popchnęła Luce w głąb małej kaplicy i zamknęła za sobą drzwi. W środku było zimno i pachniało pyłem kredowym. Luce starała się złapać oddech, przetykając ohydną żółtą ślinę, która zebrała się w jej ustach.

Penn mogłaby teraz żyć. Te wszystkie rzeczy mogły się po prostu nie wydarzyć. Pani Sophia nie może być zła. Daniel powiedział, że ma do niej zaufanie. Powiedział, żeby poszła z nią, dopóki on po nią nie przyjdzie....

Pani Sophia nie poświęcała Luce żadnej uwagi, przechadzając się po pokoju i zapalając świecę po świecy, klękała przy każdej z nich i śpiewała coś w języku, którego Luce nie знаła. Świece w mgnieniu oka rozświetliły kaplicę, która była czysta i dobrze utrzymana, co oznaczało, że nie upłynęło zbyt dużo czasu, odkąd był tu ktoś ostatnio. Ale zapewne pani Sophia była jedyną, która miała klucz do ukrytych drzwi? Kto jeszcze wie, że to miejsce w ogóle istnieje?

Czerwone kafelki, które pokrywały sufit, były pochylone i nierówne. Wielkie, wyblakłe obrazy rozciągały się na ścianach, przedstawiając obrzydliwe wizerunki pół ludzi pół rybich istot, które walczyły ze sobą w pniącym się morzu. Na środku kaplicy stał niewielki ołtarz i kilka rzędów prostych, drewnianych ławek stojących na szarej, kamiennej podłodze. Luce rozejrzała się gorączkowo w poszukiwaniu wyjścia, ale w środku nie było żadnych okien ani innych drzwi. Nogi jej drżały z gniewu i lęku. Była w agonii z powodu Penn, zdradzonej i porzuconej na schodach.

- Dlaczego pani to robi?- zapytała Luce, kierując się do łukowatych drzwi kaplicy. – Ufałam pani.

- To tylko twoja wina, kochanie. – powiedziała pani Sophia wykręcając do tyłu ramię Luce. Przyłożyła z powrotem sztylet do jej szyi i pokierowała ją do ołtarza. – W najlepszym wypadku, zaufanie prowadzi do nieostrożności. W najgorszym, to doskonały sposób by popełnić samobójstwo.

Pani Sophia pchnęła Luce w kierunku ołtarza. – A teraz moja droga, możesz się położyć?

Z powodu tego, że nóż wciąż był zbyt blisko jej szyi, Luce zrobiła to, czego sobie życzyła pani Sophia. Poczowała chłód na karku, więc sięgnęła do tego miejsca ręką, a kiedy ją opuściła zobaczyła, że ma na palcach kropeczki krwi, pochodzące z miejsca w którym nóż stykał się ze skórą. Pani Sophia uderzyła ją w rękę.

- Myślisz, że to źle wygląda, to żałuj, że nie widzisz tego, co dzieje się na zewnątrz. – powiedziała, przyprawiając Luce o dreszcze. Daniel był na zewnątrz.

Ołtarz znajdował się na kwadratowym, białym podium, złożony z jednej płyty, nie większej niż sama Luce. Poczowała chłód i rozpaczliwe obnażenie, kiedy wyobraziła sobie, jak ławki wypełniają się mrocznymi widzami, którzy przyszli by zobaczyć jak będzie torturowana.

Patrząc w górę, zobaczyła, że jednak było jakieś okno w tej jamistej kaplicy, duża, witrażowa, rozeta, niczym świetlik w suficie. Miała skomplikowany, geometryczny wzór kwiatowy z czerwonymi i purpurowymi różami na granatowym tle. Jednak dla Luce byłaby zdecydowanie ładniejsza, gdyby zdradzała to, co działo się na zewnątrz.

-Zobaczmy, gdzie ja to.....ach, tak. – pani Sophia sięgnęła pod ołtarz i wyciągnęła grubą linę. – Nie ruszaj się teraz. – powiedziała, wymachując nożem przed Luce. Potem zaczęła ją przywiązywać do czterech otworów wywierconych w ołtarzu. Najpierw kostki u nóg, a następnie każdy z nadgarstków. Luce starała się nie wrywać, kiedy była przywiązywana, jak jakaś ofiara. – Doskonale. – powiedziała pani Sophia, zawiązując skomplikowane, ale profesjonalne węzły.

- Pani to wszystko zaplanowała. – przerażona Luce, zdała sobie właśnie z tego sprawę.

Pani Sophia uśmiechnęła się szeroko, zupełnie jak pierwszego dnia, kiedy Luce zobaczyła ją w bibliotece.

- Chciałabym móc powiedzieć, że to nic osobistego, Lucindo, ale tak właściwie, to takie jest. – zarechotała. – Czekałam długo na ten moment, kiedy będę z tobą sam na sam.

- Dlaczego? – zapytała Luce. – Czego pani ode mnie chce?

- Od ciebie, ja cię muszę wyeliminować. – powiedziała pani Sophia.- Dlatego, żeby uwolnić Daniela.

Zostawiła Luce na ołtarzu i przeniosła się do mównicy, w pobliżu stóp Luce. Wyciągnęła książkę Grigori'ch i położyła na niej, zaczynając wertować stronami. Luce wróciła myślami do momentu, kiedy po raz pierwszy otworzyła tę książkę i zobaczyła swoją twarz blisko Daniela. To wtedy uderzyło w nią to, że jest on aniołem. Wiedziała, była prawie pewna patrząc na zdjęcie, że ona i Daniel mogą być razem. A teraz poczuła, że to możliwe.

- Leżysz tam i mdlejesz z zachwytu nim, prawda?- zapytała pani Sophia.

Zamknęła z trzaskiem książkę i uderzyła w nią pięścią. – To dokładnie jest problemem.

- Co z panią nie tak? – Luce napięła liny, przywiązujące ją do ołtarza. – Co panią obchodzi to co z Danielem czujemy do siebie? – ta psychopatka nie miała nic z nimi wspólnego.

- A ja chciałabym wiedzieć, jaki był zamysł Tego, który oddał los nasz wszystkich w ręce jednej zakochanej pary dzieciaków, co było genialnym pomysłem. – uniosła pięści w powietrze i potrząsnęła nimi. – Chcą żeby przeważała się szala. No to im pokaże jak to zrobić. – pokazała na sztylet, który się błyszczał w blasku świec.

Luce odwróciła wzrok od ostrza. – Jest pani szalona.

- Jeśli pragnienie wygrania ostatecznej, najdłuższej, największej bitwy jaka kiedykolwiek się odbyła, czyni mnie szaleńcem...- ton głosu pani Sophii dawał Luce do zrozumienia to, że jest tępą, skoro jeszcze tego nie zrozumiała. -niech i tak będzie.

Pomysł tego, że pani Sophia mogłaby mieć coś do powiedzenia w tej niekończącej się bitwie, nie mogła się przebić do umysłu Luce. Daniel walczył w tej bitwie, tam na zewnątrz. To co się dzieje tutaj, nie może się równać z tym, że mimo wszystko pani Sophia przeszła na drugą stronę.

- Powiedziały, że rozpęta się piekło na ziemi. – wyszeptała Luce. – Koniec końców. – pani Sophia zaczęła się śmiać.

- Wydaję się, że twój koniec zaraz nastąpi. Jesteś taka zdumiona tym, że jestem jedną z tych dobrych, Lucindo?

- Jeśli jest pani po tej dobrej stronie... - wyrzuciła Luce. - ...to to wszystko nie brzmi tak, jakby wojna była warta tego, by w niej walczyć.

Pani Sophia uśmiechnęła się, jakby czekała aż Luce to powie.

- Twoja śmierć może być kopniakiem, jakiego Daniel potrzebuje. Malutki kopniaczek w dobrym kierunku. – Luce zaczęła się wid na ołtarzu.

- Pani...pani mnie nie skrzywdzi. – pani Sophia podeszła do niej i przybliżyła do niej swoją twarz. Sztuczny zapach proszku dla niemowląt, wypełnił nos Luce, zatykając ją niczym knebel.

- Oczywiście, że to zrobię. – powiedziała pani Sophia, kołysząc swoimi niedbale spiętymi włosami. – Jesteś ludzkim odpowiednikiem migreny.

- Ale ja wrócę. Daniel mi to powiedział. – Luce przełknęła ślinę. – Za siedemnaście lat.

- O, nie, nie wrócisz. Nie tym razem. – powiedziała pani Sophia. – Pierwszego dnia, kiedy cię zobaczyłam w bibliotece, coś widziałam w twoich oczach, ale nie potrafiłam do niczego tego przypiąć. – uśmiechnęła się do Luce. – Spotykałam cię wiele razy Lucindo, i przez większość czasu, byłaś po prostu nudna.

Luce zeszywniała, czując się tak obnażona, jakby leżała naga na ołtarzu. To była jedna z rzeczy, która łączyła ją z Danielem, to że spotykał ją w jej innych życiach – ale inni też ją spotykali?

- Tym razem...- pani Sophia kontynuowała. - ..miałaś jakąś przewagę. Prawdziwą iskrę. Ale tak było do dzisiejszej nocy. To takie piękne potknięcie z tymi twoimi agnostycznymi rodzicami.

- Co masz do moich rodziców? – syknęła Luce.

- No cóż moja droga, to że udawało ci się wciąż i wciąż wracać zawdzięczasz temu, że rodziłaś się w pobożnych rodzinach. Ale tym razem, kiedy twoi rodzice zrezygnowali z ochrzcenia cię, to tak jakby skutecznie pozwolili zagarnąć komuś twoją duszyczkę. – wzruszyła dramatycznie ramionami. – Żaden rytuał powitania cię w rodzinie Bożej oznacza żadnej reinkarnacji dla Luce. To taka mała, ale istotna luka w twoim cyklu.

To do tego odwoływały się Arriane i Gabbe na cmentarzu? Głowa Luce zaczęła pulsować.

Oczy Luce przysłoniła jakby zasłona z czerwonymi plamami i zadźwięczało jej w uszach. Mrugała powoli czując się tak, jakby nawet trzepot jej grubych rzęs rozsadał całą jej głowę. Cieszyła się, że właśnie leży. W przeciwnym razie, mogłaby zemdleć.

A jeśli to naprawdę jest koniec.....nie, nie może być.

Pani Sophia pochyliła swoją twarz blisko twarzy Luce i zaczęła wyrzucać z siebie słowa: - Kiedy dziś umrzesz – to już na zawsze. Tyle. Kaput. W tym życiu, nie jesteś nikim więcej, niż się być wydajesz: głupią, samolubną, rozpieszczoną dziewczynką, która myśli, że świat się kończy kiedy zrywa z nią jeden z tych przystojnych chłopców w szkole. Nawet jeśli przez twoją śmierć nie osiągnę czegoś tak długo oczekiwanego, wspaniałego i doniosłego i tak będę się upajać momentem twojej śmierci. Luce patrzyła jak pani Sophia podnosi nóż i dotyka palcem ostrza.

Umysł Luce zawirował. Przez cały dzień, działo się tyle rzeczy, które musiała przyswoić, tyle osób mówiło jej tyle różnych rzeczy. A teraz to ostrze było wycelowane w jej serce, co spowodowało, że jej oczy po raz kolejny się zamgliły. Poczowała ucisk ostrza na swojej klatce piersiowej, czuła jak pani Sophia sunie nim przez jej mostek, przez przestrzenie między żebrami i pomyślała, że jest trochę prawdy w tej szalonej przemowie pani Sophii. Kłaść tyle nadziei w mocy prawdziwej miłości – tej, którą czuła i która miała pomóc jej odnaleźć samą siebie – czyż to nie naiwne? Po tym wszystkim, prawdziwa miłość nie mogła wygrać bitwy, która toczyła się na zewnątrz. Nie była nawet w stanie uratować ją od śmierci na tym ołtarzu.

Ale musiała. Bo serce Luce wciąż biło tylko dla Daniela – i póki nic tego nie zmieni, coś, głęboko w Luce wierzyło w tą miłość, w tą moc, która przemieni ją w

lepszą wersję samej siebie, która połączy ją i Daniela w coś wspaniałego i dobrego.....

Luce krzyczała kiedy sztylet przebijał się przez jej skórę – a potem nastąpił szok, kiedy usłyszała jakby tłuczone okno, a powietrze wokół niej przepelniło się światłem i hałasem.

Usłyszała głuchy, wspaniały brzęk. Zobaczyła oślepiający blask.

A więc umarła.

Sztylet musiał przebić skórę głębiej niż to poczuła. I teraz Luce przenosiła się do innego miejsca. Jak inaczej wytłumaczyć jarzące się, opalizujące kształty unoszące się nad nią, zstępujące z nieba, błyszczące kaskady i niebiański blask? Trudno było cokolwiek zobaczyć w tym ciepłym, srebrnym świetle. Coś przesunęło się po jej skórze, a można było to porównać do dotyku najbardziej miękkiego aksamitu. Liny wiążące jej nogi i ręce były poluzowane, a następnie rozwiązane, tak że jej ciało – a może dusza – mogło swobodnie się unieść do nieba.

Ale wtedy usłyszała zawrozczenie pani Sophii. – Jeszcze nie! To dzieje się zbyt szybko.

Stara kobieta wyrwała sztylet z piersi Luce. Luce zamrugała szybko. Liny na jej nadgarstkach były rozwiązane. Była wolna. Drobne odłamki niebieskiego, czerwonego, zielonego i złotego szkła pokrywały jej skórę, ołtarz i podłogę pod nią. Kłuły ją kiedy próbowała je strzepnąć i pozostawiały małe ślady krwi na jej rękach. Luce spojrzała w górę, na ziejącą dziurę w suficie.

Nie umarła, ale została ocalona. Przez anioły.

Daniel przyszedł po nią.

Gdzie on jest? Chciałaby w końcu go zobaczyć. Chciałaby móc przebrnąć przez to światło i otoczyć go ramionami i nigdy, nigdy nie pozwolić mu odejść.

Ale tam były tylko opalizujące kształty, dryfujące w kierunku ciała Lucy, wypełniające pokój niczym jarzące się skrzydła. Zbliżały się do niej, delikatnie dotykając miejsc, w których szkło przecięło jej skórę. Połączenie światła niczym gaza zmywały jakoś krew z jej rąk i z tego nacięcia na jej klatce piersiowej, dopóki nie przywróciły skóry do poprzedniego stanu. Pani Sophia podbiegła do ściany i drapiąc w cegły, szukała sekretnych drzwi. Luce chciała ją powstrzymać- by mogła odpowiedzieć za to co już zrobiła i za to co prawie udało jej się zrobić – ale część srebrnego, migającego światła przybrała blady, fioletowy odcień i zaczęła stanowić zarys postaci.

Jasny impuls wstrząsnął pokojem. Światło było tak cudowne, że przyćmiewało nawet słońce, sprawiając, że mury dudniły i kołysały się, drżąc u swoich brązowych podstaw. Upiorne obrazy trzęsły się na kamiennej ścianie. Pani Sophia się skuliła, a Luce poczuła jak drżące światło dotyka jej, niczym głęboki masaż, docierając do jej kości. I kiedy światło się skondensowało, ciepło rozeszło

się po całym pokoju, a światło ułożyło się w formę, którą Luce od razu rozpoznała i którą lubiła.

Daniel stał przed nią, na ołtarzu. Był pół nagi, bosy, ubrany tylko w białe, lniane spodnie. Uśmiechnął się do niej a następnie rozłożył ręce po obu swoich stronach. Potem, bardzo ostrożnie i powoli, jakby nie chciał by doznała szoku, nabrał głęboko powietrza i zaczął rozkładać swoje skrzydła.

Rozkładały się stopniowo, pojawiając się u podstaw jego ramion, niczym dwa białe pędy rozciągające się z jego pleców. Stawały się coraz wyższe, grubsze i szersze jak gdyby rozprzestrzeniały się w górę i wszcz. Luce przymrużyła oczy, pragnąc dotknąć ich swoimi rękoma, policzkiem, ustami. Od środka, jego aksamitne skrzydła zaczęły jarzyć się opalizującym odcieniem. Zupełnie jak w jej śnie. Dopiero teraz, kiedy sen się spełniał, po raz pierwszy mogła spojrzeć na jego skrzydła bez zmieszania, nie wysilając swoich oczu. W końcu mogła spojrzeć na świetność Daniela.

Wciąż się błyszczał, jakby światło pochodziło z jego wnętrza. Ale nadal widziała jego szaro fioletowe oczy i jego pełne usta. Jego mocne dłonie i szerokie ramiona. Mogłaby go przyciągnąć do siebie i roztoczyć nad nim swoje własne miłosne światło. Wtedy on przyciągnął ją do siebie. Kiedy ją dotknął, zamknęła oczy, spodziewając się czegoś niezmiernego, czego jej ludzkie ciało nie będzie w stanie wytrzymać. Ale nie. To był zwykły, pocieszający ją Daniel. Sięgnęła rękoma za jego plecy, by przyciągnąć palcami po jego skrzydłach. Dotykała ich nerwowo, jak gdyby miały ją wciągnąć, ale one falowały pod jej palcami, bardziej miękko niż płynny aksamit, czy najbardziej puszysty dywan. Wyobraziła je sobie jako puszyste, zalane słońcem chmury, które mogłaby zebrać do rąk.

- Jesteś taki....piękny.- wyszeptła, wtulona w jego pierś. – To znaczy....zawsze byłeś piękny, ale teraz....

- Czy to cię nie przeraża?- wyszeptał. – Czy patrzenie nie sprawia ci bólu?

Potrząsnęła przecząco głową. – Myślałam, że tak będzie. – powiedziała, wracając pamięcią do swoich snów. – Ale to nie boli.

Westchnął z ulgą. – Chciałbym, byś czuła się ze mną bezpieczna.

Błyszczące światło otoczyło ich niczym konfetti, a Daniel przyciągnął ją bliżej siebie.

- Jest tego zbyt dużo, byś mogła to pojąć.

Luce uniosła swoją głowę do góry i rozchyliła usta, spragniona zrobić to, czego potrzebowała.

Ale przerwał im głośny trzask drzwi. Pani Sophia znalazła się na schodach. Daniel lekko skinął i płonąca, świetlista postać rzuciła się za kobietą, przez sekretne drzwi.

- Co to było?- zapytała Luce , wpatrując się w smugę światła, która szybko bladła, znikając za drzwiami.

- Pomocnik. – Daniel chwycił ją za brodę i skierował jej twarz z powrotem na siebie.

Ale teraz, mimo, że Daniel był przy niej i poczuła się kochana, chroniona i bezpieczna, ostre uczucie niepewności szarpnęło ją, przypominając wszystkie te mroczne rzeczy, które właśnie się stały, Cam'a i jego skowyczących, czarnych sługusów. Było jeszcze tak wiele pytań, na które nie dostała odpowiedzi, tak wiele strasznych wydarzeń, których nigdy nie będzie w stanie zrozumieć. Jak na przykład śmierć Penn, słodkiej, słabej, niewinnej Penn i jej gwałtownego i bezsensownego końca. Wszystko to ogarnęło Luce, a jej usta zaczęły się trząść.

- Penn nie żyje, Danielu. – powiedziała. – Pani Sophia ją zabiła. I przez moment myślałam, że mnie też zabije.

– Nigdy bym nie pozwolił, by tak się stało.

- Skąd wiedziałeś jak mnie znaleźć? Skąd zawsze wiesz, jak mnie ocalić? – potrząsnęła swoją głową. – O mój Boże. – wyszeptała powoli, kiedy prawda w końcu do niej dotarła. – Jesteś moim aniołem stróżem?

Daniel się zaśmiał. – Nie zupełnie. Ale dziękuję, że mnie tak komplementujesz.

Luce się zaczerwieniła. – W takim razie, jakiego rodzaju aniołem jesteś?

- Jestem teraz jakby pomiędzy dwoma rodzajami. – powiedział Daniel.

Za nim, pozostałe srebrne światło, zgromadzone w pokoju, podzieliło się na pół. Luce wychyliła się zza Daniela, żeby na to popatrzeć, a jej serce mocno biło. Blask w końcu zebrał się za Danielem, tworząc dwa, różne kształty: Arriane i Gabbe.

Gabbe miała rozwinięte skrzydła. Były miękkie i puszyste i trzy razy większe od całego jej ciała. Pierzaste, miękko zakończone krawędzie wyglądały niczym z kartki z życzeniami, tylko że te, miały czubki wykończone bladym różem. Luce zauważyła, że lekko trzepoczą – a Gabbe unosi się kilka centymetrów nad ziemią.

Skrzydła Arriane były gładziej, bardziej eleganckie i miały wyraźne krawędzie, prawie jak u gigantycznego motyla. Częściowo przezroczyste, jarzyły się opalizującymi odcieniami, niczym pryzmaty odbijające światło i rzucające je na podłogę przed nimi. Zupełnie jak Arriane, były dziwne i intrygujące i całkowicie nieprzystępne.

- Powinam się była domyślić. – powiedziała Luce, a szeroki uśmiech pojawił się jej na twarzy. Gabbe też się uśmiechnęła a Arriane się lekko pochyliła.

- Co się dzieje na zewnątrz? – zapytał Daniel, dostrzegając zmartwienie na twarzy Gabbe.

- Musimy zabrać stąd Luce.

Bitwa. To nie był jeszcze koniec? Jeśli Daniel, Arriane i Gabbe byli tutaj, to chyba musieli wygrać, prawda? Luce spojrzała na Daniela. Wyraz jego twarzy nic

jej nie mówił.

- I ktoś musi iść po Sophię. – powiedziała Arriane. – Ona nie może robić nic na własną rękę.

Luce przełknęła głośno ślinę. – Czy ona jest po stronie Cam'a? Czy jest kimś w rodzaju...diabła? Upadłego anioła? – to były jedne z kilku nazw, które zapamiętała z zajęć pani Sophii. Daniel zacisnął szczęki. Nawet jego skrzydła z wściekłości zeszywniały.

- Nie jest diabłem. – wymamrotał. – Ale aniołem też już nie jest. Sądziłem, że stoi po naszej stronie. Nie powinniśmy jej pozwolić, by była tak blisko nas.

- Była jedną z dwudziestu czterech Starszych.- dodała Gabbe. Opuściła nogi na ziemię a jej skrzydła złożyły się za jej plecami tak, by mogła usiąść na ołtarzu. – Pełniła bardzo odpowiedzialną funkcję. Trzymała tą część siebie, głęboko ukrytą.

- Jak tylko się tu dostałyśmy, ona jakby oszalała. – powiedziała Luce. Potarła swoją szyję w miejscu, gdzie dotykał jej sztylet.

- Oni są szaleni. – powiedziała Gabbe. – Ale i bardzo ambitni. Była częścią tajemnej sekty. Powinam się tego domyślić wcześniej, ale dopiero teraz znaki stały się najbardziej widoczne. Oni nazywają siebie Zhsmaelim. Ubierają się zwyczajnie, ale jest w nich pewna....elegancja. Zawsze uważałam, że byli bardziej spektakularni, niż cokolwiek innego. Nikt nie brałby ich zbyt poważnie w Niebie. – poinformowała Luce. – ...ale teraz będą. To co dzisiaj uczyniła Sophia, będzie podstawą do wygnania. Będzie się widywać częściej z Cam'em i Molly, niż mogła się tego spodziewać.

- Molly też jest upadłym aniołem?- powiedziała Luce powoli. Z tego wszystkiego czego się dzisiaj dowiedziała, to akurat miało najwięcej sensu.

- My wszyscy jesteśmy upadłymi aniołami. – powiedział Daniel. – Tylko, że niektórzy z nas są po jednej stronie....a pozostali po drugiej.

- Czy ktoś jeszcze tutaj.....- westchnęła Luce. -jest po tej drugiej stronie?

- Roland. – powiedziała Gabbe.

- Roland?- Luce była oszołomiona. – Ale przecież się z nim przyjaźniłeś. Zawsze był taki charyzmatyczny i dobry.

Daniel tylko wzruszył ramionami. Ale Arriane wyglądała na zaniepokojoną. Jej skrzydła zatrzepotały w smutny, poruszający sposób, posyłając w ich kierunku zakurzony wiatr. – Kiedyś go odzyskamy. – powiedziała cicho.

- A co z Penn? – zapytała Luce, czując jak łyzy zaciskają się na jej gardle niczym węzeł.

Ale Daniel tylko potrząsnął głową, ściskając mocno jej rękę. – Penn jest śmiertelniczką. Jest niewinną ofiarą w tej długiej, bezcelowej bitwie. Przykro mi Luce.

- A więc cała ta walka na zewnątrz....?-zapytała Luce. Jej głos się urywał.

Nadal nie mogła się przemóc, by mówić teraz o Penn.

- To tylko jedna z wielu bitew, które toczy my z demonami. – powiedziała Gabbe.

- Więc... kto wygrał?

- Nikt. – powiedział Daniel z goryczą. Podniósł duży odłamek rozbitego witraża i cisnął nim przez kaplicę. Szkielko roztrzaskało się na sto maleńkich kawałków, ale nie zapowiadało się na to, że Daniel rozładował swój gniew. – Nikt nigdy nie wygrywa. To praktycznie niemożliwe, żeby jeden anioł zgasił życie drugiego. Zawsze jest tylko dużo bicia, dopóki wszyscy się nie zmęczą, lub nie nastanie noc.

Luce się zatrzęsła, kiedy ten dziwny obraz pojawił się w jej umyśle. Na ramieniu Daniela było to samo czarne coś, co odcięło ramię Penn. Otworzyła szeroko oczy i spojrzała na jego prawe ramię. Na piersi miał krew.

- Jesteś ranny. – wyszeptała.

- Nie. – powiedział Daniel.

- Jego nie można zranić, on jest....

- W takim razie co masz na ramieniu, Danielu? – zapytała Arriane, wskazując na jego pierś. – Czy to krew?

- To krew Penn. – powiedział szorstko Daniel. – Znalazłem ją na schodach.

Luce ścisnęło się serce. – Musimy ją pochować. – powiedziała.- Obok jej ojca.

- Luce , kochanie... - powiedziała Gabbe, wstając. – Chciałabym, żebyśmy mieli na to czas, ale musimy teraz już iść.

- Nie opuszczę jej. Oprócz mnie, nie miała nikogo.

-Luce. – powiedział Daniel, pocierając czoło.

- Ona umarła w moich ramionach, Danielu. Tylko dlatego, że nie widziałam innego wyjścia, jak podążyć za panią Sophią do tej sali tortur. – Luce spojrzała na wszystkich troje. – Ponieważ żadne z was nic mi nie powiedziało.

-No dobrze. – powiedział Daniel. – Zrobimy dla Penn to wszystko, co będziemy mogli. Ale potem musimy cię zabrać daleko stąd.

Podmuch powietrza przedarł się przez szczeliny w suficie i omiół pokój, co sprawiło, że świece zamigotały, a odłamki rozbitego szkła zaczęły się kołysać na suficie. W następnej sekundzie to samo ostre szkło spadło niczym deszcz na podłogę. Gabbe poszybowała nad ołtarzem i stanęła obok Luce w samą porę by uniknąć zadrapań. Zdawała się być nieporuszona.

- Daniel ma rację. – powiedziała. – Prawda jest taka, że rozejm w bitwie dotyczy tylko aniołów. A teraz wiele z nich wie o- ucięła, oczyszczając gardło.

-o twoim śmiertelnym statusie i dużo z tych złych, będzie się tobą interesowało.

Skrzydła Arriane uniosły ją nad ziemię. – I wiele tych dobrych, którzy

przyjdą jej bronić. – powiedziała, szybując by stanąć po drugiej stronie Luce, uspakajając ją.

- Wciąż tego nie rozumiem. – powiedziała Luce. – Dlaczego to ma takie znaczenie? Dlaczego będą się tak mną interesować? Czy to dlatego, że Daniel mnie kocha?

Daniel westchnął. – To tylko część prawdy, tak niewinna jak brzmi.

- Wiesz jak jest, wszyscy nienawidzą pary kochających się, szczęśliwych gołąbków. – wtrąciła Arriane.

- Kochanie, to bardzo długa historia. – powiedziała Gabbe, głosem rozsądku. – Możemy dać ci jedynie jeden rozdział.

- To tak jak z moimi skrzydłami...- dodał Daniel. - ...dużo będziesz się musiała dowiedzieć na własną rękę.

- Ale dlaczego?- zapytała Luce. Ta rozmowa była taka frustrująca. Czowała się jak dziecko, któremu się mówi, że wszystkiego się dowie, jak będzie starsze. – Dlaczego nie możecie mi pomóc zrozumieć?

- Możemy ci pomóc. – powiedziała Arriane. – Ale nie możemy ci wyjaśnić wszystkiego na raz. To jak nagłe obudzenie lunatyka podczas snu. To jest zbyt niebezpieczne.

Luce owinęła swoje ręce wokół siebie. – To może mnie zabić. – powiedziała, ważąc słowa, jakby chciała je uciąć.

Daniel objął ją ramionami. – Tak było wcześniej. A ty już miałaś wystarczająco bliskie spotkania ze śmiercią jak na jedną noc.

- No i co z tego? Teraz mam po prostu opuścić szkołę? – stanęła plecami do Daniela. – Gdzie mnie zabieracie?

Zmarszczył czoło i odwrócił od niej wzrok.- Ja nie mogę cię nigdzie zabrać. To zwróciło by zbyt dużo uwagi. Będziemy musieli polegać na kimś innym. Jest tu jeden śmiertelnik, któremu możemy zaufać. – spojrzał na Arriane.

- Przeprowadzę go. – powiedziała Arriane, unosząc się.

-Nie zostawię cię. –powiedziała Luce do Daniela. Jej usta drżały. – Dopiero co cię odzyskałam.

ROZDZIAŁ 20



BRZASK

Świt. Ostatni raz Luce widziała świt w Sword & Cross.....cóż, nie wiedziała od jak dawna. Gruchot jednego dzikiego gołębia rozległ się na szafranowym niebie, kiedy przechodziła przez spowite kudzu drzwi siłowni. Powoli ruszyła ramię w ramię z Danielem w kierunku cmentarza. Zachowywali ciszę, kiedy przechodzili przez dziedziniec. Kiedy opuszczali kaplicę, w jednym momencie, wszyscy schowali swoje skrzydła. To był tak spokojny, mozolny proces, który jakby utrzymywał ich w letargu, do czasu aż nie wrócili z powrotem do ludzkiej postaci. Oglądając tą transformację, Luce nie mogła uwierzyć jak te ogromne, wspaniałe skrzydła stają się tak małe i nikłe, że w końcu znikają pod anielską skórą. Kiedy było już po wszystkim położyła swoją dłoń na nagich plecach Daniela. Po raz pierwszy, wydawał się być niewielki, wrażliwy na jej dotyk. Jego skóra była tak gładka i nieskazitelna jak u dziecka. A na jego twarzy, na twarzy ich wszystkich, Luce mogła zobaczyć srebrne światło, pochodzące jakby z głębi nich, świecące we wszystkich kierunkach.

Przenieśli ciało Penn, ostatecznie, ze schodów- do kaplicy i położyli je na ołtarzu. Nie było sposobu na to, by móc ją pochować dzisiejszego ranka, nie wtedy, kiedy cmentarz roi się od śmiertelników, jak powiedział jej Daniel.

Luce ciężko było przyjąć do wiadomości to, że będzie musiała się na razie zadowolić tym, że wyszepta kilka słów do swojej przyjaciółki, w kaplicy. Jedyne co przychodziło jej na myśli to: Teraz jesteś ze swoim tatą. Na pewno cieszy się, że ma cię znów przy sobie.

Daniel będzie chciał pochować Penn najszybciej jak się da, kiedy w szkole się uspokoi – i kiedy Luce pokarze mu, gdzie jest grób ojca Penn, tak by mogła spocząć przy nim. Przynajmniej tyle Luce mogła zrobić.

Kiedy przechodzili przez kampus, serce Luce stało się ocieężałe. Jej jeansy i top były rozciągnięte i brudne. Jej paznokcie wymagały czyszczenia i cieszyła się, że w pobliżu nie ma luster tak, że nie mogła zobaczyć w jakim stanie są jej włosy. Tak bardzo chciałyby cofnąć czas, do połowy nocy, by mogła ocalić Penn – zachowując przy tym te piękne części wieczoru. Szczyt ekscytacji, kiedy cała prawda o Danielu zaczęła układać się w całość. Moment, kiedy stanął przed nią w całej swojej chwale. Bycie świadkiem tego, jak Gabbe i Arriane rosną skrzydła. Było w tym tyle piękna. Ale też tyle z tego spowodowało zupełne, ponure

zniszczenie.

Czuła to w powietrzu, niczym epidemię. Mogła wyczytać to z twarzy wielu uczniów, spacerujących po dziedzińcu. Było zbyt wcześnie żeby wszyscy powstawali z własnej woli, tak więc musieli słyszeć, albo widzieć, a może czuć coś z tej bitwy, która miała miejsce dzisiejszej nocy. Co oni mogli wiedzieć? Czy ktoś już szuka Penn? Albo pani Sophii? Czy któreś z nich mogłoby się domyśleć co się stało? Wszyscy się parowali i coś do siebie szeptali. Luce zatęskniła do przyłączania się do nich i podsłuchiwania.

- Nie martw się. – powiedział Daniel. – Po prostu naśladowaj ich zbity z tropu wyraz twarzy. Nikt się po nas nie domyśli.

Choć Luce czuła, że zwraca na siebie uwagę, to Daniel miał rację. Oczy żadnego z innych uczniów nie zatrzymały się na nich na dłużej niż oni sami patrzyli na innych.

Przed bramami cmentarza błyskały niebiesko białe światła wozów policyjnych, przedzierające się przez liście dębów. Wejście zostało oklejone żółtą taśmą policyjną. Luce dostrzegła zarys czarnej sylwetki Randy'ego odznaczającej się na tle wschodu słońca, przed nimi. Chodziła tam i z powrotem przed wejściem na cmentarz i krzyczała coś do bluetooth'a przyzcpionego do kołnierzyka jej bezkształtnej koszulki polo.

- Myślę, że powinnaś go obudzić. – wrzasnęła do urządzenia. – W szkole miał miejsce wypadek. Przecież ci mówię.....że nie wiem.

- Powinienem był cię ostrzec. – powiedział Daniel do Luce, kiedy przechodzili obok Randy'ego i migających świateł policyjnych samochodów, przez gaj dębowy, który otaczał cmentarz z trzech stron. – To wszystko, tam na dole, będzie dla ciebie wyglądać dziwnie. Styl walki Cam'a zdaje się robić więcej bałaganu niż nasz. Nie jest krwawy....ale po prostu inny.

Luce nie wiedziała, co miało by w tym miejscu wzbudzić w niej niepokój. Kilka poprzewracanych nagrobków z pewnością jej nie odstraszy. Wybrali drogę przez las, a opadłe liście szeleściły im pod nogami. Luce pomyślała o tym, jak w nocy, te drzewa były konsumowane przez rój cieni- szarańczy. Teraz, nie było po nich śladu. Daniel wskazał na powyginane segmenty kutej w żelazie bramy cmentarza.

- Możemy wejść tędy, niezauważeni. Ale musimy to zrobić szybko.

Wychodząc z osłon drzew, Luce nagle zrozumiała, co Daniel mówił o innym wyglądzie cmentarza. Stanęli na obrzeżu, blisko grobu ojca Penn, przy wschodnim rogu, ale nie można było zobaczyć nic, poza tym co znajdowało się kilka metrów przed nimi. Otaczające ich powietrze było tak mętne, że wręcz nie wydawało się być powietrzem. Było gęste, szare i zapiaszczone tak, że Luce musiała wymachiwać swoimi rękoma przed swoją twarzą, żeby ją zobaczyć. Potarła swoje palce.

- Czy to jest....

- Kurz. – powiedział Daniel, biorąc ją za rękę kiedy szli. Był w stanie cokolwiek zobaczyć i nie dusił go kaszel, tak jak Luce. – W czasie wojny, anioły nie umierają. Ale zostawiają po sobie ślad w postaci tego grubego dywanu kurzu.

- Co tu się stało?

- Nie wiele. Poza faktem zbiecia z tropu śmiertelników. Na pewno będą chcieli to rozstrzygnąć, przez co będą się tu gromadzić i to badać. W Pasadenie jest jeden naukowiec, który uważa, że to wszystko pochodzi z UFO5.

Luce ze zgrozą pomyślała o fruwającej, czarnej chmurze insektów. Ten naukowiec nie powinien się tu zbliżać.

- Ojciec Penn jest pochowany tam. – wskazała na nagrobek, gdy zbliżali się do rogu cmentarza. Pokrywał go niesamowitej grubości pył i dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że groby, posągi i drzewa na cmentarzu wyglądały tak, jakby ledwo stały. Uklękła i przetrąła pył z grobu, który wydawał jej się być grobem ojca Penn. Drżącymi palcami drapała do czysta litery, co sprawiało, że chciało jej się płakać.

STANFORD LOCKWOOD

NAJLEPSZY OJCIEC NA ŚWIECIE

Miejsce obok grobu pana Lockwooda było puste. Luce wstała i kopała nogą w ziemi, nienawidząc się za to, że jej przyjaciółka do niego dołączy. Nienawidząc się za to, że nie mogła być przy Penn, by oddać jej należną jej część.

Ludzie zawsze mówią o niebie, kiedy ktoś umrze, spodziewając się zapewne, że ta osoba tam trafi. Luce nigdy nie czuła, że zna te reguły. A teraz, czuła się najmniej odpowiednią osobą, żeby mówić o tym, kto powinien tam trafić, a kto nie.

Obróciła się do Daniela z łzami w oczach. Opuścił głowę, kiedy zobaczył jej smutek. – Zaopiekuję się nią, Luce. – powiedział. – Wiem, że nie jest to dokładnie to czego byś chciała, ale zrobimy wszystko co jest w naszej mocy.

Płacz stał się głośniejszy. Luce pociągała nosem i szlochała, chcąc tak bardzo by Penn wróciła, że myślała, że się załamie.

- Nie mogę jej zostawić, Danielu. Jakżebym mogła?

Daniel delikatnie otarł jej łzy wierzchem swojej dłoni.

- To co przytrafiło się Penn było okropne. To wielki błąd. Ale to, że stąd odejdziesz nie oznacza, że ją zostawiasz. – położył dłoń na sercu Luce. – Ona jest z tobą.

- Ale, ja wciąż nie mogę.....

- Możesz Luce. – jego głos był stanowczy. – Zaufaj mi. Nie masz pojęcia jak wielu silnych i niemożliwych rzeczy jesteś w stanie dokonać. – spojrzał za nią, na drzewa. – Jeśli pozostało na tej ziemi jakieś dobro, to wkrótce się o nim przekonasz.

Pojedynczy sygnał syreny policyjnej, pochodzący z radiowozu sprawił, że podskoczyli. Niedaleko od miejsca w którym stali, zatrzasnęły się drzwi i usłyszeli chrzęst butów na żwirze.

-Co do diabła.....Ronnie, skontaktuj się z centralą. Powiedz szeryfowi, że musi tu przyjść.

-Chodźmy.- powiedział Daniel, sięgając po dłoń Luce. Wsunęła swoją dłoń w jego i poklepała smutno nagrobek pana Lockwooda, a następnie ruszyła z Danielem z powrotem, mijając groby, w kierunku wschodniej części cmentarza. Dotarli do wygiętego ogrodzenia, po czym szybko się pochyłili, chowając między drzewami dębowymi.

Kiedy szli, zimna ściana stanęła przed Luce. Na gałęzi, przed nimi, zobaczyła trzy małe, ale wrzące cienie, które wisiały do góry nogami, niczym nietoperze.

- Szybko. – rozkazał Daniel. Kiedy je mijali, cienie obróciły się za nimi, sycząc, jakby wiedziały, że nie mogą zadzierać z Luce, kiedy Daniel jest w pobliżu niej.

-Gdzie teraz? – zapytała Luce, gdy byli już na skraju dębowego gaju.

- Zamknij oczy.- powiedział.

Zamknęła. Ramiona Daniela otoczyły ją w talii od tyłu i poczuła silny nacisk jego klatki piersiowej na jej ramiona. Podnosił ją z ziemi. Najpierw może o stopę, potem wyżej, aż poczuła miękkie korony drzew prześlizgujące się po jej ramionach, łaskotanie na karku, kiedy Daniel ją przez nie przepychał. I wyżej, dopóki oboje z nich nie uwolnili się od lasu i poczuli poranne słońce. Miała ochotę otworzyć swoje oczy – ale intuicyjnie czuła, że to było by już zbyt wiele. Nie była pewna, czy jest na to gotowa. A poza tym, czuć świeże powietrze na twarzy i powiew wiatru we włosach, to było wystarczające. Nawet więcej niż wystarczające. To było niebiańskie. To to samo uczucie jakie miała, kiedy została uratowana spod biblioteki, to jak surfowanie po fali oceanu. Teraz już wiedziała, że za to Daniel też był odpowiedzialny.

- Możesz już otworzyć oczy. – powiedział cicho.

Luce poczuła grunt pod nogami i kiedy otworzyła oczy zobaczyła, że jest w miejscu, w który właśnie chciałyby być. Pod drzewem magnolii, w pobliżu jeziora. Daniel przyciągnął ją bliżej siebie.

- Zabrałem cię tu, ponieważ to jest jedno miejsce- jedno z wielu miejsc – gdzie naprawdę chciałem cię pocałować już od kilku tygodni. Kiedyś już prawie się zapomniałem, a wtedy ty skoczyłaś prosto do wody.

Luce stanęła na palcach i spojrzała na Daniela. Ona też chciała go pocałować tamtego dnia- i teraz to pragnienie powróciło. Jego pocałunek był jedyną rzeczą, do której czuła że ma prawo, jedyną rzeczą, która mogła ją pocieszyć i przypomnieć jej, że jednak jest jakiś powód by pójść dalej, nawet jeśli Penn już nie mogła. Czuły nacisk jego ust ją uspokoił, niczym ciepły napój w środku zimy, kiedy każda część jej ciała była zmarznięta. Zbyt szybko się od niej odsunął, patrząc na nią najsmutniejszymi oczami.

- Jest jeszcze jeden powód, dla którego cię tu przyprowadziłem. Ta skała, prowadzi do drogi, którą będziemy musieli iść, żeby cię ukryć w bezpiecznym miejscu.

Luce spuściła wzrok. – Och.

- To nie jest pożegnanie na zawsze, Luce. Mam nadzieję, że nie żegnamy się na długo. Zobaczmy jak sytuacjasię rozwinie. – pogładził ją po włosach. – Proszę, nie martw się. Zawsze po ciebie przychodzę. Nie pozwolę ci odejść, zanim nie zrozumiesz.

- W takim razie odmawiam zrozumienia. – powiedziała.

Daniel zaśmiał się głośno. – Widzisz tą polanę, tam. – wskazał na drugą stronę jeziora, jakieś pół mili od niego znajdowała się mała, płaska, otwarta przestrzeń, na trawiastym wzgórzu. Luce nigdy wcześniej jej nie zauważyła, ale teraz dostrzegła w oddali niewielką, białą płaszczyznę z błyskającymi światłami na skrzydłach.

- To dla mnie?- zapytała. Po tym wszystkim co się stało, widok samolotu całkowicie ją speszył. – Dokąd lecę?

Nie mogła uwierzyć w to, że opuszcza miejsce, które znienawidziła, ale zarówno gdzie doznała intensywne doznania, w przeciągu tych kilku tygodni. Czy Sword & Cross będzie tu jeszcze?

- Co się stanie z tym miejscem? I co ja powiem moim rodzicom?

- Na razie, nie zamartwiaj się tym. Jak tylko będziesz bezpieczna, zajmiemy się tym wszystkim, czym musimy. Pan Cole może zadzwonić do twoich rodziców.

- Pan Cole?

- On jest po naszej stronie, Luce. Możemy mu zaufać.

Ale ona już zaufała pani Sophii. Prawie nie знаła pana Cole'a. Wydawał się być taki sztywny. No i te wąsy.....Musiała opuścić Daniela i wsiąść do samolotu z nauczycielem historii. Pulsowała jej głowa.

- Tam jest ścieżka, która prowadzi wzdłuż wody. – kontynuował Daniel. – Możemy nią tam dojechać.... – wygiął ramiona za jej małymi plecami. -...albo...-zapropozował. - możemy popłynąć.

Trzymając się za ręce, stanęli na brzegu czerwonej skały. Zostawili swoje buty znowu pod drzewem magnolii, ale tym razem, nie będzie już powrotu.

Luce nie myślała, że będzie się tak wspaniale czuła z powodu nurkowania w

zimnej wodzie jeziora, w swoich jeansach i topie, ale z Danielem obok siebie, uśmiechającym się do niej. Wszystko to sprawiło, że poczuła, iż to jest jedyna rzecz, którą musi zrobić.

Podnieśli ramiona do góry i Daniel odliczał do trzech. Ich stopy oderwały się od ziemi w tym samym czasie, ich ciała przybrały w powietrzu ten sam łukowaty kształt, ale zamiast opadać w dół, Luce instynktownie poczuła, że Daniel pociągnie ją wyżej, używając przy tym tylko czubków swoich palców.

Lecieli. Luce była ramię w ramię z aniołem i leciała. Szczyty drzew zdawały się im kłaniać. Czowała, że jej ciało jest lżejsze od powietrza. Wczesno- poranny księżyc wciąż był widoczny nad linią drzew. Zbliżali się do jeziora, jak gdyby byli falą. Otaczała ich woda, srebrna i kusząca.

- Jesteś gotowa? – zapytał Daniel.

- Jestem.

Daniel i Luce dryfowali w stronę głębokiego, zimnego jeziora. Ich palce dotknęły powierzchni wody jako pierwsze. To był najdłuższy, łabędzi skok, jaki Luce kiedykolwiek wykonała. Dyszała, kiedy unosili się na zimnej powierzchni, a potem zaczęli się śmiać.

Daniel ponownie wziął ją za rękę i wskazał na skałę, żeby do niego tam dołączyła. Najpierw sam wyszedł z wody, a potem pomógł jej się podciągnąć. Mech tworzył delikatny, miękki dywan, który rozciągał się dla ich dwojga. Kropelki wody uparcie trzymały się piersi Daniela. Leżeli na boku, przodem do siebie, wspierając się na łokciach.

Daniel położył rękę na wgłębieniu jej talii. – Pan Cole czeka na nas przy samolocie. – powiedział. – To ostatnia szansa na to, byśmy mogli pobyć trochę sam na sam. Pomyślałem, że tutaj moglibyśmy się tak naprawdę pożegnać. Chciałbym ci coś dać. – dodał, szukając czegoś w kieszeni. Wyciągnął srebrny medalion, który widziała u niego w szkole. Położył łańcuszek na otwartej dłoni Luce i zdała sobie sprawę z tego, że na medalionie wygrawerowana był róża. – Należał kiedyś do ciebie. – powiedział. – Dawno temu.

Luce kliknięciem otworzyła medalion i zobaczyła małe zdjęcie w środku, za szklaną płytką. To było zdjęcie ich obojga, nie patrzących w obiektyw, ale sobie głęboko w oczy, uśmiechając się. Luce miała krótkie włosy, tak jak teraz, a Daniel miał na sobie muszkę.

- Kiedy zostało zrobione?- zapytała, unosząc lekko medalion.- I gdzie my jesteśmy?

- Powiem ci, kiedy następnym razem się zobaczymy. – powiedział. Uniósł do góry łańcuszek i powiesił jej go na szyi. Gdy medalion dotknął jej obojczyka, poczuła głębokie, pulsujące ciepło, ogrzewające jej zimną, mokną skórę.

- Kocham go. – wyszeptała, dotykając medalionu.

- Wiem, że Cam też ci dał medalion. – powiedział Daniel.

Luce nie myślała o nim, odkąd Cam zmusił ją by go założyła, wtedy w barze. Nie mogła uwierzyć, że to było zaledwie wczoraj. Myśl o tym, że go nosiła przyprawiała ją o nudności. Nawet nie wiedziała, gdzie teraz jest ten naszyjnik, i nie chciała wiedzieć.

- To on mi go założył.- powiedziała, czując się winna. – Nie chciałam....

- Wiem. – powiedział Daniel. – Cokolwiek się stało między wami, to nie jest twoja wina. Jakimś cudem udało mu się zatrzymać trochę anielskiego uroku. To bywa zwodnicze.

- Mam nadzieję, że nigdy więcej go nie spotkam. – zadrzała.

- Obawiam się, że możesz. A takich jak Cam, tam jest więcej. Po prostu zaufaj swoim przeczuciom. – powiedział Daniel. – Nie wiem jak długo zajmie ci przypomnienie sobie tego, co się zdarzyło w naszej przeszłości. W między czasie, jeśli poczujesz coś instynktownie, nawet jeśli nie będziesz wiedziała, skąd to wiesz, powinnaś temu zaufać. Bo prawdopodobnie będziesz miała rację.

- Tak więc mam zaufać sobie, nawet jeśli nie mogę ufać innym wokół mnie? – zapytała, czując, że to jest ta część, którą Daniel miał na myśli.

- Postaram się być przy tobie, by ci pomóc i wysłać wiadomość kiedy tylko będę mógł. –powiedział Daniel. – Luce, posiadasz wspomnienia z poprzednich wcieleń ...nawet jeśli teraz nie możesz się do nich dostać. Jeśli poczujesz, że może ci się stad coś złego, trzymaj się od tego z dala.

-Dokąd idziesz?

Daniel spojrzał w górę, na niebo. – Znaleźć Cam'a. – powiedział. – Mamy ze sobą jeszcze kilka rzeczy do załatwienia.

Ponurość w jego głosie sprawiła, że Luce stała się nerwowa. Pomyślała znów o masie kurzu, którą Cam zostawił na cmentarzu.

- Ale wrócisz po mnie. – powiedziała. – po wszystkim? Obiecujesz?

- Ja...ja nie mogę bez ciebie żyć, Luce. Kocham cię. To nie dotyczy tylko mnie, ale...- zawahał się, a potem potrząsnął głową. – Na razie się o to nie martw. Wiem tylko, że wrócę dla ciebie.

Powoli, niechętnie, oboje wstali. Słońce zaczęło zaglądać przez drzewa i mieniło się na wzburzonej wodzie. Od błotnistej brzegu do samolotu, nie dzieliła ich zbyt długa droga. A Luce chciałaby, żeby to były mile. Mogłaby tak pływać z Danielem aż do zmroku. I o każdym wschodzie i zachodzie słońca. Wskoczyli do wody i zaczęli płynąć do brzegu. Luce upewniła się, że schowała medalion pod swoim topem. Jeśli miała zaufać instynktowi, to on właśnie mówił jej, że nie powinna się nigdy rozstawać z tym naszyjnikiem. Patrzyła, wciąż z pełnym podziwem, jak Daniel powoli, elegancko pływa. Tym razem wiedziała, że opalizujące skrzydła, ociekające wodą, które kiedyś widziała, nie były wytworem jej wyobraźni. Były prawdziwe.

Odepchnęła się i płynęła, przecinając wodę, ruch za ruchem. Jej palce zbyt

szybko dotykały powierzchni wody. Ni mogła znieść tego, że już słyszała tak dobrze szum silnika samolotu. Dotarli do miejsca, w którym będą musieli się rozstać i Daniel praktycznie musiał wyciągać ją z wody. Chciałaby nie być mokra, ale czuła się szczęśliwa z powodu swojego przemoknięcia i zmarznięcia. Szli w kierunku samolotu, a Daniel trzymał swoją rękę na jej plecach. Ku zaskoczeniu Luce, pan Cole trzymał duży, biały ręcznik, kiedy wyskakiwał z kokpitu.

- Mały aniołek powiedział mi, że będziesz tego potrzebować. – powiedział, rozkładając ręcznik przed Luce, która poczuła się wdzięczna.

- Kogo nazywasz małym? – Arriane pojawiła się zza drzewa, a po niej Gabbe, trzymając książkę.

- Przyszliśmy życzyć szczęśliwej podróży. – powiedziała Gabbe, podając Luce książkę. – Weź to. – powiedziała lekko, ale jej uśmiech przypominał niemiły grymas.

-Daj jej coś dobrego. – powiedziała Arriane, szturchając Gabbe.

Gabbe wyciągnęła termos z plecaka i podała go Luce. Luce odkręciła nakrętkę. To była gorąca czekolada i pachniała niesamowicie. Wsunęła termos i książkę pod ręcznik, czując się nagle bogatą w ich posiadaniu. Ale wiedziała też, że jak tylko odlecą z tej polany, poczuje się samotna i pusta. Wtuliła się w ramiona Daniela, korzystając z tego, że jeszcze może poczuć jego bliskość.

Spojrzenie Gabbe było czyste i zdecydowane.- Wkrótce się zobaczymy, dobrze?

Ale Arriane patrzyła gdzieś daleko, jak gdyby nie chciała patrzeć Luce w oczy. – Nie rób nic głupiego, jak na przykład obrócenie się w stertę popiołu. – Przeszła z nogi na nogę. – Potrzebujemy cię.

- Wy mnie potrzebujecie? – zapytała Luce. To ona potrzebowała Arriane, żeby zapoznała ją z regułami w Sword & Cross. To ona potrzebowała Gabbe, wtedy w szpitalu. A do czego ona była im potrzebna? Obie dziewczyny odpowiedziały jej tylko uśmiechem, zanim zniknęły w lesie. Luce obróciła się do Daniela, próbując zapomnieć o tym, że pan Cole stoi niedaleko nich.

- Dam wam chwilkę. – powiedział pan Cole. – Luce, uruchomienie silników zajmie mi trzy minuty. Spotkamy się w kokpicie.

Daniel objął ją mocniej i położył swoje czoło na jej. Luce próbowała zapamiętać każdą chwilę, kiedy ich usta się połączyły. Potrzebowała to zapamiętać, tak jak potrzebowała powietrza.

A co będzie, kiedy Daniel ją opuści, czy nie będzie to przypominało kolejnego snu? Właściwie to częściowo koszmaru, ale jednak wciąż snu. Jak możliwe jest to, że czuła to, co czuła do kogoś, kto nawet nie jest człowiekiem?

- A więc to już. – powiedział Daniel. – Uważaj na siebie. Pozwól się poprowadzić panu Cole'owi dopóki nie wrócę.

Przeraźliwy gwizd samolotu – pan Cole, chciał im przez to powiedzieć, że

pora już kończyć.

- Postaraj się zapamiętać to, co ci mówiłem.

- Co dokładnie? – zapytała Luce, wpadając w panikę.

- To wszystko co tylko zdołasz- ale najbardziej to, że cię kocham.

Luce pociągnęła nosem. Jej głos się załamywał, kiedy próbowała coś powiedzieć. Już czas, żeby iść. Szła w kierunku otwartych drzwi kokpitu, czując gorący podmuch z silników, który prawie zepchnął ją w dół. Na drabince były trzy szczebelki, ale pan Cole i tak wyciągnął rękę żeby jej pomóc. Nacisnął przycisk na drabince i wycofał się do samolotu. Drzwi się zamknęły. Spojrzała na skomplikowaną deskę rozdzielczą. Nigdy nie była w tak małym samolocie. W ogóle, nie była nigdy w kokpicie. Wszędzie były migające przyciski i lampki. Spojrzała na pana Cole'a.

- Kiedy nauczył się pan tym latać? – zapytała, wycierając oczy w ręcznik.

- W Siłach Powietrznych, pięćdziesiąta dziewięć lat, do twoich usług.

– powiedział, salutując jej.

Luce niezręcznie odsalutowała.

- Moja żona zawsze powtarzała ludziom, żeby mnie nie zagabywali o moje lotnictwo w Namie. – powiedział, powracając łagodnie do zmiany biegów. Samolot drgnął. – Ale teraz mamy do przebycia długą drogę, i w dodatku mam fascynujące towarzystwo.

- Chyba ma pan na myśli, nie z własnej woli, towarzystwo?- pozwoliła sobie wypalić.

- Takie też jest dobre. – Pan Cole uszczypnął ją w bok. – Żartuję. – powiedział, uśmiechając się serdecznie. – Wolałbym, żebyś tak nie myślała. – sposób w jaki się do niej zwrócił, kiedy się do niej uśmiechał, przypominał jej ojca, jak oglądali jakiś zabawny film, i sprawiło to, że poczuła się trochę lepiej.

Koła toczyły się coraz szybciej i „ pas startowy” przed nimi się skracał. Musieli się szybko unieść, albo wpadną do jeziora.

- Wiem o czym myślisz. – pan Cole przekrzykiwał ryk silnika. – Nie martw się, zawsze tak robię.

Tuż przed błotnistym brzegiem, na skraju polany, pan Cole nacisnął mocniej dźwignię pomiędzy nimi i dziób samolotu uniósł się w powietrzu. Przez chwilę horyzont przed nimi zniknął a żołądek Luce skręcił się z nerwów. Ale moment później samolot pewnie osiadł w powietrzu, spłaszczając powierzchnię tak, że dostrzegali jedynie drzewa i rozgwieżdżone niebo. Poniżej nich migotało jezioro. Z każdą sekundą, nabierali większego dystansu. Kierowali się na zachód, ale samolot jakby zataczał koło tak, że wkrótce Luce zobaczyła przez swoje okno las, przez który nie dawno szli z Danielem.

Wpatrywała się w niego, przyciskając głowę do szyby, szukając Daniela i wydawało jej się, że zobaczyła malutki błysk fioletowego światła. Chwyciła mały

medalion na szyi i przycisnęła go do ust.

Teraz reszta kampusu została za nimi, razem z zamglonym cmentarzem. Miejscem, gdzie zostanie pochowana Penn. Poszybowali wyżej, tak że Luce mogła lepiej zobaczyć szkołę. Miejsce, gdzie jej największy sekret wyszedł na jaw- w najbardziej nieoczekiwany sposób, jaki mogłaby sobie tylko wyobrazić.

- Dni tego miejsca są policzone. – powiedział pan Cole, potrząsając swoją głową.

Luce nie miała pojęcia, jak dużo wie pan Cole o wydarzeniach z tej nocy. Wydawał się być taki normalny, a w dodatku jeszcze brał w tym dalszy udział.

- Dokąd lecimy?

- Na małą wyspę, na wybrzeżu. – powiedział, wskazując odległe na morze, gdzie horyzont zapadał się w ciemność.- To nie daleko.

- Panie Cole....- powiedziała. - ...musi się pan spotkać z moimi rodzicami. .

- To mili ludzie.

- Czy będę w stanie.....chciałabym z nimi porozmawiać.

- Oczywiście. Coś wymyślimy.

- Nigdy mi w to nie uwierzą.

- A ty wierzysz? – zapytał, posyłając jej wymuszony uśmiech, podczas gdy samolot uniósł się wyżej, wyrównując się w powietrzu.

To w tym była rzecz. To ona musiała uwierzyć w to wszystko – począwszy od pierwszego migotania mrocznych cieni do momentu, w którym usta Daniela znalazły się na jej własnych, po Penn, która leżała martwa, na marmurowym ołtarzu w kaplicy. To wszystko musiało być realne. Jak inaczej mogłaby wytrzymać ten czas do momentu, w którym zobaczy znów Daniela? Chwyciła medalion, który zawierał wspomnienia z jej poprzednich żyd. Jej wspomnienia, które Daniel mówił, żeby sobie przypominała.

Co zawierały takiego, czego nie wiedziała. Czy miało to związek z miejscem do którego zabiera ją pan Cole. Czowała się dziś w kaplicy jakby częścią czegoś, kiedy stała obok Arriane i Gabbe. Nie bała się, nie czuła zagubienia i roztargnienia....ale jakby coś znaczyła, nie tylko dla Daniela – ale dla nich wszystkich.

Patrzyła przez szybę. Mijali właśnie słone bagna i drogę, którą jechała na spotkanie z Cam'em w tym okropnym barze. I długą, piaszczystą plażę, gdzie pierwszy raz całowała się z Danielem. Kierowali się nad otwarte morze, które-gdzieś tam – zawierało przeznaczenie Luce.

Nikt nie przyszedł i nie powiedział jej, że będzie jeszcze więcej walk do stoczenia, ale Luce czuła, że byli dopiero na początku czegoś długiego, znaczącego i ciężkiego.

Razem.

I czy bitwa będzie makabryczna czy wybawiająca, lub jedno i drugie, to

Luce już nie chciała być dłużej pionkiem.

Przez jej ciało przeszło dziwne uczucie – jakby zanurzała się w swojej przeszłości, w całej miłości, którą czuła do Daniela, i która została ugaszona zbyt wiele razy.

EPILOG



DWA WIELKIE ŚWIATŁA

Przez całą długą noc, patrzył na nią, kiedy spała niespokojnie na wąskim łóżeczku. Jedyna siła- zielona latarnia, wisząca na jednej z niskich drewnianych belek, oświetlająca ramę łóżka. Jej miękki blask odbijał się od jej czarnych włosów, ułożonych płasko na poduszce, od jej policzków, różowych po kąpieli.

Za każdym razem kiedy morze uderzało o opuszczoną plażę na zewnątrz, przewracała się na drugą stronę. Jej top przyległ do jej ciała, i kiedy cienki koc marszczył się wokół niej, mógłby go wepchnąć w to wgłębienie w jej barku. To samo, które całował wcześniej tyle razy. Na przemian wzdychała, oddychała równomiernie i jęknęła podczas głębokiego snu. Nie wiedział czy z przyjemnością czy z bólem, dwa razy wypowiedziała jego imię.

Daniel chciałby móc zlecieć do niej. Chciałby opuścić swoje stanowisko obserwacyjne, na szczycie starych pudeł po amunicji, ustawionych wysoko na poddaszu, w chacie na plaży. Ona nie mogła wiedzieć, że tam był. Nie mogła się dowiedzieć, że był w pobliżu. Albo co przyniosą jej kolejne dni.

Za sobą, dojrzał kątem oka cień, mijający okno zabrudzone od soli morskiej. Następnie usłyszał słabe pukanie w szybę. Odrywając oczy od jej ciała, przeniósł swój wzrok w stronę okna, zwalniając blokadę. Strumień deszczu łączący się z morzem wpadł do wewnątrz. Czarna chmura przykryła księżyc i żadne światło nie oświetlało twarzy przybysza.

- Mogę wejść?

Cam się spóźniał.

Choć posiadał moc, by skierować ciekłą warstwę powietrza w stronę Daniela, ten pchnął okno, otwierając je szerzej, tak by Cam mógł się przez nie prześlizgnąć. Przez ostatnie dni mieli dosyć okoliczności do przepychanek. To było ważne dla nich obojga, że Daniel wyraźnie Cam'a zapraszał. Twarz Cam'a wciąż pozostawała w cieniu, ale nie było po nim znad, że przebył tysiące kilometrów w deszczu. Jego ciemne włosy i jego skóra były suche. Jego skrzydła, choć teraz złożone ale wciąż silne, były tylko częścią jego blasku. Zupełnie jakby były wykonane z dwudziesto czterokaratowego złota. Choć schował je porządnie za siebie, kiedy siedał obok Daniela, lekko się rozłożyły na drewnianym pudełku, opadając w stronę srebrno opalizujących skrzydeł Daniela. To był naturalny stan rzeczy, to niewytłumaczalne zaufanie. Daniel nie przesunął się nawet o cal, by zrezygnować z miejsca, w

którym najlepiej widział Luce.

- Jest taka piękna, kiedy śpi. – powiedział cicho Cam.

- To dlatego chciałeś by zasnęła na wieczność?-

- Ja? Nigdy. I ja, zabiłbym Sopię za to co próbowała zrobić- a nie pozwoliłbym odejść jej wolno, tak jak ty to zrobiłeś. – Cam pochylił się do przodu, opierając się łokciami o poręcz na poddaszu. Na dole, Luce zarzuciła sobie koc wokół szyi. – Ja po prostu chcę jej. Wiesz dlaczego.

- Żał mi ciebie. Skończysz rozczarowany.

Cam poparzył prosto w oczy Danielowi, potarł brodę i zachichotał okrutnie pod nosem.

- Twoja krótkowzroczność mnie zaskakuje. Jak do tej pory, nie jest twoja.- utkwiał długo spojrzenie w Luce. – Może ona myśli, że jest twoja. Ale oboje wiemy, jak niewiele jeszcze rozumie.

Daniel rozłożył swoje napięte skrzydła wzdłuż ramion, a ich wierzchołki parły do przodu. Zbliżając się do Cam'a. Nie mógł ich powstrzymać.

- Rozejm trwa osiemnaście dni. – powiedział Cam. -Choć mam wrażenie, że nie będziemy go potrzebować. – Wstał, wypychając pudełko spod swoich stóp.

Sprzeczką nad sufitem sprawiła, że oczy Luce zamigotały, ale wtedy anioły zniknęły pośród cieni, zanim Luce mogłaby cokolwiek rozróżnić. Parzyli na siebie, każdy z nich był wyczerpany walką, wiedząc, że to jedynie przedsmak tego, co nastąpi.

Powoli, Cam wyciągnął swoją prawą, bladą dłoń.

